

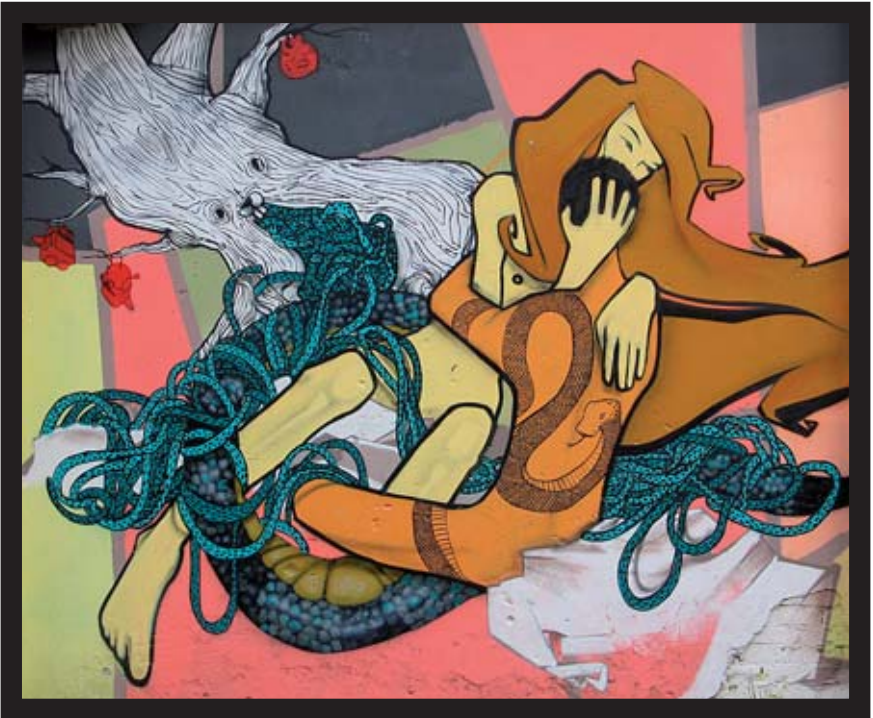
a

1

(123) 2011

akcent

literatura i sztuka • kwartalnik



Jerzy Giedroyc – Sokrates czy Robespierre?

● **Graffiti – historia nowej wrażliwości**

● **Jak Wyka czyta Różewicza?**

● **Kłopoty z „Latającym Cyrkiem Monty Pythona” ●**

J. Moser, M. Kargul, M. Żywicka-Luckner – wiersze

● **C. Nowakowski, W. Próchniewicz – opowiadania ●**

Zwierzyniec – letnia mekka kinomanów

akcent

Zespół redakcyjny
MONIKA ADAMCZYK-GARBOWSKA
JANINA HUNEK
ŁUKASZ JANICKI
LECHOSŁAW LAMENSKI
WALDEMAR MICHALSKI (*sekretarz redakcji*)
EMILIA RYCZKOWSKA
TADEUSZ SZKOŁUT
JAROSŁAW WACH
BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI (*redaktor naczelny*)

Lamanie
MAC Arkadiusz Makowski

Konsultacja techniczna
Janusz Solecki

Stale współpracują:

*Bogusław Biela (Francja), Marek Danielkiewicz, Ewa Dunaj,
Józef Fert, Ludwik Gawroński, Michał Głowiński, Andrzej Goworski,
Magdalena Jankowska, Alina Kochańczyk, István Kovács (Węgry),
Marek Kusiba (Kanada), Jerzy Kutnik, Eliza Leszczyńska-Pieniak,
Jacek Łukasiewicz, Łukasz Marcińczak, Anna Mazurek, Wojciech Młynarski,
Dominik Opolski, Waclaw Oszajca, Mykoła Riabczuk (Ukraina),
Anna Ruman, Małgorzata Szlachetka, Jerzy Święch,
Aneta Wysocka, Bohdan Zadura*

Czasopismo patronackie **Instytutu Książki**
wydawane na zlecenie **Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego**

Numer 1/2011 zrealizowano przy pomocy finansowej
Wojewódzkiego Ośrodka Kultury
ze środków **Województwa Lubelskiego**

„Akcent” korzysta w 2011 roku ze wsparcia
Kancelarii Senatu Rzeczypospolitej Polskiej
(projekt *Twórcy za granicą. Polskie rodowody, polskie znaki zapytania*)
oraz

Urzędu Miasta Lublin

Partnerem medialnym „Akcentu” jest **Radio Lublin S.A.**

PL ISSN 0208-6220

NR INDEKSU 352071

© Copyright 2011 by „Akcent”

a

rok XXXII

nr 1 (123)

2011

akcent

literatura i sztuka

kwartalnik

Na pierwszej stronie okładki
Fragment muru przy ul. Peowiaków w Lublinie, 2008 r. Fot. Krzysztof Wróblewski

Na czwartej stronie okładki
Mur przy ul. Matki Teresy z Kalkuty – tunel pod ul. Jana Pawła II w Lublinie, 2004 r.
Fot. Krzysztof Wróblewski

Adres redakcji:
20-112 Lublin, ul. Grodzka 3, III piętro
tel. (081) 532-74-69
e-mail: akcent_pismo@gazeta.pl
www.akcent.glt.pl

Stronę www prowadzi Anna Golawska

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają
urzędy pocztowe, Ruch SA, Kolporter SA i Ars Polona.

Cena prenumeraty krajowej na okres jednego roku wynosi 38 zł.

Pieniądze można wpłacać także bezpośrednio na konto wydawcy:
Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent” Bank PEKAO SA, V O w Lublinie
nr rachunku: 50 1240 1503 1111 0000 1752 8667
lub przekazem pocztowym pod adresem redakcji,
podając wyraźnie adres prenumeratora
i zaznaczając na odwrocie przekazu „prenumerata Akcentu”.

W USA „Akcent” rozprowadzany jest przez następujące księgarnie:

Polish American Bookstore, „Nowy Dziennik” – Polish American Daily News;
21 West 38th Street; New York, NY 10018

Mira Puacz; „Polonia” Bookstore; 2886 Milwaukee Ave.; Chicago, IL 60618

We Francji sprzedaż prowadzi:

Librairie Polonaise (Księgarnia Polska), 123 Bd St. Germain, 75006 Paryż

Wydawcy:

Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent”, 20-112 Lublin, ul. Grodzka 3

Instytut Książki, Dział Wydawnictw
02-086 Warszawa, al. Niepodległości 213
tel. 22 608-23-74, tel./fax 22 608-24-88
e-mail: czaspatron@instytutksiazki.pl

Nakład 1000 egz. Druk ukończono 5 marca 2011 r.

Druk: IF Drukarnia, Lublin, ul. Stefczyka 30

Cena zł 10,- (w tym 5% VAT)

Spis treści

- Jarosław Moser: *wiersze* / 7
Łukasz Marcińczak: *Giedroyc – Sokrates czy Robespierre?* / 11
Cezary Nowakowski: *opowiadania* / 24
Mariusz Kargul: *wiersze* / 30
Karol Maliszewski: *Różewicz podśluchany parokrotnie* / 33
Wojciech Próchniewicz: *opowiadania* / 40
Maria Żywicka-Luckner: *wiersze* / 48
Włodzimierz Paźniewski: „Straszny gość” *Kostka-Biernackiego, czyli realizm magiczny po polsku* / 51
Zbigniew Masternak: *Nous sommes Polonaise* / 60
Dominik Wacko: *wiersze* / 73
Daniel Górecki: „Wrzeczono frezarki ryksztosuje w sankach” *albo o problemach z „Latającym Cyrkiem Monty Pythona”* / 76
Dagmara Minda: *opowiadania* / 87
Marek Czuku: *wiersze* / 97
Janusz Brzoza: *opowiadania* / 100
Gábor Nagy: *wiersze* / 107

PRZEKROJE

Nie tylko analitycznie

Jerzy Snopek: *Nauka Europy Środkowej* [Csaba Gy. Kiss „Lekcja Europy Środkowej. Eseje i szkice”]; Alina Kochańczyk: *Dzienniki Iwaszkiewicza* [Jarosław Iwaszkiewicz „Dzienniki 1956-1963”]; Wojciech Ligęza: *Poeta odzyskany* [Alicja Jakubowska-Ożóg „Poeta i świat. Twórczość literacka ks. Janusza A. Ihnatowicza”]; Wiesława Turzańska: *Wobec polskich resentymentów* [Michał Jagiełło „Narody i narodowości. Przewodnik po lekturach. Tom I”]; Aleksandra Zińczuk: *Przedmiot o podmiocie – o zreifikowanym człowieku czasów zagłady* [Bożena Shallcross „Rzeczy i zagłady”]; Marta Kubiszyn: *Ekumeniczne przenikanie światów* [Szewach Weiss, Tomasz Dostatni „W dwóch światach”] / 110

Poeci, poeci...

Agnieszka Reszczyk: *Chwywanie chwili* [Urszula Koziół „Horrendum”]; Ewa Dunaj: *Anna Janko urodziła się komuś* [Anna Janko „Wiersze z cieniem”]; Mariusz Solecki: *Pożegnanie z Kolonią* [Piotr Roguski „Adieu, Cologne. Wiersze. Rozmowa z duchami / Adieu, Cologne. Gedichte. Ein Gespräch mit Geinstern”]; Marcin Orliński: *Lekcja znikania* [Maciej Bieszczad „Elipsa”]; Jacek Bierut: *Otruty kwiatem* [Marcin Kurek „Oleander”] / 130

KONTEKSTY

Mariusz Dadej: *Trzy kroki w następne trzydziestolecie.*
Jubileusz „Akcentu” / 143

PLASTYKA

Michał Szymaniak: *Nowa wrażliwość: street art.*
Historia graffiti w Lublinie / 150

FILM

Grzegorz Pieńkowski: *Akademia nowego tysiąclecia / 160*

NAMIĘTNOŚCI

Marek Danielkiewicz: *Twarze zmarłych zapisane*
pod naszymi powiekami / 171

BEZ TYTUŁU

Leszek Mądzik: *Kontrast / 173*

PRZENIKANIA

Bogusław Wróblewski: *Niezwyyczajna samotność / 174*

NOTY

Joanna Klara Teske: *„Niemy Śpiewak” Stanisława Szukalskiego:*
portret autora, człowieka czy Boga? / 178

Konrad Sutarski: *Poeta-żołnierz czasu Apokalipsy / 182*

Maria Kopycińska-Lehun: *Magia Kresów, czyli lato w Krzemieńcu*
w dwóch odsłonach / 186

Noty o autorach / 190

JAROSŁAW MOSER

Moje fado

serię szczepień, resekcję migdałów
bez znieczulenia, z rzeką krwi z głębi
gardła; i te sapiące hipopotamy w białych
kitlach na końcach drutów w moim podniebieniu.

tamtą powódź w dziewięćdziesiątym siódmym;
wspólną wyprawę na południe, po dzieci
u dziadków na wakacjach jak w pułapce,
bo wszelka łączność została zerwana.
a potem i tak rozwód.

wszystkie te dni ogromne i puste jak silosy,
noce z wiszącymi nad głową mieczami,
smutek w oczach dzieci, zawody miłosne,
rozwiane marzenia, zdrady,
szyderstwa, obrzydliwe choroby;

przeżyć to wszystko –
a potem budzić się znów i znów,
z hakiem nadziei na długim sznurze,
który ciągnie żywe ciało za pędzącym kutrem.

Okrywając kocem drzemiącego Vladymira

na przykład mieć nieźle prosperującą rodzinę
w jakimś sławnym mieście, pulchne dłonie
z wierzchu włochate, żyć prosto i równomiernie
snując od czasu do czasu refleksje o śmierci ojca
berrymana i jej wpływie na jego alkoholizm,
chorobę psychiczną oraz samobójstwo.

pamiętać, że ci, którzy z krzykiem biegną
przez fale dymu są w sposób szczególnie moimi
braćmi, bo nie posiadają luksusowych samochodów,
elektrycznych gitar ani gabinetów na czterdziestym
czwartym piętrze; uciekają codziennie przed
kulami jak krew z otwartych żył.

wreszcie pewnego dnia stanąć nago przed
lustrem, zdefiniować swój problem i ruszyć w świat,
aby z hukiem złamać szyfr, uczynić to misją
swojego życia i zdobyć laury, by miękko osiąść,
albo nawet niczego nie zdobywać.

zapełnić czymś pustkę czekania.

Pole cudów

zaczęło się od historii z ręcznikiem.
połowa lipca, balkon z widokiem na miasto.
analizowaliśmy metaforę mostu
u katarzyny sienneńskiej. miałaś wtedy
dni płodne, płytę z symfonią mahlera
i tę pierwotną, nieokrzesaną, niepojętą,
wściekłą miłość – z ograniczoną wolnością wyboru.
jak czerwone światło skaczące po dłoniach.

złota rybko, proszę o dostęp do maszyny czasu.
przewiniemy taśmę do tamtego punktu.
podasz mi ręcznik, ale ja nie wytrę ci pleców.
czerwone światło pobiegnie na ulicę,
między cudze oczy, potem pójdzie po moście
trzymając się zimnej, żelaznej poręczy.
skończą się dni płodne i symfonia mahlera.

*ty powiesz jak zwykle, że gdy mu śmierć błysnęła
przed oczyma, zdjęła pajaca drzączka tak silna,
że w tym dygotaniu trzeszczały mu spoidła
drewnianych nóg i dzwięczały cztery cekiny
ukryte pod językiem.*

ja udam, że śpię.

Szunamitka

spośród miast, w których nigdy nie byłem
najbardziej lubię Singapur.
mógłbym też długo wymieniać kobiety,
których nie kochałem, choć są tego warte.
wiem, że potrzebujesz jakiejś prawdy o mnie,
ale jesteś taka delikatna, że ta prawda
nie może być inna. więc w pewnym sensie
jestem Adamem. nie mam przeszłości,
stoję nad przepaścią; wystarczy krok
i znów wyjdzie ze mnie wielka kolorowa

bezlitosna ludzkość. czasem chciałbym
być prosty, surowy i spójny jak białe obłoki,
wielkie białe obłoki i obcas miazdzący
puste aluminium. bo w pewnym sensie
przecież jesteś Ewą. to ciebie układam
z kawałków nocy, rysunku światła
na szczupłych ramionach. nawet teraz,
gdy przeziębiony pod grubą kołdrą kicham
potworną ilość razy, ty jesteś blisko –
robisz herbatę; chmury wracają do rzeki,
Singapur zapada w sen.

Primal force

Marta dzwoni z Kioto, pyta czy pamiętam tamtą rozmowę
o wiecznym wędrowaniu, o różowych postaciach Picassa,
o nas może wciąż jeszcze żywych za krystaliczną
zaporą między tym, co było i co być mogło.

byliśmy dziećmi – cyrk nas uwiódł. tabory wozów porykujące
zwierzętami, dzwoniące maszynami. jak u Felliniego.
jasny głos mówił: „jeśli nie dasz rady za pierwszym razem,
nie rezygnuj”. naprawdę chciałem spróbować, jednak ten dom
z jego grobową atmosferą, wisiał na włosku –
ktoś musiał obierać ziemniaki, trzepać dywany, płacić
za uśmiech linoskoczka, dłoń na czole wołyżerki.
ojciec mówił: „wystarczy wyobrazić sobie, ile
smarków zostawiają ludzie w tramwajach i autobusach,
żeby żyć się odechciało”. wszystkie okoliczne sznury
i brzytwy chodziły za nim jak drzewa za Orfeuszem.

gdy otwiera się droga – możesz iść. ale jesteś młody i sądzisz,
że to jedna z wielu – czekasz więc na następne. ale tamta zarasta,
a żadna nowa się nie otwiera. bo to była jedyna, przeznaczona
właśnie dla ciebie. robi się z tego jakiś pieprzony teatr cieni.
pod ćwierkającym dachem samotny rozum trwa obrażony
na bezrozumną radość wiosny; ponure ego ważące w dłoni
żelazny pręt.

niech to się stanie, niech to się wreszcie stanie – myślisz sobie,
ale to się stać nie chce. i tylko narastające zmęczenie,
rozpaczliwy brak jasności, liny namiotów, auta szkicowane
w kalendarzu, by pocieszyć zapłakane dziecko; peruki klaunów,
werble, mechaniczna iluminacja i ta mozolna jazda pod górę
na trzeszczących osiach. bój się, bój się, stary capie!
przez sen kurczowe uderzenie łapy pod złocistą grzywą.

Sporysz

zamknąłem oczy, zasłoniłem uszy, bujałem nogami nad szarym kanałem; nic nie mogłem zrobić. spróbuj mnie zrozumieć, człowieku przyszłości, spróbuj wyłuskać te obrazy z ruchu blach

w zardzewiałym porcie, ze śladów szarańczy, która chłonęła ostatnią persymonę. byłem jednym z tych, którzy mieli dobry plan, ale zabrakło dobrych ludzi. tamtego popołudnia

szedłem po żelaznym moście. obłok wschodzący nad miastem przypominał chryzantemę. wtedy ostatni raz pomyślałem o tobie, człowieku przyszłości; o twoich oczach, hymnach, żerowiskach.

Jarosław Moser



Mur przy ul. Peowiaków w Lublinie, 2008 r. Fot. Krzysztof Wróblewski

ŁUKASZ MARCIŃCZAK

Giedroyc – Sokrates czy Robespierre?

*Sens czyjegoś życia, czyjejś działalności,
określa się pomiędzy danym człowiekiem a
innymi. Nie tylko ja nadaję sobie sens. Także
inni nadają mi sens. Ze starcia tych interpretacji
powstaje jakiś trzeci sens, który mnie wyznacza.*

W. Gombrowicz: *Dziennik 1953-1956*. I, 231.

Spróbujmy wyobrazić sobie Polskę bez Gombrowicza... Ciarki chodzą po plecach, wszędzie Mały Rycerz, Powąła z Taczewa, i Sanderus ze swoimi relikwiami... Jeśli uniknęliśmy najgorszego, to było to tak – Jerzy Giedroyc, urzędnik Ministerstwa Przemysłu i Handlu, w sierpniu 1939 roku dopisuje nazwisko Gombrowicza do listy pisarzy biorących udział w inauguracyjnym rejsie transatlantyku „Chrobry” (Gombrowicz przekroczył trzydziestkę i rok wcześniej wydał *Ferdydurke*). Gdy statek dociera do brzegów Argentyny, wojna może się już rozpocząć – lepiej Witolda Gombrowicza nie można było ukryć przed przypadkową kulą. Już jako wydawca „Kultury” Giedroyc odszukał Gombrowicza na ogłupiającej posiadzie w banku w Buenos Aires i namówił do pisania dziennika, który drukował przez kolejne lata w swoim piśmie; niebawem też w Instytucie Literackim opublikuje *Transatlantyk* i *Ślub*, a najbardziej giętkie z piór „Kultury”, czyli Kota-Jeleńskiego zaprzęga w lansowanie Gombrowicza we Francji. W międzyczasie wspomagał pisarza zasiłkami, wystarał się też o stypendium Fundacji Forda, dzięki czemu mógł go sprowadzić na powrót do Europy.

A wyobraźmy też sobie, że brak w naszej literaturze kogoś o duchowej kompleksji Jeleńskiego, horror metaphysicus! Znowu prawie cała twórczość Konstantego Jeleńskiego to teksty zamówione przez Giedroycia i korespondencja z najbliższymi współpracownikami redaktora „Kultury” – gdyby Giedroyc nie wyłuskał go z beau monde’u i nie wciągnął na swój „dwór”, umiejętnie dozując pochwały i zachęty, delikatnie podsuwając zagadnienia i mianując Jeleńskiego „oknem wystawowym »Kultury«”, ten prawdopodobnie nie przełamałby ani niechęci do pisania, ani indyferentyzmu w stosunku do Polski, gdzie mieszkał zaledwie dwanaście lat, będąc tam głęboko nieszczęśliwym. A co byłoby z Czesławem Miłoszem, gdyby Giedroyc nie schował go na rok przed światem na swoim eksterytorium – mogło być różnie, i to jeszcze jak różnie! Do natury dywagacji należy przeciąganie prawdy na swoją stronę – pofolgujmy tej naturalnej skłonności ludzkiej i zaryzykujmy hipotezę, że gdyby nie upór redaktora „Kultury”, przynajmniej jeden wybitny pisarz zurzędniczałby, drugi sfrancuziałby, a zaszczyty Miłosz popełniłby samobójstwo. A przecież Giedroyc Gombrowicza nie znosił, Jeleńskiego nie rozumiał, Miłosza nazywał w listach tchórzem i egotystą, a literaturę zawsze traktował instrumentalnie – w kategoriach politycznych.

Czy można się dziwić, że portret redaktora bywa lukrowany? Przyjęło się wszak uważać, że dom w Maisons-Laffitte stanowił po trosze redutę Ordonu niezależnej kultury albo broniącą polskości oblężoną Częstochowę. Rodzi to

w sposób konieczny masę dystrakcji – by użyć słowa staroświeckiego, w którym redaktorowi do twarzy, podobnie jak w nieśmiertelnym fularze. Jak dotknąć człowieka nie popadając w hiperbole nadinterpretacji, do których popycha jego dzieło? Jak uniknąć balastu trywialnych szczegółów szukając istoty czyjś życia na marginesie głównych wydarzeń, a zarazem nie dać się zagarnąć pozornej lekkości ruchów swojego bohatera, pewności jego poczynań i sądów – czyli kuszącego skrót, który wyjaśniając wszystko, nie wyjaśnia niczego. Może jedynym ratunkiem dla biografisty jest wciąż powtarzać sobie, że bohater każdej opowieści zawsze rozdwa się na postać sceniczną, oświetloną punktowym światłem, wyodrębnioną z tła i niedotykalną, i zmęczonego człowieka za kulisami, bezbronnego wobec publiczności, oddanego w ręce garderobianych, wydanego uczuciom, niechęciom i mechanice własnego ciała.

Giedroyc, jak Kapuściński, został dotknięty magią wielkiej litery. Już za życia, a tym bardziej po śmierci Jerzego Giedroycia, a potem po śmierci Ryszarda Kapuścińskiego, zaczęto bowiem pisać o nich wielkimi literami: pierwszy stał się Redaktorem, drugi – Reporterem. Wielkie eRRR przypomina warczenie, woła – nie dotykaj! Stawia to oczywiście biografów w sytuacji niezręcznej, zwłaszcza kiedy próbują przywrócić równowagę pomiędzy kreacją czy wypracowanym wizerunkiem a życiem zamkniętym w różnych domowych szkatułkach.

W odstępie roku ukazały się u nas obszerne biografie Giedroycia i Kapuścińskiego; ich autorzy są reporterami „Gazety Wyborczej”, na łamach której chętnie przyznawano się zawsze do pewnego z Redaktorem i Reporterem pokrewieństwa. Każda z owych biografii chce opowiadać o prawdziwym człowieku i każda na swój sposób jest opowieścią właśnie z garderoby. Aluzyjny podtytuł, jaki przydała swej opowieści o Giedroyciu Magdalena Grochowska – „Do Polski ze snu”, podsuwa pytanie, czy realista polityczny i pragmatyk, za jakiego redaktor pragnie uchodzić, w gruncie rzeczy nie jest marzycielem i bohaterem prywatnej utopii, przez pół wieku przebijając się do jakiejś Polski, ale nigdy do tej, która akurat była. Artur Domośławski już w tytule postawił sprawę jasno – „Kapuściński bez fikcji”. Czy jednak w tym przypadku potrzeba demaskacji nie pociągnęła autora w dosłowność, dając w rezultacie obraz płaski jak w gotyckim malarstwie tablicowym i czy wraz ze zniknięciem trzeciego wymiaru nie oddalamy się też bezpowrotnie od szansy na uchwycenie Gombrowiczowskiego trzeciego sensu?

A może chodzi też o coś innego, może proberz „dobrej roboty” leży gdzie indziej – Giedroyc dzięki Magdalenie Grochowskiej zdaje się jeszcze ciekawszy, Kapuściński natomiast pod piórem Domośławskiego stał się mniej interesujący. Może szeroki wachlarz ocen jest pozorny i wszystko, co wychodzi z rąk ludzkich, w tym również takie książki, musi ocierać się o arcydzieło albo trącić kiczem?

Zrozumiałe i budzące respekt mogą być protesty pań – Katarzyny Herbertowej dawniej i Alicji Kapuścińskiej teraz – nakazujących biografom, by zadowolili się sceną, a nie wchodzili za kulisy. Wydaje się jednak, że spełnienie ich woli bardziej sprawę zaciemni aniżeli rozjaśni i raczej zniekształci niż wyostri kontur żywego człowieka – oleodrukowe życiorysy przeważnie nie mówią o niczym, nad czym warto by się pochylić. Ale czy znaczy to, że dowiadujemy się czegoś istotnego o Kapuścińskim ukazanim in flagranti? I to pomimo tego, iż pragniemy rozumieć jego wybory w kontekście; chcemy wiedzieć co jadł, jeśli zjadł coś, co podsunęło mu słowa, które zapisał. Wańkiewicz wypowiedział się kiedyś o Giedroyciu nieco złośliwie: *Był redaktorem w każdej chwili życia, a nagle zbudzony w nocy wskakiwał najprzód w redaktorstwo, a już potem dopiero w kalesony*¹. Czy jednak powinny nas interesować redaktorskie ineksprimyble?

¹ Wszystkie cytaty podaje za książką Magdaleny Grochowskiej, której lektura była dla mnie niezwykle inspirująca: tekst mój, planowany początkowo jako recenzja, rozrósł się do formatu eseju, gatunkowo i objętościowo (M. Grochowska: *Jerzy Giedroyc. Świat Książki*, Warszawa 2009, ss. 683).

Trudno mówić o jakimkolwiek podobieństwie obu tych biografii. Poszukując trzeciego sensu za kulisami, życiopisowicze zastosowali bowiem metody zupełnie różne – Grochowska przejrzała prywatne papiery Redaktora, a Domosławski przetrząsnął Reporterowi kieszenie. Artur Domosławski – powodowany afektem! – zajrzał Reporterowi nawet do sypialni i policzyłby mu wszystkie włosy, gdyby się dało. Myśl kierowała nim bez wątpienia zbożna – nie tylko politycy, także Wielkie Litery mają być transparentne, przezroczyście jak szybki, bo koronki zazdrostek wykluczone, nieładne... Ale czy wysiłek moralisty, pragnącego widzieć świat zawsze rozpołowiony na proste tak–tak i nie–nie, paradoksalnie nie zaciemnia światła – w dychotomiach jaśnieje coś, czego szukamy, nieprawda? Przygasa natomiast w scholastycznych wyliczeniach, ile razy Reporter (albo Redaktor) pobłądził, skoro doszedł tam, gdzie doszedł. Gdzie jednak zatrzymać liczydło – oto jest pytanie!

Spójrzmy na Jerzego Giedroycia w sposób, który podsuwa nam Gombrowicz: na jednej szali położmy próby oddziaływania redaktora na rzeczywistość i na innych ludzi, na drugiej – reakcję tej rzeczywistości i tych ludzi na owe próby. Tak bowiem trzeba odczytać zamysł książki Grochowskiej, która – pełna admiracji dla twórcy „Kultury” – wiedzie nas na poszukiwanie „trzeciego sensu”. Inni, w tej książce nieco mniejsi niż redaktor, przywołani są tutaj ze swoimi indywidualnymi rysami, stanowią biogramy w biografii – bo los redaktora przecina się z losem każdego z nich w którymś momencie, a moment ten jest zazwyczaj dla nich punktem zwrotnym. Ale przecież piętno odciskali również oni na nim. „Trzeci sens”, o którym mówi Gombrowicz, powstający z nałożenia się na siebie światów równoległych – wizji Jerzego Giedroycia i perspektywy jego współpracowników, będących w tej szczególnej narracji równorzędnymi bohaterami – przyszedł do mnie przy grobowcu Krzysztofa Szydłowieckiego. Jakąż szaloną linią prowadzi nas niekiedy życie – przecież otwierając wczoraj biografię Giedroycia, nie miałem pojęcia, że dziś przyjdzie mi zatrzymać się w Opatowie, aby w masce pośmiertnej wielkiego kanclerza odnaleźć rysy księcia na Laficie.

Nagrobek ministra spraw zagranicznych Zygmunta Starego i reżysera polityki Jagiellonów nie ma w sztuce renesansowej odpowiednika. Na wysokości oczu znajdujemy tzw. *Lament opatowski* – długą płytę z brązu podobną do fryzu, gdzie rzeźbiarz miniaturzysta przedstawił wokół długiego stołu 41 postaci żałobników, spośród których fizjonomiści wyodrębniają króla Zygmunta, biskupa Tomickiego, hetmana Tarnowskiego... Uderzające jest właśnie to fizjonomiczne odtworzenie przez artystę rysów bliskich kanclerzowi osób; nie znajdzie się tam dwóch podobnych twarzy, to wręcz fotografie ludzi, którzy pozostawali w orbicie spraw Szydłowieckiego – jakby kilkadziesiąt osobnych głosów, wobec których i razem z którymi kształtował się niepodrabialny głos kanclerza. Niektóre twarze i niektóre głosy zapewne nigdy już nie zostaną rozpoznane, nic urywa się na obrazie, podobnie jak w każdym starym albumie, gdzie pełno jest bezimiennych (dlatego zawsze podpisujemy zdjęcia).

To, kim jest kanclerz Szydłowiecki, zależy również od tego, jakim widziało go i zapamiętało tych czterdziestu przyjaciół i adherentów. Te czterdzieści wizji, czterdzieści twarze i par oczu – a tyle ich mniej więcej znajdziemy w biografii Giedroycia – uświadamia złożoność perspektywy, która wciąż umyka kronikarzom; przecież dla każdego jesteśmy kimś innym i cały czas stajemy się tymi, którymi jesteśmy dzięki komuś. Giedroyc, Szydłowiecki, Gombrowicz czy Kapuściński byli kimś dzięki tym, którzy ich otaczali, tamci dzięki nim stawali się sobą. To dlatego ten renesansowy *Lament* jest taki onieśmielający, bo gdy umarł pierwszy minister Rzeczypospolitej, umarła część ich i naszej historii, przestała istnieć opowieść złożona z czterdziestu innych opowieści. Tak naprawdę zawsze pozostaje niewiele – oni w wielkim skrócie, a nad nimi ON w masce pośmiertnej: kanclerz, redaktor, atraktor...

Coś jednak pozostaje, czego zwykle nie sposób przewidzieć ani zaplanować – pamiętam, że zastanowiło mnie, co robią na tym kamiennym obrazie psy i sokoły, zupełnie jakby kanclerz zabierał ze sobą cały swój świat, niczym faraon. Ale czy tak właśnie nie powinno być? Skoro wyobrażono na płaskorzeźbie także psy, które towarzyszyły kanclerzowi, czy znaczy to, że dla nich był kimś jeszcze innym, czy może po prostu je kochał? Charty na grobowcu Szydłowieckiego znowu sprowadziły mnie do Lafitu, gdzie – niczym ścieżka obok drogi – panoszyła się dynastia cocker-spanieli, a śmierć przedostatniego, Piotrusia, stanowiła bodaj najbardziej dramatyczną scenę w życiu oddanego geopolityce redaktora: (...) *byłem zupełnie rozklejony. Będąc tak samotnym, całe niewyżyte złoża sentymentalizmu i uczuć skupiałem na Piotrze... Dlatego szok był duży. Na zewnątrz to wygląda wprost śmiesznie, coś w stylu starych pańien angielskich, ale nic na to nie poradzę.*

Pragnąc lepiej zrozumieć Giedroycia, a jednocześnie fenomen „Kultury”, trzeba wsłuchać się w tajemne rozmowy Czapskiego z Jeleńskim, Miłosza z Hertzem, Jeleńskiego z Miłoszem. Listy pisane przez najbliższe „Kulturze” osoby ponad głową redaktora są niczym pendant dla rozmów, które prowadzili z Giedroyciem. Jak skomplikowane bywają (i jak nigdy do końca nieuchwytnie) związki między ludźmi odległymi od siebie, którzy nie powinni się rozumieć, skoro właśnie oni uchwytyują coś, co pochwyć najtrudniej. Miłosz napisze do redaktora: *Ale niech Pan pamięta, że ja wiem, iż pod skórą, którą Giedroyc nosi na twarzy, kryje się tyle ciepła wewnętrznego i tyle miłości – a przecież i Pan, drogi Jerzy, wie, że pomimo mego sarkazmu i ironii tego tylko szukam i przed tym tylko klękam.* Zazwyczaj nie szczędzili sobie złośliwości i obchodzili się z daleka – więc skąd nagle te serdeczne tony? Jakże mało wiedzieliśmy o Miłoszu i nie miejmy nadziei, że o Giedroyciu dowiemy się wszystkiego. Nawet pojedyncza historia to palimpsest, obraz złożony z wielu perspektyw, różniących się tysięcznymi szczegółami, o strukturze cienkiej i przerywistej, gdzie interpretacje tych samych wydarzeń przenikają się i dopełniają, a jedna prawda nakłada się na drugą, trzecia na czwartą, i nie może być inaczej.

Dlaczego twórca „Kultury” paryskiej skojarzył mi się ze zmarłym wielkim kanclerzem koronnym? Co oderwało mnie od książki i kazało wybrać się do Opatowa. Co łączy Paryż i Opatów? I skąd płynie trzeci sens? Czy nie od Małozzyc, wioseczki pod Opatowem, gdzie na świat przyszedł autor *Ferdydurke*? Gombrowicz z pewnością przed *Lamentem opatowskim* nieraz się zatrzymał i dlategoż to właśnie ów widok nie miałby go za oceanem doprowadzić do tej arcyciekawej konstatacji o zapośredniczeniu sensu naszego życia. Jerzy Giedroyc nigdy nie wykazywał upodobania dla dziedzin, które nie dyskutowały się politycznie i *Lament* zapewne by go nie zainteresował.

Życie księcia na Laficie przypominało bowiem długą i prostą linię, po której szedł zawsze wyprostowany, krokiem drobnym, ale uporczywym. „Zwierzęciem politycznym” i redaktorem był od początku – niekiedy początek wybieramy sami, gdyż zdarza się, o czym wiedział Miłosz, iż „wcześnie otrzymujemy wezwanie”. Innych miłości nie miał i nie chciał mieć. Stąd pewnie czasem wydawał się nieludzki, bo był o te dwie swoje miłości zazdrosny. Dlatego tyle przyjemności sprawiają owe ślepe uliczki, w których odzyskiwał ludzką twarz. Pamiętajmy jednak, że „złoża uczuć” albo miłość schowana pod skórą to tylko prześwity, refleksy wywołane gwałtownym ruchem, wyspy na których cumował redaktor – znał je, ale za nimi nie przepadał. Urodził się strategiem i najlepiej czuł się przy dużym i ciężkim stole sztabowym. Czasem wzywał swoich marszałków, mówił krótko, po żołniersku, dyskusje ledwie tolerował, cenił adiutantów.

Ale osiągnął coś, co wydawało się niemożliwe – żywiąc się opiniami, chwytając nastroje, dopasowując fakty, z dalekiej Francji przemieniał kraj, który znał sprzed wojny, a więc w innej epoce. Chybiał i wielokrotnie stawiał

na niewłaściwego konia, ale z każdej porażki wychodził silniejszy i jeszcze bardziej wymagający – w Październiku wołał o więcej, w Marcu domagał się terroru imponderabiliów, w stanie wojennym oczekiwał od rodaków maksymalizmu, a po odzyskaniu niepodległości zażądał niemożliwego. Może właśnie dlatego – mimo iż przed śmiercią wspominał czasem, że ma poczucie porażki – zwyciężył? W każdym razie nie przegrał życia, choć czy możemy być pewni przynajmniej tego?

Adolf Bocheński, najlepsze pióro w „Buncie Młodych”, pierwszej redakcji objętej przez Giedroycia, w roku 1943 notuje: *Jurek G. z każdym rokiem się wyrabia i uważam go zupełnie stanowczo w naszym pokoleniu za najpoważniejszego kandydata na premiera, gdyby te kandydatury były wybierane stosownie do istotnej wartości człowieka*. Potem pauza, podczas której wydarzyło się wszystko, całe półwiecze „Kultury”, i napisze Miłosz: *W służbie politycznej cnoty, uznając dobro państwa za suprema lex, surowo osądzający słabość charakterów, nie zawahałby się przed użyciem metod drastycznych. Prawdopodobnie patrząc wtedy w lustro, widziałby wąskie usta Robespierre’a*.

I znowu dwa obrazy, nieco wcześniejsze – w roku 1934 Bocheński na pewien czas odchodzi z redakcji, co uzasadnia następująco: *Jednym z powodów, dla których rozstał się z nim, była właśnie ta głęboka nieświadomość, w której nas trzymał odnośnie do wszystkich prawie ważniejszych spraw redakcyjnych*. A Zygmunt Hertz, w „Kulturze” człowiek od wszystkiego, dobry duch Lafitu i jego administrator, pisał do Miłosza w roku 1965: *Przeczytałem w korektach „Kosmos”. Nie mów, Boże Cię broń, Jerzemu, bo pewno tajemnice. Ja już doprawdy jestem pogubiony, co tajne, co ściśle tajne, o czym nie można mówić. Z embargo wyłączony pies, kot, ogród i krytyka befsztyka*. Magdalena Grochowska przypomina jeszcze o tajemnicy poliszynela: *Redaktor zafunduje „Kulturze” żelazną szafę na najtajniejsze papiery, z jednym kompletem kluczy – dla siebie*.

Ale czy można naprawdę rządzić – a więc brać odpowiedzialność – inaczej? Adolf Bocheński wcześniej uchwycił genre redaktora: *To on ludzi przerabia, a nie ludzie jego*. Bóg również używa aniołów, być może nawet słucha czasem zaufanych doradców, ale władzą z nikim podzielić się nie może – ponieważ nie ma nikogo lepszego. Giedroyc odpychał, ranił, strącał, ale również podnosił i przyciągał – i dlatego odstępowali go, żeby powracać. Tak naprawdę zaczęli go zdradzać dopiero w latach 80., gdy Aleksander Smolar, Barbara Toruńczyk i inni na jawnomyśleniu „Kultury” wyhodowani zakładają własne pisma, wobec „Kultury” polifoniczne i może trochę lepiej już wówczas wyczuwające puls polskich spraw. I wtedy na twarzy Giedroycia pojawił się cień, jego królestwo powoli zaczęło się rozpadać, jak księżę Salina był coraz piękniejszy w swej dumie, a śmierć miał lekką – zasnął i już się nie obudził.

Co wydarzyło się po drodze? Skąd na polskim firmamencie ten sycylijski księżę o angielskim temperamentem i arcypolskich nierządkiem dąsach? W wieku 25 lat (studiował prawo i historię, rodzina miała korzenie księżęce, ale ojciec został aptekarzem) obejmuje redakcję konserwatywnego „Dnia Akademickiego”, który wkrótce przemianuje na „Bunt Młodych”. Kilka lat później „Kurier Lwowski” napisze o piśmie Giedroycia: *Tygodnik sanacyjny, różni się tym od innych wydawnictw sanacyjnych, że jego redaktorzy więcej myślą, więcej czytają i mają więcej zdolności pisarskich*. W marcu 1937 pismo zmieniło nazwę na „Polityka”, a redaktorzy zaczęli przygotowywać się do udziału w wyborach 1940 roku. Giedroyc na czele klubu parlamentarnego? Dlaczego nie, nigdy nie ukrywał, że polityka jest jego żywiołem; w latach 90., tuż przed wyborami prezydenckimi, powiedział: *Gdybym był o dziesięć lat młodszy – pojechałbym i zostałbym prezydentem*. A przecież miał ogromne trudności z publicznymi wystąpieniami, wiedział o tym i ograniczał je do

minimum. Wydaje się, że wolał pozostać księciem, który bawi się myślą o prezydenturze, i dlatego sformował „rząd” wprowadzający w czyn jego własną wizję państwa, a ponieważ był to gabinet, którego nie dało się obalić, jego sposób myślenia przeniknął w nas głębiej, niż może zdajemy sobie z tego sprawę.

Które sny redaktora o Polsce zmieszały się z rzeczywistością do tego stopnia, że przestaliśmy je odróżniać? Grochowska przywołuje przedwojenny artykuł Bocheńskiego (w tej kwestii porte-parole twórcy „Kultury”), mający przekonać nieprzekonanych (czyli wszystkich), że jagielloński model prowadzenia polityki wschodniej jest już *passé*: *Polacy muszą wreszcie zrozumieć, że jeśli dla nich idea jagiellońska jest symbolem przyjaźni, to dla Litwinów, Ukraińców i Białorusinów jest „symbolem najbardziej agresywnego imperializmu polskiego”. Mówiąc o powrocie do idei jagiellońskiej, „uderzamy w punkt, który jest dla nich najboleśniejszy” – powolnej utraty świadomości narodowej. Oni mają poczucie zagrożenia polskością, rozumiemy – apeluje Bocheński – oni nie pragną zostać Polakami!* Idea niepodległości Ukrainy, jako warunek sine qua non geopolitycznego bezpieczeństwa Polski, może być uważana za „odkrycie” Giedroycia, który już w późnych latach 30. jako szef „Polityki” zaangażował się w rozmowy z rządem o autonomii Małopolski Wschodniej; wcześniejsze kontakty Giedroycia z działaczami ukraińskimi na Huculszczyźnie omal nie skończyły się jego aresztowaniem, natomiast artykuł w „Polityce”, podsuwający niewygodną myśl, że zamachy na Tadeusza Hołówkę i ministra Pierackiego to w jakiejś mierze uzasadniony odwet za represje wobec ludności ukraińskiej, kończy się skonfiskowaniem całego nakładu pisma. Kiedy po wojnie Giedroyc uzna konieczność zrzeczenia się pretensji Polaków do Lwowa i Wilna, wśród środowisk kresowych w Polsce oraz emigracji londyńskiej stanie się kimś w rodzaju „ojca zadzumionych”.

Kwestia ukraińska, ujmowana wspólnie z dążeniami do samodzielności Litwy i Białorusi, stanie się *idée fixe* redaktora. Po śmierci Bocheńskiego, który rozwijał ją w Giedroyciowym „Buncie Młodych”, pałeczkę przejmie w „Kulturze” Juliusz Mieroszewski. I do dziś niemal wszystko, co „Polityka”, a potem „Kultura” mówiła o imperatywach polskiej polityki na Wschodzie, nie zdezaktualizowało się nawet w marginaliach. Chcąc nie chcąc, patrzymy na Wschód oczami Giedroycia, który wciąż powtarzał, że sentymenty (i resentymenty) nie są w polityce źródłem siły, ale słabości i tylko przewyciężenie ich może być dla narodów ozdrowieńcze. Czy nie objawia się od razu przed naszymi oczami linia biegnąca od Brzozowskiego, a Giedroyc powie w jednym z wywiadów wyraźnie: *wychowany jestem na Brzozowskim*, do Gombrowicza, piszącego do redaktora: *pilotuje pan mój „Transatlantyk” z genialnym i głębokim znawstwem tych zmurszałych wód?* Jak niezwykle podobnie brzmi tembr ich głosów, jakby ożywiła ich jedna iskra, zygzak idący od Maziarni, gdzie urodził się Brzozowski, przez Mińsk Litewski, gdzie przyszedł na świat Giedroyc, aż do Małozyc, gdzie Antonina z Kotowskich porodziła Gombrowicza. Tak jak wielkie M łączy te trzy miasta, tak zbliżała ich i łączyła również wielka myśl o przewyciężeniu Polaka w Polaku, aby mógł stać się kimś więcej – aby nie przestając być Polakiem, zaczął być wreszcie pełnym człowiekiem. Dlatego żaden nie chciał leżeć po śmierci w Polsce dziesięć lat od nadmiaru sentymentów. Kazali pogrzebać się w Vence pod Paryżem i we Florencji, woleli pozostać obcymi na obczyźnie niż w obcej Polsce.

Tuż przed wybuchem wojny ukazuje się program polityczny grupy Giedroycia pt. *Polska idea imperialna*. Znajdujemy tam rzeczy zaskakujące: mowa jest o powrocie do „czystej krynicy kultury narodowej” – zachodniej i „na wskroś katolickiej”. Jeszcze bardziej uderza postulat wprowadzenia numerus clausus we wszystkich uczelniach i wolnych zawodach. Po latach Giedroyc przyzna: „Ulegaliśmy w jakiejś mierze nastrojom”. Z całą pewnością

cią jest szczery, bo zawsze mierzył świat szkiełkiem pragmatyzmu i właśnie dlatego jego oceny są na wskroś rzeczowe, a bywają w swoim racjonalizmie brutalne. W rozmowie z Barbarą Toruńczyk potwierdził, że nie wierzył ani w asymilację, ani w stworzenie autonomii żydowskiej w Polsce. I dodał: *Nie, numerus clausus myśmy nigdy nie lansowali. Studentowicz to napisał na własną rękę. Ale emigrację – tak.* Z tego „grzeszku” w roku 1969 wypowiedział się Miłoszowi: *Ta domieszka semicka odgrywała ogromną rolę. Może tego było za dużo jako drożdży, ale bez drożdży w ogóle mogą wychodzić jedynie chude podpłomyki...* Na jawie, jak każdy człowiek, czasem redaktor błędził, ale sny miał piękne, nad ludzką miarę.

Różne swoje sny opowiadał w „Kulturze” Giedroyc Polakom: w 1958 roku drukuje tekst Mariana Pankowskiego, relacjonującego swą wizytę w rodzinnym Sanoku, gdzie głos ludu przemówił jasno i wyraźnie – „Hitler za nas zrobił robotę”. *Umrą obwieszani krzyżkami, ale nie pojmą ani jednego zdania z Ewangelii* – pisarz nie ma złudzeń, że trauma wojny zmieniła cokolwiek, a redaktor właśnie dlatego był skuteczny, że nigdy nie mylił snów ze złudzeniami. Grochowska zwraca uwagę, że stanowisko, jakie zajęła „Kultura” wobec antysemitki nagonki dziesięć lat później, znowu było odosobnione nie tylko na emigracji, ale również wśród opozycji w kraju, gdzie utrzymywano, że to rozgrywki partyjne, prowokacja, ba, nawet Paweł Jasienica twierdził, że wiązanie Marca z antysemityzmem w Polsce jest oszczerstwem i nosi znamiona kampanii antypolskiej. Giedroyciowi śniło się i nie chciało się prześnić coś innego. W numerze z maja 1968 roku Jeleński zarzucił polskiemu Kościołowi zмовę milczenia wobec polskiego antysemityzmu, stawiając pytanie – aktualne do dziś – o społeczno-historyczno-polityczne powody tego, że w Polsce daje się powodować ludźmi przy pomocy antysemitkich hasel. Józef Czapski rozszerzał perspektywę, pokazując Polskę inną niż ta, którą do wierzenia podawano w kraju – *Od początku, wbrew napaściom, walczyliśmy z ciasnym polskim nacjonalizmem (...)* *To ustawi nasz stosunek nie tylko do Żydów, ale i do Litwinów, Ukraińców, Białorusinów, do Rosjan i do Niemców. Tak postępując, czujemy się w istotnej tradycji polskiej.* Obok „tematu” ukraińskiego to „drugi front” „Kultury”, powracający niczym podsuwane Polakom krzywe zwierciadło. Jawie przeciwstawiany sen. Materii słowo.

Sam Giedroyc sprawę „pochodzenia” pisarzy, jako warunku mówienia lub powstrzymywania się od mówienia o polskich sprawach, rozstrzygnął już w roku 1951 – gdy Teodor Parnicki odmawia udziału w ankiecie na temat polskiego antysemityzmu, ponieważ jako „pół-Żyd cierpi na »kompleks metysa«”, redaktor wybucha: *Sprawa krwi w Pana żyłach jest Pana osobistą sprawą i nie należy poddawać się terrorowi chuliganerii. (...) Po co Panu endecka cenzura? Czyżby Pan uważał Stempowskiego, Czapskiego, Vincenza czy mnie za ludzi zarażonych i nie widział innych Polaków poza endekami? Pana kompleks jest szkodliwy nie tylko dla Pana... poniżający dla nas wszystkich.* Kolejne drzwi do wyważenia, które trzymały się mocno. Jan Józef Lipski w 1981 roku opublikował u Giedroycia tekst *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy*, gdzie pisał o polskiej „narodowo-religijnej rekwizytorni” – antysemityzmie, nacjonalizmie i megalomanii, a kiedy sam w roku 1989 będzie ubiegał się o mandat senatora w Radomiu, ulica znajomo „zaszumi”: „Przysłali nam tu Żydka z Warszawy”. Magdalena Grochowska podpowiada ciąg dalszy i przypomina rok 1990, gdy jeden z biskupów *dowodził chrześcijańskich korzeni Tadeusza Mazowieckiego, sankcjonując w ten sposób prawomocność żądań.* Swoistym clou tej ponurej enumeracji czyni autorka casus z Lubelszczyzny z 2007 roku – pomysłodawcom postawienia w Zamościu pomnika Dawida Psalmisty prawnicy radni zarzucili niedostatek „myślenia po polsku”. No właśnie, czy Giedroyc rzeczywiście myślał „po polsku”? A czy pies Giedroycia szczełwał po francusku?

Gdy przegląda się to epistolarne archiwum „Kultury” dzisiaj, najbardziej może zdumiewa rozdźwięk, nieufność, a nawet niechęć wobec pisma Giedroycia środowisk lewicowych i laickich, nie związanych ze „Znakiem” i „Tygodnikiem Powszechnym”, równie jak Giedroyc antyklerykalnych, dążących do transformacji ustrojowej i poluźnienia sowieckiej zależności, na które w pierwszym rządzie „Kultura” starała się oddziaływać. Tymczasem – komentuje Grochowska – *nawet owi „wściekli”, najbardziej antygomułkowscy, nie życzyli sobie politycznego patronatu emigrantów.* Lipski dawał to redaktorowi do zrozumienia: *Jeśli chcecie kogoś pochwalić, róbcie to bardziej okrężnie... (...) Zawsze widzieliśmy w „Kulturze” rzecznika swobód demokratycznych i suwerenności narodowej akceptującej podstawowe reformy ekonomiczne i społeczne, które dokonały się w kraju, i to jest bardzo dużo, byśmy mogli bez generalnych zastrzeżeń uważać was za bliskich sojuszników, ale przecież musi być jakaś różnica między Mieroszewskim a Kołakowskim czy Janem Wyką.* Giedroyc pokazuje ten list Mieroszewskiemu i opatruje własnym komentarzem: *Trzeba nadal (...) dolewać oliwy do nieistniejącego, ale przeszłego ognia... Mechanika wypadków jest taka, że będą musieli przyjść do nas.*

W 1971 roku w „Kulturze” ukazują się *Tezy o nadziei i beznadziejności* Leszka Kołakowskiego. Giedroyc (pisał niewiele, ale miał dar uszczypliwości) nazwie filozofa „Hamletem polskiego marksizmu”. Kołakowski był bowiem przez Giedroycia pięknie kuszony od dawna, ale kiedy wreszcie połknął haczyk, Aleksander Smolar skomentował to następująco: *Czytałem to pismo od dawna, jego polityczne analizy były dla mnie fascynującym otwarciem na świat, ale do lat sześćdziesiątych ja również miałem wobec środowiska „Kultury” pokoleniowe i formacyjne poczucie dystansu. Czułem, że oni z innego świata wyrastali, wobec tego ich pytania i odpowiedzi nie przystawały do pytań, które stawiał sobie młody zbuntowany człowiek w PRL-u. Dostrzeżenie wspólnoty ponad różnicami wymagało czasu. (...) Leszek Kołakowski przełamał tabu. Nawiązał otwarty kontakt z Jerzym Giedroyciem i „Kulturą”, która symbolizowała świat emigracji. Sądzę, że część jego przyjaciół miała poczucie, że dokonując takiego wyboru – niejako dokonuje wyboru w ich imieniu, a oni do takiej decyzji absolutnie nie byli jeszcze przekonani.*

Jak bardzo liczy się punkt odniesienia, dowodzi inna wypowiedź Smolara, który po opuszczeniu kraju powołuje kwartalnik „Aneks” i dopiero z tamtej perspektywy gotów jest napisać we wstępniaku, że podział na kraj i emigrację uważa za sztuczny i przez władzę sztucznie podtrzymywany; że Polacy niezależnie od tego, czy mieszkają w Warszawie, czy Paryżu, jeśli się dzielą, to tylko na tych, którzy przyczyniają się do osłabiania dyktatury, i tych, którzy przykładają rękę do jej utrwalania, a więc że jedyny istotny podział nie jest ani geograficzny, ani pokoleniowy, a o wszystkim decyduje ich stosunek do demokracji. Wzrok dziś przesłizguje się po tym sformułowaniu, które jest jak wytarty szton, tymczasem znowu nic błędniejszego: *Ta teza dziś wydaje się banalna i oczywista. Ale kiedy przed publikacją posłałem „szczotki” przyjaciołom – o bardzo znaczących nazwiskach w późniejszej opozycji demokratycznej w Polsce – zażądali ode mnie usunięcia tego wstępu. Powiadali, że moja teza jest niebezpieczna, może być wykorzystana przeciwko nim poprzez uczynienie z nich emigrantów, mimo że są w Polsce. Władza stwierdzi: w istocie macie mentalność emigracyjną, czyli nie macie nic wspólnego z narodem polskim. Dzisiaj to się wydaje absurdalne. Ale powiedzenie o kimś wtedy: nie jesteś z nami, nie podzielasz naszego losu, jesteś emigrantem – miało pewną siłę. I władza chętnie z tej amunicji korzystała – choćby propaganda moczarsowska – poprzez insynuację, że to są Żydzi, zdrajcy, agenci obcych wywiadów. Wstęp ten żyłką wycinałem z żoną z 1500 egzemplarzy pierwszego nakładu. Rzeczywistość musiała do snu dorosnąć, czy sen dojrzeć do rzeczywistości? Był kształtuje świadomość, czy świadomość formuje byt?*

Kiedy narodził się polski Sierpień, chyba po raz pierwszy tak wyraźnie zawiodło Giedroycia „trzecie oko”. W Marcu „Kultura” widziała więcej, bo patrzyła analogiami i „marcowe gadanie” rozpoznawała, ale w Sierpniu – po dwuznacznym doświadczeniu Października – przeholowała w sceptycyzmie. Toruńczyk wspomina: *Kiedy przyjechałam na Zachód w 1980 roku, w Polsce już istniała „Solidarność”. Giedroyc rozumiał, że nastąpił wielki przełom, że ten ruch ku czemuś prowadzi..., bo on miał intuicję nieomylną. Ale nie rozumiał tej wielości zjawisk, spontaniczności wydarzeń bez jednej myśli porządkującej, uważał, że to jest bałagan. I tak samo patrzył później na Polskę po 1989 roku...* A przecież niepodległość zaczynała się podobnie jak ta przedwojenna, której Giedroyc przypatrywał się z bliska; dlaczego teraz tak bardzo się pomylił? Jak prawie zawsze stanął okoniem przeciwko wszystkim w kraju i prawie całej emigracji – w osobie Gorbaczowa widział kolejne wcielenie Stalina, atakował „Solidarność” za mimikrę i ustępliwość, a wobec Okrągłego Stołu zajął stanowisko, któremu wyraz dał sławny wywiad z Krzysztofem Wyszowskim, wydrukowany w „Kulturze” w 1989 roku i ironicznie zatytułowany *Spod stołu: Okrągły Stół był teatrem odgrywanym na użytek publiczny. Geremek, Kuroń, Michnik – jaczejka, do której „w pewnej fazie” dołączył Mazowiecki – manipulowała „Solidarność” i zawarła tajny kontrakt z władzą. Inni negocjatorzy to „wynajęci inteligenci”*. Skąd w senniku Giedroycia ten sen przedziwny, z którego redaktor nie mógł się obudzić przez dziesięć lat? Ale czy do samej natury snu nie należy pewna nadwyżka – wewnątrz snu jest zawsze jaśniej, ograniczenia mniej uwierają, a pokusy wydają się czystsze.

Sny Giedroycia, piękne zawsze, lubiły się barwić donkiszoterią; tuż po wprowadzeniu stanu wojennego redaktor pisze: *Podziwiamy polskie podziemie lat wojny; podziwiamy dziś Afganów. Podstawą działania i jednych, i drugich była gotowość poświęcenia życia*. Gustaw Herling-Grudziński we fragmencie dziennika opublikowanego w „Kulturze” w 1984 roku wyraża również stanowisko Giedroycia: *Problem krwi, nasze najnowsze narodowe tabu. Sławi się (słusznie) polską bezkrwawą rewolucję ludową, powtarza się (niesłusznie), że „życie ludzkie jest najwyższą wartością”. I zapomina się przy tym, że udana bezkrwawa rewolucja nie może się z góry wyrzec wszelkiego ryzyka przelewu krwi, bo nie wyrzeka się go z góry przeciwnik. (...) bezkrwawa rewolucja, która z góry odrzuca wszelkie ryzyko przelewu krwi, ryzykuje przeobrażenie się w rewolucję bezkrwawą. Smolar ówczesne stanowisko „Kultury” skwituje: *Giedroyc traktował ofiary jako swego rodzaju abstrakt polityczny*. Grochowska wydobyła z archiwum „Kultury” list redaktora do Wacława Byszewskiego – list pożółkły, ale rzucający światło na stanowisko, jakie zajął Giedroyc w latach 80. Polskie sprawy noszą tu rzeczywiście niepokojące znamiona czegoś abstrakcyjnego, są jakoś rodzajem platońskiej idei nie zanurzonej w życiu: *Każdemu z nas coraz bardziej samotność jest trudna do zniesienia. Ale o ile bez cienia wahania gotów jestem brać odpowiedzialność za ojczyznę etc., to poczucie odpowiedzialności za dziecko byłoby dla mnie nie do zniesienia. Jest to jedna z rzeczy, której bym się naprawdę bał. Już łatwiej jest z Blackiem [pies redaktora]*.*

To niezwykle interesujący moment – Jerzy Giedroyc i Gustaw Herling-Grudziński idą na wojnę, mają ten sam sen, a po kilku latach ta sama wojna poróżni ich na zawsze. Za co Giedroyc nie chciał wziąć później odpowiedzialności, a może – za co poczuł się odpowiedzialny? Chyba najtrafniejsza jest analiza Andrzeja Walickiego: *Między stanem wojennym a Okrągłym Stołem on się poważnie wahał... Przejście do taktyki konfrontacyjnej, choćby w sferze werbalnej, to był wielki skok mentalnościowy, który stanowił dla Giedroycia olbrzymią pokusę. Gdyby umarł wtedy, kiedy zastanawiał się nad obraniem drogi krwawej, stałby się bohaterem Macierewiczów... Ale potem zerwał z manichejskim podziałem na dobro i zło pisane dużą literą. Uznał,*

że racje są podzielone, że należy przedstawić w „Zeszytach Historycznych” racje Jaruzelskiego. Uznał Herlinga za jastrzębia. W jego sporze z Michnikiem przyznał rację Michnikowi. W gruncie rzeczy obaj przeszli podobne meandry – od etyki walki do etyki kompromisu. Tuż przed śmiercią Giedroyc, zapytany raz jeszcze, czy Okrągły Stół i wybory czerwcowe były przejawem zdrady narodowej, do jakiej doszło w Magdalence, odpowie, że to poglądy bezsensowne i bezpodstawne. Dzień wyborów był dniem wejścia Polski na drogę niepodległości i suwerenności – podkreślił. Tak mówił, ale do tramwaju na przystanku „niepodległość” nie wsiadał. Czy tylko z kaprysu, a może dlatego, żeby pozostać na bezpiecznym brzegu?

Być może odsłania coś jeszcze ten kurtuazyjny list? Droga Pani, bardzo dziękuję za miłe i niezasłużone słowa uznania. Niezasłużone – bo jak dotąd z mojego miotania nic nie wychodzi. Poza „Kulturą” zabieram głos, gdzie tylko mogę, do Maisons-Laffitte ciągną jak do cadyka z Góry Kalwarii różni dygnitarze. Ale to jałowa gadanina, z której nic nie wynika. Pocięsam się jednym z powiedzeń marszałka Piłsudskiego, że głowa muru się nie przebije, ale jak nie ma innych narzędzi, to trzeba i tego próbować. No, ale jak dotąd mur jest nienaruszony, a głowa w coraz gorszym stanie... W późnych latach 90. pozwolił się sfotografować Agnieszce Osieckiej bodaj jedyny raz bez fularu, w podkoszulku z napisem „OTAKE POLSKIE WALCZYŁEM”. Przebrała się miara goryczy? – ale przecież to była Polska najlepsza z możliwych, o jakiej mógł tylko marzyć przez ostatnie pięćdziesiąt lat...

Maciej Kozłowski, w tym okresie dyplomata, który widywał Giedroycia w ciągu kilku ostatnich lat jego życia, dotknął chyba tego, co najważniejsze: Zabawne, że musiałem przed nim tej nowej Polski bronić... W jej ocenie był niesprawiedliwy. Ona rzeczywiście odstawała od Polski idealnej, jaką sobie wymarzył i jaką w pewnym sensie stworzył w obrębie ogródka w Maisons-Laffitte: gdzie wszyscy bezinteresownie oddają się służbie publicznej, nikt nie myśli o korzyściach osobistych, gdzie nie ma miejsca na zawiści i intrygi. Jemu się wydawało, że ta nowa Polska będzie właśnie taka.

Ale właśnie taki był Giedroyc – bez reszty oddany sprawie, dla której trwał w zbroi zimnego idealisty, z garstką ryerczy i wiernym psem. Ten idealizm, bardzo racjonalny, paradoksalnie czynił go też niesłychanie interesownym. Ewa Bienkowska wspomina, że Giedroyc w swoim utylitaryzmie bywał wprost „bezwstydny”, a subtelnie werbowanymi intelektualistami rozporządzał po napoleońsku; trudno bez uśmiechu czytać jego uwagi, kiedy o Jeanne Hersch pisze – „mój nowy nabytek”, a o Witoldzie Jedlickim prorokuje – *chłopiec rozwija się prawidłowo i... będziemy mieli z niego dużą pociechę*. A oto cały Giedroyc: gdy przesuwa fragment *Dziennika Gombrowicza*, na co pisarz się oburza (zdążył się bowiem rozuchwalić), redaktor odpowie bez ogródek: *Nawet najświetniejszy artykuł najlepszej primadonny nie zawsze pasuje*. Uwielbiającemu go Andrzejowi Bobkowskiemu też robi psikusa i pozwala na przedruk jego opowiadania w jednym z pism krajowych, wiedząc, że pisarz publicznie sprzeciwił się publikowaniu w kraju. Bobkowski jest dotknięty do żywego: *Kiedy indziej rozporządzi Pan może moim listem, skoro to będzie grało w Pańskim równaniu*. Bobkowski czyta w Giedroyciu jak w gwiazdach, i pewnie dlatego mu wybaczy.

Grochowska świetnie punktuje taktykę „Kultury” w sprawie Marka Hłaski, który przybył do Lafitu w 1958 roku, jako pierwszy pisarz z kraju uwielbiany przez czytelników, którego teksty władza brutalnie cenzuruje. Redaktor zaciera ręce, świadomy panicznego lęku „krajowców” przed pojawieniem się w „Kulturze” – dezynwoltura Hłaski, drukującego tutaj pod własnym nazwiskiem, może ośmielić następnych. Giedroyc uważa, że ryzyko, które ponosi młody pisarz, musi ustąpić wyższej racji – dlatego Mieroszewski, zawsze najbliższy Giedroyciowi w poglądach, jakby stanowili jeden organizm, nie ma wątpliwości: *Ułowił Pan wspaniałego szczupaka i niech Pan pilnuje*,

by się nam z haczyka nie spełznął. Prawie jednocześnie piszą wówczas do redaktora Jeleński i Miłosz, przejęci i przerażeni – nie wciągając go w „Kulturę”, nie odcinać drogi powrotu: Prozaikami, jak Pan wie, zachodnie piekielko jest wybrukowane i nawet talent nie wystarcza... To nie Kołakowski, który gdyby został tutaj, to nie zginie. Piszę to z troski o niego i w przewidywaniu aktów desperackich, do samobójstwa włącznie... Niezależnie od siebie przewidywali, że skóra desperata jest cienka, że redaktor powinien jego ofiarę odrzucić (faktycznie Hłasko już do kraju nie wróci, a 11 lat później umrze w Wiesbaden w okolicznościach mogących wskazywać na samobójstwo). Mieroszewski nie rozumie tych skrupułów: Jeleński nie łapie tego, że my jesteśmy w walce i byłoby nonsensem nie wygrać w tej walce tak świetnego atutu, jakim jest Hłasko. Trudno dziś patrzeć na tę dramatyczną historię bez sentymentu – paradoksalnie bowiem „Kultura” toczyła bój z władzą ludową o każdego pisarza, którego pojedynczy gest czy opinia mogła zachwiać systemem. Słowa i gesty miały w zimnej wojnie siłę przeobrażania świata – dlatego walczone literaturą i o literatów, także literatami. Krzysztof Kozłowski, bliski współpracownik Jerzego Turowicza w „Tygodniku Powszechnym”, przypomina jeszcze głośnie sprawę Rewskiej i Rudzińskiej: Dwie szlachetne i dzielne kobiety siedzą w kryminale – mówię redaktorowi – ponieważ przepisywały przez kalkę artykuły z „Kultury”. Tych kilka kopii, które dotrą do ludzi, nie są warte tych lat, zmarnowanych w kryminale... Giedroyc na to: „Myli się pan, myli się pan”.

Największe wrażenie robi jednak wspomnienie Marka Nowakowskiego. Nie ma chyba w tej biografii momentu smutniejszego, bo rzecz dotyczy jednego z najbliższych przyjaciół redaktora, Józefa Czapskiego, który tracił wzrok i dla „sprawy” „Kultury” stał się nieprzydatny: *Pamiętam jego pełną zniecierpliwienia uwagę... Jacek Krawczyk, pracownik Instytutu, chodził na górę do Czapskiego i mu czytał. Giedroyc mówi: „Zosiu, Krawczyk siedzi tam długo, a potem jest zmęczony i mało produktywny”. Poczuję ukłucie, a jednocześnie podziw dla jego koncentracji na jednej tylko sprawie. Te słowa były trochę... nieludzkie. Ale jeśli chodzi o cel Giedroycia – logiczne i uzasadnione. Sam Czapski wyznał kiedyś Zdzisławowi Najderowi: Ale ty nie miej złudzeń, jak nie będziesz dyspozycyjny, to cię wyrzucą w ciemności zewnętrzne. Współtwórca „Kultury” i najwierniejszy z Giedroyciowych rycerzy zakazał na swoim grobie umieszczenia rozpoznawalnego znaku kolumny jońskiej – od półwiecza symbolu „Kultury”. To jakoś też obciąża redaktora.*

W ostatnim udzielonym wywiadzie Giedroyc przyzna: *Ja w pewnym sensie – jakby to ująć – przypominam pająka. Mam tę swoją pajęczynę i z tych, których w nią łapię, wypijam krew. To znaczy, że ja po prostu tych ludzi wykorzystuję, kształtuję, ale też uczę się, a oni mają wpływ na formowanie moich poglądów i ocen. Ostatnie słowo – wtedy widzi się najostrzej?*

A przecież dla każdej prawie myśli, dla każdego osądu, zawsze i w każdym życiu znajdujemy kontrmyśl, jakąś drugą stronę, która zniekształca pierwszą. Człowiek prawie nieopuszczający Lafitu wydreptał stypendia – Vincenzowi, Stempowskiemu, Gombrowiczowi, wysyłał paczki redaktorom przejętego przez PAX „Tygodnika Powszechnego”, a także, w różnych okresach, Ingar-denowi, Dąbrowskiej, Kleinerowi, Jadwidze Witkiewiczowej... Jest zdolny do zachwycających gestów – gdy Mieroszewski zaczął ślepnąć, Giedroyc będzie mu podawał numery stron w książkach, wartych uwagi, żeby Mieroszewski nie trudił wzroku. No, ale też w końcu pierwszym i najbardziej dyspozycyjnym piórem w „Kulturze” był właśnie Londyńczyk... Przed Zofią Hertz uchylił kiedyś rąbek maski: *Swoją drogą ja mam jakieś niewyżyte kompleksy ojcowskie. Ciągle się muszę martwić o kogoś. Zupełnie jak kura nad piskletami. Nie podoba mi się ten drobnoburżuazyjny rys. Kim właściwie był ten Sfinks o jakby wiecznie sennych oczach – tyranem czy nadwrażliwcem, pragmatycznym statystą czy nieśmiałym sentymentalistą, księciem niezłomnym czy makiawelicznym piękno duchem?*

Czy pozostawał głuchy na sacrum? Czy wolteriański rozum wypełniał go całego? Z całą pewnością był rzeczywiście i dogłębnie antyklerykalny, co zresztą czyniło go wobec polskich spraw nierzadko bezradnym. Prawicowa „Myśl Polska” w roku 2007 celebrowała ocenę „Kultury”, dokonaną 30 lat wcześniej przez kardynała Wyszyńskiego: „*Kultura*” paryska może rzeczywiście wywołać obrzydzenie do wszystkiego, co jest nad Wisłą. Ten sposób pisania jest zatruwający. Chodziło zapewne o to, co Giedroyc określił kiedyś jako „potrząsanie starych kości naszego Kościoła” i co robiła „Kultura” począwszy od roku 1965 w rubryce zatytułowanej *O religii bez namaszczenia*. Po soborowym „otwarciu się na świat” redaktor obiecywał sobie nową energię w Kościele, która dałaby się wykorzystać do większej emancypacji polskiego społeczeństwa; zawsze utrzymywał, że im mniej kościelnego obskurantyzmu, tym więcej miejsca na poważne dyskusje o współczesnym świecie i przezwyciężenie marazmu, w jakim tkwiła inteligencja pod rządami komunistów – byłoby gdzie leczyć stare ukąszenie heglowskie. Środowisko „Kultury” jako jedyne śmiało wytykało wówczas polskiemu Kościołowi jałowość intelektualną i brak odwagi – dominikanin Jan Andrzej Kłoczowski napisze, że teksty „Kultury” były wyzwaniem, które, niestety, nie zostało podjęte przez polskich teologów i publicystów religijnych. Jednak przede wszystkim Giedroyc zawsze postrzegał Kościół jako potężną instytucję, w istocie swej polityczną, którą można byłoby wygrać w konfrontacji z reżimem. Ale sterujący polskim Kościołem kardynał Wyszyński stale zawodził oczekiwania Giedroycia: taktyka Kościoła – zachowawcza, potencjał – niewykorzystywany, samoo graniczenie – niezrozumiałe.

Kiedyś Miłosz powie o redaktorze z przekąsem, ale i podziwem: *wewnątrz, i na zewnątrz każdego ugrupowania*. W październiku 1965 roku Giedroyc wskoczył do środka – orędzie *Przebaczamy i prosimy o przebaczenie* do biskupów niemieckich wystosowane przez episkopat przyjął entuzjastycznie, wtedy jako jeden z niewielu Polaków. Wyszyński od razu urósł w jego oczach. Ale w marcu 1968 na Kościele kierowanym przez Wyszyńskiego nie pozostał suchej nitki: *Nie było obrony robotników, nie było obrony Żydów, nie było obrony studentów...* W roku 1980 „Kultura” napisze o polskim Kościele, że postępuje „trochę w duchu Petaina”. Śmierć prymasa w roku kolejnym, nie odmawiając Wyszyńskiemu pewnych zasług, Giedroyc skwituje: *przestańmy wreszcie robić z niego pomnik*. Kościół okazał się instrumentem, na którym nie potrafił grać. Polski papież był dla Giedroycia tylko „gwiazdą międzynarodowych lotnisk”, a zapytany, co pozostanie po ostatniej, jak miało się okazać, wizycie Jana Pawła II w kraju, odpowiedział – „Naprawione drogi”.

Tomasz Wołek ocenił chyba redaktora sprawiedliwie, kiedy mówił: *Giedroyc pamiętał Kościół z czasów bardzo silnych związków z endecją. Zachował obraz pewnego typu mentalnego, jaki przedstawiało wielu księży przed wojną: ciemnego i antysemitckiego. Ciągnął te przedwojenne emocje, które dla mnie były zwiędzale*. Potwierdza to Herling-Grudziński w 1994 roku w rozmowie z Tomaszem Wołkiem, atakującym „Kulturę” za niezrozumienie roli Kościoła w Polsce w okresie przemian: *Myśmy rzeczywiście zza muru inaczej to oceniali... Mieliśmy wykrzywiony obraz Kościoła i nastrojów w społeczeństwie... Myśmy źle zważyli proporcje...*

Kapitałny fragment stylu narracyjnego Magdaleny Grochowskiej znajdziemy na stronie 502 – już po śmierci redaktora, Tomasz Wołek zaczyna mówić o Kościele językiem „Kultury”. *Aż sam sobie się dziwi: on, który współtworzył polską współczesną prawicę i powinien sprzyjać jej rządcom, nie może znieść jej oblicza. On, katolik, pyta, coż ma wspólnego z ponurą sektą Tadeusza Rydzyska? On, członek Kościoła, pisze, że Kościół się pogubił. – Sądziłem, że atmosfera lat 30. w Polsce to odległa historia, a Giertych czy Rydzyk są tylko jej karykaturą – mówi. – Przewidywałem, że znajdą się jacyś fanatycy czy integryści, ale byłem przekonany, że to będzie margines. Tymczasem to wlało się do głównego*

nurtu. Twarz polskiego Kościoła początku XXI wieku Wołek opisuje słowami: pycha i blichtr, arogancja i agresja, jad i złość, antysemityzm i wdawanie się w gry polityczne, anachronizm i apodyktyczne pouczanie, kompleks obłączonej twierdzy i szafowanie straszakiem liberalizmu, zagubienie w obliczu współczesności. Jakby Giedroyc mówił.

Autorka przypomina też głośny list Jana Pawła II do „Tygodnika Powszechnego” z 15 maja 1995 roku, wyjątkowo szorstki, zważywszy na dawną zażyłość kardynała Wojtyły z zespołem pisma. Teraz wytyka mu, że w trudnym momencie przemian ustrojowych w Polsce Kościół, niestety, nie znajdował w „Tygodniku” wsparcia i obrony, jakiego miał poniekąd prawo oczekiwać – „nie czuł się dość miłowany”. Lektura tego listu była chyba najsmutniejszym dniem w długim życiu redaktora Turowicza. Chyba właśnie wtedy umieszcza Giedroyc fotografię Jerzego Turowicza w swoim gabinecie. A nigdy dotąd portret Mieroszewskiego, z którym Giedroyc był zawsze najbliżej, nie musiał dzielić z nikim prywatnej przestrzeni kubikulum redaktora (nie licząc kolejnych cocker-spanieli). Te dwa sąsiadujące portrety, pozostawione przez niego w gabinecie, z którego się wyprowadził, to jakby dwie twarze Giedroycia – portret Londyńczyka to Giedroyc znany i opisany, portret Turowicza to tajemnica, głęboko schowana pod skórą, którą nosił na twarzy.

Źłumaczka na stałe zatrudniona w Łaficie opowie Grochowskiej z goryczą: *Przez dwanaście lat pracy w „Kulturze” zamieniłam z Giedroyciem... może dziesięć zdawkowych i jałowych zdań. Nie wywarł na mnie żadnego wpływu, niczym nie zainteresował, niczego nie nauczył ani niczym nie wzbogacił. Dopiero lektura jego listów mnie zaciekawiła... Człowiek jednak, żywy człowiek, daru porywania i formowania ludzi nie miał.* Stajemy wobec tej zagadki całkiem bezradni – któż bowiem, samym tylko doborem pisarzy, których dzieła opublikował, a wcześniej u nich zamówił, uformował nas bardziej? Czy dałoby się znaleźć drugiego człowieka, który – w gruncie rzeczy w pojedynkę – wywarł wpływ na wszystkich? Niczym natrętny giez krążył wokół polskich spraw, podsuwając pytania znacznie bardziej niewygodne niż londyńskie „Wiadomości”, używające języka, z którym w kraju nie dało się dyskutować. Podobny do Sokratesa przez pół wieku uprzykrzał się rodakom, zmuszając do samopoznania, i choć akceptował Polaków takimi, jakimi byli, to zawsze chciał widzieć ich nieco lepszymi. Trochę nas zawstydzał.

Bardziej litewski Sokrates czy bardziej polski Robespierre? To właściwie bez znaczenia – smak cykuty i gilotyna są tylko „narzędziami”, którymi kiedyś zamykało się usta. Dziś wystarczy umrzeć, aby zostać uroczyście przeniesionym do antykwariatu. Nikt nie słucha nieobecnych, dezaktualizują się pod naporem chwilowych aksjomatów, które już jutro nieładnie zapachną nafaliną. Henryk Giedroyc, brat redaktora, powiedział po jego śmierci: *Pewną korespondencję zastrzegł na dwadzieścia pięć lat, ale ja uważam, że to za długo. Po tym czasie nikt nie będzie wiedział, kto to był Giedroyc. Czyżby?*

Łukasz Marcińczak

Ksenia

Bachora zrobił mi Czesiek albo Szeryf. Albo Bulion. Cholera zresztą wie, który. Zrobili mi i koniec. Gdzieś w krzakach czy na półpiętrze klatki schodowej. W pośpiechu pijackiego dupczenia, bez durnych słów o kochaniu, o przyszłości.

To nieważne. Był z tego brzuch i potem dzieciak; tylko to się liczyło.

A liczyło się ciągle na wspak. Do minusa. Nie było mnożenia. Samo dzielenie i pieprzone odejmowanie, do usrania. Ja tam zresztą w tym rachowaniu mocna nie byłam i dopiero z czasem pojęłam, że bez kombinowania to daleko nie ujadę, że zawsze będę tyłka dawać.

Na robotę więc poszłam do kuchni, do mlecznego w Trzeciej Alei. Nie to, że gary lubiłam. Podezreć można było i do chałupy, dla dzieciaka, przynieść. Nie poznała jednak Mała, jak pachną żeberka czy bigos na kozłakach, bo tam, w garkuchni grochowa i leniwe za luksus robiły. Ale krzywdy nie było.

W tym barze to ja się wymowna bardziej zrobiłam. Nieraz bywało, że jacyś młodzi przyszli i dla hecy solą po oczach sypali czy pluli do talerzy. To wtedy kasjerka wołała: Ksenia, chono tu! A ja tak jak stałam, od tych garów, skrobaczek i zmywaków leciałam na salę i pierwszemu z brzegu w kły waliłam. Z piąchy, bez trzymanki. Nie powtarzałam, nie trzeba było. Kasjerka to nawet mówiła, że dobitna jestem.

Raz to się afera zrobiła, bo walnęłam niewinowatego. Ale jakoś uszło, bo był lekko wcięty. A z chłopakami z MO umowa stała, że jak gość napity, to i awanturujący. I takiego prac można było.

Żreć było co, ale za paniąki to ja i kaprony chciałam se kupić i kieckę jakąś. A kielicha też lubiłam do poduchy walnąć. Tylko za co? Młoda byłam, to i głupia. Nie to, że pochłać lubiłam, ale że myślałam, że można tylko za swoje.

Myłam kiedyś schody na klatce – sami widzicie jaka głupia byłam – a tu idzie ten ubek Roi. Idzie kutwa dziwnym swoim krokiem, jakby się bał, że mu wypadnie te 50 groszy półdupkami ściśnięte. Gęba blada, jak to u niego, przesłonięta ciemnymi zorkami (też takie miałam na niedzielne spacerki po słońcu). No to mu mówię: schody, te se chociaż popijają. I chlast mokrą szmatą o stopień. A ten dupek tylko coś syknął i polazł dalej do siebie, na czwarte. Ale następnego dnia przyniósł mi bełta, na wycieraczkę postawił. Tak nosił – bez słowa – raz, dwa razy w miesiącu przez następne 15 lat. Skąd brał i za co dawał – nie wiem. Pewnikiem do kobit słabość miał, ubol jeden. Albo myślał, że ja – niedoczekanie – kapować będę.

Ja tam się do cudzego nie łądowałam w kaloszach, a do swojego nie pozwalałam. Jak trzeba było, to i gipsem złamanej ręki potrafiłam kawę z nosa puścić natrętom. Moje to moje i wara innym od niego.

To moje to byłam ja, no i Mała. Moje było też to, co skubnęłam i co gębą – jazgotem czy biadolaniem – wywalcowałam od innych. Ale do roboty to byłam tylko ja.

Ja dodawałam. Mała odejmowała – najpierw sranie w pieluchy, rykiem po nocach, później świętoszkowatym, głupim gadaniem. Skąd się u tego dzieciaka brało takie durne kombinowanie? O miłości bliźniego, o dzieleniu się ostatnim gryzem chleba, o miłosierdziu, o równości. W kogo się ta cholera wrodziła? W Cześka, Szeryfa, w Buliona?

Człowiek kombinował jak koń pod górę, a po przyjeździe do domu od razu był chrzczony deszczem wody święconej.

I w końcu mnie tknęło. Mała podłapała, wstyd powiedzieć, krętka komunizmu. Tego syfa wymyślonego niby dla ludu, przez tych, co to niby też z ludu. Nie mogło inaczej być. Mówiła mi kiedyś z wypiekami na twarzy, jak to razem z Marcepaną przez pięć godzin oglądała w telewizorze jak przemawia Filet Kastro. Ależ chłop miał gadane! I to od niego – ani chybi – tego bladziocha załapała.

Trzeba było działać, by tę arytmetykę odkręcić. Niby za jakie grzechy to ja miałam paść moim chlebem i moim smalcem wszystkie dzieciaki z podwórka? Niby to dla nich łapska sobie urabiałam?

Był u nas taki Kuba, mieszkał w tym starym domu za ogrodem. Chłopak mikry, przyszczaty. Mówili o nim, że żadnej dziewczynie nie przepuści. Pomyślałam, że ten mi się nada, że nada się mojej Małej. Bo złe z głowy najlepiej się wybija waleniem w tyłek. A Małej już prawie piętnasty rok szedł i czym prędzej tego Fileta trzeba było wybić. Łapami Kubu i jego fujarą.

Pryszcz dał sobie radę, Mała niespecjalnie. Ryczała całymi dniami. Chowala się do szafy, nawet żyletką chciała się pociąć. Głupia!

Ale skoro się chowała, to widać mus taki miała. Ciszej w chałupie było. A ja mogłam Santorki posłuchać na kolibrze, na tym, co go Kuba w podzięce przyniósł. Przynosili potem i inni. Ten worek ziemniaków, tamten botki filcowe doprowadzone ze sklepu. Trochę trefne, ale galante. Niech to szlag trafi – cholernie trefne, bo czerwone.

Do Małej przylazł nawet ten ochlaptus Bulion. Mała przecież nie jego (Szeryfa? Raczej Cześka. Cholera wie zresztą którego!). Ten jednak nic nie przyniósł. Przeciwnie. Wyniósł mój tranzystor. I znów nie miałam jak tej Santorki słuchać. Bulionowi zresztą przejechałam się pazurami po ryju, a z łokcia wytrząsałam mu dwa ostatnie spróchniałki. Przez miesiąc nie mogłam do gęby wlać. Tak go piekło. Ale radio wcięło na amen.

Mała porykiwała, bladła i milczała. I tym milczeniem doprowadzała mnie do delirki, bo i jak się kłócić z niemotą? W końcu miesiąc po tym, jak jej szesnasty rok minął, w świat poszła. Na swoje.

Przez następne 17 lat to ja już tylko mnożyłam, a ludzie jeszcze dodawali. Gotowania miałam dość, rzuciłam więc tę robotę. Do baru przychodziłam tylko po to, by podjąć to, co dziewczyny z kuchni zostawiły. Później, gdy i one odeszły, zjadałam to, co na talerzach zostawiali konsumenci. Za darmo.

W niedzielę oblatywałam piętra naszej klatki schodowej, trochę pojęczałam, pobiadoliłam i zawsze ktoś zupy ulał i ziemniaków dołożył. A to Pola, która za ścianą męża objała, a to Malina Kaczkowska (oj, prawdziwie święta osoba!), a to Marcepana. Grosza nie wydawałam i dobra w domu przybywało. Trochę znaleźnego, trochę wypłakanego.

Tak było przez 17 lat, ale się usrało, bo naszło mnie kochanie.

Michasia spotkałam. Tego Michasia, co to go ludzie za pierdolniętego mieli. Może i on nie najmądrzejszy był, z dziećmi lubił się bawić w piaskownicy i na huśtawkach. Na gitarze grać. Ale świata to on poza mną nie widział, tak mu się porobiło. Oj, dobry był ten Michaś. Robotny, niekłopotny. I jadł tyle, co wróbel

deszczową porą. A wieczorem i w nocy tak potrafił mnie poobrać, że mimo pięćdziesięciu siedmiu wiosen na karku świat lepszym widziałam i falbanek przy kieckach mi się zachciewało. Niby głupi, a swoje robił. I to jak!

Robił, robił, ale że i głupi był – to pewne.

Podjadłam se raz zupy, coś jakby skiśnięta z lekka była. No i wzdęło mnie jak indorzyć. Poleżę w betach to mi przejdzie – myślę. Ale nie przechodziło. Żurać mi się okrutnie chciało. No to wołam tego ciamajdę Michasia i mówię mu niby przymilnie o tym brzuchu, o tym, że nazbyt pofolgotałam i że za zaraz, już niedługo, za chwilę... Nie dokończyłam.

Przejęty Michaś pognał do Marcepany, do telefonu. I już po chwili meldował w słuchawkę dyżurnej z pogotowia:

– Żona rodzi! Tak, natychmiast! Która ciąża? No pierwsza, chyba. Ile lat? Pięćdziesiąt siedem, tak skończone pięćdziesiąt siedem.

Przyjechali na syrenie i na światłach, a jakże. Przyjechali z noszami, z tlenem w butli nawet. Po schodach, na trzecie biegli galopem. Ale z powrotem to już powoli schodzili, a ryk ich śmiechu po dziś dzień mam w uszach. Na dodatek po drodze gapiom opowiadali o wszystkim. Miesiąc później Krzyś, syn Poli tak wstrzymywał śmiech na mój widok, że gdy już popuścił, powietrze z brzucha wystrzeliło mu nosem wraz z zielonym, półmetrowym gilem. Wargę nim sobie przytrzasnął i pasek od spodni zafajdał. Taki był wypasiony ten gil.

Jak już Michasia pogoniłam, to potem już tylko Łezka była. Pocziwie kundli-sko, co to mojego dobra pilnowało. A pilnować trzeba było cięgiem. Wiadomo, ludziska zachłanne są na cudze. Nosiłam więc ze sobą to co najlepsze, najwartościowsze. W reklamówkach, w parcianych siatkach, w skajowych torbach. Mocna w rękach przecież byłam. Śmiali się ze mnie, że z chałupy śmierdzi, że robale wyłażą. Wystarczyło jednak warknąć, a cichli. A to, że w domu gęsto, tylko mnie cieszyło. Moje to było. Od podłogi po sufit utkane. Wyrwane, wyproszone, zdobyte. Miejsca mi trzeba było tyle tylko, bym mogła się w telewizor pogapić. W to wymarzone, uciulane pudło z innym światem za szybą. To przy nim se mogłam popłakać, pomarzyć nawet.

I jeśli mi czegoś brakuje w tym szpitalu, to właśnie mojego pudła. Jego dźwięku, koloru, obietnic. Trzymają mnie tu na ryżu i wodziance z marchwi. I wyje mi w kiszki. Ale nic to, wieczorem se podjem smażonki grzybowej, co mi ją Pola przyniosła w blaszance. Czeka na mnie w szafce, ukryta przed gałami oddziałowej. Ta by mordę darła. Niedoczekanie! Podjem se, moje to przecież.

*

Z łaski Twej Panie i z przyzwolenia Twego jestem tu, choć mnie nie ma. I widzę – bez oczu – rozpacz mojej Małej; jej plecy skulone, dłonie bezradne. I drzę, choć niebytem jestem, gdy czytam:

Śp.

Ksenia Sobieraj
1938 – 2005

odeszła w straszliwych cierpieniach ciała
moja najukochańsza Mateńka, o której pamięć
żyć zawsze będzie we mnie.
Bogu Najwyższemu duszę Jej polecam!
Nie szczędź Jej Panie swej miłości!

Córka z rodziną

I słyszę ten płacz, choć bez uszu. I kocham, kocham, choć serca też już nie mam.

Poczęstunki

Jakuba widywałem codziennie. Szurając nogami, włókł się zwykle brzeżem chodnika. Czasem przystawał, unosił głowę i gwizdał. Mrużył przy tym oczy, a gdy łypał na słońce – śmiał się głupkowato. Przechodnie mijali go szerokim łukiem, bo też śmierdział okrutnie. Ta cikliwa woń zgnilizny i moczu ciągnęła się za nim niczym woal. Ludzie z naszej – nie najelegantszej przecież – dzielnicy mówili o nim Zacap albo Świr.

Na mnie Jakub sprawiał wrażenie lenia. Nigdy mu się nie spieszyło. Lubił działać w majestacie dnia. W wyścigu do śmietników wyraźnie przegrywał z porannymi szperaczami, chciwymi każdej zdobyczy. Wyglądało na to, że zadawała się byle czym. Jego dobytek mieścił się doskonale w damskiej torbie z imitacji skóry krokodyla, noszonej na długim sznurkowym uchu, pozlepianym plastrami. Jakub nie zbierał makulatury, szmat, puszek i Bóg wie czego tam jeszcze. Zdawał się nie zauważać rzeczy ciężkich, nieporęcznych czy dużych. W przeciwieństwie do innych śmieciarzy nie miał wózka. Nosił tylko tę torbę. I czasem jeszcze zakrzywiony drut.

Nie mogę powiedzieć, bym w jakiś szczególny sposób przypatrywał się temu człowiekowi. Mój wzrok rejestrował go ledwie. Znacznie lepiej rozpoznawał Jakuba zmysł powonienia. Bo też śmierdział zaiste genialnie.

W końcu przestałem go jednak widywać. Zniknął. Jak się później okazało – tylko dla mnie, zaambarasowanego własnymi realnymi czy wydumanymi problemami. W bezbarwnych, zatęchłych uliczkach mojej dzielnicy, Jakub z czasem wtopił się w tło. Przestał dziwić, a dla mnie – wyuzdanego estety (tak wówczas lubiłem o sobie mówić) stał się niewidzialny. W selektywnym postrzeganiu nie czyniłem dla Jakuba – rzecz jasna – wyjątku. Był ledwie uświadomianym skrawkiem kiczowatego pejzażu, który zapamiętałem prze-malowywałem. Nie było tu miejsca dla bezzębnych i posiniaczonych żon moich krewkich sąsiadów, dla niedzielnej, naftalinowej elegancji. W tym czasie pożądałem otoczenia jeśli nie piękniejszego, to na pewno bardziej przezroczystego. Nie chciałem dostrzegać szpetoty dziurawych, brudnych gaci i wykoślawionych trepów ze świńskiej skóry. Więc ich nie widziałem. Wyświecony ortalion kurtek wciąż był taki sam. Lepki, miejscami wystrzępiony. Banalny.

Począłem dawać sobie radę nawet z gargantuicznym smrodem. Wyziewy okolicznych bram, regularnie obszczywanych przez amatorów matuchny-mandaryny, stały się dla mnie doskonale obojętne. Równie niewyczuwalny był też eteryczny tunel dziennego szlaku wędrowki Jakuba. Szukałem aury sterylnej, krystalicznej, no i ją znajdowałem.

Czy było mi wówczas lepiej? Lżej? Piękniej?

Pragnąłem wyciszenia, nawet kosztem ośpienia. Dni wojny polsko-polskiej pomykały jeden za drugim. Przeżywanie ich rytmem fizjologii, zatopionym w urojeniu było jedynym wyjściem. Właściwie rad byłem z tej iluzji.

Kochałem lub – ściślej mówiąc – chciałem kochać. Choć chyba nie. Tak naprawdę rozpaczliwie pragnąłem kochać. Uwielbiać. Doprowadzać do szaleństwa ekstazy. Obdarowywać, lecz i zachłannie brać, drzeć pazurami. Wzrastało we mnie panpoczucie błęgiego altruizmu, połączonego z chłonięciem wdzięczności. Czulem przecież emanujące ze mnie dobro kierowane ku wszystkim. Zmieniałem kolory świata. A może likwidowałem jedynie cienie zła? Niegodziwości brzydoty. Krzyku niesprawiedliwości. Szkarady nagości

i obłudy. Radosne pastele zamiast posępnych brązów i szarości. W tym wirze byłem szafarzem, dobrodziejem, Bogiem. Nie, nie! Częstką Boga.

Lecz nagle znów dostrzegłem Jakuba. Stał nachylony nad rozwartą gębą pojemnika na śmieci i jadł. Właściwie pożerał coś bliżej nieokreślonego, oślizgłego, oblepiającego palce i ciągnącego się niczym ser pizzy. Raz za razem sięgał w głąb wytłuszczonego kłębowiska papierów, obierzyn ziemniaków i mazi gnijących resztek. I znów napychał się, przeżuwał bez pośpiechu, ciamkając. W scenie tej – ku własnemu zaskoczeniu – zobaczyłem tylko głód i człowieka. Nie widziałem ohydy miejsca i koszmarnego pożywienia. Nie czułem odoru. Nic.

Tylko głód i człowiek.

Odszedłem. Ale obraz ciągle trwał w moim mózgu, drapał zwoje. Jedzący, posiwiwały Jakub o loczastej czuprynie, z czarną piracką klapką na oku. Jego kraciasta marynarka przypominała czasy najdawniejszych pierwszych sekretarzy, a kamasze chyba już w ogóle pamięć czegokolwiek utraciły. A to co jadł. Jak to nazwać, do cholery? Smarki, rzygowiny, gluty?

Otrząsnąłem się z obrzydzenia. Po czym zasłałem śnieżnobiałym obrusem łąkę mojej wyobraźni. Ot, takie: stoliczku nakryj się.

W łubianym koszu wartę trzyma wysmukła flaszka mozelskiego wina, wsparta na omszałym brzuścu salami. Smakowity kapłon szkli się tłuszczem złotym, tuląc nóżki w rosie sałat i jarmużów. W chrupiącej skórce zajęczego pasztetu przycupnęły trufle. Kiście winogron rozświetlają figlarne słoneczne iskierki refleksów, odbite od obłych ścianek kieliszków z cienkiego szkła. Siadamy z Jakubem do tej uczty, a właściwie – wzorem dawnych Rzymian – zalegamy bokiem, wsparci na łokciach. W miękkim mchu, w paprociach. Jakże mu dobrze w połyskliwym surducie, w sztuczkowych spodniach. Gładką twarz okalają pienne, szpakowate faworyty. Tylko czarna klapka na oczodole mego gościa przypomina o dawnych, heroicznych czasach (Jakub stracił oko w zawierusze wojennej lub może w pojedynku, któż to wie). Gawędzimy. Podziwiam jego wystudiowane ruchy, gestykulację. Precyzję napięcia mięśni dłoni i gładkość skóry... Za paznokciami gruby brud. Palce najeżone kurzajkami i ropiejącymi purchlami.

Zgroza.

Idę znów ulicą. Klnę.

Jakoś wczesną wiosną (znacznie bardziej „waszą” niż „naszą”) natknąłem się znów na Jakuba, gdy usiłował wyjść z sutereny. Nie bardzo mu się to udawało, bo stopnie były wysokie, z resztkami śniegu. Przykuse spodnie z krokiem niewiele wyżej kolan zawieszonym też mu w tym nie pomagały. Właśnie wtedy uniósł głowę, tonącą w marleyowskim berecie szydełkowej roboty (nie moherowym!) i kiwnął do mnie w geście pozdrowienia.

Uciekłem. Zimno było.

Czułem się jednak dziwnie obdarowany i wyróżniony. Niby to nic właściwie. Zwykle kiwnięcie na dzień dobry. Takie, jakich setki wykonujemy, często bezwiednie. Ale jakoś mi serce ciepłem załkało. W sercu, nie w mózgu, poczułem wagę tego pozdrowienia.

Szalona myśl mnie porwała i już po chwili pogrążyłem się w orgii wielkiego żarcia, nieokiełznanego żadnymi hamulcami. Obrzucaliśmy się z Jakubem kraszonymi pierogami, śmiejąc się i śpiewając. Robiliśmy zakłady, kto dłużej wytrzyma z głową zanurzoną w wazie z zupą szparagową (Jakubowi pozostały potem kulki groszku ptysioowego w poskręcanych włosach szpakowatej czupryny). Zawieszaliśmy sobie na uszach pary kabanosów i trzęśliśmy do

upadłego galarety. Byliśmy syci wspaniałą zabawą, jedzeniem, własnym towarzystwem.

Zapraszałem coraz częściej Jakuba na uczyty, przekąski lub małe co nieco. Przemierzaliśmy epoki i kontynenty. Tworzyliśmy coraz to oryginalniejsze spektakle kulinarne. Było nam dobrze, beztroško, dostatnio.

Tymczasem wiosna jak to wiosna, przytykała słońcem fale topniejącego śniegu. Czasem jeszcze ziąb dokuczał. Nie lubię tych dni, pełnych wyczekiwania. Kiedy nie muszę, nie wychodzę z domu.

Jednak właśnie musiałem. Przeskakiwałem kałuże ze zmarzliną, a woda podstępnie wdzierała mi się do butów. Kluczyłem. Już, już dopadałem bramy swego domu, gdy usłyszałem skomlenie psa. Ten mały, kundlowaty nieborak przycupnął przy okienku piwnicy. Jego ślepka oczarowane były widokiem najprawdziwszej, najsmakowszej, choć z lekka pozieleniałej kiełbasy. Przykucnięty Jakub zapraszał psie pacholę czułymi słowami. Cmokał ustami, posapywał.

Patrzyłem, patrzyłem, patrzyłem.

Jakuba spotykam teraz prawie codziennie. Kłaniam mu się z daleka, a on mruga do mnie zdrowym okiem. Jeść właściwie już nie lubię. Czasem piję.

Cezary Nowakowski

Książki nadesłane

Wydawnictwo ZNAK, Kraków

Ryszard Przybylski: *Cień jaskółki. Esej o myślach Chopina*. 2009, ss. 354.

Tomasz Różycki: *Księga obrotów. Poezje*. 2010, ss. 94.

Czesław Miłosz: *Historia literatury polskiej*. Pierwsze pełne wydanie. Przełożyła Maria Tarnowska. 2010, ss. 644.

MARIUSZ KARGUL

Archeologia Krasnegostawu

spotkałem dzisiaj znajomą poetkę Janinę Przykość
chodziła po rynku powtarzając cały czas:
nie mogę znaleźć słów, nie mogę znaleźć słów!
to stara i dobrze znana przypadłość liryków
trudno im pogodzić się z oporem materii
wobec werbalnych zalotów artykulacji

dla obopólnego dobra odpuszczają brak zamku
sypało się z niego dziadostwo i tyle
skoro podobno Szwedzi mają jego dokładne plany
niech go sobie odbudują gdzieś pod Uppsalą
i co roku urządzają demonstracje historycznej siły
wolno im ułożyć nowy przebój dla Abby:
Uppsalala, uppsalala, miałam ci ja zamek, tralalala
mogą nawet więzić Maksymiliana
licencja wygasła ze śmiercią Jana

Janina Przykość jest fanką Andrzeja Stasiuka
leje lament nad utraconym – nie trzyma i leje
z tego powodu miała już przyjemność z prawem
to, co wyleje, chciałoby przesiąkać do lochów
ale nie może, bo kostka za 12 milionów, nie puszcza
tam przecież bije podziemne serce miasta
w kataraktach katakumb krążą tabuny duchów
zlizujących z granitowych koryt ikrę karpi
kawior dla ubogich, rzut na taśmociąg do raju
zaczopowany u wylotu pomnikiem żołnierza-partyzanta
i szopką, jak Pan Bóg przykazał, z żywym stworzeniem

poetka na starość chce być jak Marylin Monroe
przychodzi codziennie na rynek w barchanowej spódnicy
staje okrakiem nad karpiami w fontannie
mając nadzieję, że nagły podmuch uniesienie ją do góry
a wtedy spódnica zakryje na chwilę znudzone oblicze miasta
miasta, które udaje, że niczego nie było, nie ma i nie będzie
dopóki osioł z szopki nie dołączy do ciosanego wojaka
rycząc dyszkantem: oj, chmielu, chmielu, ty zbożeckie ziele!

Końca świata w Krasnymstawie próba pierwsza

Na podmiejskiej stacji paliw
monsieur Gwidon przeczytał
następującej treści komunikat:
„Kierowco, zachowaj bezpieczną
odległość 5 metrów sześciennych
od tankowanego pojazdu”.
W tej samej chwili
zarówno on, jak i jego samochód
rozpierzchli się w pyłowej
chmurze atomów
wypełniając dokładnie żądaną przestrzeń.
I wtedy noc,
która wcale nie była nocą
tylko dniem z przepaską na oczach
osiadła śniegowym puchem
na teleskopie miejscowego astronoma

Zima na pchlim targu

Mikołaj bez brody
z przestawionym nosem
dziewczyna z zapaląmi
Gepetto na Facebooku:
„Pinokio, gdzie jesteś?”
ułan na białym koniu
od Andersena
dziadek z działką orzechów
łąbędzie skute wilgocią jeziora
na dnie baletu
bipolarny konik
z żołnierzykiem Pb 95
wszyscy zatopieni
w spojrzeniu Królowej Śniegu
czekającej na przejazd piaskarki

nie-u-kontenendo

Beatlesi nie znali notacji muzycznej
a są największym zespołem w historii
Homera nigdy tak naprawdę nie było
a zostawił po sobie dwa bestsellery

Andrzej Stasiuk nie posiadał matury
a złapał panią Nike za nogi
Stanisław Bojarczuk chodził dwie zimy
do szkółki elementarnej
nie dostał roweru na komunię
ale napisał ponad tysiąc sonetów

nie mogę sobie z tym poradzić

siedzę nad pustą połówką
rozbierając początek kosmosu
że niby coś z niczego
że bez początku i końca
czy się kurczymy
czy rozszerzamy?
kiedy człowiek wyląduje na Marsie
i pokaże fucka Matce Ziemi?
zamiast ogórka na zagrychę
mam same jońskie abstrakcje
a pała, w której się to nie mieści
zwisz flakiem nad pełnym kieliszkiem
niczym zegar na znanym obrazie

Dwie zgrzewki czarnej polewki, czyli kosz po amerykańsku

Szanowny Panie Kolumb!
proszę więcej o mnie nie pytać ani nie dzwonić
wystarczy mi nasza dotychczasowa stopa znajomości
pan oczekuje stopy wody pod kilem
oraz dokładnych namiarów na Indie
ale mnie jest tak dobrze bez pana
do Indii można płynąć drogą na wschód
przez oceany piachu i morza wydm
pędząc wielbłądy nizzate na sznur horyzontu
niczym karawele prujące do bram Eldorado
nie chadzam na kawę do Inki
no i czerwona jestem do skóry
dla pana to takie bezkompromisowe:
spa – nospa – ospa – o, spa!e!
a ja ryczę jak wołowina
zassana przez Mleczną Drogę
dźwigam na sobie dwa kontynenty
już taka ze mnie okcydentalna big mama
ale to jeszcze nie powód, by mnie najeżdżać
pan wybacz, nie zapalimy fajki pokoju
best regards, nie pańska America.

Mariusz Kargul

KAROL MALISZEWSKI

Różewicz podsłuchany parokrotnie

Metamorfozy twórczości Różewicza według Kazimierza Wyki

Jerzy Kwiatkowski w książce *Klucze do wyobraźni* wskazuje na Cypriana Kamila Norwida jako na jednego z patronów wczesnej twórczości Stanisława Grochowiaka. Wytrwale tropi ślady kojarzące mu się ze stylem autora *Białych kwiatów*, dostrzegając je w *połączeniu kolokwializmów z tonem ironicznym, w niektórych spośród archaizmów, w elipsach*¹. Wreszcie cytuje fragment wiersza pt. *Czyści*, oświadczając, że może on być przykładem „pastiszowych uzdolnień”² Grochowiaka. Mowa więc o imitacji, o naśladownictwie rozumianym jako wsłuchiwanie się i jednocześnie podszywanie. O związkach Kazimierza Wyki z takim podejściem do tekstu będzie jeszcze mowa, w tym miejscu chciałbym tylko podkreślić znaczenie twórczego pastiszu dla rozwoju poezji, dla intensyfikacji zmian zachodzących w jej obrębie. Z jednej strony przeciętny debiutant naśladuje, stara się iść po śladach, ciągle widzieć wydeptaną ścieżkę formy obowiązującej w danym momencie historycznym, zaś z drugiej strony batalia o własną oryginalność zaczyna się wraz z zejściem z owej ścieżki, z chwilą wypisania się ze szkoły bystrych i spolegliwych imitatorów. Bo zazwyczaj poeta wiodący, zdobywający popularność zaczyna być imitowany przez innych poetów pragnących uczestniczyć w spektaklu podobania się, poklasku i popularności. To zjawisko dość typowe dla stylu wchodzenia do literatury kolejnego pokolenia. Z rozproszonych lirycznych głosów wyłania się kilka ważniejszych, a zdarza się, że także jeden wiodący. Fala pastiszów towarzysząca wybijaniu się tego wyjątkowego głosu jest zjawiskiem normalnym, powtarzającym się cyklicznie w historii literatury.

Gdy w 1994 roku zacząłem pisać o współczesnych tomach poetyckich, odniosłem wrażenie, że poetą, do którego wiedzie najwięcej tropów z mott, cytatów i dedykacji, jest Marcin Świetlicki. Gest przywołania choćby fragmentu jego wiersza bądź aluzyjnego sugerowania, że jest się w kręgu stylistycznym kojarzonym z jego tekstami, zacząłem postrzegać jako rytualny, a rytuał, który się wówczas odbywał, nazwałbym rytuałem ustanawiania pokoleniowego autorytetu. Odczytywałem to jako wyraz poczucia więzi z postawą bohatera i stylem wypowiedzi poetyckiej autora, coś w rodzaju zawołania „jestem z tobą” oraz „ja też tak chcę”. Poeta mocny, charakterystyczny, wyrazisty grupuje wokół siebie reprezentatywną, znamioną dla pokolenia emocję. O takiej emocji i towarzyszącym jej obrazowaniu w związku z Różewiczem nieraz pisał Kazimierz Wyka.

Śledząc te subtelne przesunięcia i poruszenia na mapie wpływów, zauważyłem pod koniec lat dziewięćdziesiątych pojawienie się nowego, coraz bardziej znaczącego nurtu przywołań i nawiązań. Nie znaczy to, że wpływ Świetlickiego ustał zupełnie – moim zdaniem zaczął się na niego nakładać inny

¹ J. Kwiatkowski: *Klucze do wyobraźni*. Warszawa 1964, s. 209.

² Tamże.

model stylistyczny. Bardzo często to nakładanie się w kapryśny i zaskakujący sposób przebiegało w zeszytach debiutantów, którzy wahając się, czy pójść za głosem ironicznej bezpośredniości, czy estetyzującej niebezpośredniości, tworzyli formy hybrydyczne, a więc z jednej strony zanurzone w romantycznej bezpośredniości, zaś z drugiej oddające już część modernistycznemu zakamuflowaniu monologu i podmiotu. Obserwując motta, cytaty, dedykacje i nawiązania, zauważam około roku 1996/1997 coś w rodzaju przesilenia. Najmłodsza poezja polska staje wówczas przed wielkim wyzwaniem, jakim jest sugestywny wpływ twórczości Andrzeja Sosnowskiego. Jakże zmieniają się wiersze niektórych uczestników „brulionowego” przełomu, ulegając temu wpływowi i biorąc udział w zupełnie już innym spektaklu imitowania...

Sądzę jednak, że Jerzy Kwiatkowski nie miał na myśli pastiszu pokoleniowego. Chodziło mu o imitację sięgającą w głąb historii poezji, wskazującą na wybitne wzorce przywoływane po długim czasie, użyteczne w danym momencie rozwoju twórcy, pomagające mu we wzmocnieniu siły własnego głosu. Co to ma wspólnego z Kazimierzem Wyką i jego „widzeniem-czytaniem” twórczości Tadeusza Różewicza? Owo „widzenie” wydaje się odpowiednim określeniem, niedalekim od „wejrzenia”, skąd bardzo blisko do intuicji. Kazimierz Wyka należał – jak się wydaje – do tego rodzaju odbiorców poezji, którzy najpierw widzą i słyszą wiersz, najpierw go czują, a potem rozumieją, interpretują. Inaczej mówiąc: racjonalizacja następuje po czymś, co określilibym mianem „empatyzacji”, a czego wyrazem staje się „wierszo-odczucie”. Niewielu jest takich badaczy literatury, a jeszcze mniej krytyków literackich. Szczególnie wśród tych zawodowo związanych z akademickim stylem krytycznoliterackiej refleksji. Który z poważnych badaczy literatury miałby się pastiszu i parodii jako wyrazu pierwszego kontaktu, intuicyjnego odczucia odrębności poetyki poznawanego właśnie twórcy? Kto ze współczesnych krytyków literackich potrafiłby w ten sposób odpowiedzieć na wezwanie płynące od poetyckiego stylu ważnego dla naszej współczesności?

Potraktujmy te pytania jako retoryczne. W końcu nie każdy posiada talent mogący sprostać takiemu zadaniu. Otóż wydaje mi się, że Kazimierz Wyka taki talent literacki, a jeszcze ściślej – poetycki, posiadał. W wielu, ciągle żywych, tekstach tego badacza widać przede wszystkim człowieka obdarzonego talentem literackim, a dopiero potem uczonego. Najważniejsza jest intuicja artysty, którą w następnej kolejności opatrzyć można przypisami erudyty. Takie wrażenie rodzi się podczas lektury szkiców pomieszczonych w książce *Różewicz parokrotnie*. W jednym z nich autor odnosi się do pastiszu jako do aktywnego i twórczego sposobu odbioru-odczucia, a następnie uświadomienia tego, co jest jedynym w swoim rodzaju znakiem firmowym języka i kroju wiersza danego poety. Kazimierz Wyka, usprawiedliwiając ten rzekomo niepoważny sposób zaglądania za kulisy wiersza, powołuje się na Wiktora Winogradowa, rosyjskiego badacza parodii i pastiszów towarzyszących twórczości Puszkina. Swoje poszukiwania autor *Rzeczy wyobraźni* motywuje następująco: *Wyolbrzymiając bowiem i wyjaskrawiając pewne właściwości stylu danego pisarza, parodia tym samym odpowiada, co wrażliwi współcześni odczuwali jako jego nowość i jakość. Dobry parodysta przede wszystkim dostrzega, gdzie i o ile wyobraźnia twórcy działa automatycznie, bez kontroli – zdradzając swoje wewnętrzne nawyki i prawa, podobnie jak dukt pisma zdradza przed grafologiem charakter piszącego*³.

³ K. Wyka: *Różewicz parokrotnie*. Warszawa 1977, s. 113.

Kazimierz Wyka mógł zapewne sięgnąć po niejedną z wydanych w latach pięćdziesiątych tomów bądź zerknąć do literackiej prasy, by natychmiast odnaleźć dowody na to, jak słabi poeci zapożyczają się u poety silniejszego. Już wtedy rzesza naśladowców Różewicza, kopistów kroju (bo nie zawsze intencji) jego wierszy była niepoliczona. Wyka sięgnął jednak po dowód o wiele bardziej wyrazisty. Zafrapowało go, jak ten krój odbija się w prześmiewczym lusterku Artura Marii Swinarskiego, w jednym z utworów umieszczonych w zbiorze *Parodie*.

Lampa

Lampa okrągła jak o
Lampa świeci
dziewczyna odwróciła się ode mnie
do ściany
dziewczyna odwróciła się Ja
się nie dziwię
ja znam tylko smak chałwy
w sklepie pełno chałwy
bo lampa świeci
dziewczyna ma jedno oko
drugie ucho
na biurku leży wiersz
źle napisany
lampa świeci
jedna kropla potu
rozpuściła bryłę szkła
deszcz mgła Wielbłąd
dziewczyne można nosić na rękach Ale
po co
Lampa świeci
Plemniki zostały w spodniach⁴

Zanim Kazimierz Wyka zasiadł do pisania własnej imitacji Różewiczowskiej formy, najpierw sumiennie wypunktował to, co zauważył u Swinarskiego, a raczej to, w jaki sposób parodysta „podszłuchał” Różewicza. Suchy tok ówczesnego wiersza autora *Ocalonego* ma swoją wersyfikacyjną egzemplifikację, którą skojarzyć można z kubizmem. Obraz poetycki zostaje pocięty, skubizowany, a powstałe paski czy klocki tylko pozornie nie przystają do siebie, pozbawione nadrzędnego sensu, spajającego je niczym klej. Coś jednak owe sześciany łączy – wspólna praca przy budowaniu sensu całości wiersza, który zawiera się w tym momentalnym przebiegu epizodów, scen i obrazków. *Przykłady pozwalają też odpowiedzieć, gdzie są granice klocko-obrazów, klocko-czynności, klocko-wypowiedzeń, klocko-sądów, klocko-ocen. I odpowiedzieć również, jakiego charakteru nabiera podobna wyobraźnia. Jest to charakter wyliczeniowy i obrazowy. Przeskakuje klatka po klatce, jak w wolno toczącym się filmie, wyliczając i selekcjonując elementy rzeczywistości⁵.*

Przeskakiwanie „klatka po klatce” organizuje poetycką wypowiedź samego Wyki, biorącego na warsztat chwyt typowy dla Różewicza. Jego „podszłuchiwanie” poety nie jest jednak niewinne i czyste. Wyka podsłuchuje Różewicza

⁴ A. M. Swinarski: *Parodie*, Warszawa 1956, s. 107.

⁵ K. Wyka: *Różewicz...*, dz. cyt., s. 115.

z tezą. Tym samym przechodzi z pozycji pastiszysty na pozycję parodysty. Jego zestawienia i wycięcia nie wytrzymują ciężaru włożonej węg powagi. W oryginale obowiązuje poczucie tragedii, zaś w prześmiewczej kopii ocieramy się o farsę. Składniki wyobraźni autora *Niepokoju* zestawiono w ten sposób, by kojarzyły się z groteskowym napięciem, absurdalnym zagęszczeniem – Wyka wyczuł w wierszach Różewicza napięcie, zauważył kalejdoskopowe zagęszczenie, podstuchił jękany rytm sparaliżowanego języka. W oryginale służyć to miało ekspresji rozpacz, w kopii stało się źródłem rozbawienia.

Dzięcioł

*Brzuszek miał zielony
i jedno piórko inne całe
Był w główkę stuknięty
postrzałem*

*z pepeszy
z zrzutowej pepeszy
partyzant się cieszy*

*Stuknął z kory o trawę
zamknął kropelki
którymi świat oglądał
całkiem niewielki*

*To ty jesteś dzięcioł
który we mnie rośnie
w ptaka
w ptaka wolności
dużej i smutnej⁶*

W *Duchach poetów podsluchanych* nie wszystkim poetom dostało się w podobny sposób. Literacki talent Wyki objawia się także w pomysłach na udzielenie reprimendy. W niektórych przypadkach jest ona zaledwie sugerowana. Przy Różewiczu położono dość wyraźny akcent. Szczególnie rymy – jakby rodem z socrealistycznych utworów Różewicza, niestroniących od rymowania à la „Płomyczek” – ośmieszają intencje, wpływając na nasze wycucie kpiny. Kpinę dostrzec można w operowaniu przerzutnią, która po Różewiczowsku podkreśla wahanie przed wyborem stosownego słowa i swoistą walkę o oddech, a przy okazji wykorzystuje deleksykalizację frazeologizmu. Informuje się, że ptaszek był w główkę stuknięty (a więc trochę ptaszek-idiota, jak u Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej), po czym zawiesza się głos i zniemacka wypala – postrzałem. Chwila ciszy i jeszcze dopowiedzenie – z pepeszy.

Ciekawe w parodii jest także to, co dzieje się z podpatrzonym i podsluchanym ascetycznym językiem wczesnych wierszy autora *Czerwonej rękawiczki*. Nieznaczące, a zręczne przesunięcie akcentów spowodowało, że odbiera się go jako infantylny. Utwór brzmi jak relacja dziecka gubiącego słowa i całe części zdań. Dziecko nie widzi sensu zdarzeń, nie domyśla się całości, wyrzuca z siebie pełne zgęszczonej emocji strzępy. Można mieć skojarzenia z nadpobudliwością i nieskoordynowaniem. W takim ujęciu nawet tragiczne wydarzenia nabierają cech scen wziętych z kreskówki. Albo z obrazów Tadeusza Makowskiego, na których czające się w tle napięcie

⁶ K. Wyka: *Duchy poetów podsluchane*. Kraków 1962, s. 103.

i tragizm są skutecznie rozładowywane przez słodką, naiwną infantylność („brzuszek, główka, piórko, kropelki”). Ten wiersz jest cały z Makowskiego, oprócz pointy. Wynika ona z ideologicznych oczekiwań i nie ma już niczego wspólnego z naturalnością dziecięcej ekspresji. Traktuję ją jako delikatny przytyk pod adresem socrealistycznego zaangażowania autora *Czasu, który idzie*. Nie było ono może zbyt gorliwe, jednak w mniemaniu Wyki poważnie zniekształciło czystość i wiarygodność głosu poety. W poincie nie ma już zdrobnień, zanikają też echa „dziecięcej” składni. Pojawia się jedyna w tekście metafora dopełniaczowa, pozbawiona innowacyjnej energii, wręcz trywialnie publicystyczna, przez co robi się dorosłe i wzniośle, choć nie oznacza to wcale, że ostatniej strofie udaje się wymknąć ze strefy zagrożonej wybuchem śmiechu. „Ptak wolności”, jak zresztą każda pusto brzmiąca deklaracja, ociera się swoimi plakatowymi skrzydełkami o groteskę.

Tak oto podsłuchiwał Różewicza Kazimierz Wyka jako poeta, zaś jako krytyk w podobny sposób (lecz zdecydowanie mniej ironicznie) podkreślał znaczenie motywu partyzanckiego. A więc najpierw podsłuchał autora *Niepokoju* w wierszu typowym dla jego wczesnej twórczości, a potem to, co podsłuchane, nakładał na dalsze rozpoznania. Motyw partyzancki został zdiagnozowany jako prymarny, obsesyjny, a potem sprawdzany był przez krytyka przy każdym nowym podejściu do twórczości Różewicza. Okazał się jednym z kluczy wspomagających rozumienie owej twórczości. *Świadectwo partyzanckie pojawia się u Różewicza tak w liryce, jak w prozie i w utworze scenicznym. Najpierw pojawiło się ono w liryce, czemu w poważnej mierze Różewicz zawdzięcza swój sukces i miejsce w pokoleniu. W powstaniu warszawskim polegli prawie wyłącznie poeci, lirycy. Różewicz za nich pisze, gdy ustawa wojna i skończyła się rzeź*⁷.

Spośród utworów lirycznych wpisujących się w topos martyrologii ludzi z lasu najważniejszy dla Wyki wydaje się wiersz zatytułowany *Dola*. Odnoszę wrażenie, że był to jeden z utworów budujących wierszo-odczucie, ową bezpośrednią intuicję ducha i struktury monologu lirycznego, nowości i jakości typowej dla autora *Warkoczyka*.

Dola

Pamięci kaprała „Smukłego”

*Leżał nagi partyzant
śpiewały ptaki
i mrówki wędrowały
po woskowych dłoniach
zakazali żandarmi
pod karą grzebać
niech tak gnije
ścierwo bandyty
ziemia ojczysta
uległa poruszona
jasną głowę przygarnęła
i wkleśła
leżał pod lasem cicho
jakby pił z źródelka wodę*

⁷ K. Wyka: *Różewicz...*, dz. cyt., Warszawa 1977, s. 60.

*pochylony nad
swoją dolą
dołem.*⁸

Być może to właśnie jest poszukiwany przeze mnie oryginał. W nim umiera partyzant, a ptaki żyją i śpiewają. W parodii Wyki ptak ginie od przypadkowego wystrzału, a człowiek żyje, cieszy się. Ofiara złożona z dziecięcia wchodzi w tajemny związek z ekspiacją, symboliczną, acz groteskową przemianą w ciągłe rosnącego „ptaka wolności”.

Istotne w wierszo-odczuciu Wyki jest wyczulenie na pojawiające się na monolicie rysy. Jako punkt wyjścia krytyk traktował gest wykreowany w wierszach z dwu tomów: *Niepokoju* i *Czerwonej rękawiczki*. Gest na wejście był tak silny i charakterystyczny, że został przyjęty przez wszystkie zwaśnione obozy równie entuzjastycznie i – bodaj na moment – pogodził skłócone orientacje i autorytety⁹. Rysy, o których mówię, traktuje Wyka jako sygnały komplikowania się pierwotnej postawy, a może nawet pierwotnej jasności. Czystość etyczna pierwszych zapisów, będących wyrazem szukania ładu w świecie zamąconych wartości, ulega skażeniu nijakością współczesności. Głos wołający o prawdę zaczyna ginąć w szumie, w polifonicznym jazgocie wielu głosów domagających się własnej prawdy. Późniejsze wiersze i poematy Różewicza stają się mozaikami – egzemplifikacjami szumu informacyjnego, ekspresją niemożliwości wyrwania się z tego szumu, z cywilizacyjnego bełkotu. Ta metamorfoza znajduje u Wyki zrozumienie jako etap przejścia do kolejnych form ekspresji. Wiersz Różewicza upodobnia się do poematu ekspresjonistycznego i, zdaniem Wyki, rozpoczyna dryf w stronę zapisu prozatorskiego, a potem scenicznego. We wszystkich formach pojawia się świadomość zaszczutego człowieka z lasu, który przeżył i ciągle zdumiony tym faktem opowiada wciąż o tym samym: o zatrważającym cudzie życia. O ucieczce życia od ideału życia.

Czysta wiara w życie jest możliwa do odnalezienia we wczesnych lirykach autora *Kartoteki*, tych podobno najbardziej zarażonych śmiercią. Potem następuje coś, co Kazimierz Wyka nazywa deziluzją i demitologizacją, wybrzydzeniem nad byle jakimi formami, jakie przybiera życie w naszych czasach. „Nie tak miało być” – mówią fragmenty wierszy, sztuk i opowiadań. Fragmenty gorzkie, demaskatorskie, ironiczne. Wyka w niezwykle wnikliwy sposób analizuje przepoczwarzanie się wątku okupacyjno-partyzanckiego w kolejnych odsłonach tej twórczości. Pokazuje dobieranie się autora, niekiedy szyfrowe, do tego wątku wraz ze zmieniającą się świadomością i perspektywą gatunkową. Podobny proces zachodzi w obrębie motywu ozdrowieńczej duchowo podróży do Włoch. I ten topos naznaczony jest u Różewicza zwątpieniem. Kuracja nie powiodła się. Powrót do rajy okazał się iluzją, odwiecznym europejskim marzeniem. Każde spełnione marzenie pozostawia cię goryczy. U Różewicza to coś więcej, prawie rozpacz, bo i większe pokładano nadzieje. Rytuał nawiedzenia śródziemnomorskich źródeł miał towarzyszyć zmartwychwstaniu, pomóc w powrocie do intensywnie przeżywanego życia. Zgon bohatera opowiadania *Śmierć w starych dekoracjach* można potraktować jak kres marzenia, ideału, mitu.

Poszukiwanie formy bardziej pojemnej i prawdziwej skierowuje wysiłki twórcy w stronę dramatu. Wyka prześledził ten proces i pokazał jego

⁸ T. Różewicz: *Utwory zebrane. Poezja I*. Wrocław 2005, s. 15.

⁹ E. Balcerzan: *Zawsze Różewicz*, „Odra” 1999, nr 4.

skomplikowanie, cykliczną wędrówkę form. Dojście do dramatu nie kończy poszukiwań. Okazuje się, że dramat nie potrafi obejść się bez poetyckich i prozatorskich implantów. Tak jakby Różewicz zbadał po kolei wszystkie możliwości genologiczne i rozpoczął powrót do punktu wyjścia – do wiersza. Wyka precyzyjnie naświetla ten proces, koncentrując uwagę na przełomowym momencie. Chodzi o wielki kryzys formy z czasu pisania *Przyrostu naturalnego*. Wydźwięk tego utworu, zaczynającego się jako sztuka, a kończącego się w sposób trudny do zaklasyfikowania, jest dla Wyki jednoznaczny. Po śmierci marzeń, ideałów i mitów do kresu dochodzi także literatura. Po śmierci Boga i człowieka pozostała właściwie tylko jeszcze jedna ważna śmierć. W tym kontekście *Przyrost naturalny* to nie tylko sylwiczny raport o twórczej niemocy indywidualnej, lecz o niemocy literatury w ogóle. Różewicz w 1970 roku przewidział to, co dzieć się będzie z literaturą w przyszłości. Wyka natychmiast ten fakt wychwycił, kończąc esej *Problemy zamiennika gatunkowego w pisarstwie Różewicza* słowami: *Śmierć boga. Śmierć człowieka. A więc może śmierć literatury*¹⁰.

Zastanawiam się, jak rozumieć te słowa. Może nie chodzi o całkowite zniknięcie literatury z pejzażu duchowego człowieka. Może chodzi raczej o odejście od niegdyś zajmowanej pozycji i odgrywanej roli. O marginalizację literatury, o stopniowe opuszczanie przez nią miejsc tradycyjnie kojarzonych z wzorcem, normą, prawem, z ustanawianiem różnie rozumianego porządku. Różewicz i Wyka podjęli w latach siedemdziesiątych wątek, którego wagę zaczęliśmy uświadamiać sobie trzydzieści lat później, między innymi dzięki obserwacjom Anny Nasiłowskiej: *Literatura lat osiemdziesiątych nurzała się w polityczności, dowodząc absurdalności ustroju. To dawało jej niebywały prestiż społeczny. (...) Po transformacji z dnia na dzień straciła aktualność. (...) Społeczny prestiż jedynej instancji krytycznej jest nie do odzyskania*¹¹.

Chaos świata dopadł również literaturę. Coraz rzadziej kojarzy się ona dzisiaj z możliwością podsunęcia wiarygodnego autorytetu. Wszystko wydaje się podminowane szyderstwem, niepewnością gestu, niepokojącą niejasnością, a nawet zakłamaniem. Różewicz, budując swój autorytet, w paradoksalny sposób starał mu się zaprzeczać, dekonstruował własny mit poety-autorytetu, poety-prawodawcy. W pewnym stopniu przyczynił się do obecnego stanu rzeczy, do postrzegania literatury jako prywatnej praktyki fantazjowania i ćwiczenia się w grze słów, jako nieszkodliwego hobby. Warto wrócić do lekturowego świadectwa Wyki, by zobaczyć, jak wyglądały początki procesu wycofywania się literatury do niszy, jej określenia się wobec samozaprzeczenia.

Karol Maliszewski

¹⁰ K. Wyka: *Różewicz...*, dz. cyt., s. 98.

¹¹ A. Nasiłowska: *Literatura może stać się hobby*, „Odra” 2010, nr 3.

Niezależnie od sytuacji wielu chciałoby mieć swoje pięć minut

W jaki sposób dostałem się tam, już nie pamiętam. Staję w ogromnym tłumie. Każdy przylega ciasno do innych i ciężko dyszy. Cały tłum dyszy. Wszyscy stoją zduszeni jak śledzie i pocą się niemilościernie. Nikt pomimo takiego tłoku i nieprzyjemnych zapachów nie skarży się i nie odzywa. Wie, że każdy wydany dźwięk, to utrata sił, których i tak wielu już prawie nie ma. Wielu też traci przytomność, ale nie można ich położyć ani wynieść, bo ścisk nie pozwala. Zawieszeni między innymi stojącymi jak zwiędłe kwiaty, z półprzymkniętymi oczyma i wysuniętymi językami trwają w agonii i nikt im nie może pomóc. Sąsiedzi ograniczają się do dmuchania im w twarz. Ale to niewiele daje. Taki tłok to katastrofa. Nie mam jak się stąd wydostać, nie mam żadnego pomysłu, w ogóle nie myślę, bo myślenie wywołuje jeszcze większe przerażenie i to jest tylko krok do utraty przytomności i śmierci.

Gdyby jednak mieć jedną, jedyną szansę w życiu, żeby zrobić coś takiego, co zmieniłoby ten tłum, tę bezmyślną masę w jedynki myślące. Wtedy może bym miał szansę, aby uczynić coś niezwykłego.

Nagle tłum zafalował gwałtownie i ścisk wzrósł. Nie wiedziałem z jakiego powodu, ale ludzie z przerażonymi twarzami w jakiś nieludzki sposób, przepychając się, nagle utworzyli niedaleko miejsca, w którym stałem, niewielki krąg. Co ich zmusiło do tak wielkiej desperacji? Wewnątrz kręgu stał siny, łapiący powietrze jak ryba, szczupły mężczyzna i do piersi przyciskał granat! Kiedy kilka haustów powietrza przywróciło mu mowę, odezwał się nie bez ironii:

- A jednak można było zrobić trochę wolnego miejsca.
- Proszę uważać z tym granatem. Tu są ludzie!
- Bardzo wielu ludzi!
- To szalenie! – padały przerażone okrzyki.

Ja również patrzyłem przerażony na człowieka z granatem. Skąd u diabła wziął on granat? To z pewnością nie był najlepszy moment na jakiś czyn. Ale zaraz pomyślałem, że lepsze to niż śmierć na skutek uduszenia. Potem pomyślałem jeszcze, że zdobędę się na odwagę. Wszyscy dokoła to niewątpliwie bardzo liczna widownia. Wyszedłem, a właściwie zostałem wypchnięty z tłumu w krąg wolnej przestrzeni otaczającej desperata.

- Nie zbliżaj się! – pisnął dramatycznie. – To mój teren!
- Wiem. Jesteś podobnie jak ja i my wszyscy u kresu wytrzymałości, ale w ten sposób zмирzasz w niedobrym kierunku. Czy nie lepiej...
- Wolę zginąć niż dusić się w tej szarej masie. Za dużo ich tutaj. Kiedy byłem młodszy, staliśmy w odległości rozwartych ramion. Teraz przyszli inni. Ciągłe przychodzą! – dodał płacząco.

– Wiem. Mnie też to się nie podoba. Jeśli mi oddasz granat, to spróbujemy wynegocjować dla ciebie więcej miejsca – mówiłem coraz pewniej, bo nagle zrozumiałem, że mam szansę, że jeśli mi się uda, to ja będę bohaterem. – Proszę cię, nie pozwól, aby innym stała się krzywda. Przecież jesteś człowiekiem wrażliwym. Widziałem, jak płakałeś, kiedy uduślił się twój sąsiad.

– Żal mi go – rzekł, ocierając wolną dłonią oczy. – Zналиśmy się od dziecka.

– A widzisz. Czy chcesz zabić innych ludzi? Oni też mają przyjaciół, ba, mają rodziny, kochające żony, małe dzieci. Czy nie żal ci dzieci? Jak ci na imię?

– One są niewinne! – krzyknął i jego dłoń z granatem oderwała się od piersi i wysunęła nieznacznie w moją stronę. – Na imię mi Frank.

Byłem o włos od sukcesu. Zbliżałem się do niego o kilka centymetrów, ale jeszcze nie zabierałem mu granatu, bo jeden z palców miał włożony w kółko zawleczeni.

– Nie zginiess – zacząłem atak ostateczny. – Ale jakże piękny będzie twój czyn, kiedy oddasz granat. Będziesz bohaterem Frank.

– Niech Bóg mi wybaczy – usłyszałem szlochanie skruszonego właściciela granatu, który położył wreszcie na mojej dłoni.

Odgłosy ulgi popłynęły z wielu ust. Oszołomiony jeszcze Frank zbliżył się do mnie, na ile pozwalały mu znowu cisnące się tłumy.

– Ale jesteś odważny – powiedział, patrząc na mnie z podziwem. – Czemu tak ryzykowałeś? Przecież mogłem zdetonować granat w każdej chwili.

– Bo to moje pięć minut – krzyknąłem zadowolony i szarpnąłem zawleczkę.

Podróż

Kiedy wreszcie Jerzy dotarł na peron, pociąg ruszał. Zaczął biec, ale wielka podróżna walizka bardzo mu w tym przeszkadzała. Poza tym było ślisko. Jak to zwykle bywa w lutym. Kobieta w kolejarzkiej czapce i z czerwonym lizakiem usiłowała mu zastąpić drogę, krzycząc coś niezrozumiale, ale on parł do przodu jak czołg i przewrócił nieszczęsną kobietę. Dobiegł w końcu do drzwi ostatniego wagonu. Przez dobrą chwilę wisiął z walizką na stopniu i ciężko oddychał, aż w końcu otworzył drzwi i znalazł się w środku.

Wagon był obskurny i miał drewniane siedzenia. Zajął jedno z nich, a walizkę wepchnął na górną półkę. Pojawił się przy nim konduktor. Był to chudy i wysoki jak tyka mężczyzna z bladą, przerażająco obojętną twarzą.

– Tak panu się śpieszy na tamten świat? – zapytał i przedziurkował podany bilet.

– To ostatnie połączenie – odpowiedział grzecznie Jerzy. – A ja dzisiaj muszę dojechać. Do szwagra jadę... – w tym momencie zaczął kasłać, bo okno koło niego było otwarte.

Konduktor jednak odwrócił się, nie słuchając jego wyjaśnień.

– Chłodno – dodał. – Czy nie można tego okna zamknąć?

– Nie, ale jeśli zrobi się miejsce w następnym wagonie, będzie mógł się pan przesiąść. Tam wszystkie okna są pozamykane, a pan ma bilet gwarantujący podróż do stacji docelowej.

Chłód był dojmujący. Jerzy spoglądał na krajobraz, który był monotony, nizinny, bez drzew, bo podobno ostatnie drzewo w tej okolicy dwadzieścia

lat temu wycięli harcerze, kiedy budowali obóz. Kolarze nie mieli czym grzać, bo węgiel niedawno się skończył. Wyjął z walizki sweter i włożył go, a na to jeszcze płaszcz i ciepłym szalikiem obwiązał głowę. Zaczął się ciekawie rozglądać. W wagonie siedziały oprócz niego jeszcze trzy osoby. Młody mężczyzna z przerażeniem w oczach wpatrywał się w drzwi i gdy tylko skrzypnęły, podskakiwał nerwowo. Nieco dalej kiwała się sennie stara kobieta. Obok Jerzego siedział szpakowaty mężczyzna. Był błady i apatyczny. Tylko raz poprosił go, czy mógłby mu pokazać bilet. Jerzy zdziwił się, ale wyjął kolorowy kartonik, który z obu stron był zapisany gęstym, czerwonym drukiem. Różne uwagi były ujęte w punktach. Było tych uwag wiele. Sąsiad pokiwał głową.

– Ma pan bardzo dobry bilet – i nagle chwycił go za rękę i płomiennym wzrokiem spojrzął na niego. – Czy nie zamieniłby się pan ze mną na bilety. Ja też mam do stacji docelowej, tej samej co pan.

– Ale dlaczego? – zapytał Jerzy. – Czy pana bilet jest mniej ważny?

W tym samym momencie pociąg zwolnił i nagle obok nich stanął konduktor. Miał dziwną zdolność pojawiania się znienacka.

– Niech pan pokaże swój bilet – rozkazał, a sąsiad niepewnie podał mu bilet.

– Niestety – rzekł konduktor – pana bilet nie wystarczy do stacji docelowej. Rozmawiałem o tym z szefem. Proszę wysiąść.

– Naprawdę nic nie dało się zrobić? – zapytał mężczyzna, a konduktor pokręcił w milczeniu głową.

Wtedy mężczyzna uchwycił się z całej siły ławki. Konduktor starał się oderwać i wysadzić mężczyznę, ale sąsiad Jerzego nawet nie myślał rezygnować.

– Ja mam już tego dość! – krzyczał. – Ja nie chcę wracać! Ja... Ja zasłużyłem, żeby jechać dalej!!!

Konduktor wreszcie wysadził pasażera, niemal go wyrzucił i pociąg ruszył. Skulona staruszka zgrabiętymi dłońmi odmawiała różaniec. Niewiele myśląc, wyjął z kieszeni płaszcz piersiówkę i nalał do kieliszka, a następnie, uśmiechając się przyjaźnie, podał sąsiadce. Staruszka zmartwiała z przerażenia, wyjęła swój bilet zapisany gęsto na niebiesko, potem zaczęła wykonywać nad Jerzym znaki krzyża i kiedy ponownie pojawił się wszędobyłski konduktor, zebrała swoje rzeczy w tłumoczek i bez słowa poszła za nim.

– A ja? – Jerzy zatrzymał konduktora. – Obiecał mi pan.

– Pan wybaczy – rzekł ze zjadliwym uśmieszkiem – ale ta pani była pierwsza.

– Mści się na mnie – powiedział tak, żeby słyszał młodzian, który został z nim w przedziale. – Teraz pewnie weźmie pana.

– Mogę chętnie odstąpić panu swoje miejsce – odparł szybko młody człowiek, a w jego oczach zaświeciły się ogniki nadziei.

– Doprawdy? Jest pan bardzo uprzejmym, dobrze wychowanym człowiekiem – powiedział Jerzy.

– Mam niepewny bilet. Trochę tu napisano na czerwono, trochę na niebiesko. Nie wiem jeszcze, gdzie mnie wysadzą – dodał młody człowiek szeptem.

Pociąg mknął przez zaśnieżoną krainę w tumanach kłębiącej się pary i trudno było połapać się, gdzie już dojechali. Noc minęła w chłodzie i na wyczekiwaniu konduktora. Przyszedł rankiem i kazał zbierać się młodzianowi.

– Ten młody człowiek odstąpił mi swoją kolejkę – powiedział grzecznie Jerzy i ujął walizkę w dłonie.

– A jeśli tak – zachichotał nie wiadomo dlaczego konduktor – to bardzo proszę. Ludzi z biletami czerwonymi traktujemy tutaj w sposób wyjątkowy!

Opuścił zimny wagon i po przejściu przez kilka następnych znalazł się w wagonie z zamkniętymi oknami. Dalej była już tylko lokomotywa. Siedziało tu więcej podróżujących, białych, załamanych, milczących. Zdumiewające było, że ten wagon nie posiadał drzwi. Konduktor zabrał Jerzemu bagaż.

– Już nie będzie panu potrzebny – rzekł i postawił walizkę w kącie wagonu, a następnie popchnął go do przodu. Jerzy coś zaczął podejrzewać, więc krzyknął:

– Protestuję!

W drzwiach ukazała się głowa tęgiego mężczyzny, który ogryzał właśnie kurze udko. Wszedł. Był w mundurze z wielką ilością orderów na piersi, popatrzył na Jerzego uważnie. Ciepłym, niemalże ojcowskim wzrokiem i z rozbawieniem poklepał go po ramieniu i wcisnął mu w zęby niedojedzone udko. Na koniec dodał patetycznie:

– Zuch! Podobasz mi się. Bardzo podobasz. Jesteś wyjątkowo zasłużony. Wiesz, że nie jadę tam dla siebie, a dla ciebie, dla nich, wskazał innych pasażerów. – Zamyślił się. – A robię to już tak długo. Niemal przez całą wieczność! Wszystko dla wielkiej sprawy!

Stanął i zsalutował przed nim.

– Mój bohaterze, rozumiesz to, prawda?

Jerzy pokręcił głową, że nic nie rozumie i dodał:

– Jadę do szwagra.

Drzwi trzasnęły, a konduktor, który cały czas stał za nim, razem z umundurowanym wzięli go mocno pod ramiona i wepchnęli do lokomotywy. Zanim zdążył zrozumieć po co, chwycono go za ręce i nogi, rozhuściano i wrzucono do paleniska. Pociąg przyspieszył.

Nieobecność

Wieś leżała na wzgórzu i łagodnym stokiem docierała aż do rzeki, w której w czystej, krynicznej wodzie połyskiwały grzbiety ryb. W podmuchach wiatru wierzby pochylały się nad powierzchnią wody, a w dziupli najstarszej z nich brzęczały i grały kapele aż do późnych wieczorów. Łąka pachniała świeżo ściętym sianem, macierzanką, rumiankiem i blond włosami pięknej młodej dziewczyny, która leżąc na wznak z lekko wzniesionymi i rozchyłonymi nogami liczyła obłoki. I nie wiadomo było, czy to łąka pachnie dziewczyną, czy młoda i piękna dziewczyna łąką. A usta jej miały smak dojrzałego owocu i można je było całować dowoli. Ciepłe nagrzane ciało lgnęło, tuliło się w objęciach i poddawało głośno i namiętnie oddychając. Krew pulsowała gwałtownie, ale twarz opleciona blond włosami widziała pomiędzy nimi błękit i ptaki kołujące nad brzegiem. W zakolu na samotnym drzewie miały gniazdo.

Zgrzani miłością poderwaliśmy się i otrzepali z traw i kwiatów. Od szosy nadchodziła staruszka z kanką. Kupiliśmy od niej mleko. Chłodne i smaczne spływało dziewczynie po brodzie, po szyi, a ja zupełnie się nie krępując, zlizywałem to mleko nawet z piersi ginących pod niedopiętą sukienką. Potem

dziewczyna zaczęła mi uciekać. Ze śmiechem kryła się najpierw w krzewach, potem dobiegła do lasu. Tu miała więcej możliwości, żeby się ukryć. W tym momencie zaczął padać ulewny deszcz. Rozglądałem się przez chwilę za nią, ale nagle wilgotne dłonie przysłoniły mi oczy i pociągnęły pod rozłożyste drzewo. Tam zdjęła sukienkę i kochaliśmy się w deszczu, wśród strug ciepłej, letniej wody. Kiedy deszcz przestał padać, ona włożyła mokrą sukienkę, ja pocałowałem ją na pożegnanie. W jej oczach widziałem ból i tęsknotę, i tak trudno było oderwać moją dłoń od jej dłoni. Ale wracać musiałem. Bo to nie byłem ja. To była jedynie moja nieobecność. Jakże wiele takich nieobecności działo się beze mnie, jak bardzo byłem o nie uboższy. Jak wiele z nich było tak niezrównanej urody, że nie byłem w stanie tego sobie wyobrazić. Nieskończoność! Jedna od drugiej piękniejsza, czarowniejsza i... nieosiągalna. Jakby za karę, jakby za pomyłkę, za grzech. A jeśli grzech, to jak wielki, jak przerażający, że ukarany w tak nieludzki sposób?

Może właśnie dlatego idąc zwyczajnie ulicą, wchodząc zwyczajnie do sklepu, wychodząc zwyczajnie z pracy, kłócąc się zwyczajnie w autobusie, zapominam o tych wszystkich nieskończonych niezwykłych nieobecnościach moich, będących gdzieś obok, a jednak za muślinową zasłoną niepewności, odgradzającą mnie przezornie od szaleństwa.

Człowiek z muzyką w sercu

Wszedł do naszego przedziału, chociaż było ciasno, ale zachowywał się uprzejmie i był bardzo miły. Podróż bardzo nas już zmęczyła, a przed nami jeszcze daleka droga. Na korytarzu nie było lepiej, ale cudem zrobiliśmy mu miejsce.

– Dziękuję państwu – rzekł – nóg już nie czuję i serce mnie boli.

– Co to tak gra? – zapytało dziecko mojej sąsiadki i wszyscy zamarli za słuchani.

– Rzeczywiście – potwierdziła pani Flaczkowa, potężnej postury dama.

– Radio – stwierdził właściciel zakładu naprawczego, który jechał koło mnie – tranzystorowe, o niedużej mocy.

Spojrzałem na mężczyznę. Był czerwony jak burak. I to od niego słychać było muzykę.

– Gdzie to gra?! – zapytała groźnie pani Flaczkowa.

– To we mnie – rzekł jeszcze ciszej speszony mężczyzna.

– Co gra!? Kto gra!? A niech tam gra, kto chce i gdzie chce – rzekł siwy starsuszek i zaśmiał się jak z dobrego żartu – i tak jestem kompletnie głuchy.

– Ja lubię muzykę – dodała młoda dziewczyna, żując gumę – ale nie takie smętki. Wrzuć pan trochę czadu.

– Nie mogę – pokręcił głową właściciel radia.

– To się pan wyłącz! – wrzasnęła pani Flaczkowa, chwytając go za oszewkę.

– Spokojnie – przeprosiłem panią Flaczkową, widząc, że mężczyzna z radiem zbłądł ze strachu.

– To nie moja wina – powiedział cicho.

– A czyja? – nie ustępowała pani Flaczkowa.

– Chirurg – rzekł mężczyzna z radiem. – Operował mnie w sylwestrową noc i słuchał sobie małego, tranzystorowego radia. Rozumiem też, że był po kilku kieliszkach szampana.

– To skandal – powiedziała Flaczkowa – żeby pić w trakcie operacji! Jeszcze policjant... Ale żeby chirurg!!!

– No przez przypadek wszyl mi rozrusznik z radiem.

– Może pan rozchylić koszulę? – zapytał właściciel zakładu naprawczego.

– Rzucę fachowym okiem, może coś się da z tym zrobić.

– Nic z tego. Połączył szeregowo. Jakby przeciąć ten od radia, to i rozrusznik stanie.

– No to z muzyką będzie nam weselej – próbował obrócić całą sprawę w żart młody człowiek.

– Panu może i wesoło – dodała ponuro Flaczkowa – ale ja jestem nerwowa. To jakaś dziwna muzyka.

– Poważna – wyjaśniłem. – Mozart.

– Że co proszę? – staruszek nadstawił ucha.

– Symfonia Mozarta, wybitnego kompozytora!

– Nie podoba mi się – dziecko rozplakało się, a jego matka dodała: – Wybitny czy nie, dziecko się denerwuje.

Chciałem powiedzieć, że ludzie wrażliwi i kulturalni uwielbiają Mozarta i innych wielkich kompozytorów muzyki poważnej, ale dałem sobie spokój. Ludzie byli zbyt zmęczeni i podenerwowani długą podróżą.

– To ja może już wyjdę... – rzekł mężczyzna i zamilkł, bo drzwi nie dawało się otworzyć. Usiadł i popatrzył na nas bezradnie.

– Wynos się! – wrzasnęła w pewnym momencie Flaczkowa i zaczęła szarpać jego koszulę w okolicy serca.

Wszyscy popatrzyli na siebie wymownie. Przez tego Mozarta i wyjątkową kulturę stawał się coraz bardziej nieprzyjazny.

Mężczyzna z muzyką w sercu popatrzył błagalnie dokoła, ale wiele twarzy wyrażało gniew i wrogość. Powoli większość wstała z miejsc. Nawet głuchy staruszek, któremu wcześniej było wszystko jedno.

– Stójcie, tak nie wolno! – krzyknąłem, ale odepchnięto mnie brutalnie.

Mężczyzna szarpał się przez chwilę, ale potem już do końca podróży mieliśmy spokój. Tylko w drugim przedziale darło się jakieś pijane towarzystwo. Było wesoło.

Cwał

Ciapak szedł sobie uliczką w kierunku miasta i nagle jakiś niewielkiego wzrostu człowieczek hyc! i już siedzi mu na plecach. Uczepił się mocno i puścić się wcale nie zamierza. W pierwszej chwili usiłował łobuza zrzucić, ale to mu się nie udało. Klął więc i kręcił się dokoła, aż mu przyszedł do głowy pomysł, żeby go przygnieść do ściany. Kiedy się rozpędził, siedzący na nim krzyknął.

– Nawet tego nie próbuj!

Nie usłuchał. Wtedy tamten tak mocno i boleśnie pociągnął go za uszy, że mu w oczach pociemniało.

– Czego chcesz ty... ty... – nie wiedział nawet, jak ma się do niego zwracać.

– Możesz mówić do mnie dżokej.

– Ty draniu! – znowu poczuł straszliwy ból uszu.

Uspokoił się.

– No, właśnie tak trzeba – odparł dżokej. – Zrobię z ciebie porządnego wałacha.

W tym momencie Ciapak potknął się tak nagle, że tamten spadł z jego pleców. Widocznie dostrzegł zły błysk w oczach Ciapaka, bo poderwał się i uciekł tak szybko, że Ciapak nawet nie zdecydował się, żeby za nim pobiec. Zresztą był zmęczony walką i okropnie bolały go uszy. Powłókł się do domu i padł na łóżko, natychmiast zasypiając.

Następnego dnia, kiedy szedł tą samą uliczką, poczuł nagle, że tamten znowu na niego wskoczył. Tym razem wściekłość przemogła na chwilę ból uszu i zaczął tarzać się po ziemi. Tamten puścił go i zaczął uciekać.

– Nie złapiesz mnie – wołał. – Jestem od ciebie szybszy i dużo sprytniejszy. A tacy mają przed sobą przyszłość i wiele mogą osiągnąć!

– Zaraz się przekonasz, kto tu jest sprytniejszy – krzyknął Ciapak i dał energicznego susa, łapiąc dżokeja za kostkę jednej nogi.

Tamten błyskawicznie wykonał skłon i ugryzł Ciapaka w zaciśnięte na nodze palce. Po chwili znowu siedział na jego plecach.

– Daj mi spokój – krzyczał Ciapak.

– Nie mogę. Muszę cię dobrze ujeździć.

– Dlaczego?

– Jeszcze kilka dni i będziesz gotowy. I najlepszy – dodał dżokej, z uznaniem poklepując go po ramieniu. Masz mocne, długie nogi.

– Na co ci jestem potrzebny?!

Dżokej cmoknął i Ciapak odruchowo ruszył kłusem. Miał już dość walki, bólu uszu i tych wszystkich nieporadnych prób wygrania z dżokejem. Tamten rzeczywiście był niebywale zręczny i z jakiegoś nieznanego powodu usiłował na nim jeździć.

Wieczorami pozwalał mu wrócić do mieszkania i odpoczywać. W dzień, chociaż Ciapak uciekał i chował się w najprzeróżniejsze zakątki miasta, odnajdywał go i zniecierpliwienie wskakiwał mu na plecy. Wreszcie Ciapak zrezygnował i pozwolił sobie ujeździć. Mijały dni, a oni stanowili coraz bardziej zgraną parę. Jeśli oczywiście można o nich tak powiedzieć. Jeździli nad rzekę, do parku, gdzie dżokej zamawiał dla siebie niewielką kanapkę, bo musiał utrzymać lekką wagę, za to pozwalał dobrze zjeść raz dziennie Ciapakowi. Potem jeździec, ciągnąc go lekko za uszy, kierował ich na pusty stadion i tam zmuszał Ciapaka do cwałowania. Wyciskał z niego ostatnie poty. Chociaż Ciapak wykonywał posłusznie polecenia, dziwiło go, że jego pan każe mu czasami w biegu nagle wystawiać nogi na boki, szybko, zdecydowanie, ale tak, żeby nie stracić rytmu jazdy. Być może były to ćwiczenia na omijanie przeszkód. Nie potrafił tego odgadnąć, a tamten nie chciał nic mówić. Wykonywał te polecenie podobnie jak wszystkie pozostałe sumiennie, bo był głodny. Zawsze był głodny i gdy dżokej był zadowolony, pozwalał mu się najeść.

Lato kończyło się. Zżółkły klony. Dżokej nie odstępował Ciapaka ani na krok. Spał nawet uczepony jego pleców, czujny na każdy ruch. Któregoś ranka obudziła ich głośnie muzyka. Dżokej poderwał Ciapaka na nogi, trzymając go kurczowo za uszy. Ciapak zdumiony patrzył na kolorowo przyozdobione budynki. Wjechali na główną, najszerszą ulicę miasta i zaskoczony Ciapak ujrzał mnóstwo podobnych jak oni par. Mali jechali na dużych i sprawnie nimi kierowali, szarpiąc ich za rozciągnięte od wielu treningów uszy.

Strażnicy miejscy ustawiali jadące pary w szeregu, przed wyznaczoną linią. Daleko przed nimi, w tunelu ulicy wypełnionej wiwatującym tłumem, migotał świetlny napis: SUKCES!

– To będzie teraz twoja największa rola życiowa – szepnął mu mały do ucha, pochylając się. – To będzie wyścig, od którego zależy sukces, ogromny sukces!

– Jaki sukces? – zapytał Ciapak, ale w tym momencie wystrzelono z armaty i zaczęła się gonitwa.

Ciapak odruchowo rzucił się w cwał i pędził ile miał sił w nogach, ale dżokej cały czas go popędzał i ciągnął bezlitośnie za uszy. Pędzili w grupie czołowej i chociaż mieli całą szerokość jezdni, jeźdźcy kierowali cwałujących ku sobie. Tak też robił dżokej Ciapaka. Kiedy podjechali bardzo blisko drugiej pary, dżokej silnie pociągnął go za uszy i krzyknął: noga! I Ciapak podstawił nogę tak skutecznie, że pędząca obok nich para przeokołkowała w kierunku tłumu i wypadła z gry przy wtórze oklasków i gromkiego śmiechu widzów. Ciapak chciał się obejrzeć do tyłu, ale dżokej pociągnął mocniej za uszy, bo oto z drugiej strony inna para usiłowała podjechać jak najbliżej. I znowu mocna, umięśniona noga Ciapaka wysadziła konkurenta „z siodła”. Pot zalewał mu oczy, ale gonitwa jeszcze się nie skończyła. Jeszcze było kilkaset metrów do napisu SUKCES. Całe szczęście, że pozostali też osłabli i tempo wyścigu nieco spadło. Co chwilę jednak Ciapak musiał podstawiać nogi konkurentom i cały czas prowadził w wyścigu.

Kiedy wjechali na metę jako pierwsi i dżokejowi w biegu zarzucono na głowę wieniec zwycięzcy, pozłacana strzałka wskazała dalszy kierunek jazdy. Były to drzwi biurowca. Ciapak chciał przystanąć, ale uszy znowu zabolaly i z pianą na ustach wbiegł na czterdzieste piętro wprost do wielkiego, obszernego gabinetu, gdzie dżokej z jego pleców zręcznie zeskoczył do skórzanego fotela za masywnym biurkiem.

Ciapak poczuł brak ciężaru i osunął się niemal nieprzytomny na dywan. Weszła sekretarka, młoda, piękna dziewczyna z kieliszkiem koniaku, który postawiła przed małym.

– Gratuluję wielkiego sukcesu, panie prezesie – powiedziała i uśmiechnęła się zalotnie.

– Dziękuję – rzekł mały człowieczek, który za biurkiem jakby trochę urósł lub spuchł z dumy.

– Czego jeszcze życzy sobie mój nowy prezes? – zapytała sekretarka.

Mały spojrział na spoconego, ciężko oddychającego i z trudem przychodzącego do siebie Ciapaka, wskazując go ruchem głowy.

– Już mi nie jest potrzebny. Poproś kogoś z ochrony. Niech wyrzucą to paskudztwo na ulicę!

Wojciech Próchniewicz

MARIA ŻYWICKA-LUCKNER

*pejzaż z cyfrą 5 williamsa
i narodziny tancerki fado*

jak zmierzyć się z cyfrą 5 strażackiego wozu
który mknie przez bose stopy tancerki fado która
zaczyna się rodzić z pocierania pięt
o brzeg prześcieradła
5 dnia w 5 miesiącu niedonoszenia

a miała się wykluć w starej dziupli gęstego lasu
z półotwarcia drzewa
odpadania jesieni od liści
czystych marginesów od zeszytów w kratkę
z nieopisania
zgaszonego światła nad otwartym listem

i rodzi
z nocnego moczenia gotowe do wyjścia

*psychodrama czy zwykła odmowa
udziału w tragedii?*

jestem kobietą z wydm uciekłam od Kobo
tu gdzie jestem same kobiety –
mam dolną pryczę
z kocem w kratę jak u babki Stefy
(Boże jakie to ludzkie)
nie posyłajcie tu dzieci
nie lepimy z chleba paciorków

gdy gasną światła rozkręcamy
korowód płytkich oddechów –
im dłuższe cienie tym pewniejsze
umówione spotkanie

tylko wariatka nie wierzy
– nadziewa na szpilki nocne motyle
i trzyma mocno w objęciach

pytanie o wojnę a wojna jest kobietą

ile z dziwki i pierwszej komunii w kobiecie
gdy chłopcy już po zabawie w doktora
umierają na wprost oczu

dajcie ślepemu pochodzić po wiatrem rozpiętych pończochach

mamy się w obrazie gwałtownym
– każde w swoim łóżku
rozmiękasz w strzęp ludzki nad filiżanką
czarnej kawy rozstępują się fusy
i morze odwraca swoje ciemne karty
odwraca
ciemne karty

jak żebrak w zamieci
– opieram policzek o zimowy pejzaż
przewracam na drugi
kraty udają zniknięcie
latarnia że nie stoi przy oknie
ty – że nie trafiasz
kamieniem w szybę

kobiety z autobusu 146

kobiety z autobusu 146 w przystanki
na żądanie wiozą usta ciężkie od nadgodzin
wybiegania przed próg

gdy palcami po szybie rozczesują deszcz
mają bliżej do zwykłej historii sylvii plath
i nic nie wiedzą
o hillarowskiej z gatunku poziomki

kobiety z autobusu 146 wnoszą na palcach
stukot obcasów w pustym kościele
i stają się nieprzystankowe
od rodzenia synów

list ze stacyjki małych semaforów

zaledwie noc trzecia a maszynista po raz
wieczorny goni przed siebie
pole niezawinione

czerwień przywarła do międzytorza
jak tamta sukienka do mojego ciała z którego
nie zdążyłeś rozebrać mnie w sobie

urosla wypęcniiała
do małych główek semaforów

matka ma żal do pospiesznych
że samoprzelotne
ciebie nie wini

wciąż wypytuje czy dojechałeś szczęśliwie

Maria Żywicka-Luckner



Na ścianie obiektu Lubzelu przy ul. Jutrzenki w Lublinie, 2004 r.
Fot. Krzysztof Wróblewski

WŁODZIMIERZ PAŹNIEWSKI

„Straszny gość” Kostka-Biernackiego, czyli realizm magiczny po polsku

Arcydzieło odzyskane

Dyżurny diabeł PRL-u okazał się przedwojennym pułkownikiem Wojska Polskiego, choć nie zawsze paradował w wyjściowym mundurze, pobrękując orderami. Zamiast kopyt miał markowe oficerki od Hiszpańskiego, a do nich przypięte chromowane ostrogi. Chyba tylko dla zmyłki wcielił się w postać Wacława Kostka-Biernackiego i nie opuścił jej aż do końca. Na nic zdały się solidne, bo przedwojenne egzorcyzmy i dziesięć lat stalinowskiego więzienia na Rakowieckiej po 1945 roku. Ostatecznie nikt nie potrafił go złamać psychicznie, nawet pomagierzy Różańskiego, choć w wykańczaniu przeciwników politycznych okazali się uzdolnionymi fachowcami, gdyż obficie czerpali z najlepszych sowieckich wzorów.

Aniołem nie był, na pewno. Demokratą tym bardziej. Dlatego zaliczano go do tępych zamordystów. W realnym życiu grał przez lata bardzo wiele ról. Nie wszystkie należały do chlubnych i jednoznacznych. Zawsze blisko Piłsudskiego, był bojowcem PPS, podobno jednym z najlepszych, żołnierzem Legii Cudzoziemskiej w Sidi-Bel-Abbas pod Oranem w Algierii, skąd zdezerterował, szefem żandarmerii w I Brygadzie Legionów Polskich, oficerem Wojska Polskiego, komendantem twierdzy brzeskiej, gdy więziono tam posłów opozycji, dowódcą 38 Pułku Piechoty Lwowskiej w Przemyślu, wojewodą nowogródzkim i poleskim, by 2 września 1939 roku objąć stanowisko Generalnego Komisarza Cywilnego w randze ministra przy Sztapie Naczelnego Wodza marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego, czyli najwyższą funkcję w administracji państwowej na czas wojny.

„Jedzie, jedzie na Kasztance...”

Inteligentny poliglota, pełen niespożytej energii oraz zalet i wad, na pewno miał niekwestionowany talent literacki, co w środowisku wojskowych należało raczej do rzadkości. To on, o czym nie wszyscy wiedzą, napisał słowa popularnej piosenki legionowej *Jedzie, jedzie na Kasztance, Szopkę Beniaminowską* oraz sporo książek, głównie o swoich przeżyciach w okresie walk niepodległościowych, które to publikacje mają dziś wartość wyłącznie dokumentalną. Ku zaskoczeniu otoczenia, od czasu do czasu zdarzało mu się popełnić także prozę artystyczną i to najwyższej próby. Przykładem jest opublikowane w 1932 roku w Krakowie arcydzieło nowelistyki polskiej *Straszny gość*, zbiór opowiadań, których akcja tłucze się po kopnych traktach Kresów. Dzieło oryginalne, całkowicie osobne, zupełnie niepodobne do innych.

Parę lat temu książkę przypomniało krakowskie wydawnictwo Vis-a-vis Etiuda w serii edytorskiej „Majstersztyk”. Sygnowany tym hasłem wywoławczym cykl publikacji pod redakcją Roberta Stillera przedstawia ukryte arcydzieła i rewelacje literatury polskiej, zmieniając jej mocno okrojony w tzw. okresie minionym, a często wręcz zafałszowany obraz.

Wcześniej, jeszcze w latach siedemdziesiątych zeszłego wieku, postacią Kostka-Biernackiego zainteresował się Jerzy Rawicz w książce *Diabeł przegrany*, umieszczając w niej wiele mało znanych szczegółów biograficznych. Ze względu na cenzurę nie mógł jednak pisać o wszystkim, a wznowienie w tamtych latach dorobku pisarskiego Kostka nie wchodziło w rachubę, ponieważ z przyczyn czysto ideologicznych pozostawał pisarzem wyklętym na zawsze.

Czarna legenda

Kim tak naprawdę był autor *Strasznego gościa*? Urodził się w Lublinie w 1884 roku. Miał zaledwie dwanaście lat, gdy po raz pierwszy powędrował za kratki za rozrzucanie ulotek niepodległościowych na ulicach rodzinnego miasta. Wyrzucony z wilczym biletem ze szkoły, pojechał do Lwowa, gdzie zdał maturę i przez krótki okres studiował na Politechnice Lwowskiej. Podjęte następnie studia filozoficzne także przerwał. W roku 1904 poznał Piłsudskiego, co zaważyło na całym jego późniejszym życiu.

Przyszły Komendant nadał mu pseudonim Konstanty. Potem w czasach legionowych przyjął on formę Kostek i został dodany do nazwiska. Jako członek bojowych grup PPS, Biernacki uczestniczył w wielu brawurowych akcjach, przede wszystkim w zamachach na carskich czynowników i agentów tajnej policji rosyjskiej. Ilu ich wyprawił na drugi świat? Nie wiadomo, ale na pewno sporo.

Już w Legionach przyłgnęła do Kostka opinia bezwzględnej służbisty, w każdej chwili gotowego wykonać najbardziej drakoński rozkaz czy polecenie przełożonych. Na ile makabryczny przydomek, jaki mu wówczas nadano: „Kostek-Wieszatiel”, oddawał choćby część prawdy? Trudno dociec. W żadnej armii nie kocha się żandarmów. Poza tym w strefach przyfrontowych zawsze dzieją się różne rzeczy.

W czasie wojny polsko-bolszewickiej marszałek trzymał Biernackiego z dala od pierwszej linii. Jak się zdaje, przydzielił mu poufne zadanie na głębokich tyłach. Będąc dowódcą batalionu piechoty w Siedlcach, podobno zajmował się wykonywaniem wyroków śmierci na cywilnych szpiegach i agitatorach, skazanych przez „lotne sądy polowe”. Armie Tuchaczewskiego, posuwając się błyskawicznie na Warszawę, zalewały polskie zaplecze swoimi agentami. Była to skuteczna i wielokrotnie sprawdzona wcześniej taktyka: sparaliżować wroga „światowej rewolucji” tak, aby nie był zdolny się bronić. Liczono na sprowokowanie jakiejś ruchawki w bezpośrednim sąsiedztwie frontu i w ten sposób rozsadzenie armii Piłsudskiego niejako od środka. Zamiany jednak nie powiodły się.

Przed wojną najwięcej pretensji miano do Kostka za Brześć. Z tego powodu bojkotowano go towarzysko, a kolejne rodziny Biernackich zamieszczały w ogólnopolskich gazetach płatne ogłoszenia, że zbieżność ich nazwiska z komendantem twierdzy brzeskiej jest całkowicie przypadkowa, ponieważ nie mają z nim nic wspólnego. W ten sposób stał się czarnym charakterem życia publicznego w Polsce. Potem doszła do tego Bereza, wokół której narosło wiele przeinaczeń, skrzętnie w czasach PRL-u rozdmuchiwanych przez komunistyczną propagandę.

Z urzędu lub przyzwyczajenia przypisywano Kostkowi wszystko co najgorsze i odsądzano go od czci i wiary. Podobno kierował jedną z grup mających rozpętać parlament. Podobno był satanistą, stąd jego fascynacja postacią diabła. Podobno szprycował się morfiną. Dalsze „podobno” można mnożyć bez końca.

Według mnie, działał tu specyficzny mechanizm walki politycznej. Kto chciał uderzyć w Piłsudskiego, a ze względów taktycznych było mu to niezbyt wygodne, wybierał sobie za obiekt ataku Kostka, jako postać z najbliższego otoczenia marszałka, zdając sobie sprawę, że rykoszet w pierwszej kolejności musi trafić w pierwszą osobę w państwie.

Za to chętnie przemilczano fakty, które przemawiały raczej na korzyść Biernackiego, np. oryginalną twórczość literacką czy to, że był znawcą i miłośnikiem średniowiecza. Owocem tych zainteresowań miała być powieść o Bolesławie Śmiałym. Stanisław Cat-Mackiewicz, który za Kostkiem nie przepadał i sam do jego czarnego portretu dodał sporo ciemnych kresków, potrafił zdobyć się na obiektywizm, gdy takim oto zdaniem sumował działalność Biernackiego na stanowisku wojewody: *Jako wojewoda nowogródzki, potem poleski był nie tylko sprężysty, ale i sprawiedliwy dla ludności w tym sensie, że pilnował, aby urzędnicy nie krzywdzili ludności na własną rękę.*

Żłodzięje, aferzyści, łapówkarze, amatorzy grosza publicznego w województwach, którymi administrował Kostek-Biernacki, nie mieli łatwego życia. Podobnie jak urzędnicy podległych mu biur i instytucji. Do legendy przeszedł jego inspekcje terenowe, gdy przebrany w białą lnianą koszulę, wykładaną na wierzch, w baranicy na głowie i obowiązkowo w łapciach, z powodzeniem udawał Poleszuka, chcąc przekonać się w sposób naoczny, jak traktuje się zwykłych obywateli na posterunku policji czy w urzędzie gminnym w jakiejś zapadłej wsi na Polesiu. Biada, jeśli tak przebranemu petentowi kazano czekać godzinami na przyjęcie, gdy spławiano go z niczym lub wręcz wyrzucano za drzwi, aby „jakiś tam cham nie przeszkadzał panom urzędnikom w błogim niecierobieniu”. Dymisje sypały się wtedy w trybie natychmiastowym.

Diabeł z Berezcy?

Kolejnym w jego wizerunku i głównym stereotypem była i pozostaje sprawa Berezcy Kartuskiej – pisze w bardzo wyważonym i rzeczowym posłowniu do Straszego gościa Robert Stiller, którego staraniom zawdzięczamy przypomnienie tego arcydzieła polskiej prozy dwudziestolecia międzywojennego, w siedemdziesiąt cztery lata od pierwszego wydania krakowskiego i w czterdzieści dziewięć lat po śmierci autora. – Powtarza się w kółko, że był twórcą i komendantem tego obozu (...). Stanowiło to również jeden z głównych punktów oskarżenia w procesie, jaki wytoczono mu w PRL. Tymczasem nie był ani jednym, ani drugim.

Właściwym twórcą Berezcy był premier Leon Kozłowski. Co za postać? Nikt go już nie pamięta. Też były legionista. Wredny pijak i hulaka. Sąd polowy Wojska Polskiego w 1942 roku skazał go na śmierć za to, że zbiegł do nieprzyjaciela. Wyrok zatwierdził gen. Anders. Zatrzymany przez Niemców, zginął w Berlinie bodajże podczas bombardowania. To on po zamordowaniu 15 czerwca 1934 ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego tegoż dnia przedstawił Piłsudskiemu wniosek i projekt, w dwa dni później zatwierdzony przez prezydenta Ignacego Mościckiego i błyskawicznie zrealizowany. (...) Z kolei komendantem obozu, uruchomionego już 2 lipca, był początkowo mjr Bolesław Graeffner, a od roku 1935 policjant W. Kamala Kurhański. Tyle mówi nie propaganda, lecz fakty.

Rzecz niezmiernie ciekawa, że będąc wojewodą poleskim, Kostek-Biernacki wysłał do Berezcy tylko trzech ludzi, wyjątkowo nie z przyczyn politycznych. Byli to dyrektor fabryki dykty, skandalicznie wykorzystujący Żydów jadących do Palestyny; dyrektor tartaku gnębiący robotników; i ziemianin od kilkunastu lat nielegalnie wyrąbujący lasy.

Rumuńska izolacja

Jako komisarz cywilny we wrześniu 1939 roku Biernacki działał z dużą energią. *Zmilitaryzował policję i nadał jej prawa żandarmerii. Próbował ograniczyć panikę i wkradający się bałagan, a także powstrzymać fale uchodźców zalewające drogi, co utrudniało sprawne przemieszczanie się wojska. 18 września w kolumnie ewakuacyjnej rządu Rzeczypospolitej znalazł się w Rumunii.*

Władze polskie w Londynie stosowały wobec Kostka swoisty bojkot. W tej sytuacji wykorzystanie jego wojskowych umiejętności nie wchodziło

w rachubę. Skazany na izolację i osamotnienie, zajmował się studiami historycznymi oraz pracą literacką. W tym czasie spotkała go również tragedia osobista. W kwietniu 1943 roku (publikacje podają różne daty tego zdarzenia) podczas akcji zginął w Warszawie przy ulicy Stalowej jedyny syn Kostka, dwudziestoletni Lesław Ryszard Biernacki, żołnierz oddziału dywersyjnego Konfederacji Narodu.

Sześć lat Biernacki spędził w Rumunii i nie bardzo wiadomo, dlaczego zaraz po wojnie nie przedostał się na Zachód, choć podobno wystarano się dla niego o paszport szwajcarski. A jednak nie wyjechał.

Niezbyt chwalebne czyny przed wojną, jak choćby Brześć, wsparte przez plotkę i insynuacje, a po wojnie komunistyczną propagandę, pilnie poszukującą dyżurnego wroga, połączone w całość i nawzajem się uzupełniające, stworzyły diaboliczną legendę Biernackiego, która trwa i nic zdaje się jej nie zagrażać. Upadają rządy i całe systemy polityczne, prawdy historycznej nie deformuje czerwony ołówek cenzora, lecz legenda Kostka ma się całkiem dobrze. Mało tego, zdaje się, że dziedziczą ją z całym dobrodziejstwem totalitarnego inwentarza kolejne pokolenia. Przekonałem się o tym całkiem niedawno, pytając pisarza młodszego pokolenia, typowego przedstawiciela generacji, jak to w skrócie nazywam „brojlerów socjalizmu”, czy czytał opowiadania Kostka-Biernackiego, na co ten wypalił w ułamku sekundy:

„Tego z Berezki Kartuskiej?”

„Czy wiesz, że był autorem całkiem dobrej prozy?”

„Kostek – pisarzem? Nie do wiary” – na poczekaniu usiłował zbyć mnie ironią.

W jego umyśle natychmiast odezwały się stare sztance: Kostek, czyli Bereza. Oto stereotyp gotowy na każdą okazję. Skąd się wziął? Ze szkolnych lekcji historii, gdzie reglamentowaną prawdę regularnie mieszano z propagandą? A może bezwiednie zapożyczył go od rodziców, dawnych zetempowców, którzy w latach pięćdziesiątych z fanatycznym oddaniem sprawie „ludu pracującego miast i wsi” trwonili czas i własną młodość na niekończących się zebraniach „ideolo”?

A przecież za rzekomy pomysł zbudowania Berezki i jej również rzekome prowadzenie oraz prześladowanie mniejszości narodowych na Kresach (*Straszny gość* zaświadcza o czymś wręcz przeciwnym) stalinowscy prawnicy, ci sami, którzy dokonali mordu sądowego na Emilu Fieldorfie, legendarnym generale „Nilu”, 14 kwietnia 1953 roku skazali płk. Wacława Kostka-Biernackiego na karę śmierci, zamienioną potem na dziesięć lat więzienia.

Tajemniczy powrót

Sensacyjny i zaskakujący powrót Kostka-Biernackiego do powojennej Polski nie został do końca wyjaśniony. W każdym razie nasuwa wiele wątpliwości, które nie zostały rozwiane. Czy rzeczywiście uczynił to dobrowolnie, przyłączywszy się do transportu z darami UNRRA? Taka decyzja byłaby z jego strony zachowaniem samobójczym i zdaje się była mało prawdopodobna.

Dlatego pod uwagę trzeba brać również zupełnie inne warianty. Mógł być aresztowany przez Rumunów i wydany władzom bezpieczeństwa w Polsce. Niektórzy utrzymują, że podstępnie sprowadzono go na pokład samolotu, rzekomo odlatującego do któregoś z państw zachodnich – dopiero w trakcie lotu miał zorientować się, iż maszyna obrała kurs na Warszawę, ale było za późno.

Istnieje również wersja, że do kraju zwabił go Jerzy Borejsza, rodzony brat Różańskiego, pułkownika polskiego UB i zbrodniarza stalinowskiego. Podróż, w czasie której miał mu towarzyszyć oficer NKWD, odbył Kostek pociągiem po 31 października 1945 roku. Na Dworcu Głównym w Warszawie czekał na niego Różański. Pewna jest tylko data 9 listopada, ponieważ właśnie od tego dnia Biernacki był więźniem Mokotowa, gdzie trzymano go

osiem lat bez procesu i wyroku, poddając w śledztwie wymyślnym torturom fizycznym i psychicznym.

Początkowo rozprawę sądową przeciwko Biernackiemu planowano przekształcić w wielki proces pokazowy, tak by obok niego na ławie oskarżonych znalazła się cała przedwojenna Rzeczpospolita. Brakowało jednak świadków, a ci, którzy mogli wystąpić w tej roli, nie bardzo się do tego nadawali.

Charakterystycznym przykładem było postępowanie pewnego przedwojennego komunisty, który trafił na Mokotów za krytykowanie rządów PPR, a w latach trzydziestych zaliczył również Berezę. Otóż opowiadał on współwięźniom i wcale nie krył się z wygłaszaniem tego rodzaju opinii, że w porównaniu z tym, co wyprawia z aresztantami obsługa więzienia na Rakowieckiej, Berezę przypominała pobyt w pensjonacie. Podobno milczał, gdy śledczy starali się z niego wyciągnąć jakieś szczegóły możliwe do wykorzystania przeciwko Kostkowi.

Niestety, bies z czerwonymi rogami upomniął się również o życie Biernackiego. Winą dodatkową, jak to ujęto w uzasadnieniu, był czynny udział w faszyzacji kraju, wyszydzenie Związku Radzieckiego oraz współodpowiedzialność za klęskę wrześniową. Faktami, jak wynika z przytoczonej przeze mnie prawdziwej historii powstania Berezę, za bardzo się nie przejmowano. Skoro był człowiekiem, w dodatku z najbliższego kręgu marszałka, odpowiedni paragraf musiał się znaleźć. Szkoła ludowej sprawiedliwości praktykowana ściśle według zaleceń „Wielkiego Nauczyciela” nie poszła na marne.

Przede wszystkim niszczone go fizycznie. Gdy 9 listopada 1955 roku Wacław Kostek-Biernacki opuszczał na noszach więzienie mokotowskie, był ruiną człowieka, schorowanym inwalidą, którym uczyniły go tortury oraz nieludzkie warunki, w jakich był przetrzymywany. Przez pewien czas dzielił celę z dygnitarzem hitlerowskim Erichem Kochem oraz jakimś folksdojczem. Do obydwóch zbrodniarzy służba więzienna odnosiła się z ostentacyjną kurtuazją, dla Biernackiego miała wyłącznie wymyślne szykany i obelgi. Na wolności żył jeszcze tylko półtora roku. Zmarł w Warszawie w wieku siedemdziesięciu trzech lat, 25 maja 1957 roku.

Pani Anna

Nie wszyscy zapewne wiedzą, że na początku lat pięćdziesiątych biografia Kostka w sposób pośredni zahaczyła o Związek Literatów Polskich i Zarząd Główny tej organizacji pisarskiej. Otóż gdy Biernackiego przetrzymywano bez sądu i wyroku w więzieniu mokotowskim, władze postanowiły wykończyć również jego żonę. Ponieważ wyrzucano ją z każdej kolejnej pracy, zdarzały się okresy, gdy praktycznie pozostawała bez środków do życia. Na sytuację ową zareagował Jerzy Putrament.

Podobno po jego interwencji pani Anna Biernacka została kierowniczką Biblioteki Domu Literatury. W ZLP pracowała od 1950 roku do 1964, ale nawet i wtedy jej osoba bardzo przeszkadzała profesorowi polonistyki UW, niejakiemu Stefanowi Żółkiewskiemu. „Hetman” starał się spowodować jej zwolnienie, a pamiętajmy, że trząśł wówczas całym środowiskiem naukowym i pisarskim, skutecznie szantażując wszystkich dookoła Marksem i Zdanowem.

Wybroniła ją Janina Broniewska, jak przypuszczają niektórzy, na usilną prośbę Władysława Broniewskiego, jej byłego męża. W ten sposób pani Anna doczekała spokojniejszych czasów i rządów Jarosława Iwaszkiewicza w siedzibie na Krakowskim Przedmieściu, który po swojemu, tj. bardzo dyskretnie, bez ostentacji, osłaniał ją całymi latami, wystawiając sobie tym samym jak najlepsze świadectwo człowieka pióra bardzo wrażliwego i gotowego nieść pomoc tym, którzy pilnie jej potrzebują.

Pisarze korzystający z biblioteki ZLP nawet nie domyślali się, kim tak naprawdę jest pani Anna i jak dramatyczne ma za sobą przeżycia osobiste.

Mieszkała w niewielkim pokoiku przy ulicy Mokotowskiej. Zmarła w 1972 roku i spoczęła obok męża w grobie rodzinnym na starym cmentarzu w Grójcu.

Horror kresowy

Straszny gość, najwybitniejsza książka Kostka, to swoisty horror kresowy, odmiana opowieści z dreszczykiem o strzygach, diabłach i czarownicach, które stale ingerują w realne życie. Demonologię w wersji przyjętej przez Biernackiego w opowiadaniach obarcza sporo szczegółów i trudnych do rozplątania komplikacji. Nie ulega wątpliwości, że zło na tym ziemskim padole stale rozpycha się łokciami, ponieważ sama *ziemia się kręci jak pijany młynarz z Hoszczy na Boże Narodzenie...* Lucyfer nie zna granic i za bardzo się nimi nie przejmuje, gdyż *wędrujący czort ukradł paszport i hulał, gdzie chciał*, co sprawia, że może pojawić się wszędzie i w każdej chwili. A działa w sposób coraz bardziej podstępny i wyrafinowany, bo diabły dzisiejsze to nie to, co porządne biesy z dawnych lat; te miały jeszcze charakter i kodeks postępowania.

Wy tłumaczenie tej nagłej przemiany nie nastrecza kłopotu, choć jest tylko jedną z możliwości, jakich czepia się ludzka wyobraźnia. Na przykład (...) *Aleksiej naprawdę widział dwa razy na wydmie samego czorta w pięknej postaci, bez rogów i ogona. Przecie i u ludzi różne są stany: pan zawsze wymyty, kapeluch jedwabny, futro niedźwiedzie, na palcach pierścienie złote; a prosty chłop z tarakanem mieszka, nie czesany, w baranicy, na głowie czapa: sok i w lecie wyciśniesz! Może i rogi u czorta to tylko ubiór chłopski? Może i w piekle u nich urządzili rewolucję, jak Moskale, i swoich diabelskich panów wygonili w świat: a pokosztuj i ty, pan bies, ciężkiej naszej pracy, a oparz się modlitwą i krzyżem Bożym!* Objaśnienie jest mocno ironiczne, lecz prawie marksistowskie, bo omotane spojrzeniem na sprawy diabelskie z perspektywy wybitnie klasowej.

Nawet bliskie sąsiedztwo Domu Bożego diabła nie przeraża. *Dziś czort i wiedźma i pod cerkiew samą podejdą, i popa pociągną za uszy, jak pijany wraca z chrzcin u bogatego chłopca. A ubierze się szykarnie, plemię przekłętą, nie poznasz, wiedźma czy siostra starosty, czort czy piwowar z czeskiej kolonii...* Czasami Zły pojawia się na jarmarku w Beresteczku, niby to w interesach, czyli na zgubę prawosławnego narodu, bywa że przyłączy się do chłopów w karczmie i wypije na zdrowie szklaneczkę samogonki i to tej najlepszej, pędzonej w Korcu na aparaturze przemysłowej przez Żydów aż z Żytomierza.

Pomysłowość diabelska bywa niewyczerpana. Często *zamiast szczerbate wiedźmy młodą czarnobrewą wysyła na sianie grzechu śmiertelnego*. Zadanie ma o tyle ułatwione, bo *nie znalazł się na ziemi naszej pop, co ochrzciłby czorta*. A i to nieprawda, że *zawsze ma on rogi i ogon*. Bywa i bies inny, piękny, wymyty, jak dziewczyna przed ślubem...

Bo fachowy diabeł chętnie trudni się kuszeniem pięknych dziewcząt. Już choćby z tego powodu nie zawadzi szczególna ostrożność, gdy się ma do czynienia z kobietami, ze zwykłej przeczności, bo przecież *kto wierzy babie, ten sieje owies w lesie sosnowym*. Przy okazji nie zawadzi pamiętać, że *jednej babie nie poradzi mniej jak pięć diabłów...*

Podobno niezawodnym środkiem na biesa i jego piekielne sztuczki był gwoździec z Krzyża Świętego, ale to było kiedyś. *A takiego gwoździa już nie kupisz nawet u mnichów w Poczajowskiej Ławrze. Chyba w Kijowie, ale tam wielki nieporządek, wiadomo: bolszewiki, wrogowie Chrystusa, antychrysty srogie!*

Narratorem opowiadań uczynił Biernacki starego chłopca, niejakiego Kostię, który niejedno w swoim przydługim życiu widział i przeżył. Jak mało kto zna się na sprawach boskich i diabelskich. Nie jest przy tym w gorącej wodzie kąpany. Posiada wiele umiejętności praktycznych jako uzdrawiacz

zwierząt domowych, a nawet ludzki znachor, bo słabości ciała i ducha nie mają przed nim żadnej tajemnicy. Nawet bieżące sprawy politycznie bierze na swój chłopski rozum, czyli traktuje je z dystansem i dużą domieszką pobłażliwości. W pewnym momencie przekonuje się o tym fanatyczny agitator Waśka, prowadzący skrycie robotę wywrotową, nie bardzo nawet wiadomo na czyje zlecenie. Prostolinijność starego bierze za duże zagrożenie dla siebie. Zaczyna się nawet obawiać, że może być wydany przez Kostię władzom. Uspokaja się, gdy otrzymuje zapewnienie starego, a przy okazji musi wysłuchać skróconego wykładu o zawilosciach życia na tak przejściowym i niepewnym terenie jak Kresy, gdzie nic nie jest proste i takie, jakim się na pierwszy rzut oka wydaje:

– *Nie szpion ja polski – mówię – i nie lube mi sprawy, co spokój wyganiają z duszy, jak sowa wygania nocą szare i mile ptaki ze stodoły na czarną noc, która zasłania i oczy, przywykłe do dnia słonecznego, i rzuca nieszczęsne w strachu i boleści na twarde ściany chat wiejskich. Nie wiem, kto jest taką sową, ale wiem, że ty i Lach nie lubicie słońca. On katolik, a ty, choć i prawosławny, wiary też nie masz Chrystusowej. Znam ja twoje papierki, co roznosisz po wsiach naszych. Wojna i pożar! Nie Chrystusowa to nauka. Brzydzi się Zbawiciel podstępny katolikiem, ale i ciebie nie pobłogosławi! Uda ci się wygonić Polaków i zaraz przyjdzie inny żołdat i urzędnik, mówić będzie po naszemu może, ale nie będzie od tego cieplejsze słońce ani lepszy deszcz wiosenny.*

Smakowanie polszczyzny

Lektura *Strasznego gościa* w czasach współczesnych to już nie zwyczajne czytanie opowiadań, lecz smakowanie polszczyzny w jej kresowej, nieistniejącej odmianie, a dokładniej – wszystkich języków dawnych wschodnich terenów Rzeczypospolitej. W sierpniu 2009 roku, puściwszy się w drugą, długą podróż po Wołyniu i Podolu, wsłuchiwałem się w zaśpiewy jakichś resztek tej mowy we Lwowie, Kamieńcu Podolskim, a nawet w Okopach Świętej Trójcy, gdzie Zbrucz, biorąc desperacki zakręt, ginie w falach Dniestru. Przed 1939 rokiem w tej miejscowości kończyła się Polska, następną był sowiecki Żwaniec, a za Dniestrem rozciągała się Rumunia. Opowiadanie tytułowe *Strasznego gościa* czytałem na świeżo w motelu w Krzemieńcu, a więc w sąsiedztwie miejsc, gdzie rozgrywa się akcja tych utworów.

„Konie szły własnym węchem” – pisze w nim Biernacki, co oznacza, że woźnica przysnął z utrudzenia monotonną i daleką drogą albo był tak zamroczony gorzalką, że musiał zdać się wyłącznie na koński, na szczęście całkowicie trzeźwy rozum. Wszystko ma w jego prozie swój kolor, głos, zapach i smak. Nawet szczygły w opowiadaniu nie śpiewają, lecz „czirikają radośnie o wschodzie słońca”.

Kraina występująca w tej prozie jest rozległa jak step i zarazem trudna do ogarnięcia, trochę tajemnicza i zawsze skłonna do czynów gwałtownych, a przy tym bogata w nieprzebyte bory, pełne dzikich kniej i ostępów. Do tego trzeba dodać rozlewne rzeki, pozornie leniwe, lecz w każdej chwili nieobliczalne, i zdradliwe bagniska, ulubione miejsce stałego pobytu wszystkich kresowych diabłów, wiem i strzyg, różnych przerażających postaci i zjaw, które mają dziwny wpływ na ludzi, od panów po ostatniego łyżka, a nawet na losy zwierząt i martwych przedmiotów. Niejednego zadufka przyprawiły o zgubę, bo zaświaty stale ingerują w realne życie i wcale nie mają zamiaru rezygnować z tej potężnej władzy. To obszar magiczny, zamieszkały przez dziwnych osobników, co *pszczoły chowają po lasach, smołę i dziegieć pędzą, węgle palą...* Toż nie dziwota, że podróże po takiej krainie bywają niebezpieczne i mocno utrudnione.

Były one możliwe, jak to określa stary Kostia-opowiadacz, *dopiero jesienią późną, kiedy osiwił las sosnowy od pierwszych śniegów*. Kapitalne są obserwacje natury, która – jak się wydaje – ma swój własny rozum, подарowany jej

przez Stwórcę, wcale nie gorszy od ludzkiego, skoro takie np. *sójki roznoszą skorupki swoich jaj z dala od gniazda, żeby nie odszukał piskląt kot wędrowny*. Gadzina, a jaką posiada mądrość, choć przecież nie skończyła żadnych szkół ani uniwersytetów!

Realizm magiczny

Gdy Biernacki zabiera się za szkicowanie banalnych sporów i namiętności ludzkich, niebezpiecznie buzujących gdzieś w sąsiedztwie bójki, zaczyna sprawozdanie obserwacją prostą, lecz na swój sposób genialną: *Zakotłowało się w izbie, jak w garnku z kapustą na dobrym ogniu, wszyscy od razu zaczęli mówić i kłócić się*. Tego zdania chyba nie można napisać lepiej.

Jednocześnie pozostaje niedoścignionym mistrzem nastroju i rozplątywania komplikacji psychologicznych oraz zawilości egzystencjalnych. Nawet zjawiska przyrody łączą się u niego w sposób naturalny z przeżyciami ludzi, jak choćby w tym fragmencie o dziwnej kresowej mgle, chwilami pięknej, lecz zarazem mrożącej krew w żyłach: (...) *a my jesteśmy w sprawach życia naszego jak ta biała mgła wieczorna, którą zmienny wiatr letni toczy po łąkach i polach. Przygonił ją na suche ścierniska, i oto kurczy się ona, rzędnie, rozplywa... Kiedy uderzy o ścianę wysokiego lasu, czyni się sina i gęsta, jak prawdziwa chmura albo wał wodny. Nad zaroślami leszczyny i młodych sosenek przybiera dziwne postacie, ludzkie i zwierzęce, kłębi się i tańczy, aż strach może przejąć każdego, kto nie zna obyczajów wieczornej mgły. A kiedy stanie nad szerokimi moczarami, na brzegach wielkiej rzeki, wtedy napatrzeć się nie można jej życiu tajemniczemu. Tam zgęści się i wyciąga do góry słupem szerokim, sinym, tam znów wygina się jak hołobla i dnem dotyka do oczeretów i czarnej wody płynącej, gdzie indziej zasłania wąziutkimi pasmami, jakby siatką niebieską, wybujałe szczytki trzciniowego kwiatu...*

Rację ma Stiller, gdy twierdzi (inni jakby tego do tej pory nie zauważyli), że *Straszny gość* to jedyny w literaturze polskiej przykład wybitnego dzieła, które zalicza się do realizmu magicznego. Jak pamiętamy, odmianę tego realizmu doprowadzili do perfekcji Latynosi w latach sześćdziesiątych zeszłego stulecia. Zatem Biernacki w roli prekursora, który o trzydzieści lat wyprzedził modę i czas? Pytanie stale aktualne dla badaczy i krytyków literackich.

Lwowska opowieść

Podczas mojej podróży po Kresach latem 2009 roku miałem bardzo dziwny przypadek. Stało się to we Lwowie, w pobliżu zamienionego na cerkiew unicką neogotyckiego kościoła św. Elżbiety przy dawnej ulicy Sapiehy. W pobliżu tej świątyni wzniesiono niedawno olbrzymi pomnik Stepana Bandery, w pośpiechu kreowanego obecnie na głównego bohatera niepodległej Ukrainy. Spiżowe obeliski i popiersia organizatora UPA stoją dzisiaj na Kresach w każdej najmniejszej nawet wiosce.

Otóż w pobliżu lwowskiego giganta spotkałem zaniedbanego starszego mężczyznę, który przekonywał mnie po rosyjsku, że o północy na cokole pomnika Bandery pojawia się diabeł. Ma rogi, kopyta zamiast nóg i krowi ogon. Wielu spóźnionych przechodniów miało także słyszeć wyraźne pobrzękiwanie łańcuchów. Bijący od starca odór alkoholu kazał odnosić się do jego rewelacji dość sceptycznie. A jednak, będąc świeżo po lekturze *Straszego gościa*, zacząłem zastanawiać się nad przedziwnym zbiegiem okoliczności.

Kostka-Biernackiego skazano za Berezę. Obóz powstał po zamordowaniu przez ukraińskich nacjonalistów ministra spraw wewnętrznych – Bronisława Pierackiego. Głównym uczestnikiem zamachu okazał się Bandera, za co sąd polski skazał sprawcę na karę śmierci, lecz prezydent Mościcki zastosował w tym przypadku prawo łaski. Uwolniony przez Niemców Bandera stał się w czasie drugiej wojny światowej głównym ideologiem i protektorem UPA, formacji, która dopuściła się licznych zbrodni ludobójstwa na Wołyniu

i Podolu, głównie wobec Polaków i Żydów. Nie wiadomo dlaczego publikacje o tych krwawych wydarzeniach zupełnie przemilczają ukraińskie morderstwa dokonane wówczas na osadnikach czeskich, mieszkających na Wołyniu. Za to, co stało się na Kresach, postać z pomnika ponosi więc największą i bezpośrednią winę.

Niestety, prawdy o tym nie da się pochować w zbiorowej mogile. Tylko w niedzielę 11 lipca 1943 roku spalono 167 kościołów na Wołyniu wraz z wiernymi, co daje pojęcie o rozmiarach masakry.

Współczesny historyk ukraiński prof. Petro Poticznyj często idzie pod prąd, gdyż nie ulega propagandowej wrzawie i szanuje fakty, ujawniając niewygodną prawdę, za co nienawidzą go środowiska nacjonalistów. Na przykład podkreśla z całą mocą, że akcja antypolska, jaką w 1943 roku przeprowadziło podziemie ukraińskie, była *bezsensowna i zbrodnicza, w niczym nie pomogła, a przyniosła wiele szkody sprawie ukraińskiej*. Jest to głos osobny, lecz mający szczególną wagę wiarygodnego zeznania świadka historii, ponieważ profesor jako młody człowiek był w oddziale UPA.

Naczytałeś się opowiadań Biernackiego, a tu nagle ktoś we Lwowie, znajdujący się „w stanie wskazującym na spożycie”, usiłuje cię przekonać, że nocami rezyduje na cokole Bandery sam didko, czyli straszdyło. Podobno w późnych godzinach nocnych ludzie boją się tamtędy przechodzić i z daleka omijają niewielki skwer wokół pomnika. Oto jeszcze jedna opowieść kresowa w stylu *Straszego gościa*, dlatego ją tutaj przytoczyłem.

* * *

Jedno nie ulega wątpliwości: kontrowersyjny pułkownik przedwojennej armii polskiej, człowiek do zadań specjalnych, cieszący się bezgranicznym zaufaniem marszałka Piłsudskiego, z mocno pokręconą biografią, a pod koniec życia postać na pewno tragiczna, za którym aż do naszych czasów wlecze się czarna legenda, władał piórem równie sprawnie jak rewolwerem, gdy w młodości jako bojowiec PPS likwidował na ulicach polskich miast agentów carskiej ochrony. *Straszny gość* to – chcąc utrzymać się w konwencji tej literatury o niesamowitościach kresowych i przy tym nie popaść w jakąś okolicznościową przesadę – piekielnie dobrze napisana proza, a w każdym razie chyba „bies namotał w niej węzłów” (artystycznych rzecz jasna) co niemiara. To jeszcze jedno arcydzieło literatury polskiej na nowo odkryte lub może – po wielu latach zapomnienia odzyskane.

Włodzimierz Paźniewski

Książki nadesłane

Wydawnictwo FORMA, Szczecin

Ta sama Europa? Inna literatura? Współczesna proza europejska. Pod redakcją Justyny Czechowskiej i Anny Kramerek-Klickiej. 2010, ss. 175.

Bogusław Kierc: *Bazgroły dla składacza modeli latających*. 2010, ss. 114.

Marcin Bałczewski: *Malone*. 2010, ss. 115.

ZBIGNIEW MASTERNAK

Nous sommes Polonaise*

Ostatecznie skurwiel oddał mi kasę i pojechaliśmy z Renią stopem do Paryża.

– Zielona wróżka – powiedziałem, gdy wreszcie wsiedliśmy do właściwej linii RER. – Właśnie tak niektórzy nazywali absynt. Kto go pił, czuł się magicznie.

– A co to znaczy Montmartre? – zapytała Renia.

– Wzgórze Męczenników – odrzekłem. Kiwnąłem głową, bo z kolei spytała, czy zobaczymy jutro wieżę Eiffela. W jej okolicy, niedaleko stacji kolejowej stała wysoka wieża – przekaźnik telefonii komórkowej. Kiedyś udało się jej wdrapać prawie na wierzchołek. Ponawijałem trochę, że takie wchodzenie na wieżę symbolizuje rozwój. I że gdybym był na jej miejscu, napisałbym opowiadanie zatytułowane „Dwie wieże”.

– I co, wierzysz, że Georges coś ci załatwi? – martwiła się Renia. Spędziliśmy we Francji już ponad miesiąc i nie odłożyliśmy ani grosza. A Renia chciała zarobić trochę kasy na studia. Ja z kolei byłem spłukany po nakręceniu filmu „Stacja Mirsk” i wydaniu własnym sumptem debiutanckiej powieści.

Wzruszyłem ramionami, bo co mogłem jej obiecać? Georgesa poznałem sprzedając książki z chodnika w Kazimierzu. Był polsko-francuskim Żydem. Prowadził w Kazimierzu Dolnym galerię, w której sprzedawał francuskie obrazy. Drugą galerię miał w Paryżu. Namawiał mnie, żebym spróbował kariery we Francji. Chwalił się kontaktami z tutejszymi wydawcami. No to – będąc w Paryżu zadzwoniłem do niego i umówiłem się na spotkanie. Za kilka dni. Wolny czas wykorzystywaliśmy na włóczenie się po stolicy Francji.

– Jak byłam mała, mama pracowała w PKP i mieliśmy darmowe bilety. Zjeździliśmy cały kraj, wiesz, bardzo to lubiłam... – przyglądała się jadącym w metrze ciemnoskórym dziewczynom. Miały długie, kolorowe spódnice. Cyganki z Puław?

– Na wzgórzu Montmartre obcięto kiedyś głowy trzem męczennikom. – Wykorzystywałem wiedzę, którą udało mi się zdobyć przez lata ślęczenia nad książkami, zwłaszcza bedekerami. Może to było mało oryginalne, ale tylko w ten sposób mogłem poznawać świat. Obawiałem się jednak, że moje poznawanie świata zakończy się właśnie na wiedzy z przewodników – będzie powierzchowne i nijakie. – Przez długi czas ludzie omijali to miejsce. Tutaj tylko łopotały skrzydła wiatraków i rozwijała się hodowla winorośli. I właśnie to ostatnie sprawiło, że wzgórze stało się atrakcyjne...

– Dlaczego? – Renia wierzyła, że jestem kimś wyjątkowym. Nie zauważyła, że moje życie to ciągle pasmo niepowodzeń? Jakże niewspółmierna z moim wygórowanym mniemaniem o sobie była rzeczywista sytuacja, w jakiej się znalazłem.

* Fragment powieści pod tym samym tytułem, która wkrótce się ukáže.

Nie odpowiedziałem od razu – zauważyłem, że spodobała się dwóm Muzynom, siedzącym naprzeciw nas. Posłałem czarnym groźne spojrzenia, bo poczułem się zazdrosny. Odwrócili wzrok, zaczęli rozmawiać o meczu, jaki niedawno rozegrało miejscowe PSG z Olympique Lyon.

– Siostry zakonne, uprawiające winorośl, wytwarzały z niej wino. Ponieważ w Paryżu alkohol był obłożony podatkiem, Montmartre stało się miejscem, gdzie można było się tanio napić... Na przykład absyntu...

– Obserwuj – wskazałem wzrokiem artystów na Place du Tertre. – Może w tłumie kiepskich pacykarzy wypatrzysz nowego Picassa? Jarmark sztuki. Kupujcie portrety! Kupujcie pejzaże! Tacy jak Picasso bawili się tutaj, głodowali, i zastawiali swoje dzieła w lombardach – mówiłem, gdy przeciskaliśmy się wśród turystów. Zauroczeni miejscem, nie czuliśmy zmęczenia długą podróżą oraz rozczarowaniem, jakie sprawił mi ten dupek Georges. Zaliczka w euro – to byłoby coś! W wyobraźni widziałem, jak moja książka podbija europejski rynek, jest hitem wydawniczym, jak „Kod Leonarda da Vinci”. Miał załatwić wystawienie „Stacji Mirsk” w jednym z paryskich teatrów. „Może nawet uda się dotrzeć do przedstawicieli francuskiej kinematografii...”, tak mówił przez telefon. Może nawet do Romana Polańskiego, który od afery z nieletnią prostytutką mieszkał w stolicy Francji.

Nad okolicą górowała biała bazylika – Sacre-Coeur. Wiedziałem z informatora, że biel budowli to efekt zastosowania kamienia z Chateau-Landon, który pod wpływem deszczu wydzieliał kalcyt, bieląc mury.

– Kiedyś weźmiemy tam ślub – wskazałem głową w kierunku bazyliki, gdy przystanęliśmy w jednym z licznych zaułków. Przycisnąłem Renię do ściany i zacząłem całować.

– Ała... – jęknęła. – Coś mnie ukuło w tyłek...

– Coś cię ukuło w tyłek i to nie byłem ja? – Wzięłem ją za rękę i poprowadziłem do Cafe Tabac des 2 Moulins, gdzie kręcili „Amelię”. Weszliśmy do baru, który miał wystrój jakby z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku.

– Zobacz, ten sam musztardowy sufit co w filmie... – wskazałem wzrokiem.
– Chodźmy do toalety – szepnąłem Reni do ucha. – Jest koedukacyjna...

Absynt kupiliśmy od sprzedawcy na targu. Spod lady.

– To prawdziwy absynt? – dopytywałem się.

– Prawdziwy! – zapewnił. – Sporządzony według starych reguł. – Może kupi pan także aparaturę? – wskazał na ażurowe łyżeczki i inne akcesoria.

Wydawał się na tyle przekonujący, że nabyłem dwie butelki i potrzebne do rytuału przyrządy.

– Z czego robi się absynt? – zapytała Renia, kiedy skierowaliśmy się do pobliskiego parku.

– Przede wszystkim z kwiatów i liści piołunu oraz anyżu, z dodatkiem kopru włoskiego i hyzopu... – odrzekłem. Kiedyś bardzo interesowali mnie moderniści, wiedziałem wiele na temat ich sztuki, a także codziennych obrzędów.

Kiedy Renata zapytała, dlaczego jest zielony, wyjaśniłem, że to kwestia barwnika.

– A to prawda, że ma właściwości... jak to się nazywa... No, psychoaktywne?

– Przekonamy się...

Rozsiedliśmy się na ławeczce w parku. Do jednej części alkoholu dodałem trzy części lodowatej wody, co spowodowało jego zmętnienie. Dosypałem ażurową łyżeczką cukru.

– Woda go rozpuści – wyjaśniłem. Cukier miał zmniejszyć gorycz.

Zaczęliśmy się raczyć trunkiem. Ach, życie wbrew schematom! Codzienna pogoń za pieniędzmi – won! Wątpliwa kariera – precz! Piliśmy, a wtedy zacząłem widzieć tych, których podziwiałem. Zjawili się w czwórkę: Baudelaire z kobietą, Stasio Przybyszewski z Dagny Juel. Przybyszewski, chociaż najsłabszy artystycznie z nich wszystkich, przewodził tej gromadce.

– Słyszałem, że teraz w Polsce nie ma dobrych pisarzy... – „Meteor” wydał pogardliwe swoje drobne jak u kobiety usta.

– Nie ma... – potwierdziłem.

– Bo nie piją absyntu! – wtrącił Baudelaire i wszyscy gromko zarechotaliśmy.

Rozmawialiśmy o literaturze do późnej nocy. W końcu zauważyłem, że ludzie, z którymi siedzimy, to wcale nie Przybyszewski i Baudelaire z kobietami, a Murzyni i Murzynki z pociągu. Renia chyba wcześniej to spostrzegła, bo nic nie mówiła, tylko spała oparłszy głowę na moim udzie.

– Mieszkacie tutaj? – zapytałem, jakbym dopiero pierwszy raz ich ujrzał. A osuszyliśmy już obie butelki zielonego trunku.

– Tutaj są tańsze mieszkania niż w centrum Paryża. – Murzyn, którego uważałem za Przybyszewskiego, błysnął białymi zębami, w których odbiły się refleksy pobliskiej latarni.

– Jesteście artystami? – zadałem drugie pytanie, jeszcze głupsze od pierwszego.

Popatrzyli po sobie i wybuchnęli gromkim śmiechem.

– Można tak powiedzieć – odrzekł ten, którego uważałem za Baudelaire’a. – Artystami życia...

– Co tworzycie? – nie bardzo rozumiem, co do mnie mówi. – Jakiś performance?

– Pilnujemy, żeby dobrze pracowały – wyjaśnia Przybyszewski. – Na Polach Elizejskich. – Wskazuje wzrokiem na dwie dość ładne, ale bardzo szerokie w biodrach Murzynki. – Jak się ich nie pilnuje, to kurwy strasznie oszukują. I są leniwe...

– A ty też jesteś alfonsem? – pyta rzeczowo Baudelaire. – Twoja kobieta jest bardzo do rzeczy, w dodatku to blondynka – przygląda się śpiącej Reni z zainteresowaniem. – Blondynki we Francji są w cenie...

– Nie, to moja dziewczyna... – wyjaśniam trzeźwiejąc. – Renia, obudź się, czas na nas – zerkam na zegarek – właśnie mija północ. – Za kwadrans mamy ostatni pociąg do Paryża – wyjaśniam Murzynom, chociaż wcale nie jestem przekonany, że w ogóle jeszcze jest jakiś pociąg tego dnia.

Renia budzi się i patrzy nieprzytomnym wzrokiem na towarzyszy naszej libacji.

– Musimy wracać do hotelu – podnoszę się i pomagam dziewczynie wstać.

– Zostańcie jeszcze – nalega czarny Przybyszewski. – Na początku była chuć... – chwytam ją za rękę.

Uderzam czarnucha butelką po absyncie w łeb, aż sypią się szkła. Traci przytomność. Drugi chce mnie dusić, ale w rękę trzymam już drugą butelkę – dostaje w głowę, tyle że butelka się nie rozbija. Poprawiam mu kopniakiem w nos.

I zostawiliśmy tych męczenników na wzgórzu, przy lamencie ich kurew.

Ta przygoda nie zniechęciła nas do wędrówek po Paryżu i okolicach.

– Czuję się trochę jak w pierwszym wagoniku roller-coaster... – uśmiechnęła się Renia, gdy przejeżdżaliśmy przez Paryż „14-stką” – według informacji najnowszej, najnowocześniejszej i najszybszej linią metra. – Pamiętasz, jak do Nałęczowa przyjechało wesołe miasteczko? – chichotała. Namówiła mnie na przejażdżkę na roller-coasterze. Nienawidzę karuzeli i tym podobnych – wsiałem tylko dlatego, żeby nie wyjść na mięczaka. Niestety, gdy to diabelskie urządzenie zaczęło się kręcić, zwymiotowałem na innych pasażerów.

Staliśmy tuż przy szybie, z której rozciągał się niesamowity widok na tunel. Był to jedyny w Paryżu pociąg, którego nie prowadził motorniczy.

– Miałam sen – powiedziała Renia. – Szłam przez Puławy w kozuchu, który mi kupiłeś. Była ze mną Futrzak, moja przyjaciółka. Obie miałyśmy włosy ufarbowane na czarno, zaplecione w długie, grube warkoczki. Nosiłyśmy spódnice – wielobarwne, długie po kostki. Byłyśmy Cygankami... – urwała, bo pociąg zatrzymał się na kolejnej stacji – na całej linii wszystkie drzwi otwierały się automatycznie. Wysiedliśmy, żeby się przesiąść do linii numer „1”.

Zdumiewająca funkcjonalność. Właściwie z każdego miejsca było blisko do jakiejś stacji – wszędzie widniały strzałki, które kierowały na odpowiedni peron. Trzeba było tylko znać docelowy kierunek – nazwa ostatniej stacji była przypisana strzałkom. Na peronie znajdowała się też elektroniczna tablica, która pokazywała czas przyjazdu najbliższych pociągów.

– A ile osób czyta książki! W Warszawie jest ich zdecydowanie mniej... – nie przestawałem się zachwycać. W metrze były zamontowane automaty, do których wrzucało się po kilka euro i wypadała książka – kupiłem „Ulissesa” Joyce’a we francuskim przekładzie.

– Może dlatego, że tamtejsze linie są za krótkie – wtrąciła cierpko Renia; nie lubiła, kiedy przestawałem jej słuchać.

Z głośników leciały kawałki z musicalu *Notre Dame de Paris* z Garou w roli Quasimodo. Powiedziałem o tym Renacie, która kompletnie nie znała francuskiego.

– Aha, pamiętam – powiedziała Renia. – Chociaż bardziej wolę książkę Hugo.

Pewnie chodziło jej o wątek miłosny archidiakona Frollo i tej pięknej Cyganki, chyba Esmeraldy.

– Quasi-mondo, oto jak można nazwać Paryż – powiedziałem. – Ten dzwonnik to pokraka, ktoś, kto wzbudza odrazę, a jednocześnie szacunek. Jak Paryż. – Lubilem się tak wymądrzać – jakim cudem Renata mogła ze mną wytrzymać?

– Jeżeli chodzi o Quasimodo, to cenię sobie tylko tego włoskiego noblistę... – Renia znów się ze mną przekomarzała. – Zobacz, w metrze jest cała masa małych sklepików... – zmieniła temat. – O Boże, co za ceny! Niech tam, w oczekiwaniu na pociąg można sobie przynajmniej pooglądać wystawy...

Myslałem o tym, że metro to współczesny labirynt Minotaura. Raczej – Metrotaura. Rozglądałem się za kimś, kto spełniałby taką rolę.

– Wróciliśmy do Puław z Kazimierza Dolnego, gdzie żebrałyśmy na rynku. Szłyśmy zadowolone, bo naciągnęłyśmy turystów na mnóstwo kasy. Nagle podbiegł jakiś chłopak i wyrwał mi torebkę. Byłam przerażona – bałam się, że ukradł mi telefon, pieniądze, dokumenty. Sprawdziłam kieszenie. Znalazłam telefon i pieniądze. Mimo to zadzwoniłam na policję. Zanim przyjechali, okazało się, że ukradziono mi stary dowód i nieważną legitymację szkolną. Nie były mi już potrzebne – nosiłam twoje nazwisko. Zniknęłyśmy stamtąd

przed przyjazdem policji – oni nie znoszą Cyganów. Poszliśmy na targ. Futrzak kupiła sobie czerwoną bluzkę za trzy złote sześćdziesiąt groszy.

„Też sobie kup – namawiała mnie – zobaczysz, będzie ci pasować”. Nie chciałam, bo nie lubię rzeczy z targu. Poza tym bałam się wyciągnąć portfel – wydawało mi się, że śledzi mnie chłopak, który ukradł mi torebkę.

„Chodźmy stąd!” – powiedziałam do Futrzaka i wróciłyśmy do naszego taboru. Ty byłeś królem naszej grupy. Siedziałeś przy ognisku i patrzyłeś na mnie... – uśmiechnęła się.

– To znaczy, że nadchodzi w naszym życiu czas żebrania – taka była moja interpretacja jej snu.

Dzielnica La Défense, gdzie się udawaliśmy, to była trzecia zona, ale bileterka wyjaśniła nam, że można wysiąść jedną stacją wcześniej i przespacerować się do Grande Arche de La Défense. W ciągu paru dni obejrzelśmy centrum Paryża, teraz przyszła kolej na jego przedmieścia.

Zauważyłem, że przygląda nam się straszny facet, który wyglądał na Cygana z Opola Lubelskiego, ale równie dobrze mógł być Arabem albo Mulatem – nie nauczyłem się jeszcze odróżniać na pierwszy rzut oka ludzi różnych narodowości. Mężczyzna chyba zauważył moje spojrzenie, bo podszedł do nas.

– Twoja dziewczyna ma złote włosy... – uśmiecha się. – My, Romowie, zawsze kochaliśmy złoto. W dawnych czasach nasze kobiety przyozdabiały się wielką ilością naszyjników ze złotych monet, nawlekały je na złote łańcuchy i pozwalały im dyndać na swych pięknych ciałach jak warkoczom czosnku. Trzeba było nie lada wysiłków, żeby dobrać się do ich cycuszków, kołyszących się pod tą masą żółtego metalu... – rechocze rubasznie. – A mężczyźni! – ciągnie. – Jakież to sztuczki wyprawialiśmy z naszym złotem niegdyś w Bułgarii czy w Rumunii! Kilkanaście złotych monet owiniętych w materiał i zaszytych w eleganckiego węża, włożone do spodni, sugerowało, że ma się tam organ godny słońia! Wyobraźcie sobie – stary Cygan zerknął lubieżnie na moją Renię – jak zdumiona była cygańska laseczka, kiedy zdjęła te spodnie... – ponownie zarechotał. – Inna sprawa, że ciężko czymś zaskoczyć cygańską laseczkę, bo ona widziała już wszystko, a poza tym to nie rozmiar imponuje rozsądnym kobietom, raczej technika, wycucie i wigor... – kontynuował swoje przemyślenia niby jakiś Lew-Starowicz. – Gdzie się udajecie?

– Do Grande Arche de La Défense – odrzekłem, bo mimo rubasznego zachowania jakoś nie budził mojej nieufności. – Szukamy jakiegoś taniego noclegu.

– Zapraszam was do naszego obozu...

– Jak to do obozu? – oczami wyobraźni ujrzałem cygański tabor znany ze starych obrazów i fotografii.

– Przekonacie się – starzec był tajemniczy. Podczas drogi opowiadał nam o zwyczajach swego narodu. – Dawniej wszystko było prostsze. Weźmy na przykład znaki, którymi się posługiwaliśmy. Były rysowane patykami na ziemi albo kawałkiem węgla na ścianie i to wystarczało. Kiedy zdarzyło ci się przebywać z dala od taboru twojego szczepu, pozostawiałeś za sobą ślady, że tędy siedleś lub żeby udzielać istotnych wskazówek tym, którzy szli po tobie...

– O czym mówiły te znaki? – wtrąciłem, gdy wysiedliśmy na dworcu pod Wielkim Łukiem. Pod tym monumentem-biurowcem znajdował się węzeł komunikacyjny z końcową stacją metra nr „1”. Były jeszcze dworce – kolejowy i autobusowy. Jako były prymus wiedziałem ponadto, że Wielki Łuk stał

na linii będącej przedłużeniem Paryskiej Osi Historycznej, zaczynającej się od Luwru, a kończącej na Łuku Tryumfalnym. W Wielkim Łuku mieściły się galerie wystawiennicze, biura i instytucje państwowe, jak również tarasy widokowe – to zauważyłem już po wyjściu na powierzchnię.

– Na przykład „tutaj są hojni ludzie, przyjaźnie nastawieni do Cyganów”, albo „już okradliśmy to miejsce” – mówił stary Cygan, gdy przemierzaliśmy dzielnicę La Défense. Centrum biznesowe, wystawiennicze, rozrywkowe, transportowe. Na jej terenie znajdowało się także kilkanaście ekskluzywnych apartamentowców. – Były też znaki informujące, gdzie jest woda dla koni, gdzie są świny i kurczaki do ukradnięcia albo że w tym mieście mieszka wielu głupców, którzy wierzą w przepowiadanie przyszłości. Można też było zostawić informacje użyteczne dla wróżbiarzy, którzy przybyli tu po tobie: „ta kobieta chce mieć syna” albo „ten staruszek wkrótce umrze”.

– Dlaczego tutaj nie jeżdżą samochody? – Uderzył mnie kosmiczny spokój tego miejsca.

– Całkowita izolacja ruchu pieszego od kołowego... – wyjaśnił rzeczowo nasz przewodnik. – Wiecie, do niemal wszystkich wieżowców można dojechać drogami wewnętrznymi znajdującymi się w podziemiach.

Popatrzyliśmy z Renią po sobie, jak byśmy słuchali Cygana z Kazimierza Dolnego – pilnowali swoich żon wróżących na rynku naiwnym warszawiakom.

– Wątpicie w moje słowa? – obrusza się stary Cygan. – Dlaczego? Wiem, co mówię, wiercie mi. Jak mogłoby być inaczej? Kiedy coś wam mówię, mówię wam dlatego, że wiem, iż to prawda. Jestem już zbyt stary, żeby kłamać. A to, co tutaj mówię, mówię przede wszystkim do siebie, a dopiero potem do was. Okłamałbym was bez wahania, gdyby mogło mi to przynieść jakąś korzyść. Ale teraz? Tylko absolutna prawda. O, tutaj mieszkają ludzie z mojego taboru – wskazuje wysoki nowoczesny budynek, który wygląda jak dekoracja do „Gwiazdnych wojen”.

– Niemożliwe... – mówi Renata, gdy tłumaczę jej na polski słowa naszego przewodnika. – Ten staruch tutaj mieszka? Pewnie jest tutaj sprzątaczem?

– Twoja złotowłosa dziewczyna mi nie wierzy? – domyśla się. – Patrzy na starego Perhana i nie wierzy, że jest bogaty. A czy wy wiecie, że ja byłem kiedyś Królem Wszystkich Cyganów?

Wjechaliśmy windą na ostatnie piętro budynku. W urządzonym z niesamowitym przepychem wnętrzu stary Cygan klasnął w dłonie i zjawiły się dwie kobiety w średnim wieku.

– To moje żony – wyjaśnił. Powiedział do nich coś po cygańsku. – Zaraz przygotują obiad. Będziecie moimi gośćmi – powiedział. – Rozgośćcie się, a ja pójdę się przebrać.

Nie mieliśmy nic przeciwko – w ramach oszczędności od rana jedliśmy tylko bagietki. Nie wiedzieć czemu, po głowie zaczęła mi się błąkać piosenka Maryli Rodowicz. Zacząłem ją pogwizdywać: „Dawne życie poszło w dal, dziś na zimę ciepły szal”...

– Co to? – dopytywała się Renia.

– E, taka tam stara piosenka... – Rozglądałem się po mieszkaniu. Było bardzo nowoczesne, a jednak znajdowało się w nim wiele wykonanych starymi technikami wyrobów kowalskich. Dzieła sztuki złotniczej. Metalowe naczynia. Drewniane meble – wykonane w nieznanym dla mnie stylu. Wszędzie naustawiano drewnianych mis, łyżek, sit, koszy, był nawet żłób dla konia

i świńskie koryto. I wiele wyrobów stolarskich. Miałem wrażenie, jakbym się znajdował w muzeum kultury i sztuki cygańskiej.

– Widzę, że podziwiasz moje zbiory – wraca gospodarz przebrany w tradycyjny cygański strój, zwiewny i niezwykle barwny. – Staramy się ocalić od zapomnienia życie naszych przodków. Zapraszam na taras.

Rozsiadamy się w wiklinowych fotelach. Z tarasu rozciąga się widok na cały Paryż.

– Wszystko się zmienia. Cyganie także musieli się zmienić. Mój szczerp mieszka w całym tym wieżowcu. Wszyscy pracują w banku, który założyliśmy dwadzieścia lat temu.

To, co mówił, zupełnie nie przystawało do romantycznego stereotypu Cygana – wiecznego włóczęgi i złodzieja. W międzyczasie jego kobiety przyniosły jedzenie na drewnianych misach i podały drewniane noże, widelce i łyżki.

– Ludzie nazywają tę potrawę „cygański kociołek” – wyjaśnił Perhan. – Kiedyś przygotowywaliśmy dania tylko z tego, co znaleźliśmy na polach. Z tego, co ukradliśmy. Kabaczek, strąki papryki czerwonej, zielonej i żółtej, ziemniaki, pieczarki, cebula, pomidory, łyżka cukru, gotowane mięso, dwie łyżki oleju, ziele angielskie, listek laurowy, cząber, sól, pieprz, natka pietruszki, szklanka rosółu... – wymieniał. – To bardzo proste składniki, a jakie smaczne! – zachwalał.

Potrawa kojarzyła mi się z daniami z kuchni węgierskiej czy rumuńskiej, ale może to dlatego, że przecież wiele szczepów romskich zamieszkiwało dawniej tamte tereny.

Gdy kończyliśmy jeść, zjawili się niespodziewani goście – stary i młody. Perhan przedstawił nas jako swych przyjaciół, a o tamtych powiedział, że to przedstawiciele Rady Cyganów z Amsterdamu. Byli właścicielami dużego kasyna na południu Holandii.

– Perhan, musisz znowu zostać naszym królem – poprosił po francusku młody człowiek, typ znany mi z Puław i Opatowa, gdzie chodziłem do liceum.

– Chłopcze, mam już po dziurki w nosie tego wszystkiego. Władza po prostu mi obrzydła. Nadszedł czas, bym odszedł na dobre. Chcę dożyć tutaj reszty swoich dni.

– Perhanie, nie poradzimy sobie bez króla. Radziliśmy sobie przez pięć lat, ale teraz sprawy za bardzo się komplikują. Wielcy spośród Romów chcą wybrać nowego władcę. Nie będą już dłużej czekać. Jeżeli naprawdę nie chcesz wrócić, jesteśmy gotowi wybrać kogoś innego na twoje miejsce.

– W dawnych latach na ziemi nigdy nie istniał ktoś taki jak Król Wszystkich Cyganów... – wyjaśnił mi Perhan, gdy się przysłuchiwałem ich rozmowie.

– To był tylko mit. Wymysł Romów, aby mydlić oczy gadziom, albo może wymysł samych gadziów, którzy chcieli sobie mydlić oczy, bo często tak właśnie robią. Mieliliśmy królów – prawda – całe ich mnóstwo: w każdym szczepie, w każdej wędrującej grupie. Musiał być przecież ktoś w rodzaju przywódcy, ktoś inteligentny, silny, z wyczuciem sprawiedliwości, ktoś, kto miał autorytet w grupie i potrafił ją skupić wokół siebie, żeby mogła stawiać czoło przeciwnościom losu, zwłaszcza że wędrowaliśmy przez wrogie kraje z ich dziwnymi prawami. Ale król? Jeden potężny król Cyganów, który sprawowałby władzę nad milionami wędrujących Romów, rozproszonych po wszystkich zakątkach Ziemi? Taki ktoś nigdy nie istniał...

Znów pogwizdywałem swoją piosenkę, którą tak bardzo lubiła moja matka: „Cztery kąty i okna ze szkła”...

– Bardzo ładna melodia – Perhan przerwał na chwilę swoją opowieść. – Nie nudzę pana? – A gdy zaprzeczyłem ruchem głowy, kontynuował:

– Byliśmy wtedy biednymi ludźmi. Śmieciami Ziemi, brudnymi, niechlujnymi włóczęgami, którym nikt nie ufał, a ponieważ gadzie obawiali się nas, zawsze nas zaczepiali, przyglądali się nam uważnie i zadawali mnóstwo głupich pytań. To był ich sposób, aby dopasować nas jakoś do schematów swego nudnego życia. Kiedy przybywaliśmy w nowe miejsce, musieliśmy się starać o pozwolenia na osiedlenie się, jakieś dokumenty potwierdzające obywatelstwo i inne bzdurne papiery. Nie mieliśmy szacunku dla tych wszystkich żądań, bo niby dlaczego miałyby nas obowiązywać prawo gadziów, skoro mieliśmy swoje, dużo lepsze? Ale jednak Ziemia stanowiła ich terytorium, ich było wielu, a my nieliczni, oni byli bogaci, a my biedni, oni mieli władzę, a my nie mieliśmy nic. Zatem musieliśmy grać w te ich głupie gry. Mówiliśmy im po prostu to, co chcieli usłyszeć. Był to najprostszy i najbardziej skuteczny sposób radzenia sobie z tymi ich wszystkimi idiotyzmami. A gdy jeden z naszych taborów przybywał do ich miasta, chcieli przede wszystkim wiedzieć, czy jest wśród nas jakiś przywódca, który mógłby nas kontrolować i powstrzymać przed szerzeniem chaosu w mieście.

„Kto tu rządzi?” – pytali. „Nasz król, oczywiście” – odpowiadaliśmy – albo księżę, hrabia, markiz, w zależności, jaki tytuł najbardziej im pasował. „To ten mężczyzna” – wskazywaliśmy człowieka, który wcale nie był rzeczywistym wodzem szczepu. Prawdziwy wódz trzymał się raczej z tyłu, aby gadzie nie mogli go wziąć jako zakładnika albo zaszkodzić mu w inny sposób. Wysyłaliśmy kogoś, kto wyglądał na króla – wysokiego, barczystego Roma z błyszczącymi oczami i długimi wąsami, który mógł być nikim w szczepie, ale za to dobrze wypadał, rozkazując donośnym głosem i grając rolę bardzo ważnego człowieka. On właśnie mówił gadziom wszystko, co chcieli usłyszeć. „Tak, jesteśmy praworządnymi chrześcijanami i nie będziemy wam sprawiać żadnych kłopotów. Zostaniemy tutaj tylko na chwilę, naprawimy wasze garniki, naostrzymy wasze noże i odjedziemy w dalszą drogę”.

I tak rozchodziły się wieści, że najlepszy sposób radzenia sobie z Cyganami to porozmawiać z ich królem. Inaczej równie dobrze można porozmawiać z wiatrem, falami i piaskiem na plaży. Oczywiście, wcześniej czy później musiało paść pytanie, czy istnieje Król Królów, władca wszystkich szczepów. Tak, naprawdę mamy wielkiego króla – mówiliśmy im. Dlaczego nie? Skoro sprawiało im to przyjemność, a oni chcieli wierzyć w takie bzdury: że jesteśmy jednym narodem rozproszonym po świecie, że mamy swojego króla, tak jak oni mają swojego, i że jego słowo jest prawem dla naszych szczepów. Bardzo ich podniecały i trwożyły nasze tajemnice. Mieliśmy własne zwyczaje, swój język. Przychodziliśmy i odchodziliśmy nocą. Przepowiadaliśmy przyszłość. Byliśmy kieszonkowcami, kradliśmy kurczaki i jeśli tylko nadarzyła się okazja, porywaliśmy też małe dzieci i wychowywaliśmy je na Cyganów. No i mieliśmy króla, który kierował nami w tej sekretnej wojnie, jaką wiodliśmy przeciw całej cywilizowanej ludzkości. Wierzyli w te wszystkie brednie. Powiedz gadziowi jakąś głupotę, a on będzie to przerabiał, upiększał, powtarzał, aż stanie się ona dla niego najprawdziwszą z prawd.

Kiedy gdzieś w jakimś miejscu kilka szczepów schodziło się razem na festiwal, gadzie wyobrażali sobie zaraz, że wybieramy nowego króla. Czy wybieracie nowego władcę? A my robiliśmy bardzo poważne miny – tak, tak,

nasz stary król umarł, a my wybieramy najsilniejszego, najmądrzejszego i najlepszego z nas na następcę. Czasami nawet faktycznie przeprowadzaliśmy parodię elekcji, jeśli można było coś na tym zyskać. A potem mówiliśmy gadziom: oto nasz nowy król. Nadawaliśmy im dziwne imiona, które w naszym języku brzmiały obraźliwie. Im bardziej sprośne słowa wymyśliśmy, tym lepsza była zabawa. Znajdowaliśmy jakiegoś przystojnego Roma, zazwyczaj z próżnią zamiast mózgu, nosiliśmy go na rękach jako króla Cyganów, a on uśmiechał się łaskawie. Gadzie byli pod wrażeniem – płacili spore pieniądze, żeby być świadkami koronacji, płacili za robienie zdjęć, za przyglądanie się naszym śpiewom i tańcom w tradycyjnych strojach, a my krążyliśmy między nimi i opróżnialiśmy ich kieszenie. Nie dlatego, że byliśmy kryminalistami, ale dlatego, że chcieliśmy ukarać ich za ich głupotę. I gadzie odchodzili potem wielce zadowoleni, bo widzieli koronację cygańskiego króla. W końcu jednak przyszedł czas, że naprawdę wybraliśmy króla. To było dziesięć lat temu. To ja nim zostałem. Pod moimi rządami Cyganie wkroczyli w nową epokę.

- Dlaczego zrezygnowałeś? – zapytałem, chłonąc jego słowa.
- Nie wszyscy chcieli realizować mój plan. – Popijał herbatę.
- A jaki to był plan? – dopytywałem się.
- Chciałem, żebyśmy się zajęli organizacją lotów kosmicznych. Stworzyli gwiazdną flotę, która zagwarantowałaby ruch międzyplanetarny. I co ty na to?

- Tylko koni, tylko koni, tylko koni, tylko koni żal – zanuciłem.

Następnego dnia zapuściliśmy się w głąb dzielnicy Clichy-sous-Bois. Cały czas było u nas krucho z kasą – wynieśliśmy się z hostelu, w którym mieszkaliśmy przez parę dni. Słyszałem, że w tej okolicy można było znaleźć jakiś opuszczony lokal i się tutaj zadekować na kilka dni. Od razu uderzyło mnie, że tutejsze bloki mieszkalne znajdują się w żalonym stanie. Wiele mieszkań było już tak zniszczonych, że je zamurowano. W budynku naprzeciwko widniały rzędy zabitych deskami okien. Wszędzie poniewierały się hałdy śmieci. W pobliżu nie było żadnej apteki, a do sklepów trzeba jechać kilka kilometrów. Patrzyliśmy, jak barczysty facet w czarnej skórzanej kurtce – skojarzył mi się z jakimś ukraińskim gangsterem – pomiata młodym Arabem. W pierwszej chwili pomyślałem, że to jakieś bandyckie porachunki.

- Przecież już mnie kontrolowałeś! – oburzył się chłopak. – Kontrolujesz mnie codziennie, chociaż wiesz, że jestem niewinny. Chcesz mnie sprowokować? Tak? O to ci chodzi? Żeby mieć pretekst do aresztowania? Nie dam ci w mordę, chociaż mam na to ochotę.

Mężczyzna stał się agresywny. Zaczął krzyczeć i wyzywać chłopaka. Popchnął go, groził mu pałką. W końcu rzucił go na ziemię i skuł kajdanami.

- Ten facet to gliniarz... jest z BAC-u... – pociągnąłem Renię za rękę i weszliśmy do jednego ze zrujnowanych bloków. Nie chcieliśmy przyciągnąć uwagi policjanta. Niedawno siedliśmy sobie na trawie w jednym z parków, żeby coś przekąsić i zaraz pojawiła się żandarmeria, żeby nas wylegitymować. Nie wiedziałem, że Francja stała się krajem policyjnym. Nic dziwnego, że na klatce schodowej widniał napis sprayem: „Nienawiść”.

- Z BAC-u? Ale nie z Armenii? – Renia próbowała jak zwykle obrócić całą sprawę w żart, chociaż było widać, że brutalność policji ją zaniepokoiła.

- To brygada antykryminalna – wyjaśniłem. – Wiesz, ubrani po cywilnemu policjanci, którzy rządzą biednymi przedmieściami francuskich miast. Są jak armia okupantów. Przepełnia ich nienawiść do miejscowych. Przechadzają

się w pobliżu wejść do dużych bloków i zaczepiają każdego młodego, jakiego zobaczą. Słyszałem o tym od Georgesa, ale nie wierzyłem. Żądają dokumentów, a gdy kontrolowany się przeciwstawi, jest bity i kończy w areszcie. Jakoś nie wspominają o tym media z prorządowego nurtu – powiedziałem do Renaty, gdy obserwowaliśmy z ukrycia, jak młody Arab został wepchnięty do samochodu z zaciemnionymi szybami. Pojazd ruszył z piskiem opon.

W klatce schodowej, w której się skryliśmy, nie było nawet światła. Winda zdawała się nie działać od lat.

– Zobaczysz, kiedyś tutaj wybuchną zamieszki przeciwko niesprawiedliwości, a zwłaszcza przeciwko brutalności policji.

– I będzie to usprawiedliwiony bunt... – wtrąciła Renia.

Przypomniałem sobie, jak sam miałem kłopoty z policją – z powodu wydania mojej debiutanckiej powieści.

Scena nadaje się do sfilmowania:

„Jutro się pakuję i jadę szukać stacji w Lublinie – mówię do Reni, bo do mnie zadzwoniła. – Już bardzo się za tobą stęskniłem. Teraz siedzę w domu i piszę.

– Dziś w nocy miałam dziwny sen. Szłam do chatki Żeromskiego. Trafiłam do marketu, w którym mój nauczyciel historii – Skorup – przekonywał, że powinni go zamienić w nową szkołę. Poszłam dalej, przez pola. Po zbożu jechała karetka na sygnale, za nią radiowóz policyjny. Zboże było już dojrzałe. Zaraz za karetką jechała straż pożarna. Gnały w kierunku lasu. Szłam polną drogą. Tymczasem maluchem nadjechała Futrzak. Zabrała mnie do środka. Miała mnie zawieźć pod chatkę Żeromskiego. Drugą ręką malowała plakat, który miał być reklamą nowej szkoły. Na plakacie była przedstawiona uśmiechnięta kropka. „Skup się na drodze, przecież dopiero niedawno dostałaś prawo jazdy! – mówię do Futrzaka. – Daj, ja narysuję ten plakat”. „Nie, muszę sama – zaprotestowała. – Skorup mi kazał, bo nie chciałam mu wrywać włosów z nosa!”. „W takim razie – zatrzymaj się!”. Jedną ręką zatrzymała malucha, a drugą ciągle rysowała. Przeszłam przez jakieś tory w lesie i znalazłam się przy chatce. Składała się z odwróconych tyłem kart. Zastanawiałam się, jak do niej wejść, kiedy nagle zaczęła się palić. Karty sparzyły mi dłoń. Nadjechały karetka pogotowia, straż pożarna i policja. Strażacy gasili pożar, felczer opatrzył mi rękę, a policja przeprowadzała dochodzenie...

Rozłączam się, bo na podwórko przed moim rodzinnym domem położonym u podnóża Gór Świętokrzyskich zajeżdżał radiowóz. Czy to aby nie policjanci ze snu Reni przyjechali w sprawie dochodzenia. Zbiegam po schodkach i wyglądam przez judasza. Za drzwiami stoi prawdziwy Judasz – mój kolega z licealnej klasy – Kolia. Towarzyszy mu kaptur Pikuś.

– O, jest – ucieszył się kaptur Pikuś. Z osiem lat temu był świeżo upieczonym kapturkiem i przyjechał w sprawie spalonego gołębnika mojego ojca. W naszej okolicy nie działo się zbyt wiele, więc na parę lat zlikwidowano posterunek w Baćkowicach. Przywrócono go w zeszłym roku. Widokiem Kologii byłem zaskoczony. Zatem to tak wyglądała jego kariera po studiach prawniczych. Został stójkowym.

– O co chodzi? – niecierpliwie się.

– Narozrabiałeś w „wielkim świecie” – w głosie Kologii pobrzmiwa zawiść. Z pewnością czytał wywiady, których udzieliłem prasie – tam często pisano, że wyrwałem się z świętokrzyskiej wsi w wielki świat. A Kolia? Zamiast mecenasem został wsiowym gliniarzem. To było znacznie poniżej jego chobrośliwych ambicji.

– Niby jak narozrabiałem? – denerwuję się. Dotąd żaden sąd nie postawił mi zarzutów w sprawie handlu podróbkami kart telefonicznych. Ale może wytropili coś jeszcze? Mimo że starałem się być uczciwym obywatelem, polskie państwo nie stwarzało mi zbyt wielu możliwości do godziwego życia. To była przyczyna wszystkich moich kombinacji. A ich efekt? Miałem prawie dwadzieścia siedem lat, a dotąd jeszcze nigdzie nie przepracowałem uczciwie jednego tygodnia.

– Chodzi o PKP – Pikuś posapuje z emocji. Na jego świńskiej, porośniętej jasną szczeciną niby zad prosiaka gębie odmalowuje się uroczyste napięcie. Wielki detektyw Pikuś wpadł na trop gigantycznej afery, której rozwikłanie przyniesie mu awans na jeszcze większego Pikusia.

– Jak to o PKP?

Czyżby dopatrzyli się jakichś nieprawidłowości w wykorzystaniu dwóch opuszczonych stacji kolejowych podczas kręcenia „Stacji Mirsk”.

– Jeździłeś na gapę! – cedzi z satysfakcją Kolia. Ci kretyni przyjechali, żeby mi zawracać głowę paroma niezapłaconymi biletami kredytowymi? I to ma być ten wielki świat, w którym narozrabiałem? Kto mógł stać za tą sprawą? Jezusek – wójt mojej gminy. Mścił się, że ośmieszyłem go w swojej książce. Z tego powodu nie kandydował do sejmu. A teraz jego kundelki – posterunek policji mieścił się w urzędzie gminy – przybiegły mnie podgryzać.

– A co was to obchodzi?

– Jechałeś trzy razy... – cedzi Pikuś. – Trzeci niezapłacony przejazd traktowany jest jak próba wyłudzenia. Musimy cię przesłuchać w tej sprawie.

– Dajcie mi kwity, to od razu zapłacę i wypier... – nie kończę tego, co chciałbym powiedzieć. Ze stójkowymi lepiej nie zadzierać – wykończyli już niejednego Janka Muzykanta. A potem szczerzyli bezmyślnie kły. – Nie mam czasu...

– A co robisz? – warczy Kolia.

– Piszę książkę...

– I znów będą to takie brednie jak ostatnim razem? – okazuje się, że starszy kaptur Pikuś w chwilach wolnych od tropienia złodziei drobiu zajmuje się także krytyką literacką.

– Zostawcie wezwanie na jutro, to przyjadę... – sytuacja wydaje mi się coraz bardziej groteskowa. – Zgodnie z prawem możecie do mnie przyjechać, jakbym się nie zjawił na wezwanie. A przecież nie było nakazu stawiania się...

– Przyjeżdżaliśmy do ciebie przez pół roku, ale cię nie było... – mówi Kolia. W jego tępowych oczach widnieje niechęć. Nie może się pogodzić z tym, że o mnie robi się coraz głośniejsze, a on jeździ zdezelowanym polonezem.

– Teraz musisz z nami jechać... – piknął Pikuś.

Śmieję mu się w twarz.

– Zamknijemy cię na czterdzieści osiem godzin w areszcie... – grozi Kolia. – Za stawianie oporu podczas aresztowania! – pieni się jak wściekły kundel.

– Jakie stawianie oporu? – śmieję się. – Jakiego aresztowania?

– Tak? – zaperza się Kolia. – Walnę głową w ścianę. Zeznamy, że to ty mnie uderzyłeś... I co wtedy będzie? Nas jest dwóch, a ty sam...

To rzeczywiście było możliwe. Nie zamierzałem jednak spuszczać z tonu.

– Nie pojedę, bo... spojrz tam – wskazuję na pranie suszące się na sznurze rozwieszonym w sadzie. – Wszystko uprałem...

– Jedź w tym, co masz... – upiera się Kolia i wskazuje wzrokiem na piłkarski dres, który mam na sobie. Jest już bardzo poplamiony, poprzecierany i połatany. Nie spaliłem go jeszcze tylko ze względu na sentyment do młodych lat.

– Zadzwoń do dziennikarzy... – Wściekam się i sięgam po komórkę. Ich postępowanie wydaje mi się niezgodne z prawem.

– Nigdzie nie bedziesz dzwonił! Jus my cie zaro tak usadzimy, ze ani piśnies!
– wyrwa się po wiejsku Pikusiowi, w końcu pochodzi z Nieskórzowa.

– Włóż mokry sweter i spodnie, na waszą odpowiedzialność... – zdejmuję ciuchy ze sznura przed domem i przebieram się. Wszystko jest mokre, bo lato mamy deszczowe. Ubieram się i wsiadam do auta.

– Nie wojuj, bo niczego nie zwojujes! – popikuje Pikuś, a Kolia gna policyjnym rżchem po wyboistej drodze przez Nieskórzów do Baćkowic. Dobrze, że nie włączył koguta. – Myślis, ze jesteś łod nos lepszy?

– Mam w dupie was i całą tę zasraną okolicę... – cedzę.

– To sie stond wyprowadź, dobrze ci radze! – dobrze mi radzi Pikuś, a Kolia kiwa głową z aprobatą.

– Z pewnością zniknę na jakiś czas. Ale kiedyś wrócę. Bez wątpienia! – siedząc na tylnym siedzeniu, patrzę w lusterko. Spuszczam wzrok, bo mijamy idących pod sklep Suchego i Ajmsorrego. Zaglądają do środka, żeby zobaczyć, kogo dorwali Pikuś i Kolia.

– To jak jeździłeś? – pyta Pikuś, gdy siedzę w obskurnym pokoiku, szumnie nazywanym posterunkiem policji. Sam zasiada przy biurku. Wali grubymi paluchami, nawykłymi do roboty w oborze i w polu, w klawisze maszyny.

– Nie wiesz, jak się jedzie pociągiem? – drwię. – Wsiada się do przedziału i się jedzie...

– A dokąd jeździłeś? – pyta podchwytliwie.

– Do matki... – smutnieję. – Przyjeżdżałem do niej na gapę, bo nie miałem pieniędzy, ratowanie jej zdrowia pochłonoło wszystkie moje dochody... – gryzę się w język, bo niby skąd miałem dochody, skoro nigdzie oficjalnie nie pracowałem. Etatu u Tygrysa nie mogłem sobie wpisać do CV.

– A gdzie jest twoja matka? – detektyw Pikuś tropi wielką afere.

– Na cmentarzu... – odcinam. – Pokazać ci grób?

Milknie. Upisał się ze dwie strony. Myślę o tym, że jednak moje działania przyniosły jakiś efekt. Zostały dostrzeżone przez wójta i całą resztę. Ich oceny były dla mnie ciągle ważniejsze od opinii recenzentów najpoczytniejszych gazet.

– Podpisz protokół... – żąda Pikuś.

Podpisawszy, mówię:

– Pamiętaj, ja kiedyś też spiszę swój protokół z tej sprawy...

Cięcie.

Niniejszą retrospektywą dotrzymałem słowa. Ale wróćmy do naszej wyprawy w poszukiwaniu lokalu do zamieszkania na parę dni, dopóki nie spotkam się z Georgesem i nie wyciągnę od niego jakiejś kasy albo roboty.

– Tutaj będzie dobrze – powiedziałem, gdy weszliśmy na trzecie piętro po odrapanych schodach. Całe były w wulgarnych napisach sprayem. Po drodze mijaliśmy gromadki Murzynów, którzy przyglądali się nam ze zdziwieniem. Byli tak zaskoczeni widokiem tutaj pary młodych białasów, że nie reagowali.

– Po co my się tutaj pchamy!?! – cały czas syczała mi do ucha Renata.

– Zobaczysz, będzie dobrze! – uspokajałem ją, ale cały byłem spięty. Że też taki głupi pomysł przyszedł mi do głowy!

Weszliśmy do lokalu – był pusty. Miał odrapane ściany. Okno było wybite.

– To tutaj – powiedziałem.

Przez całą noc Renata nie mogła usnąć. Spaliśmy w śpiworach. Staralem się trzymać wartę. Ale w końcu zmógł mnie sen. Obudziło mnie zdecydowane szarpnięcie.

– Co tutaj robicie? – ktoś świecił mi latarką w twarz.

– Kto pyta? – starałem się dostrzec, z kim mam do czynienia.

– Policja.

Z jednej strony mi ulżyło, że to nie jakiś właściciel lokalu wrócił się upomnieć o swoją własność, z drugiej – to wcale nie była dobra wiadomość.

Zastanawiałem się tylko, jak tutaj nas znaleźli? Czyżby te jebane czarnuchy na nas doniosły?

– Obserwujemy was od dłuższego czasu – powiedział jeden z nich – co tutaj robicie?

– Szukaliśmy noclegu...

– Tutaj??? – rozległ się głośny śmiech. – Te czarne małpy zjedzą was żywcem. – Zabieraj swoją śliczną dziewczynę i zmiatajcie stąd!

Wyszliśmy z nimi z budynku.

– To może podrzucicie nas do centrum?

– A co to, uważasz nas za taksówkarzy? – burknął jeden z nich.

Wzruszyłem ramionami – a już myślałem, że zaskoczy mnie pozytywnie i okaże się lepszy od stójkowych z mojej rodzinnej okolicy.

Po tych wydarzeniach nie mogłem się doczekać spotkania z Georgesem. Zbliżała się godzina dwunasta – skierowaliśmy się piechotą do dzielnicy Marais. Im bliżej byliśmy galeryjki Georges'a, tym natarczywiej mówiłem Reni o swojej spodziewanej karierze we Francji. Zamierzałem być głosem moich rówieśników.

– Czy moje „Księstwo” stanie się kiedyś epopeją narodu polskiego?

Renia nie odpowiedziała, więc kontynuowałem monolog:

– Bagno – powiedziałem – to właśnie oznacza nazwa tej dzielnicy. – W języku francuskim wiele słów oznaczających trywialne rzeczy brzmi bardzo pięknie. Niegdyś te strony słyęły głównie z żab i komarów.

Renia wciąż była na mnie zła – zawiedziona, że wrócimy do domu z pustymi rękoma. Myślałem o tym – a była to kolejna trywialna myśl – że początki wielkich artystów były zwykle trudne. Weźmy takiego Hugo. Właśnie mijał jego dom przekształcony w muzeum. A zaczął jako biedak. Z tego powodu do końca życia pozostał skąpiradłem. Poniosła mnie wyobraźnia – mój dom jako muzeum eksponujące portrety mojej rodziny, moje maszynopisy, koszulki piłkarskie, drobiazgi przywiezione z pobytu we Lwowie, a może i z tej wyprawy francuskiej. Z innych podróży, które planowałem odbyć – najpierw po europejskich stolicach, a potem po całym świecie? Ha! Ha! Ha!

Zbigniew Masternak

DOMINIK WACKO

Topografia Lublina

dzisiaj nawet menele bywają progresywni.
Znąją angielski (na Rynku), francuski (plac Litewski);
nie mówiąc o łacinie, również klasycznej.

Gołębie i w zimie potrafią narobić na dobry nastrój.

Podmiot liryczny niezdarnie przemierza Krakowskie
też Przedmieście. Celowo unika przecinków.
Przecinki prowadzą do kropek. I szpitala.

– ... i no, jak se weszłem, prawda, mówię, co nie
... – ale masz fajne tipsy, jaaaa
... – no, chodźmy do Legendy
... – (...) *w niedorzeczności bezpiecznie trwać.*

Gdzie Perła lana z imbirem za 4,50. Iluzja upojenia.
Albo radości. Siedmiokrotna.

Sytuacja liryczna powoli wychodzi. Się klaruje. Odbiorcy.
Być może.

Zawroty głowy, urojenia wzrokowo-dźwiękowe.
Za mało krwi w alkoholu? Słowa kolejny raz w czyn przepite?
Odpowiedzi za drzwiami, do których znowu zgubiły
się klucze.

Powódź, czyli topografia Lublina 2

nie trzeba jej ewokować. Jest nawet na humaniku.

Również w Paragrafie, gdzie najbardziej lubię siedzieć
(szaf tam nie ma, ale jest rym,
przy szafie, może wyrwę nań
kilka par trzepoczących rzęs)

też są.

Czasami odnoszę wrażenie, że niebycie powodzianinem
jest trendy, slit i w ogóle.

(W Stacyjce podróżowało piwo).

Aż chce się walnąć focię na fejsia z jakimś powodzianinem.

(W tym nawiasie następuje dużo niedopowiedzeń).

Rozprzestrzenia swoje wpływy na Rynek, a Litwini
swobodnie mogą zapomnieć o rozkładaniu namiotów na Placu.

(Krótkie przejście i kolejny motyw, dalej dodekafonia).

Pan z Miodu też jest niepowodzianinem.
Dlatego dla niego na końcu stawiam „się”,
bo pan Miodzio, że nieładnie tak na końcu,
to ja „się” w prezencie

i niech topi się cała metafora pseudo wszystkiego.

Ponieważ Modry Z twórca zaczął wreszcie pościć.
Ja nie przestaję

być

powodzianinem. Bo nie lubię być trendy, slit.
Bo nie lubię być. W o g ó l e. Nie lubię b y ć.

Winda. Akademik

szóste piętro zaprasza do piekła.

Można tam spotkać Sokratesa, Nickiego, usłyszeć
Mefisto walc. Na siódmym: „chuj ci w dupę, nie mam
twojego odkurzacza”. Nic szczególnego.

Nieco dalej Różewicz *idzie przez tłum,*
jak przez powietrze. Ósme to próżnia aprioryczna,
a dziewiąte należy do Bacona, Modiglianiego, van Gogha
i ciepłej Starogardzkiej. Staje się jasne,
że byt jest, a odbytu nie ma. Arkadyjski czar blaknie.
Na szczęście w domu czeka na mnie
muzyka z szeroko rozstawionymi nogami
w podwiązkach. Poezja? Poezja już dawno temu
została burdelmamą.

(Nie) winda. Akademik

(całkiem to erotyk) Marii

znowu zostawiam siebie na portierni.
Inaczej przecież nie wejść.

Jednak tym razem nie spotkam się z Sokratesem,
Nickim, nie będzie *Mefisto walc*.

To nie będzie tutaj stało!

Tym razem ja *przejdę przez tłum,*
jak przez powietrze.

Do ciebie.

(Tycjan schował się pod biurkiem. Pollock zachlał.
Rubens skulony w kącie na półce. Vermeer zgonuje.)

Ja włączam Ciemność*. I słuchamy tej Ciemności.
Za nic mając marzenia senne.

Tylko siebie. Do zwiedzania. Siebie w sobie,
dla siebie.

Nie wracam do domu.

Bo Ty jesteś moją muzyką
Z szeroko rozstawionymi nogami w podwiązkach.

29.10.2010 r.

Dominik Wacko

* Burzum po polsku – *ciemność*.

DANIEL GÓRECKI

„Wrzeczono frezarki ryksztosuje w sankach”, czyli o problemach tłumaczeniowych w „Latającym Cyrku Monty Pythona”

Grupa Monty Pythona wywarła w Polsce na tyle silny wpływ, że Polacy „angielski typ poczucia humoru” wydają się utożsamiać w dużym stopniu z żartami tworzonymi przez członków owej brytyjskiej formacji. Na czym polega ten wyjątkowy, ale też kontrowersyjny „Pythonowski” humor?

Skecze zawarte w programach *Latającego Cyrku Monty Pythona*, a także w zrealizowanych przez komików filmach pełnometrażowych w znacznej mierze opierają się na absurdzie. Spotykamy m.in.: wyjątkowego mechanika rowerowego – prawdziwego bohatera wśród zwykłych Supermenów, Anglika uczącego języka włoskiego rodowitych Włochów czy też gangsterów planujących całkowicie legalny skok. Isabel Taylor podkreśla, że absurd polegający na negowaniu reguł logiki jest charakterystyczny nie tylko dla Monty Pythona, ale dla całego brytyjskiego humoru. Według niej, twórczość „Pythonów” przypomina np. świat stworzony przez Lewisa Carrolla w książce *Po drugiej stronie lustra* – drugiej części *Przygód Alicji w krainie czarów*. Choć wiele przedstawionych tam zdarzeń wydaje się nie mieć sensu, jednak w obliczu reguł obowiązujących w wymyślonym świecie okazują się one całkowicie logiczne¹.

Tytuł artykułu Tomasza Beksińskiego: *Żadnych świętości*², doskonale charakteryzuje kolejną cechę humoru prezentowanego przez członków *Latającego Cyrku Monty Pythona* – nie oszczędzali oni nikogo i w żaden sposób nie dawali się ograniczać. Odcinek *Seks i przemoc* (*Sex and Violence*) to swoista odpowiedź na pytanie zadane przez jednego z pracowników BBC: „Czy w skeczach znajdują się elementy seksu i przemocy?”. Tematem „Pythonowskiej” scenki mogło stać się wszystko. Nieważne były poglądy religijne ani narodowość. Komicy nie omijali tematów związanych z mniejszościami seksualnymi, mimo że Graham Chapman sam był gejem. Pojawiały się także elementy „znęcania się” nad zwierzętami, czego świetnym przykładem jest skecz *Muzykalne myszy*, w którym artysta „zachęca” myszy do śpiewania, tłukąc je młotkiem.

W czasach walki o równouprawnienie kobiet przedstawicielki płci pięknej przedstawiane były przeważnie jako stare, zrzedliwe staruszki, grane przez samych członków grupy. W innych przypadkach rola kobiet ograniczona została do bycia „przedmiotem pożądania”: w jednym z epizodów pojawia się piękna uwodzicielka mleczarzy, w kolejnym – żona na oczach własnego męża uprawia seks z doradcą w poradni małżeńskiej. Najczęściej w tego rodzaju scenach obsadzana była Carol Cleveland.

Nawet niewinnie rozpoczynająca się bajka dla dzieci, w której elf Ricky wybiera się z wizytą do Stokrotki, przechodzi w pikantną, pełną podtekstów erotycznych opowieść. W innym ze skeczów pracownik zakładu pogrzebowego zamiast tradycyjnego pochówku proponuje klientowi zjedzenie zmarłej

¹ I. Taylor: *Exploring Englishness*. „Albion Magazine Online” 2004 nr 2, <http://www.zyworld.com/albionmagazineonline/features2.htm>, 5 maja 2010.

² T. Beksiński: *Żadnych świętości*. „Machina” 1996, nr 9.

matki. Jak zwraca uwagę Beksiński: choć „skecz powstał krótko po śmierci matki Terry’ego Jonesa”³, komik nie zastanawiał się długo, czy tego rodzaju żart będzie stosowny.

Polscy tłumacze *Latającego Cyrku Monty Pythona*

Fakt, że twórczość Monty Pythona stała się znana i ceniona w Polsce, to w znacznej mierze zasługa powstałych przekładów, które przybliżyły widzom poczucie humoru angielskich komików. Po raz pierwszy skecze „Pythonów” przybliżył Polakom Tomasz Beksiński – wielki fan ich dokonań. Jego tłumaczenia wszystkich odcinków *Latającego Cyrku Monty Pythona* oraz filmów pełnometrażowych zostały przyjęte na tyle entuzjastycznie, że mimo ukazania się kolejnej wersji przekładu, autorstwa Elżbiety Gałązki-Salamon, to właśnie z powstałej w latach osiemdziesiątych translacji Beksińskiego najczęściej korzystają fani, publikujący w Internecie teksty skeczów w języku polskim, oraz artyści prezentujący twórczość grupy we własnych adaptacjach⁴. Przekład Elżbiety Gałązki-Salamon ukazał się najpierw w książce *Latający Cyrk Monty Pythona – tylko słowa*, zawierającej pełny tekst wszystkich skeczy, a potem został wykorzystany podczas produkcji zestawu płyt DVD z zapisem całej serii programu. Gałązka-Salamon przetłumaczyła także na nowo „Pythonowskie” filmy pełnometrażowe.

Między obydwojema wersjami przekładów występują istotne różnice. Po pierwsze, każdy z nich powstał w innym czasie, a co za tym idzie – w innych realiach. Widać to wyraźnie na przykładzie skeczu pod tytułem *Quiz komunistyczny (Communist Quiz)*, w którym prowadzący przepytuje Mao Tse-tunga, Lenina, Karola Marksa i Che Guevarę z zagadnień dotyczących brytyjskiej kultury i sportu. Jedno z pytań brzmi:

Wersja oryginalna	Tomasz Beksiński	Elżbieta Gałązka-Salamon
Teddy Johnson and Pearl Carr won the Eurovision Song Contest in 1959. What was the name of the song? (<i>Latający Cyrk Monty Pythona</i> [LCMP], odc. 25).	Na corocznym festiwalu w Jarocinie w 1989 roku zwyciężył pewien zespół z Warszawy. Jaki to zespół? ⁵	Teddy Johnson i Pearl Carr zdobyli w 1959 Grand Prix Festiwalu Eurowizji. Jaki tytuł nosiła zwycięska piosenka? (s. 26) ⁶ .

Jak można zauważyć, Beksiński całkowicie zmienił oryginalne pytanie i dopasował je do współczesnych sobie realiów, co z pewnością było bardziej zabawne i zrozumiałe dla widza w czasach, gdy Polska nie uczestniczyła jeszcze w konkursach Eurowizji, a festiwal ten nie cieszył się w naszym kraju dużą popularnością. Sam Beksiński podsumował tego rodzaju zabiegi w następujący sposób: *Dowcip o Wąchocku dla Anglików będzie niezrozumiały. Trzeba im podać nazwę angielskiej wiochy, która się podobnie kojarzy. Na tej samej zasadzie musiałem pewne rzeczy przenieść na grunt polski*⁷. Niewykluczone jednak, że tego rodzaju problem w ogóle nie zaistniałby, gdyby tłumaczenie powstało w podobnym czasie co wersja Elżbiety Gałązki-Salamon. Obecnie można założyć, że znaczna część Polaków spotkała się z nazwą festiwalu

³ Tamże.

⁴ Podobne znaczenie dla fanów mają tłumaczenia serii filmów o Jamesie Bondzie, także dokonane przez Beksińskiego. Po śmierci Tomasza Beksińskiego przekładem serii o agencie 007 zajęła się również Elżbieta Gałązka-Salamon.

⁵ Fragmenty przekładu Tomasza Beksińskiego cytuję dalej na podstawie strony internetowej: <http://www.modrzew.stopklatka.pl/skeczpol.html>, 18 kwietnia 2010.

⁶ E. Gałązka-Salamon: *Latający Cyrk Monty Pythona – tylko słowa*. Tom 2. Wydawnictwo RM, Warszawa 2006.

⁷ A. Saramonowicz: *Python numer siedem*. „Gazeta Wyborcza” 9 grudnia 1994 (dodatek „Magazyn”, nr 49).

Eurowizji, a co za tym idzie oryginalne pytanie przestaje być dla tłumacza problematyczne – bez dłuższego namysłu można je oddać dosłownie.

Kolejną kwestią jest znaczna różnica w dostępie do źródeł. Czasy, w których powstawał przekład Elżbiety Gałązki-Salamon, pozwoliły tłumaczce skorzystać z dużo większej liczby publikacji, takich chociażby, jak obszerne słowniki, a także – co jeszcze istotniejsze – z informacji dostępnych w Internecie. Beksiński nie dysponował tego rodzaju „ułatwieniami”, co mogło mieć wpływ na niektóre z przyjętych przez niego rozwiązań. Można to zaobserwować chociażby na następującym przykładzie:

Wersja oryginalna	Tomasz Beksiński	Elżbieta Gałązka-Salamon
Anthrax ripple (LCMP, odc. 6)	Wrzodowa galaretka	Delicja wąglikowa (s. 77) ⁸

„Anthrax ripple” to nazwa jednej ze specyficznych słodczy produkowanych przez wytwórnię czekoladek Whizzo. Obecnie pierwszym przychodzącym na myśl odpowiednikiem tego angielskiego wyrazu jest „wąglik” – groźna choroba zakaźna wywołana bakteriami wągliką. Tą drogą poszła Gałązka-Salamon. W czasie powstawania tłumaczenia Beksińskiego znaczenie to nie było jeszcze tak rozpowszechnione. Dowodem może być fakt, że nie zawsze odnajdziemy go w słownikach, m.in. w *Wielkim słowniku angielsko-polskim* pod redakcją Jana Stanisławskiego. Być może ta kwestia zadecydowała o zastosowaniu przez Beksińskiego innego rozwiązania: użyty przez niego przymiotnik „wrzodowy” jest zgodny z *Wielkim słownikiem angielsko-polskim*, gdzie wyraz „anthrax” („wąglik”) przetłumaczono jako „wrzód”⁹.

Trzecia różnica między obydwoma wersjami jest spowodowana odmienną strategią translacyjną przyjętą przez tłumaczy. Beksiński często zdawał się na własną intuicję i dążył do tego, aby za wszelką cenę zachować w pełni żarty obecne w oryginale. Stąd nierzadko wprowadzał elementy kultury języka docelowego w miejsce realiów związanych z kulturą języka oryginału. Choć dla Elżbiety Gałązki-Salamon zachowanie dowcipu także miało znaczenie zasadnicze, nie było ono nadrzędne wobec innych aspektów przekładu. Różnice w podejściu do tłumaczenia i w podejmowanych decyzjach można zaobserwować m.in. na następujących przykładach:

Wersja oryginalna	Tomasz Beksiński	Elżbieta Gałązka-Salamon
I can only give you name, rank and why did the chicken cross the road? (LCMP, odc. 1).	Powiem wam tylko moje nazwisko, stopień oraz jak oszwabić hitlerowca.	Mogę wam wyjawić jedynie nazwisko, stopień służbowy i to, dlaczego kura przebiegła przez szosę (s. 13).
– It was a pun. – A pun? (LCMP, odc. 8).	– To był kalambur. – Kangur?	– To był kalambur. – Kalambur? (s. 112).

Pierwsza z podanych kwestii pochodzi ze skeczu *Najśmieszniejszy dowcip świata (The Funniest Joke in the World)*. Wypowiada ją aliancki żołnierz,

⁸ E. Gałązka-Salamon: *Latający Cyrk Monty Pythona – tylko słowa*. Tom 1. Wydawnictwo RM, Warszawa 2004. Pozostałe fragmenty przekładu autorstwa Elżbiety Gałązki-Salamon cytowane są także na podstawie tego wydania.

⁹ J. Stanisławski: *Wielki słownik angielsko-polski z suplementem*. Red. naukowy Wiktor Jassem. Wiedza Powszechna, Warszawa 1982.

przesłuchiwany przez gestapo. Pozornie zdanie nie powinno sprawić żadnych trudności. Fragment „why did the chicken cross the road” („dlaczego kurczak przebiegł przez szosę”) to odwołanie do jednej ze znanych angielskich zagadek. Mimo obcego pochodzenia, nie zawiera ona jednak w sobie żadnego podtekstu ani gry słownej, a odpowiedź na nią, czyli „because it wanted to get to the other side” („ponieważ chciał dostać się na drugą stronę”), to potwierdza. Tłumaczenie dokonane przez Gałązkę-Salamon jest wierne znaczeniu zdania wypowiedzianego w języku angielskim. Beksiński postanowił natomiast zmodyfikować oryginał. Choć użyta przez niego fraza „oszwabić hitlerowca” jest wysmienitą grą słowną, potwierdzającą pomysłowość tłumacza, można ją także uznać za niepotrzebną ingerencję w tekst i próbę „ulepszenia” oryginału.

Drugi z przykładów pochodzi z jednego z najbardziej znanych skeczów grupy pod tytułem *Martwa papuga (Dead Parrot)*. Sprzedawca, pytany dlaczego powiedział klientowi, że ten nie przyszedł do sklepu w Bolton, lecz w Ipswich, twierdzi, że był to jedynie swoisty kalambur. Klient ze zdziwieniem powtarza słowo „kalambur”. Beksiński ponownie uznaje tę wypowiedź za dobrą okazję do wprowadzenia dodatkowego żartu i zamiast dosłownego tłumaczenia używa podobnie brzmiącego słowa – „kangur”. Sprawia to, że wypowiedź klienta brzmi jakby się przesłyszał, co dla odbiorcy przekładu może wydać się zabawne, ale jednocześnie stanowi kolejny dowód na wprowadzanie przez tłumacza „ulepszeń” w oryginale.

Problemy tłumaczeniowe w *Latającym Cyrku Monty Pythona*

Z punktu widzenia tłumacza *Latającego Cyrku Monty Pythona* ważna jest nie tylko kwestia oddania żartów w języku docelowym, ale także szereg innych aspektów, które w końcowym rozrachunku mogą przyczynić się do powstania spójnego przekładu. Przytoczone poniżej przykłady ilustrują różnorodność problemów tłumaczeniowych oraz rozwiązania, na jakie zdecydowali się Beksiński i Gałązka-Salamon.

Żadna z tobą ssabaffa, czyli o charakterystycznym akcencie postaci

Grupa Monty Pythona bohaterami skeczów czyniła postacie różnych narodowości, a każdej z nich nadawała charakterystyczny akcent. W przypadku wspomnianego już wcześniej *Najśmieszniejszego dowcipu świata* gestapowiec posługuje się angielszczyzną stylizowaną na język niemiecki:

Wersja oryginalna	Tomasz Beksiński	Elżbieta Gałązka-Salamon
Vott is the big joke? (LCMP, odc. 1).	Co to za dowcip?	Co to za kafał? (s. 13).
Zat is not funny!	To nie jest zabawne!	To nie jest ssabaffne! (s. 13).

Sposób, w jaki mówi odgrywający postać nazisty John Cleese, nadaje zupełnie wyjątkowe brzmienie zadawanym przez niego pytaniom i dodatkowo wzmacnia komizm sytuacji. W celu zachowania pełnej wymowy żartu tłumacz także powinien zwrócić uwagę na ten aspekt. Jego głównym zadaniem staje się w takim wypadku podkreślenie nietypowego sposobu artykulacji wyrazów. Beksiński zupełnie zlekceważył tę kwestię, skupiając się jedynie na oddaniu znaczenia zdań. Z kolei Elżbieta Gałązka-Salamon, poprzez ubezdźwięcznienie głosek „w” i „z” w słowach „kawał” i „zabawne”, skierowała uwagę odbiorcy na charakterystyczną wymowę niemieckiego oficera, tym samym zachowując w przekładzie dodatkowy element komiczny.

Nie kopie się w wiaderko tylko w kalendarz,
czyli o wyrażeniach idiomatycznych

Wyrażenia idiomatyczne stanowią ważny element chociażby w skeczcu pod tytułem *Martwa papuga*. Od ich poprawnego oddania w języku docelowym zależy nadanie właściwego wydźwięku wypowiedzi klienta, poirytowanego indolencją sprzedawcy:

Wersja oryginalna	Tomasz Beksiński	Elżbieta Gałązka-Salamon
<p>It's not pining! It's passed on! This parrot is no more! It has ceased to be! It's expired and gone to meet its maker! It's a late parrot! It's a stiff! Bereft of life, it rests in peace! If you hadn't nailed it to the perch it would be pushing up the daisies! It has kicked the bucket, run down the curtains and joined the bleedin' choir invisible!! This is an exparrot!</p> <p>(LCMP, odc. 8).</p>	<p>Nie usycha, ale już uschła! Tej papugi już nie ma! Przestała istnieć! Odeszła na spotkanie ze swoim stwórcą! To zdechła papuga! Sztynniak! Opuściło ją życie, teraz spoczywa w spokoju! Gdyby nie przybił jej pan do żerdzi, wachałaby kwiatki od spodu! Strzeliła w kalendarz i śpiewa teraz w anielskim chórze! To jest expapuga!</p>	<p>Nie usycha z tęsknoty, tylko wysycha po śmierci! Ta papuga odeszła! Dokonała żywota! Wyzionęła ducha i wróciła do swego stwórcy! To świętej pamięci papuga! Truposz! Wydała ostatnie tchnienie, a teraz spoczywa w pokoju! Gdyby nie przybił jej pan do drążka, wachałaby kwiatki od spodu! Kopnęła w kalendarz i powiększyła grono aniołków. To jest ekspapuga! (s. 111).</p>

Pan Pralina (Mr. Praline), używając całej listy obrazowych sformułowań, stara się dobitnie podkreślić, że zakupiony przez niego ptak nie jest – wbrew temu co twierdzi ekspedient – ogłuszony ani zmęczony wyjątkowo długim skrzeczeniem, ale po prostu martwy i jedynie dla niepoznaki przybity do żerdzi. Idiomy jako zwroty charakterystyczne dla danego języka wymagają dużego wyczucia tłumacza. Ponieważ wyrażenia takie nie posiadają często dosłownego odpowiednika w innym języku, niezbędne staje się znalezienie sformułowania o zbliżonym znaczeniu, które u odbiorcy wywoływałoby podobne skojarzenia co zwrot użyty w oryginale.

Pierwsze stwierdzenie to swoista gra słów – pan Pralina odpowiada sprzedawcy, który dowodził, iż ptak nie rusza się, ponieważ tęskni za fiordami. Druga część wypowiedzi informuje, że papuga nie tęskni, ale co najwyżej tęskniła za fiordami. W języku angielskim słowa „pinning” i „passed on” zaczynają się od tej samej głoski i ten element łączy obydwie części zdania. Przekładając pierwszy wyraz, tłumacze użyli wyrażenia „usycha z tęsknoty”, nadając w ten sposób wypowiedzianej kwestii silne zabarwienie emocjonalne, podobne do tego, jakim cechuje się użyty w oryginale angielski czasownik „to pine”. Posunięcie to pozwoliło także na udane połączenie owego sformułowania z drugą częścią wypowiedzi pana Praliny. Tomasz Beksiński zmienił czas teraźniejszy na przeszły w słowie „usychać”, co nadało zdaniu inny wydźwięk i wprowadziło dwuznaczność: wyraz „uschła” nabiera dla odbiorcy innego sensu, gdy weźmiemy pod uwagę, że mowa o martwym ptaku. Wersja Elżbiety Gałązki-Salamon jest bardziej opisowa. Autorka przekładu wykorzystła słowo bliskoznaczne do „usychać”, a więc – „wysychać”. Przy takim rozwiązaniu zmuszona jednak była dodać sformułowanie „po śmierci”, aby uszczegółowić znaczenie czasownika. Dopiero wtedy mogła przekazać

grę słów bez ryzyka, że widz nie zrozumie w pełni sensu i dwuznaczności wypowiedzi.

Spośród szeregu wyrażen idiomatycznych obecnych w tym fragmencie warto zwrócić uwagę na jeszcze jedno. Przekład zdania „It has kicked the bucket” dowodzi, jak łatwo tłumacze mogą popełnić błąd, niewłaściwie dobierając sformułowanie w języku docelowym. Elżbieta Gałązka-Salamon przetłumaczyła frazę jako „kopnąć w kalendarz”, co stanowi jej dokładny odpowiednik w języku polskim. Beksiński użył natomiast sformułowania „strzelić w kalendarz”. Wersja ta, mimo że także zrozumiała dla odbiorcy, jest zniekształconym wyrażeniem, niezgodnym z prawidłowym brzmieniem polskiego idiomu, i dlatego nie powinna raczej wystąpić w przekładzie.

Glutaminian sodu a ptasie mleczko, czyli nazwa nazwie nierówna

Kolejne przykłady obrazują problemy, jakie mogą sprawić tłumaczowi nazwy, których właściwy przekład decyduje w dużym stopniu o sposobie odbioru danej sceny przez widza. Kwestię ową dobrze ilustrują fragmenty dotyczące składników czekoladek wytwórni Whizzo (skecz *Chrupiąca żabka*):

Wersja oryginalna	Tomasz Beksiński	Elżbieta Gałązka-Salamon
Superintendent thought it was an almond whirl (LCMP, odc. 6).	Inspektor sądził, że to migdał.	Superintendent sądził, że to grylaż migdałowy (s. 76).
Oh yes it does, on the bottom of the box, after monosodium glutamate.	Owszem, wśród składników wymienione jest ptasie mleczko.	Jest na spodzie pudełka, zaraz po „glutaminianie sodu” (s. 77).
I've got a lovely cuttlefish for you.	Mam dla ciebie smakowite śniadanko.	Dam ci smakowitą mątwę (s. 110).

W pierwszym fragmencie przesłuchiwany przez policję wytwórca czekoladek wyjaśnia, dlaczego produkowane przez niego słodczyce przygotowywane są z użyciem tak dziwnych składników, jak choćby tytułowe chrupiące żabki. Trudność polega na znalezieniu odpowiednika dla angielskiego słowa „superintendent”. Beksiński postanowił w tym wypadku posłużyć się wyrazem „inspektor”. Takie rozwiązanie oddaje funkcję piastowaną przez policjanta i jest zrozumiałe dla odbiorcy. Gałązka-Salamon pozostawiła obco brzmiące słowo „superintendent”, co z kolei pozwoliło przypomnieć polskiemu widzowi, iż ma do czynienia z innymi realiami kulturowymi. Minusem wydaje się fakt, że słowo to jest słabo rozpowszechnione w języku polskim i odbiorca może go nie zrozumieć lub przypisać mu niewłaściwe w tej sytuacji znaczenie (choćaby poprzez skojarzenie ze słowem „intendent”, oznaczającym *pracownika administracji zarządzającego działem gospodarczym instytucji*¹⁰).

Warto przy okazji zwrócić uwagę na kwestię przekładu nazwy „almond whirl”. Beksiński zdecydował się dokonać uproszczenia i przetłumaczył zwrot jako „migdał”. Być może nie miał pomysłu, jak oddać oryginalne pojęcie, lub wyszedł z założenia, że użycie owego słowa wystarczy, aby odbiorca wyobraził sobie sytuację spożywania żaby ukrytej w czekoladzie. Choć rozwiązanie to pozwala zachować ogólne znaczenie oryginału, jednak powoduje jednocześnie nieznaczne zubożenie wersji angielskiej. Elżbieta Gałązka-Salamon wprowadziła do tekstu pojęcie „grylaż migdałowy”. Według definicji propo-

¹⁰ Słownik języka polskiego, tom 1. Red. M. Szymczak. PWN, Warszawa 1978.

nowanej przez *Słownik języka polskiego* gryłaż to masa otrzymywana przez roztarcie cukru z orzechami, migdałami itp., jako nadzienie karmelków¹¹. Wydaje się, że wersja ta bliższa jest oryginalnej wypowiedzi i lepiej oddaje zawarte w niej intencje.

Drugi z przykładów także pochodzi ze skeczu *Chrupiąca żabka*. Wytwórca czekoladek wymienia wśród składników słodocy między innymi „wymiociny skowronka” („lark’s vomit”). Zapytany przez przesłuchującego go policjanta, czy informacja o tym nietypowym dodatku została podana na opakowaniu, odpowiada, że nazwa ta znajduje się tuż za „glutaminianem sodu” („monosodium glutamate”). Elżbieta Gałązka-Salamon oddała w pełni sens oryginału, tłumacząc wypowiedź producenta czekoladek dosłownie. Inaczej postąpił Beksiński, który zasadniczo zmienił znaczenie oryginalnego zdania – w jego wersji nie pojawia się żaden związek chemiczny, tylko „ptasie mleczko”. Zabieg ów miał niewątpliwie na celu wprowadzenie do skeczu dodatkowego elementu humorystycznego. Można go jednak uznać również za kolejną nieuzasadnioną próbę „ulepszania” oryginału, do czego nierzadko uciekał się Beksiński.

Ostatni z przykładów pochodzi ze skeczu *Martwa papuga*. Problematyczna okazuje się nazwa stworzenia: „cuttlefish”. Gałązka-Salamon przetłumaczyła ją jako „mątwą”, co stanowi odpowiednik nazwy angielskiej. Proponowane przez Beksińskiego „śniadanko” ma zapewne na celu uczynienie tekstu bardziej zrozumiałym dla odbiorcy (zakładając, że nie wszyscy zdają sobie sprawę, czym jest mątwą).

Czekoladki Whizzo, czyli nie wszystko musi być smaczne

Jak można zauważyć, wierne oddanie sensu nazw czekoladek pojawiających się w skeczu *Chrupiąca żabka* stanowi dla tłumacza interesujące wyzwanie. Należy przy tym podkreślić, że poza wymyślnymi określeniami, w tekście nie odnajdziemy żadnych dodatkowych wskazówek, jak wyglądają owe słodczy. Wiele zależy więc od zrozumienia, wyobraźni i pomysłowości tłumacza. Poniższe kwestie dobrze obrazują naturę problemu:

Wersja oryginalna	Tomasz Beksiński	Elżbieta Gałązka-Salamon
Whizzo Quality Assortment (LCMP, odc. 6)	Wyrób ze znakiem jakości Whizzo	Mieszanka Wyborowa Whizzo (s. 76)
Cockroach cluster	Masa karalusza	Karmelowe karaluszki (s. 77)
Spring surprise	Sprężysta niespodzianka	Wiosenna niespodzianka (s. 77)

Pierwszy z przykładów dotyczy bombonierki produkowanej przez wytwórnię Whizzo. Słowo „assortment” Gałązka-Salamon przetłumaczyła jako „mieszanka” i ta wersja wiernie oddaje znaczenie angielskiej nazwy, stanowiącej określenie pudełka czekoladek. Beksiński postąpił zupełnie inaczej. Jego wersja („wyrób ze znakiem jakości”) stanowi znaczne uproszczenie oryginalnego terminu, który w tej postaci niekoniecznie kojarzy się ze słodczymi.

W kolejnym przypadku zarówno Elżbieta Gałązka-Salamon, jak i Tomasz Beksiński użyli słownikowego znaczenia wyrazu „cockroach” („karaluch”), zachowując w ten sposób wyróżniającą cechę „przysmaku” produkowanego przez Whizzo. Problem stanowi druga część nazwy – „cluster” (dosł.

¹¹ Tamże.

zbitka, skupisko, gromada), którą można w tym kontekście przetłumaczyć na przykład jako „masa” (tak zrobił Beksiński). Mankamentem tego rozwiązania jest fakt, że inspektor wypytuje o rodzaje czekoladek w bombonierce, a słowo „masa” kojarzy się z gęstą, ale płynną substancją. Gałązka-Salamon oddała, co prawda, zawartą w oryginale aliterację, ale poza tym słowo użyte w tłumaczeniu („karmelowy”) nie ma z oryginałem nic wspólnego. Innym rozwiązaniem byłoby wprowadzenie nazwy „krówki z karaluzkiem”, co u Polaka powinno wywołać skojarzenie z cukierkiem, którego konsystencja przypomina gęstą, ciągliwą masę, a jednocześnie pozwala zachować aliterację obecną w tekście źródłowym.

W ostatnim z przytoczonych przypadków elementem, który może wprowadzić w błąd tłumacza, jest wyraz „spring”. Beksiński oddał oryginalne wyrażenie jako „sprężysta niespodzianka”, podczas gdy Gałązka-Salamon użyła sformułowania „wiosenna niespodzianka”. Rozstrzygnięcie, która z tych wersji lepiej odpowiada tekstowi źródłowemu, staje się prostsze, gdy uwzględnimy podany tym razem opis czekoladki. Rozpływając się nad jej wyjątkowymi właściwościami, pan Milton, właściciel fabryki Whizzo, wspomina, że *włożenie czekoladki do ust powoduje wyzwolenie metalowych szpikulców, które przebijają obydwą policzki*¹². W tej sytuacji to Beksiński oryginalną nazwę przetłumaczył w sposób trafny, ponieważ propozycja Gałązki-Salamon nie oddaje niezwykłych właściwości owego „smakołyku”.

Nikt nie spodziewa się hiszpańskiej inkwizycji,
czyli jak torturować suszarką do naczyń

W *Latającym Cyrku Monty Pythona* pojawia się także znaczna ilość gier słownych, które stanowią niemałe wyzwanie dla skrupulatnego tłumacza¹³. Odwołajmy się chociażby do skeczu *Hiszpańska inkwizycja*:

Wersja oryginalna	Tomasz Beksiński	Elżbieta Gałązka-Salamon
Trouble at mill. One of the cross beams has gone out askew on the treadle (LCMP, odc. 15).	Młyn się popsuł. Jedno z żaren wypadło z mimośrodą.	Znów mam kłopoty w stalowni. Wrzeczono frezarki ryksztosuje w sankach (s. 202).
Give the rack a turn.	Rozciągnij kratę.	Wersja I Przystąp do łamania podejrzanego kołem (s. 204). Wersja II Pokręć korbą.

Pierwszą kwestię wypowiada pracownik jednego z zakładów w miejscowości Jarrow, gdzie rozgrywa się akcja skeczu. Zdanie to nie dość, że opiera się na trudno zrozumiałym żargonie technicznym, zostało dodatkowo wyartykułowane niewyraźnie. Przekład Beksińskiego niewiele ma wspólnego z tekstem angielskim. Rozbieżność wynika głównie z niewłaściwej interpretacji wyrazu „mill” jako „młyn”. W efekcie kolejne wprowadzone przez tłumacza słowa (np. „mimośród” czy „żarna”) nie odpowiadają frazie oryginalnej, lecz sytuują się w obrębie znaczeń związanych z działaniem młyna. Wyraz „mill” lepiej w tym kontekście przetłumaczyć jako zakład przemysłowy, tym bardziej że na ekranie

¹² *When you pop it in your mouth steel bolts spring out and plunge straight through both cheeks (Chrupiąca żabka. Latający Cyrk Monty Pythona, odc. szósty, <http://orangecow.org/pythonet/sketches/crunchy.htm>, 30 III 2010.*

¹³ Zob. E. Gumul: *O grze słów w przekładach list dialogowych Latającego Cyrku Monty Pythona*, (w:) *Kultura popularna a przekład*. Red. P. Fast. Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 2005, ss. 65-79.

pojawiają się dymiące kominy fabryk, a akcja skeczu rozgrywa się na początku dwudziestego wieku, czyli w czasach, gdy w Jarrow kwitł przemysł stoczniowy. Elżbieta Gałązka-Salamon nazywa zakład „stalownią”, co decyduje z kolei o doborze reszty słów (takich jak „frezarka” czy „sanki”). Przykład ten wydaje się bliższy oryginałowi, a zbudowana w logiczny sposób kwestia oparta została na grupie słów równie trudnych do wymówienia jak w zdaniu angielskim.

W drugim wypadku istotę gry słownej stanowi słowo „rack”. W zależności od kontekstu może ono oznaczać suszarkę do naczyń lub koło do łamania kości. Rozbieżność między obydwoma znaczeniami uwidacznia się, gdy kardynał Biggles, mający przystąpić do torturowania kobiety oskarżonej o głoszenie herezji, zamiast przyrzędu do łamania kości wyciąga suszarkę. W tej sytuacji tłumacz nie tylko musi zachować dwuznaczność, która stanowi podstawę żartu, ale jest także znacznie ograniczony poprzez obraz oglądany na ekranie przez widza. Beksiński postanowił oddać oryginalne zdanie za pomocą wyrażenia „rozciągnij kratę”. Rozwiązanie to umożliwia odbiorcy dostrzeżenie pomyłki Biggles’a oraz zwraca uwagę na podobieństwo między obrazem kraty i suszarki, ale niekoniecznie pozwala wychwycić sens rozciągania kraty, gdy kardynał kręci w powietrzu niewidoczną korbą. W wersji książkowej Elżbieta Gałązka-Salamon postanowiła posłużyć się polską nazwą narzędzia tortur, lecz pisząc o łamaniu kołem, straciła dwuznaczność obecną w tekście oryginalnym – powiązanie tłumaczenia z akcją widoczną na ekranie zostało tym samym utrudnione. Być może dlatego w wersji zamieszczonej na płycie DVD¹⁴ „rack” staje się „rusztem”, co dobrze współgra z przedmiotem wydobywanym przez Biggles’a. Polecenie wydane kardynałowi brzmi tu „pokręć korbą”. Choć zdanie to można by zapewne bardziej uszczegółowić (np. „obracaj ją na ruszcie”), wypowiedź owa – nawet w wersji bez zmian – pozostaje w zgodzie z ruchem wykonywanym przez inkwizytora.

Czy najśmieszniejsze dowcipy świata są nadal zabójcze w tłumaczeniu?

Dwuznaczność jest konstytutywną cechą wielu żartów tworzonych przez grupę Monty Pythona, choćby tych pojawiających się w skeczu *Najśmieszniejszy dowcip świata*. Fakt ów znacznie utrudnia właściwy przekład, a nierzadko wręcz uniemożliwia oddanie sedna żartu bez istotnego odstępstwa od oryginalnego tekstu. Poniższe przykłady przedstawiają istotę problemu oraz pokazują, jak w podobnych przypadkach poradzili sobie tłumacze:

Wersja oryginalna	Tomasz Beksiński	Elżbieta Gałązka-Salamon
– My dog has no nose. – How does he smell? – Awful. (LCMP, odc. 1).	– Mój pies nie ma nosa. – A co z węchem? – Śmierdzi okropnie.	Wersja I – Mój pies zgubił latarkę. – Więc czym świeci? – Oczyrna. (s. 12)
		Wersja II – Mój pies nie da się wzdzić za nos. – A za pachy? – Za pachy też nie.

¹⁴ G. Chapman, J. Cleese, T. Gilliam, E. Idle, T. Jones, M. Palin: *Latający Cyrk Monty Pythona. Cała seria*. Python (Monty) Pictures Limited, 2006.

<p>How do you make a Nazi cross? Tread on his corns.</p>	<p>Jak zrobić skaczącą swastykę? Nadepnąć Szwabowi na odcisk.</p>	<p>Wersja I Jak rozruszać hitlerowca? Nastąpić mu na odcisk (s. 13).</p> <p>Wersja II Jak zrobić z nazisty pajaca? Nadepnąć mu na odcisk.</p>
<p>Der ver zwei peanuts, valking down der strasse, and von vas... assaulted! peanut.</p>	<p>Zwei orzeszken szły przez Strasse und ktoś im przysolił.</p>	<p>Były sobie zwei orzeszki, które sobie szły der Strasse... a jeden z nich szem potknął i ssafołał „Ożesz, kurr...” (s. 14).</p>

Najśmieszniejszy dowcip świata, który przetłumaczony na język niemiecki jako niebezpieczna broń dziesiątkował wojska hitlerowskie, stanowi także niemałą łamigłówkę dla tłumacza. W oryginale kluczowym punktem jest pytanie: „How does he smell?”, zadane po stwierdzeniu: „Mój pies nie ma nosa” („My dog has no nose”). Frazę tę można rozumieć na dwa sposoby: „Jak pies używa zmysłu węchu, nie mając nosa?” albo „Jak ten pies pachnie?”. U Tomasa Beksińskiego, który postanowił tym razem trzymać się bliżej oryginalnego żartu, fragment ów brzmi: „A co z węchem?”. Rozwiązanie to zgodne jest z pierwszym znaczeniem oryginału, ale nie ma nic wspólnego z drugą możliwą interpretacją. W efekcie trudno doszukać się sensu w odpowiedzi: „Śmierdzi okropnie”. Elżbieta Gałązka-Salamon postanowiła zachować dwuznaczność kosztem znacznego odejścia od oryginału. Należy jednak zauważyć, że w tym wypadku tłumacz nie był ograniczony akcją na ekranie. Zgodnie z wersją umieszczoną w książce pies zgubił latarkę i w związku z tym świeci oczyma, co można także rozumieć jako stwierdzenie, że pies ma oczy i nie potrzebuje latarki. Być może z takiego przekładu Gałązka Salamon nie była dostatecznie zadowolona, ponieważ na płycie DVD pada zdanie: „Mój pies nie da się wodzić za nos”. Także ta wersja nie oddaje w pełni znaczenia oryginału, ale jest stanowczo bliższa tekstowi źródłowemu i zachowuje podobieństwo stylu oraz konstytutywną w tym wypadku dwuznaczność.

Kolejny z przykładów pochodzi ze sceny przesłuchania żołnierza alianckiego przez gestapo. Także ten dowcip oparty został na grze słów. Zagadkę jeńca da się zrozumieć na dwa sposoby – „How do you make a Nazi cross?” może oznaczać: „Jak zrobić swastykę?” lub „Jak rozżłościć nazystę?”. Dodatkowym utrudnieniem dla tłumacza jest w tym wypadku fakt, że odpowiedź przesłuchiwanego („Nadepnąć na odcisk”) wiąże się z rzeczywistym nadegnięciem na stopę niemieckiego oficera, co wprawia gestapowca w szal. Oznacza to konieczność uzgodnienia przekładu z akcją, która rozgrywa się na ekranie. Beksiński zachował jedynie pierwsze z wymienionych znaczeń, a chcąc utrzymać spójność z obrazem, użył sformułowania „skacząca swastyka”. Podobnie postąpiła Gałązka-Salamon – zarówno wersja zamieszczona w książce, jak i tłumaczenie z płyty DVD odnoszą się do działań postaci, które widz obserwuje, brak w nich natomiast językowej dwuznaczności, jaka wyróżnia opisywany fragment w oryginale.

Ostatni z przykładów to niemiecka odpowiedź na śmiertelny dowcip, a więc żart opowiadany Brytyjczykom przez niemieckiego spikera radiowego. Kluczowy wydaje się wyraz „assaulted” (napadnięty), który wymawia się podobnie jak słowo „a salted” (solony). Ponadto żart wypowiedziany został w języku angielskim z omawianym wcześniej charakterystycznym „niemieckim” akcentem. Tłumacze bez problemu poradzili sobie z odtworzeniem

w języku polskim owych cech wyróżniających, duża rozbieżność występuje natomiast między propozycjami przekładu treści samego żartu. Elżbieta Gałązka-Salamon znacznie odbiegła od oryginału, zachowując co prawda dwuznaczność, ale zmieniając pointę dowcipu. Tłumaczka we wstępie do książki z zapisem skeczów *Latającego Cyrku Monty Pythona* twierdzi, że niektóre z wyrażen i zwrotów przejęła z wersji Beksińskiego. Wydaje się, że w tym przypadku również powinna tak postąpić, ponieważ zbyt interwencja w wymowę tekstu źródłowego jest w tym kontekście zbędna – stwierdzenie, iż „orzeshkowi ktoś przysolił”, pozwala w pełni oddać sens oryginalnego żartu oraz dwuznaczność kluczowego słowa.

A teraz coś z zupełnie innej beczki...

Absurd, łamanie konwencji, kontrowersyjne tematy to tylko niektóre cechy charakterystyczne „Pythonowskiego” humoru. Tłumacz staje przed szeregiem trudności – specyfika i wieloznaczność tekstu, silnie zakorzenione w kulturze brytyjskiej, wymagają od niego dużej pomysłowości, ale też wyczucia. Zbyt dosłowność grozi popełnieniem „zbrodni” na wyjątkowym humorze. Nazbyt swobodna interpretacja, w której dąży się do zachowania za wszelką cenę wszystkich niuansów języka angielskiego, to z kolei niebezpieczeństwo stworzenia drugiego, polskiego „oryginału”. Wydaje się, że w takich przypadkach, starając się dochować wierności tekstowi źródłowemu, tłumacz powinien jednocześnie wystrzegać się, by jego wersja nie kojarzyła się z często przywoływaną w programach *Latającego Cyrku Monty Pythona* kwestią: „Ech, przestałeś być zabawny...”

Daniel Górecki

Książki nadesłane

„Tygiel Kultury”, Łódź

Maciej Świerkocki: *Echa postmodernizmu. Szkice o współczesnej literaturze anglojęzycznej*. 2010, ss. 287.

Risto Vasilevski: *Czas, głosy. Śpiew o Świątyni*. Poezja. 2010, ss. 231.

Stanisław Cieślak: *Wiara pozytywistów. Orzeszkowa, Konopnicka, Prus, Sienkiewicz*. 2010, ss. 237.

Benno Kroll, Anita Fritsche: *Tak było. Wspomnienia łódzkiego Volksdeutscha*. Przedmowa Krzysztof P. Woźniak. 2010, ss. 144.

Jerzy Jochimek: *Następna wojna*. Powieść. 2010, ss. 270.

Leon Sikorski: *Opowieści bałudzkie*. 2010, ss. 171+ilustracje

DAGMARA MINDA

Wszelka przyzwoitość

Pan Jaworczyk miał 44 lata i był kierowcą autobusu numer 44.

W dniu ukończenia tych nieszczęsnych czterdziestu i czterech lat nie świętował zbyt, ot, po prostu poszedł z kolegami na piwo, nic więcej. Nikt prócz niego nie zauważył tej niezwyklej zbieżności cyfr: czterech czwórek, które mogą dumnie zaistnieć w całkowicie logicznym i jak najbardziej rzeczywistym zdaniu (takim właśnie jak, egzempli gratia, „Pan Jaworczyk miał 44 lata i był kierowcą autobusu numer 44”). Prawdę mówiąc, nikt nie zwracał uwagi na takie sprawy jak zbiegi okoliczności płochych czwórek w swych zdaniowych zaprzęgach – mówiąc zaś całkowicie szczerze, nikt również nie zwracał zbyt uwagi na samego pana Jaworczyka.

Pan Jaworczyk był osobą uległą i ugodową. Ludzie mówili o nim, że jest porządnym i zrównoważonym człowiekiem – i zawsze starał się takim być. A ponieważ tę porządność i to zrównoważenie można było osiągnąć będąc uległym i ugodowym – pan Jaworczyk właśnie takim starał się być. Zawsze bezwolny i do cna kompromisowy, idący na rękę, nie awanturujący się i cichy: bezwolny wobec zaborczej matki, kompromisowy wobec urzędów, idący na rękę kolegom, nie awanturujący się w pracy i cichy wobec rządów twardej ręki własnej żony. Pan Jaworczyk przeżył te swoje czterdzieści i cztery lata całkowicie spokojnie i absolutnie nieciekawie. Był przeciętny przeciętnością szarą i płochą jak zaprzęgnięte w jego autobus czwórki, przeciętny aż do bólu, przeciętny aż do przesady, wręcz nieprzyzwoicie przeciętny; tak przeciętny, że czasami mógłby się ulotnić w powietrzu na samym środku tłocznej ulicy, przepaść w niebycie razem z tą swoją szarą i płochą przeciętnością, najwyczejniej przestać istnieć – a nikt by tego nie zauważył.

Pan Jaworczyk rzadko się odzywał, a jeśli już wydawał z siebie jakieś dźwięki, były to raczej oszczędne słowa aprobaty lub potwierdzenia. Ludzie nie wymagali od niego więcej: był przecież przeciętny i porządny, więc nie musiał wiele mówić. Znajomi cenili wręcz rozmowy z nim, bo mogli gadać ile dusza zapagnie, a pan Jaworczyk nigdy im nie przeszkadzał. Zawsze mówił tylko rzeczy w stylu:

– Aha.

Albo:

– Ależ oczywiście.

Ewentualnie:

– To bardzo ciekawe.

Natomiast gdy go o coś pytali, mówił najczęściej:

– Tak, naturalnie.

Dlatego też każdy dogadywał się z panem Jaworczykiem wyśmienicie.

Biografia pana Jaworczyka była niezbyt zajmująca, czy może raczej: zdecydowanie uboga w doniosłe czy ekscytujące wydarzenia. Pan Jaworczyk po prostu w takowych nie brał udziału, gdyż sam nie był ani doniosły, ani

ekscytujący – był przecież porządnym i zrównoważonym człowiekiem, nie mógłby sobie na takie rzeczy pozwolić.

Urodził się czterdzieści i cztery lata temu w swoim własnym domu.

Jego matka upierała się, że jest przyzwoitą kobietą i nie zamierza pokazywać się obcym ludziom w stanie błogosławionym, gdyż (pomimo swej boskiej nazwy) nie jest on stanem w żadnej mierze godnym pozazdrosczenia, szczególnie w swej fazie końcowej. Jak zawsze postawiła na swoim i we własnych czterech ścianach urodziła swemu mężowi, panu Jaworczykowi, potomka płci męskiej, małego Jaworczyka – tak jak przystało na przyzwoitą żonę przyzwoitego męża.

Mały Jaworczyk dorastał w kamienicy w pewnym tłoczonym i gwałtownym mieście. Okna pokoju chłopca wychodziły na poszarzałą, duszną ulicę, w dzień wieczniewiecznie zapchaną niecierpliwie warczącymi samochodami, a w nocy nawiedzaną przez hurkoczące ciężarówki. Z tej codziennej szarości uczył się, niczym z tabliczki mnożenia na całe życie, jak być szarym i na nic nie narzekać.

Zawsze chciał mieć psa, ale stanowcza matka wytłumaczyła mu zwięźle i jasno, że psa nie sposób mieć w jednopokojowej klitce i żeby sobie jak najszybciej wybił takie pomysły z głowy. Mały Jaworczyk dostosował się całkowicie do zaleceń matki i przez kilka miesięcy systematycznie rano i wieczorem wybijał sobie z głowy takie pomysły, dopóki nie wybił z siebie całej pomysłowości do cna.

Gdy mały Jaworczyk stał się większym Jaworczykiem i poszedł do szkoły, usłyszał od pani nauczycielki, że uczy się w tym wielkim, szarym gmachu po to, by znaleźć sobie przyzwoity zawód, a potem wykonywać go przez całe życie, będąc równocześnie użytecznym dla wszystkich wokół. Pani zaznaczyła, iż właśnie na tym polega życie. Pan Jaworczyk bez wahania uwierzył w każde słowo nauczycielki, która jeszcze nigdy dotąd go nie okłamała.

Posłuszny i greczny chłopczyk długo głowił się nad tym, kim mógłby zostać, gdy dorośnie, żeby być pożytecznym dla ludzi. Szło mu to niezwykle opornie, bo przecież już dawno wybił sobie wszelkie pomysły z głowy i teraz była ona pusta – choć wybierał i przebierał, obracał myśli na wszystkie strony, za nic nie mógł żadnego pomysłu znaleźć. Jednak pewnego razu, gdy razem z matką jechał autobusem do laryngologa, doznał olśnienia. Czym prędzej ukrył je przed czujnym okiem rodzicielki głęboko w zakamarkach umysłu; tam czekało na swój dzień. Nadszedł on przed maturą, gdy Jaworczyk, przekroczywszy magiczną granicę lat osiemnastu, stał się pełnoletni. Wtedy to rzekł do swoich rodziców:

– Matko, ojcze, chcę zostać kierowcą autobusu.

Rodzice załamali się, słysząc taką decyzję ukochanego, jedyne go syna – błagali więc i zaklinali, wyzywali i grozili, starając się wszelkimi sposobami zniechęcić go do bycia zwykłym kierowcą autobusu miejskiego – mówili, że to zawód bez przyszłości, słabo opłacany i w ogóle najwyczejniej nijaki. Ale od Jaworczyka wszystkie słowa rodziców odbijały się jak groch od ściany: decyzja tkwiła w podatnym chłopcu zbyt wiele lat i zdążyła się zakorzenić zbyt mocno, by dało się ją wyrwać z jego umysłu.

Takim sposobem pan Jaworczyk po zdaniu matury porzucił dalszą edukację, uzyskał zawodowe prawo jazdy i został kierowcą autobusu.

Dostał swój własny pojazd, którym miał się opiekować, dbać o niego, czyścić, smarować, przeglądać i oczywiście – jeździć podczas swojej zmiany. Pan Jaworczyk zaprzysiągł swojemu służbowemu „podopiecznemu” dożgonną

wierność, której dochowywał równie skrupulatnie, jak tej obiecanej swojej żonie – nigdy nie kupił sobie innego, osobowego wozu, tak samo, jak nigdy nie miał kochanki. A ponieważ nie był człowiekiem pomysłowym, lecz tylko porządnym i zrównoważonym, jego autobus nie miał żadnych osobistych akcentów w kabinie kierowcy – ani plakatów, ani naklejek, ani przyczepianych do szyb pluszaków – za to był zawsze nienagannie czysty i nigdy się nie psuł, bo każda wadliwa czy zużyta część zostawała natychmiast wymieniona na nową.

Pan Jaworczyk lubił prowadzić swój autobus i choć często pod koniec dnia czuł się bardzo znużony, jego praca całkowicie go zadowalała, bo pojęcie satysfakcji było mu obce, jako zbyt wyzywające. Wiedział z góry, jak i dokąd jedzie, kiedy ma przystanąć i kiedy nacisnąć guzik, którym otwierał drzwi. Lubiał jasno określone sytuacje, czuł się wtedy pewnie i bezpiecznie. Cieszył się też, że nie musi odzywać się do innych – był tylko on, wielkie koło kierownicy i ciągnąca się przed nim droga, zawsze dokądś prowadząca.

Jego żona nie mogła pojąć, jakim cudem nie nudzi go taka praca. Jeśli chodzi o osobę swojego męża, pani Jaworczykowa była wyjątkowo mało pojętna. Gdy długo i szeroko opowiadała o najciekawszych nowinkach, zakupach, koleżankach i Bóg wie o czym jeszcze, pan Jaworczyk wodził po ścianach niewidzącym wzrokiem, milcząc jak grób. Kiedy zaś miała do niego pretensje, że nie komentuje, ba, nawet nie słucha jej paplaniny – włączał tylko telewizor, rozkładając się wygodnie na kanapie. No cóż, w końcu nie mogła wiedzieć, że jej mąż oświadczył się jej tylko z jednego powodu – uważał, że jedynymi słusznymi nazwiskami są te pochodzące od drzew, a pani Jaworczykowa była de domo Kalina. Wszelkie wady swojej wybranki składał na karb faktu, że kalina to tylko krzew, a nie drzewo z prawdziwego zdarzenia. A ponieważ był przyzwoitym człowiekiem i po pracy zawsze wracał prosto do domu, jego żona miała do niego pewien szacunek i w zamian bez słowa prała mu koszule oraz skarpetki, gotowała obiady i prowadziła dom. Urodziła mu dzieci: syna i córkę, którzy również nie rozumieli swojego milczącego i uległego ojca. Przy każdej okazji włązili statecznemu i zrównoważonemu ojcu na głowę, często wywołując jej uciążliwe bóle.

Czas upływał, tak jak życie pana Jaworczyka. Dzieci dorosły i wyfrunęły z gniazda rodzinnego w świat, pani Jaworczykowa zaś została potrącona przez tramwaj i zmarła w szpitalu w wyniku ciężkich obrażeń. W ten sposób pan Jaworczyk jeszcze bardziej utwierdził się w przekonaniu o wyższości drzew i autobusów.

Od czasu śmierci żony czuł się coraz bardziej niepewnie: jezdni nagle stała się obca i niebezpieczna, dom – pusty i zimny. Pan Jaworczyk nie wiedział, dlaczego czuł się tak dziwnie i obco jak nigdy dotąd. Najprawdopodobniej doskwierała mu szara i płoża samotność. Gdy przychodził do cichego, ciemnego mieszkania musiał sam sobie przygotować obiad – i, co najważniejsze, wybierać, jaką potrawę przyrządzić. Teraz sam musiał zacząć decydować, jakie skarpetki ma włożyć rano i którą koszulę uprasować na dzień następny – wcześniej zarządzała tym wszystkim albo jego matka, albo żona. Wkrótce nabawił się lęków, bał się swoich skarpetek, a na widok koszul robiło mu się niedobrze. Dostał też jadłowstrętu, bo również jedzenie zaczęło w nim wywoływać mdłości. Schudł wyraźnie i poszarzał, jak gdyby zapadł się w sobie. Zaprzeszał nawet oglądania telewizji, bo nie mógł się zdecydować, który kanał wybrać. Wieczorami siedział beczynnym w domu, kontemplując sufit.

Codziennie rano i wieczorem tęsknił za swoją matką i żoną. A wkrótce zaczęło mu ich brakować także w nocy i w dzień. W końcu, wraz z rozpoczęciem czterdziestego czwartego roku życia, pan Jaworczyk doszedł do apogeum swojej szarej, zwyczajnej tęsknoty i zrobił coś, co było tak nieprzyzwoite, podniosłe i ekscytujące, że nigdy by się tego po sobie nie spodziewał.

Zawsze gdy jeździł trasą 44-ki, w pewnym momencie mijał drugą 44-kę. Lubił spotykać inne autobusy, bo jego koledzy po fachu kiwali mu głową, podnosili rękę bądź się uśmiechali do niego. Jednak kierowca tej właśnie mijającej go 44-ki zawsze odrywał całą dłoń od kierownicy i przyjaźnie mu machał – dlatego ilekroć pan Jaworczyk spotykał go na trasie, robiło mu się ciepło na sercu.

Nie znali się bliżej, ale pan Jaworczyk wiedział, że tamten kierowca nazywał się Klonowski. W duchu pan Jaworczyk od razu przerobił go na swojego „drzewnego brata” i tak właśnie zaczął o nim myśleć – jak o bliskim druhu, kimś, kogo znał i z kim miał coś wspólnego. I to nie byle co – nazwisko, jedyne słuszne nazwisko! Od tej pory, gdy się mijali, pan Jaworczyk mówił do niego w myślach, odmachując z całego serca:

– Witaj, panie Klonowski!

I od razu jezdni stawała się stabilna i prosta, droga – jasna i nieskomplikowana, ruchy – pewniejsze i bardziej precyzyjne. Nawet wybieranie skarpetek oraz koszul przestało być takie straszne. Po prostu należało zastanowić się, które z nich założyłby pan Klonowski.

W ten sposób pan Klonowski wkroczył, sam o tym nie wiedząc, w przyzwoite życie nienagannego, szarego pana Jaworczyka. A sam pan Jaworczyk poprawił się – zaczął więcej jadać, staranniej się ubierać, częściej uśmiechać i potakiwać kolegom, którzy dzięki temu coraz częściej go spostrzegali.

Stał się mistrzem uległości i uniżoności, niesamowicie przyzwoitym, gorliwie przyzwoitym, można nawet powiedzieć: nieprzyzwoicie przyzwoitym. Pan Klonowski zamieszkał w myślach Jaworczyka. Był dla niego jedyną osobą godną troski i zainteresowania. Pan Jaworczyk obsesyjnie wypatrywał znajomego autobusu na ulicach, życzliwego uśmiechu i przyjaznego skinienia jego kierowcy. Ale wkrótce sam widok przestał mu wystarczać. Nie widział świata poza panem Klonowskim, z ekstatycznym dreszczem czatował na niego w zajezdni, wypatrując na parkingu, szukając w toaletach. Zaczął nawet śledzić go w drodze do domu: z lubością przypatrywał się, jak pan Klonowski spokojnym krokiem przemierza ulice. Wbijał wtedy wzrok w jego wyprostowaną sylwetkę, muskał spojrzeniami krótko obcięte włosy i kształtne uszy.

Pan Jaworczyk wbrew swojej przyzwoitej naturze zakochał się.

Na dodatek w mężczyźnie!

Lecz nie było to zwykłe zakochanie – był to prawdziwy huragan, żywioł, spalający od środka. Pan Jaworczyk cierpiał w swej ogromnej miłości prawdziwe katusze, ale znosił je bez słowa sprzeciwu, jak zawsze przyjmując pokornie to, co dawał mu los – poza tym każda wyniszczająca chwila bez widoku ukochanego wynagradzana była po stokroć w momentach, gdy się spotykali. Pan Jaworczyk zadręczał się w myślach swoim zakazanim uczuciem, wił się w okowach namiętności, kiedy pragnienie nieugaszonymi falami przelewało się przez jego ciało, blokowało umysł, przyćmiewało zmysły. Pan Jaworczyk był tak przerażony swoim nierównoważonym i nieprzyzwoitym stanem, że jeszcze bardziej starał się wyglądać na takiego, jakim być powinien. Ale we wnętrzu skrywał nieujarzmione, kotłujące się, dzikie żądze, których

nikt nie mógłby podejrzewać. Poddawał się temu nieznanemu, pasjonującemu uczuciu każdą myślą i każdym swoim czynem, robiąc dosłownie wszystko z myślą o ukochanym panu Klonowskim – od prasowania koszul po wciskanie guzika otwierającego drzwi na przystankach.

Wreszcie miłość pana Jaworczyka postanowiła się ujawnić. Pan Jaworczyk tygodniami zbierał się do tego wielkiego kroku, szykował się niczym na wyprawę wojenną. W jego głowie nagle uwolniły się głębokie pokłady zabitych deskami pomysłów. Wyobrażał sobie setki sytuacji, w których mógłby wyznać swoją żarliwą miłość. Uczucie pochłonęło go, spalało bezustannie, napędzało do działania. Życie pana Jaworczyka diametralnie się zmieniło, nie było już tym mizernym uśmiechem na myśl o zbieżności płochych czwórek w jednym logicznym i całkowicie prawdziwym zdaniu – było wybuchem wulkanu, nielogicznym i cudownie prawdziwym. Pan Jaworczyk wystawiał się z dreszczem szczęścia na niszczące poddmuchy namiętności i pozwalał się kierować przez ślepą miłość, szczęśliwy i podniecony.

Wreszcie wydobył z siebie całą szarą nieprzyzwoitość i równie szarą odwagę, która przybrała kolor ulotnego dymu papierosowego, by uczynić wyznanie swojemu wybrankowi. Znalazł dogodną sytuację, gdy pan Klonowski poszedł do toalety. Był bardzo wczesny ranek. Po zajezdni snuło się ledwie kilku kierowców, wyjeżdżały dopiero pierwsze autobusy. Pan Jaworczyk wyszedł moment, kiedy pan Klonowski opuścił kolegów, z którymi omawiał wiadomości z porannej gazety, i skierował się do łazienki. Jaworczyk nieznacznie ruszył za nim, snując się wzdłuż ścian korytarzy niczym cień. Wślizgnął się do ubikacji w chwili, gdy pan Klonowski szczerknął klamką zamykanej kabiny. Jednym skokiem pan Jaworczyk znalazł się koło umywalki i zaczął się w kącie. Serce biło mu jak oszalałe, omal nie wyskoczyło z piersi, rozdarłe pomiędzy paniczną ucieczką a wrywaniem się ku panu Klonowskiemu.

Odgłos spółczki zabrzmiał niczym trąby archaniołów, ogłaszających czterem stronom świata nadejście dnia Sądu Bożego.

Nagle drzwi jednej z kabin otworzyły się i z wnętrza wyłonił się pan Klonowski.

Pan Jaworczyk zacisnął spocone, drżące dłonie, przełknął ślinę, po czym ruszył na miękkich nogach w kierunku pana Klonowskiego.

– Witam kolegę – powiedział lekko zdziwiony pan Klonowski tonem uprzejmym i życzliwym z natury. – Kolega ma do mnie jakąś sprawę?...

Pan Jaworczyk przez moment myślał, że prędzej zadławi się własnym językiem, niż wypowie palące go żywym ogniem słowa.

– Kocham cię! Kochaj mię! – wykrzyknął znienacka, rzucając się z wyciągniętymi ramionami na pana Klonowskiego, obejmując go rękami i pokrywając gradem pocałunków.

Pan Klonowski przez moment stał jak słup soli, kompletnie sparaliżowany i zdumiony do granic możliwości, lecz czując na sobie potęgę żaru miłości pana Jaworczyka, z całą mocą odepchnął go od siebie. Potem przyłożył panu Jaworczykowi z lewej i z prawej, podbijając oko i łamiąc nos, po czym w świętym oburzeniu wyszedł z łazienki, zostawiając zmiażdżonego, pochlipującego pana Jaworczyka na zimnej posadzce w biało-czarnej kratce.

Wszystkie świętości

To było całkowite zaskoczenie.

Jeśli by miał wskazać początek, moment, w którym zauważył, że coś się zmieniło raz na zawsze i nigdy już nie będzie takie samo, byłby to właśnie tamten poranek, tamto zaskoczenie. Po prostu pewnego dnia, podczas sączenia porannej kawy, pan Perkunosławski zauważył dziwny cień na ścianie, jakby coś zasłaniało sporą część okna, jakby za szybą zniecała wyrosło drzewo lub w ciągu jednej nocy okiennice oplół bluszcz, zasłaniając światło słoneczne, które teraz sączyło się wyjątkowo niemrawo do wnętrza pomieszczenia. Pan Perkunosławski zmarszczył lekko brwi, po czym przeniósł wzrok na kuchenne okno, ozdobione falbaniastymi zasłonkami w niebieską kratę. A on najzwyczajniej w świecie już tam był. Stał wysoki, ciężki, potężny; masywna sylweta na tle perkunosławskiego nieba – niczym olbrzymia chmura burzowa.

Pan Perkunosławski upił łyk kawy, marszcząc nos, po czym, zdegustowany, odwrócił wzrok od pociemniałego okna. Coś przeszkodziło mu jednak w rozkoszowaniu się smakiem jego czarnej rozpuszczalnej – jakieś wewnętrzny ucisk i czający się pod sercem niepokój. Z niesmakiem odstawił niedopity napój do zlewu i wyszedł do pracy.

Od tamtego momentu dyskomfort psychiczny pana Perkunosławskiego wzrastał się z każdym dniem i z każdą nocą, coraz bardziej i bardziej, wyciskając gniewne zmarszczki na jego czole i przyprawiając go o bóle głowy. Długi czas minął, zanim pan Perkunosławski zdał sobie sprawę z tego, co było przyczyną jego niepokojów.

Tuż za płotem jego domu zaczął powstawać wpuszczony głęboko w ziemię labirynt. Pokrzykujący prymitywne słowa robotnicy w żółtych kaskach kłębili się na placu budowy, wznosząc coraz dziwniejsze konstrukcje wewnątrz ziemi, kopiąc, ryjąc i warcząc maszynami. Górzący nad wszystkim, co żyło lub trwało w okolicy niezmiennie od wieków, wysmukły dźwig, z gracją przesuwając swe długie ramię to w jedną, to w drugą stronę, tańcząc na wysokości chmur jakiś skomplikowany taniec, niczym szaman lub wysłaniec bogów przybywający z prorocstwem.

Ilekczo pan Perkunosławski przechodził obok labiryntu powstającego w głębinach ziemi, oświetlanego nocami piekielnym, sztucznym światłem, czuł lekkie dreszcze wzdłuż kręgosłupa. Jednak mimo to, nie mógł oderwać zafascynowanego wzroku od skomplikowanych korytarzy betonowych ścian i bukietów metalowych prętów, wznoszących swe rdzewiejące na deszczach łebki ku niebu. Szybko jednak odchodził spieszonym krokiem przed siebie, do swojego bezpiecznego domu, by ukryć się przed buczeniem maszyn i wierceniem młotów, by uciec przed straszliwym Minotaurem – potworem, który przecież mógł się ukrywać w ciemnych zaułkach fundamentów.

Budowa postępowała szybko i wkrótce podziemne korytarze pełne posępnych brzęków narzędzi robotniczych wzniosły się ponad powierzchnię ziemi, w pierw wychylając się nieśmiało ponad krawędź boskiego świata, by w końcu dumnie wzrosnąć niczym wieża Babel. Mury pięły się ku górze, ku niebu, ku dźwigowi, który był tu dyrygentem. Obracał się wokół i pracował gorliwie, nosił największe ciężary i przyglądał się wszystkiemu zdystansowanym okiem chłodnego obserwatora, potwierdzając, że to, co właśnie powstało, „było dobre”. Operator dźwigu niby z Olimpu spoglądał w dół na rosnące wciąż piętra, na wypływającą spod ziemi epidemię muru, betonu i żeliwa, na

niepowstrzymaną rzekę budynku, wyrrywającą się wertrykalnie ku szczytom, wśród których królował dźwig.

Pan Perkunosławski z coraz większym niepokojem obserwował postępującą z prędkością światła pracę. Będąc w kuchni, co dzień z lękiem spoglądał na pogłębiający się cień na ścianie. Starał się jednak nie wyglądać przez okno, by nie zostać przyłapanym przez wielki dźwig na podglądaniu, na skrzywieniu warg w niezadowoleniu czy choćby na jednej nucie potępienia w westchnieniu, mogącym przecież niechcący wyrwać się z gardła. Pan Perkunosławski podporządkował się, choć w głębi ducha cierpiał niesamowicie, czując się coraz bardziej zagubiony w swojej własnej kuchni.

Kawa już nigdy nie była tak aromatyczna jak kiedyś.

Pan Perkunosławski stał się strachliwy i niepewny, drżący jak liść przy każdym obrocie dźwigu, przy każdym głośniejszym przekleństwie robotników. Przestał wychodzić na spacer, nie mógł cieszyć się piękną pogodą czy lekkim, psotnym wietrzykiem. Zaciążyła nad nim Świadomość. Świadomość tak straszna i nieuświadomiona, że aż sam zagubił się w swoich własnych emocjach, uczuciach i domysłach, i już nawet nie wiedział, co tak dokładnie sobie uświadomił.

Gdy na dźwigu zainstalowano olbrzymi, potężny reflektor, wdzierający się w nocy snopami niedyskretnego światła do osobistej kuchni pana Perkunosławskiego, przyćmiewając światło księżyc, mężczyzna wiedział już, że następowało Oświecenie.

Ale najgorsze miało dopiero nadejść.

Pojawił się bowiem demon, strzegący bram Przybytku. Czarny, złośliwy, złowrogi demon, niebezpieczna dusza, igrająca w ciemnościach z chaosem, zmiatająca ogonem gwiazdy i dysząca niepojętymi żądzami, połyskująca kłami w mroku nocy, niczym legendarny Grendel, nurzająca się w mroku z lubością mordercy z powołania.

Pan Perkunosławski zobaczył tę istotę po raz pierwszy w drodze do kościoła. Jako dobry, przykładowy obywatel zawsze chodził nie tylko do urny podczas wyborów (choćby nawet uważał tę całą szopkę za stratę czasu, a każdego kandydata do rządu za chciwego zbója), ale również w każdą niedzielę i środę wybierał się na mszę do kościoła, niezmiennie o godzinie osiemnastej. Jesień była już w ostatnim stadium, gdy stanęło trzecie piętro tej bałwochwalczej wieży Babel, więc podczas niespiesznej drogi do parafialnego kościółka pan Perkunosławski drżał z zimna i wytężał wzrok, bo słońce zdążyło już dawno zejść, pozostawiając za sobą szczelny całun ciemności nocy.

I wówczas, przechodząc obok bram, pan Perkunosławski zobaczył jego. Demona, strażnika, ciemniejszego niż noc i straszniejszego niż wszystkie koszmary całej ludzkości. Bestia zastąpiła mu drogę w milczeniu, szczerząc tylko połyskujące zębiska w drwiącym uśmiechu.

Pan Perkunosławski już więcej nie poszedł do kościoła; zbyt się bał przejść obok bestii. Do pracy chodził okrężnymi drogami, a kiedy musiał wrócić do domu po zapadnięciu zmroku, prosił żonę lub kolegów, by go podwieźli, choć mieszkał zaledwie kilkaset metrów od swojego biura. Znajomi i bliscy kręcili z niedowierzaniem głowami, gdy mówił im, że coś się czai w ciemnościach. Doradzali mu wizytę u specjalisty.

– Jeśli jakikolwiek specjalista by się tu przydał, to chyba tylko jeden. Egzorcysta – odpowiadał ponuro pan Perkunosławski pod nosem, tak cicho i bełkotliwie, by nikt go nie dosłyszał. Rozmówca odchodził więc, wzruszając

ramionami, a nieszczęsny pan Perkunosławski wciąż bał się spojrzeć na zarastający potwornymi mitami plac budowy.

Wkrótce nadszedł wielki potop i pan Perkunosławski myślał już, że to gniew Boga uderzył w pogański przybytek ludzkiej dumy. Biała powódź zasypała wszystko, zmuszając żółtogłowych pracowników oraz sam dźwig do zrejterowania na jakiś czas. Kikut wznoszącej się coraz wyżej budowli przypominał ogromną, wynaturzoną arkę Noego, unoszącą się majestatycznie nad topniejącym z wolna śniegiem. Pan Perkunosławski przelykał głośno ślinę, prześlizgując się przerażonym wzrokiem po zięjącym pustymi oknami, surowym budynku.

Zima minęła pod znakiem mrozu, lodu i szczekania zębami. Cień pogłębiał się, wraz z postępującą depresją i szarzeniem twarzy pana Perkunosławskiego. Jego oblicze zmieniło się nie do poznania: często nieogolone, zaniedbane, wyglądało na przedwcześnie postarzałe lub przykryte grubą warstwą kurzu. Z osoby porządnej, całkowicie normalnej i dopijającej zawsze swoją poranną kawę do samego końca, stał się on strachliwym, niepewnym i rozdygotanym człowieczkiem, bojącym się własnego cienia. Do tego wszystkiego dochodziło wieczne niezdecydowanie, podszyte niepokojem i niepewnością. Pan Perkunosławski już sam nie wiedział, co myśleć i do kogo się zwrócić. Chyba nikt bowiem nie uwierzyłby w jego opowiadania o demonicznym budynku za oknem.

Bojąc się więc śmieszności, pan Perkunosławski milczał, zachowując swoje rozterki tylko i wyłącznie dla siebie. W efekcie kurczył się z każdym dniem i zapadał w sobie, chudnąc i marniejąc w oczach.

Lecz kiedy śniegi stopniały, budowa odżyła, zaroila się bożymi mrówkami o żółtych, okrągłych główkach i dźwig znów zatańczył ponad głowami, a pan Perkunosławski zaczął słać się na nogach. Jego żona podejrzewając awitaminozę aplikowała mu po kryjomu witaminy.

Jednak wraz z wiosną w serce tego człowieka wstąpiła również nadzieja. Mówią, że to matka głupich. Nikt nie zaprzeczy, że IQ pana Perkunosławskiego nie było wybitne, ale przecież był najzwyczajszym, najnormalniejszym, porządnym obywatelem, w niczym nie odróżniającym się niemal od tysięcy innych. Był równie głupi, co każdy naiwny człowiek. Zatem nadzieja nie ominęła również i jego.

Świeży powiew w jego sercu odpowiedział mu, że trzeba w definitywny sposób rozwikłać tę sytuację, bo niepewność zabijała go z każdym dniem. Dłużej tak pan Perkunosławski nie mógł funkcjonować. Musiał albo poddać się wyrokowi podpisanemu cieniem na ścianie swojej własnej kuchni, albo podjąć heroiczną, kategorię walkę bez pardonu z naczelnym zwierzchnikiem postępującej cywilizacji.

Pan Perkunosławski był jednak, jak już wiadomo, najzwyczajszym obywatelem i oportunistą, jako że te dwie cechy często idą w parze.

W głowie Perkunosławskiego zaczął powstawać misterny plan dotyczący sposobu na zaspokojenie żądź wysłannika, obłaskawienia demona i wyproszenia przychylności i spokoju ducha u Minotaura.

Najpierw potrzebne mu było pogańskie święto. Pan Perkunosławski ściągnął więc kalendarz ze ściany i zaczął go przeglądać, uważnie szukając odpowiedniej daty. Wreszcie zatrzymał się dłużej przy czerwcu, marszcząc czoło.

Noc świętojańska.

Usta mężczyzny rozchyliły się w błogim uśmiechu. Przecież to takie oczywiste.

Od teraz pan Perkunosławski miał cel. Wiedział już, co robić. I zaczął czekać. Pomału odżywał, nabierał rumieńców i kolorów, zaczynał nawet zadzierać lekko brodę podczas chodzenia. Jedyne w obecności dźwigu pokornie pochylał głowę.

Wreszcie nadeszła najdłuższa noc w roku, a pan Perkunosławski był gotowy na ostateczny krok.

Dzierżąc w dłoni przygotowany wcześniej dar dla bogów rządzących reflektorami, napędzających stalowego proroka i wyjaławiających jęczącą pod stopami żółtogłowych ziemię, wraz z zapadnięciem zmroku pan Perkunosławski wyruszył na spotkanie swego przeznaczenia. Gdy na budowie zapadła cisza, a wieczne oko rozbłysło nienasyconym światłem, zakradł się pod bramę. Żółta tabliczka wisiała na ogrodzeniu tam, gdzie zawsze, a na niej widniały pewnymi, czarnymi liniami niezmywalnego markera wypisane przykazania nowego wieku, opis złowieszczej budowli. Pan Perkunosławski skłonił się im, po czym pochylił najgłębiej, jak mógł, by wetknąć kadzidła w spulchnioną łapami podległych dziwnym bóstwom mechanicznych stworzeń ziemię. Zapalił je z namaszczeniem, niczym kapłan celebrujący obrządek, a potem ukląkł na chwilę, by zaraz ruszyć dalej.

Odetchnął z ulgą.

Demonia nie było na posterunku. A więc słusznie odgadł, w jaki sposób ominąć strażnika.

Chwiejnym krokiem, uginając się pod ciężarem swego obowiązku i niesłychanego świętokradstwa, jakie miał właśnie popełnić, pan Perkunosławski podszedł do stóp posłańca o jednej nodze, jednym ramieniu i jedynym, wszystkowiedzącym oku. Mamrocząc pod nosem błagalne mantry, zaczął się wdrapywać na dźwig. Pod koszulą krył się dar dla niebios, łaskocząc w pierś.

Gdy był w połowie wspinaczki, poczuł na skórze zimny, mokry dotyk. Zaczął padać deszcz.

Szczyt był coraz bliżej, boska kabina, niczym ołtarz ofiarny najwyższego kapłana, lśniła w świetle błyskawicy, która zniemacka rozdarła niebo.

Pan Perkunosławski, skupiony na swoim celu, poświęcony sprawie i ekstatycznie natchniony, nie zwrócił na to większej uwagi. Jego dłonie i buty ślizgały się na mokrej stali dźwigu, pod nogami ziała przerażająca, transcendentalna przepaść. Pan Perkunosławski zadrzał z podniecenia, gdy dotknął opuszkami palców plastikowej szyby kabiny operatora dźwigu.

Oto był na szczycie świata, oto otworzył przed nim swoje podwoje najwyższy ołtarz, oto stanął bliżej Tajemnicy niż jakikolwiek człowiek, oto ujrzył twarz boga, bóstwa, bogini lub Tego, Który Jest. Pozna, doświadczy, odda się bez końca w cudownym objawieniu, on, święty z wieku elektronu i krzemu, męczennik, mistyk, gotów na otrzymanie daru w postaci objawienia.

Upadł krzyżem na dachu kabiny. Z nieba lały się strumieniami bożej łaski krople deszczu. Oto On. Zszedł, by go wysłuchać, by zrozumieć, przyjął jego dar. Oto pan Perkunosławski dostąpił najwyższego wtajemniczenia, oto złapał anioła za nogi, on, Jakub współczesny. Dotykając czołem zimnego metalu, zastanawiał się, jak będą wyglądać stopy tego anioła, nogi tego boga, który zawładnął światem i któremu musiał się w końcu podporządkować, by nie być oskarżonym o nienormalność i zesłanym do celi bez klamek.

Sięgnął za pazuchę, by wyjąć swój dar, wsłuchany w głos boga, w grzmoty przetaczające się srogo nad światem.

I oto pan Perkunosławski podniósł się, stanął na klęczkach i wyciągnął w górę wiosenny wianek z ziół i kwiatów, na rozłożonej, drżącej dłoni.

A potem nagle świat się odmienił, trzęsąc podstawami kuli ziemskiej w czystej esencji oburzenia i pan Perkunosławski w jednym ułamku sekundy zobaczył Coś. Nie zrozumiał jednak, kogo zobaczył, czy był to Odyn gromowładny, czy Zeus o silnej ręce, czy krzaczastobrewy Jahwe, czy Perun straszliwy, czy ktoś inny jeszcze.

I oto bóg wyciągnął rękę i dotknął go, niegodnego, małego człowieka.

Pan Perkunosławski został przeniknięty jasnością.

Jego gardło szarpnęło się w ułamku krzyku.

Z uszu pociekła krew.

Oświecenie boże wypęliło go.

Rano odnaleziono ciało pana Perkunosławskiego na placu budowy, zmasakrowane po upadku z olbrzymiej wysokości. Koroner stwierdził jednak, że śmierć nastąpiła wcześniej.

Pan Perkunosławski zginął bowiem od uderzenia pioruna.

Dagmara Minda

Książki nadesłane

Poezja

Urszula Koziół: *Horrendum*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010, ss. 69.

Alfred Marek Wierzbicki: *Fotografia rodzinna*. Wydawnictwo TEST, Lublin 2010, ss. 63.

Zofia Nowacka-Wilczek: *Śladem niedomilczeń*. Wydawnictwo TAWA, Chełm 2010, ss. 39.

Jerzy Gizella: *Sytuacje bezgraniczne. Wybór wierszy*. Słowo wstępne Tadeusz Skoczek. Śródmiejski Ośrodek Kultury, Kraków 2010, ss. 205.

Danuta Hasiak: *Moja mała wolność*. Wstęp Józef Baran. Śródmiejski Ośrodek Kultury, Kraków 2010, ss. 64.

Stanisław Klimaszewski: *Szkatułka katyńska*. Polihymnia, Lublin 2010, ss. 65.

Bogusław Jasiński: *Po drugiej stronie wiersza*. Wydawnictwo Ethos, Warszawa 2010, ss. 80.

Cezary Sikorski: *Monadologia stosowana*. Zaulek Wydawniczy „Pomyłka”, Szczecin 2011, ss. 108.

Patrycjusz Dzikczek: *Polowanie na malinowy śnieg*. Wydawnictwo Meander, Gdańsk 2010, ss. 32.

Mirosław Banach: *Niecodziennosc*. Wydawnictwo Heliodor, Warszawa 2010, ss. 94.

Łączkowski Zdzisław Tadeusz: *Ku wzgórzom planet. Poematy*. Posłowie Elżbieta Cichła-Czarniawska i Zofia Korzeńska. Staromiejski Dom Kultury, Warszawa 2010, ss. 76.

Andrzej Szuba: *Strzępy wybrane*. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2009, ss. 143.

Beata Patrycja Klary: *Szczekanie głodnych psów*. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, Gorzów Wielkopolski 2010, ss. 72.

MAREK CZUKU

Pan zegarmistrz

1. prasa papierosy alkohol

na zachodzie bez zmian
fircyki trzymają się mocno
trwają nadal wielokulturowe

jogurty egzotyczne pumy
oraz swojskie żabki i
biedronki wystarczy tylko

chcieć być albo mieć
to naprawdę wszystko
jedno więc zostaniemy

razem (słyszę: zostań
murarzem) miałeś chamie
złoty święty spokój teraz

masz awans z awangardą
w tle i ma się rozumieć
artyzm (czytaj: autyzm)

a może to jest to nasze
wymarzone em(pe)trzy
miasto masa maszyna

2. PUB na ruskiej

trzy zielone litery
na betonie kwiaty
nie rosną złociste
marzenia muzyka
sfer każdy może
wejść do środka

ta uliczka prowadzi
donikąd kocie łby
intrygująca bliskość
paryskiej hipermarket
geant i kwiaciarnia
bloki

przecież zawsze można
pójść jeszcze do baru
smakosz albo sznycelek
najeść się do syta
zapłacić i wyjść
zapłacić i wyjść

3. biała flaga

ja dzisiaj nie walczę
mój pies też nie warczy

zmęczona wczorajsza zupa
marnuje się w lodówce

po osiedlu jeżdżą
wiersze na rowerach

kilogramy kartek w kratkę
mówię wam kilogramy

a pan zegarmistrz znów coś kręci
i co na to społeczeństwo

angielski w zwierzętarni

biologia ma swoje prawa
język też dlatego dotykam
cię delikatnie tak jak się

łuska fasolę i idę wzdłuż
krzesła w górę serca w
dolinę myśli myślisz że

co że wolność równość
wystarczy *no threats*
found

jan paweł różewicz

to zmiana stanu
skupienia z panta
rhei na nijaki

rodzaj kłęski
to bóg to jest
nasz ostatni i

inne rewolucyjne
czujności to
nie w dobrym

tonie to nie
my toniemy to
zło to złoto

on nie umarł
on się nigdy
nie narodził

W samo serce

Jemy pierwsze w tym roku truskawki,
cieknie nam po palcach. Złota kula śle
gorące strzały w samo haftowane serce

przenicowanej na wylot firanki. Wiem,
jutro unieważnisz wczorajszą rozmowę,
pojedziesz do miasta i nie zobaczysz tej

wyrafinowanej konfrontacji świecących
żuków na trawie. To targowisko próżności,
słyszysz? Mokra.

Marek Czuku

Pod niebem, wśród gwiazd

Szedł z Hryniem ramię w ramię, nieśpiesznie przedzierając się przez leśne zarośla i omijając potężne drzewa. Wracali do oddziału zaszytego w ukrytej sieci bunkrów, aby poprowadzić go do nowej akcji, o szczególnym zasięgu i znaczeniu. Od jej wyników zależał dalszy rozwój całego ruchu, a on miał w niej ściśle określone i ważne zadanie. Na taką szansę czekał już od wielu miesięcy.

Świetnie znał język, był wtyczką o niepodważalnej legendzie. Zlecono mu rozpracowanie miejscowego kierownictwa bandyckiego podziemia i udział w planowanej kampanii stwarzał ku temu niepowtarzalne możliwości. Wierzył, że zdoła je w pełni wykorzystać. Hryń mu ufał, darzył sympatią, dopuszczał do tajnych informacji. Dawało mu to doskonały punkt wyjścia, choć cena, jaką zapłacił, była wysoka.

A więc szli razem niczym para kamratów złączonych łądacką więzią, napiętnowanych stygmatem zbrodni. Brnęli przez trawę soczystą i gęstą, wśród konarów, poprzecinanych świetlistymi smugami słońca. Powietrze było rozgrzane i nasycone zapachem ziemi i roślin, działało kojąco i sennie. Dotarli wreszcie do niedużej polanki, otoczonej rzadkimi krzewami i ubarwionej kwiatami.

– Zatrzymamy się tutaj – powiedział Hryń – trzeba odpocząć.

Rozłożyli się wygodnie, Hryń zdjął buty i smród onuc zmącił czystość otoczenia. Powiew wiatru rozpędził fetor, pozwolił oddychać swobodnie. Patrzyli w górę, gdzie poprzez korony ściemniałych liści przeświecały skrawki błękitu. Panowała cisza przerywana tylko śpiewem ptaków i brzęczeniem owadów. Zmęczenie powoli ustępowało, trochę podrzemali, powracała rzeźkość i wigor.

– To był właśnie dzień taki jak ten – powiedział nagle Hryń, marzycielsko przeciągając słowa. – Kiedy zabawiliśmy się jak nigdy.

– O czym mówisz – zapytał, nie bardzo zresztą zaciekawiony – warto posłuchać?

– A warto. To było w zeszłym roku, o tej porze. Uderzyliśmy na polską wieś, tak po drodze, bez specjalnej potrzeby, bo żarcia i gorzały mieliśmy w bród.

– No i co?

– Może słyszałeś o tym... Wycięliśmy wszystkich do nogi, nie było ich zbyt wielu. Zostawiliśmy tylko jedną żywą babę, bo była młoda i ładna. Dla przyjemności...

Hryń przerwał, a on go nie popędział. Sięgnął do plecaka, wydobył butelkę bimbru. Pociągnęli, przekazując sobie miarowo kolejkę. Wódka paliła gardła, wyostrzała zmysły. Wyzwalała myśli i wspomnienia dotąd ukryte głęboko w podświadomości, skłaniała do wylewności i gadulstwa. Hryń czuł nieodpartą potrzebę mówienia, dumny ze swoich mołojekkich dokonań.

Przywoływał zjawy, które pogrzebali już w pamięci, przeżywając raz jeszcze przebrzmiałe doznania.

– No to mów, co dalej – przypomniał, wykańczając flaszkę.

– No więc wyróżnił się wszystkich i tylko ona jedna została – Hryń roześmiał się. – Ty, stary – ciągnął wesoło – to, co było potem, było najlepsze. Zdarliśmy z niej łachy i popędzali batami. Łaziła na czworakach i kwiczała jak proszę. Szczaliśmy pod siebie ze śmiechu... Z gołą dupą – rozumiesz – łaziła na czworakach i kwiczała... Braliśmy ją na zmianę, ile kto chciał.

– A ilu was było – dopytywał – chyba nie cała sotnia?

– A nie, tylko piętnastu – wyliczył Hryń. – Ale chłop w chłopa, jak byki – dodał chełpliwie.

– I co dalej – dopytywał cierpliwie – stuknęliście ją?

– Coś ty – zdumiał się głupawo Hryń – szkoda było zabawy. Sama dołaża do studni...

– No i co?

– No i co, skoczyła... Nawet żałowaliśmy. Popsuła nam całą uciechę...

– I gdzie to było?

Kiedy usłyszał odpowiedź, wiedział już, że jego misja jest skończona i że zawiódł tych, którzy go tu przysłali. Ponieważ to, co musiał zrobić, było ważniejsze od jego zadania. Pochylił się i zaczął przeczesywać palcami gęstą trawę. Znalazł wreszcie to, czego szukał. Duży płaski kamień, chropowaty i szorstki. Usiadł wygodnie i przysunął do siebie karabin, potem odryglował zamek i wyrzucił z komory nabój. Położył kamień na kolanach i zaczął pocierać czubek pocisku o jego powierzchnię. Robił to w wielkim skupieniu, z wyrazem napięcia na twarzy, uważnie, niczym szlifując diamentów. Gdy pocisk rozgrzał mu się w rękach, przerwał na chwilę, a potem naciął na spiłowaniu mały krzyżyk. Wiedział, że gdy kula opuści lufę, zmieni się w szaleńczo wirujący wiatraczek.

Wprowadził nabój z powrotem do komory i zasunął zamek. Z palców strzepnął drobiny ołowiu i miedzi. Podniósł się z ziemi i wyprostował.

– Zbieramy się – powiedział do Hrynia, chociaż nie on dowodził. – Czas na nas. Na ciebie i na mnie...

Hryń przytaknął i niechętnie zebrał porzucone rzeczy. Podniósł buty. Chciał je nałożyć, ale znieruchomiał, wpatrzony tępo w czarne oko lufy, skierowanej wprost w jego pierś.

– Ty co? Żartujesz – wycharczał. Stał, trzymając po bucie w każdym ręku, rozkraczony, niemy w swej groteskowej pozie, z ustami szeroko rozwartymi i pobielalymi wargami. Już wiedział... Nie próbował nawet walczyć. Przerazenie pozbawiło go woli, odebrało możliwość działania.

– Za co? – zdobył się jeszcze na cień protestu. – Za co? Ty, mój druh...

– Ta, co wskoczyła do studni, to była moja żona – wyjaśnił Hryniowi, prawie obojętnie – a teraz ty jesteś mój...

Nacisnął spust i widział, jak ciało Hrynia eksploduje krwawymi strzępami, jak straszliwa niewidzialna siła odrzuca je daleko w tył, skręca w powietrzu i wali o ziemię, a liście wokół tracą zielen, spływając czerwoną rosą. Wtedy pojął, że nie może go już dotknąć żadna kłeska.

Snajper

Powiedzieli, że jest najlepszy i on wiedział, że to prawda. Kazali mu zdjąć mordercę, od dłuższego czasu grasującego po okolicznych miejscowościach i teraz siedział w rozwidleniu potężnych konarów, otulony gęstwiną

liści, wtopiony w ich wilgotną zielen. Przed sobą miał wioskę o rzadkiej zabudowie, rozświetloną wschodzącym słońcem, niemą i martwą. Nie zaśpiewała żadna kobieta i nie zaśmiało się żadne dziecko, cisza zupełna i ostateczna.

Ci, którzy dokonali dzieła, w większości już odeszli, zostało tylko kilku: spali jeszcze zmorzeni krwawą robotą i zagrabionym samogonem lub snuli się gdzieś po zarosłych obejściach, niemrawo przeszukując ocalałe chaty, licząc na nie do końca złupiony dobytek. Oni go zresztą nie obchodzili, on czekał na jednego konkretnego człowieka i tylko na nim mu zależało. Nigdy go nie spotkał, ale wiedział, kim jest, a jego twarz miał wrytą w pamięci, dokładnie i jasno. Nie mógł się pomylić, i to przynosiło mu spokój.

Siedział więc okrakiem wsparty o grubą gałąź, dobrze wtopiony w tło i posłuszny prawom mimikry, lornetą przeczesując cały najbliższy teren. Twardy pień ugniatał mu plecy, karabin zawieszony na piersi zawadzał i ciążył. Czas mijał, a ten na którego czekał, nie pojawiał się w polu widzenia.

Tkwiał tak od wielu godzin i oczy zaczynały go piec i łzawić, a zmęczenie stawało się coraz bardziej natrętne i bolesne. Zwolna zaczął tracić nadzieję, że zdoła w tym dniu wykonać zadanie, kiedy uchyliły się wrota dużej stodoły i wyszedł z niej obnażony do pasa wysoki mężczyzna. Był smukły i muskularny, z torsem szerokim i ściemniałym opalenizną. To był on, a wraz z nim wyłoniła się z mroku młoda dziewczyna, jak jej towarzysz rozchelstana i niemal półnaga. Jej białe pełne ciało kołysało się, kiedy podążała za nim posłusznie i radośnie.

Wstrząsnęła nim uroda tej pary. Jak kiedyś, przed laty, oglądał to w kinie – szczodra bujność dziewczyny, wyzywająca obietnicą rozkoszy i samcza władczość mężczyzny, stworzonego do walki i podboju. Ale jego podziw zaczął zacierać się i rozmywać, ustępując miejsca bezsilnej wściekłości, zawiści i żalowi. Ta kobieta nie mogła, nie miała prawa należeć do innego, to było okrutne i niesprawiedliwe. Czuł się zdradzony przez nią i oszukany przez los, wydrwiony i sponiewierany. W tym zapięklonym gniewie pojął, że musi ją odebrać uzurpatorowi, wyrzucić go ze świadomości, unicestwić. Obowiązek, który na nim spoczął, nabrał teraz innych wymiarów i barw.

Tymczasem oboje, pełni bezwstydu i zuchwałości, upojeni własną bliskością, zrzucili z siebie resztę odzieży, nurzając się w wodzie zaczerpniętej ze studni. Była zupełnie naga, stojąca w blaskach słońca, z rozpuszczonymi włosami, a jej białe ciało kontrastowało ze smagłością mężczyzny. Trwało to długą chwilę, zanim przywarci do siebie znów weszli do pobliskiego domostwa.

A on śledził każdy ich ruch i każdy gest. Zagryzł wargi, a ręce zaczęły mu się lepić od potu. Sam nie miał kobiety od niezliczonych miesięcy i poczuł, jak fala gorąca oblewa mu podbrzusze, płynąc od krocza aż po pałające skronie. Puls oszalał, targało nim każde uderzenie tętna. Przeklinał odległość i drewniane ściany, przez które niczego nie mógł dojrzeć.

Powoli, prawie niezauważalnie dla siebie, zaczął włączać się do ich gry, uczestniczyć w miłosnym akcie, a fantazja ten akt urealniała. Wyobrażenia podsuwała mu niebywale wyrafinowane pozycje i sposoby. Był niewyczerpany, wchodził w nią bez przerwy i gwałtownie, stale przyspieszając swój rytm. Wwiercał się w jej śliską miękkość, chłonąc ją całym sobą, to cofał się i znów wchodził, jeszcze głębiej i mocniej, jeszcze zacieklej. A kiedy eksplodował, zaczynał wszystko od początku, niestrudzenie i zaborczo lub delikatnie i wrażliwie. I nagle wszystko się skończyło, rozwiały się omamy.

Gdzieś w krzewach głośno zatrzepotał ptak i to go ocuciło. Znów stał się czujny i spięty, gotowy do działania. Odwiesił lornetę, ściągnął karabin i począł sprawdzać przedpole lunetą celownika. Czekał.

Wreszcie wyszli, całkowicie ubrani, rozluźnieni i nasyceni sobą, złączeni dłońmi. Czarny mundur wyostrzał sylwetkę mężczyzny, przydawał mu siły i władczej pewności. Bez przeszkód osaczył go lunetą, kiedy zatrzymał się na moment, aby poprawić zapięcie bluzy. Jego głowa znalazł się na skrzyżowaniu nitek i tak naprawdę był już martwy, gdy dziewczyna niespodziewanie, jakby wiedzioną przemożnym impulsem, wysforowała się przed niego, przecinając linię ognia. Zaczął płynnie naciskać język spustu, lecz pojął, że aby zabić mężczyznę, musi najpierw uśmiercić kobietę. I w przeblysku rozpaczony znów zobaczył jej piersi, ale inne, odarte z piękna, rozszarpane pociskiem, zasnuwane krwią. Zawahał się, porażony nieuchronnością wyboru i to wystarczyło, żeby oboje zniknęli między zagrodami.

Wtedy zrozumiał, że jego chwila minęła i przegrał swą największą kartę. Nie wypełnił zadania i wiedział, że nie jest już najlepszy. Pozostała mu tylko pustka i zubożenie. I gorzki posmak klęski.

Niezdarnie, jak ranny pająk, zaczął opuszczać się po chropowatym pnium drzewa, aż stanął na ziemi. Przyczaił się nieruchomo, a kiedy nie dostrzegł niebezpieczeństwa, wyprostował się i powłókł na swych pokrzywionych kalekich nogach w stronę milczącego lasu.

Czarna ospa

Kiedy dotarli do wioski, było już za późno. Nim doszli do pierwszych zagród, powitał ich smród spalenizny i drgające na wietrze smugi dymu. W powietrzu beładnie i leniwie wirowały płatki sadzy. Osiały na ich twarzach, spoconych i lepkich, tworząc plamiste, rozmazane wzory. Wyglądało to wstrętnie, jak piętno śmiertelnej choroby. Ale oni widzieli tylko zgliszcza. I ciała, stosy ciał.

Zwłoki rozrzucone były wszędzie niczym kłębowiska szmat lub przewieszane przez płoty czy obrzeża studzien. Najgorsze było to, co pozostało po kobietach, odartych z odzieży, z rozciętymi brzuchami, z których wzywały nagie uduszone dzieci albo drobne, oszołomione zwierzęta. Gdzieniedzie poniewierały się same szczątki, poobcinane ręce i nogi, żałośnie porzucone.

Słońce stanęło w zenicie, upał sprawiał, że gęstniał coraz bardziej trupi odór. Wiatr ucichł już, nastała cisza, dusząca i ciężka. Nic nie mąciło martwego spokoju. Ptaki odleciały, unosząc z sobą trwożę i rozpacz.

Oddział rozproszył się, przeczesując teren w poszukiwaniu niedobitków. Ktoś nagle krzyknął, wskazując na zawieszoną na wysokim słupie klatkę splecioną z kolczastego drutu, a w niej pozbawiony kończyn kadłub człowieka. Żył jeszcze i patrzył na nich w niemym błaganiu i nadziei wybawienia. Stojący najbliżej mały zaklął i strzelił z podrzutu, prawie nie mierząc. Druciana klatka zakołysała się gwałtownie i po chwili zastygła w bezruchu. Tylko krople krwi, zwolna spływając, drążyły w piasku czerwone bruzdy.

Tłumiąc odrazę, zaczęli mozolnie oczyszczać miejsce kaźni, zbierając zabitych na jednym podwórku. Potem położyli się utrudzeni forsownym marszem i właśnie wykonaną straszliwą robotą. Butelka przechodziła z rąk do rąk, dając im złudne uczucie odprężenia i ulgi.

– Ten w klatce – odezwał się Stec – miał szczęście, żeśmy się w porę pojawili. Ale mu nie zazdrościsz. Całkiem inaczej niż z moim szwagrem. Temu to się udało.

– Naprawdę – zapytał któryś od niechcenia – a co mu się stało?

– Zginał, wykończyli go upowcy – odparł Stec i ciągnął – przywiązali go brzuchem do drzewa i wsadzili do dupy łaskę dynamitu. Ale śmierć miał lekką – dorzucił zawistnie – lont był krótki – wyjaśnił.

– Nikt się nie zaśmiał. W porządku – rzekł porucznik. – Zbieramy się i sprawdzamy dalej, może ktoś przeżył.

Penetrując kolejne obejścia, dotarli do drugiego krańca wsi, wszędzie widząc to samo – krwawe żniwo sotni. Chaty były niemal zupełnie zwęglone i doszczętnie splądrowane, zaś całe mienie wykradzione lub zniszczone w ślepej furii.

– Zawsze tak samo – powiedział Rudy – skurwysyny... – Szkoda, żeśmy nie zdążyli, wreszcie skończylibyśmy z nimi.

Zaległa cisza. Przerwał ją nieoczekiwanie dziwny odgłos, jakby szuranie przesuwanych dużych przedmiotów i w drzwiach jednej z na poły niedopalonych chat stanęła otulona w postrzępione szmaty kobieca postać. Zajście było tak nieoczekiwane, że aż nierealne, nie do uwierzenia. Nikt się nie odezwał.

Kobieta była niska i gruba, o nalanej żółtawej twarzy i zatartych, niewyraźnych rysach. Nad brudną, wysoko zapiętą koszulą, przelewał się obwisły podbródek. Oczy miała zakaprawione, ale chytre i czujne. Milczała.

– Wiem, kto to jest – powiedział przeciągle Rudy. – To matka Wasyla. Słyszałem, że tak naprawdę to ona dowodzi bandą, syn we wszystkim ją słucha. Lubi zabijać, kocha to. I lubi patrzeć, jak czynią to inni.

– Przynajmniej ona się napatoczyła – pocieszał się Mały. – Opowie nam, co wie. A wie chyba niemało.

– Jeżeli tak, to dlaczego ją zostawili – Stec nie był przekonany. – Powinni zabrać ją ze sobą i ratować.

– Nie poczekali na nią, widocznie nie mogli – uciął porucznik. – Śpieszyło im się, im się zawsze bardzo śpieszy po takiej zabawie. Musiała gdzieś się zatrzymać, a potem pójść ich tropem i nie dogoniła ich. Odeszli bez niej, żeby uniknąć odwetu.

– A teraz w drogę, chłopcy – rozkazał – dołączę do was później. Odczekał chwilę, potem wymierzył automat w głowę kobiety. Zaskomlała. Padła na kolana, rozplaszczyła się poddańczo.

Zaczęła pełznąć ku niemu, śliniąc się i płacząc. Pełzała zygzakiem, a każdy swój ruch znaczyła moczem. Był to jedyny ślad wilgoci na spopielonej trawie. Cuchnęła dawno niemytym ciałem i jakimś nieznośnym fetorem zaległym w stęchłych łachmanach. Patrzyła na niego sparszywiałymi oczkami, wzrokiem pełnym służalczej pokory.

Błagała o łaskę. Mamrotała modlitwy i przeklinała syna i jego kamratów. I ziemię, dla której mordowali, siejąc pożogę i śmierć. Czasem wyła, wyrzucając z siebie oderwane, pozbawione sensu słowa. Strach wyzwolił w niej oszalałego gnoma.

Ogarnęło go obrzydzenie i uczucie ogromnego znużenia. Zrozumiał, że nic i nigdy nie zdoła zniweczyć bezmiarowi ludzkiej podłości. Splunął i odwróciwszy się podążył za resztą grupy.

Alergia

Przyszli po niego wieczorem, już po zachodzie słońca. Wylonili się z czeluści straszniejszych niż samo piekło. Wtargnęli do izby rozbuchani, wnosząc z sobą cuchnący odór potu i jurną pewnością swej siły. Krzyczeli, że ma iść z nimi i że tym razem się nie wykręci. I że będzie robił to co oni, bo inaczej oni zrobią z nim to, co stanie się wkrótce z tymi parszywymi lachami, co mieszkają za rzeką. Śmiali się przy tym, a Maryna nie wiedziała, dlaczego się śmieją.

– No dość – powiedział ten, który był szefem – idziesz z nami, bo jesteś nasz. Nie chce ci się, boś tego jeszcze nie zasmakował. Później sam będziesz się prosił, aby cię zabrać.

Rozpiął kurtkę i zza pasa wyłuskał obrzyna.

– Bierz – powiedział – a sierp masz? To także bierz, przyda się.

Opuszczali chatę gęsiego, a wśród nich on, potulnie i z pochyloną głową. Nie patrzył na nią, więc pomyślała, że to nie jej sprawa i że tak ma być. Wyjrzała tylko przez okno i stwierdziła, że jest ich znacznie więcej. Czekali dotąd w obejściu, spokojnie ćmiąc machorkę. Minęła dłuższa chwila, zanim ostatni z nich zatrzasnął za sobą bramę.

Wieś była polska, ludna i w miarę zasobna. Stał w samym jej środku, odrętwiałały i pełen rozpaczy, patrząc martwymi oczami na to, co się wokół działo. Zgubił gdzieś obrzyna, nie był mu zresztą potrzebny, bo nie chciał zabijać. Być może spłonąłby żywcem, jak ci, których jego pobratymcy skazali na zagładę, ale wcisnęli mu do ręki siekiere i kazali robić to, co robili oni. A więc to robił, wykonując bezmyślnie ruchy niczym w upiornym śnie, aż dłonie jego zwolna przemieniły się w lepkie czerwone imadła, a całe ubranie przesiąkło krwią. Nie wiedział, kiedy skończyli i nie wiedział, jak wrócili do domu. Pamiętał tylko wzrok żony, oszalały ze zgrozy.

A potem spał trzy dni i trzy noce, a kiedy się przebudził, otaczała go zewsząd szkarłatna mgła, przesłaniając mu wszystkie znane dotąd przedmioty i nadając im złowieszcze kształty i sens. Poraziła go ta jednobarwność nowego dlań świata, więc znów uciekał w sen, leżąc z twarzą wciśniętą w ramiona.

Gdy otrząsał się z tej otchłannej zapaści, zadziwiła go i przerażała ta odmienność i obcość rzeczy. Przypomniawszy sobie, że niegdyś – nie dociekał, kiedy to było dokładnie – ów świat wyglądał inaczej, był różnorodny i w wielu kolorach, które teraz traciły w jego wspomnieniach ostrość i wyrazistość. Emanował monotonna czerwienią, a jej napór przytłaczał go coraz bardziej, pozbawiając odwagi i woli działania. Bał się. Bał się różowości poranków i purpury zachodów. Bał się wszystkiego, co do niedawna było mu znajome i przyjazne. Ponieważ inne już było niebo i inny las, inne korony drzew i łany zboża, inne łąki i strzechy chat. Nie rozumiał tego i bał się, udręczony i zaszczuty.

Czasami, gdy żona wychodziła na pole i był sam, przybywali do niego ci z wioski, zasiadali przy stole, kładąc na blacie poszczerbione kikuty rąk, patrzyli na niego pustymi oczodołami i mówili coś długo i zapamiętale, ale on nie mógł ich zrozumieć. Początkowo te odwiedziny ciekawiły go i intrygowały, lecz kiedy nie potrafili nawiązać z nim kontaktu, zaczęły mu ciążyć i przeszkadzać. Postanowił więc te najścia ukrócić, myślał długo, aż znalazł na nie sposób. Brał oto parę noży i kosę, kładł je na stole i spoglądał na tych nieproszonych gości surowo i wrogo, a wtedy oni w popłochu, cisnąc się jeden przez drugiego, wybiegali za drzwi i rozptylali się w nicości.

I tak pojawiali się coraz rzadziej, zostawali coraz krócej, mówili coraz wolniej i ciszej. Aż przestali przychodzić w ogóle, nękać go swą nieuchwytną cielesnością, zabierać mu czas i podkraść najtajniejsze jego myśli. Uwolnił się od nich, przestali istnieć w jego życiu, powrócili do swojej wioski, aby tam wypoczywać wśród zwęglonych zagród.

To był jego tryumf i jego tajemnica. Nigdy nie mówił o tym Marynie, chociaż wiedział, że chętnie by mu pomogła. Ale było to chwilowe tylko zwycięstwo, zazwyczaj, na co dzień, nie potrafił się uporać z czyhającymi nań potworami. Jedynie noce przynosiły mu jeszcze ulgę czy wytchnienie. W nocy czuł się pewniej, mniej wystraszony i zgnębiony. Wolał jej czerń niż niepowstrzymanie pelzająca czerwień, osaczająca go każdego dnia, zewsząd i w każdym momencie.

Aż nagle, zupełnie niespodziewanie, przestał się bać. Ponieważ doznał olśnienia i pojął, co ma uczynić, aby przepędzić bestie, które szarpały mu duszę i mózg. Którejś nocy, gdy czerń wyparła wszechobecną czerwień, wstał i podszedł do stołu, gdzie znajdowała się naftowa lampa. Wymacał ją i zaczął cuchnącą cieczą polewać podłogę i sprzęty. Potem wydobyl zapałki, potarł jedną z nich i rzucił przed siebie. A kiedy wszystko objął płomień, wyszedł na dwór, żeby ogarnąć całość dzieła. Przez chwilę zdawało mu się, że słyszy przerażający kobiecy krzyk, ale zagłuszył go narastający szum pożaru.

Dom płonął. Jaskrawe smugi lizały ściany, przebijały dach, strzelając ku niebu. Widok był piękny, fascynował go i porywał. Spoglądał nań bez lęku, żar lejący się wokół był kuszący i kojący, jak powiew łagodnego wiatru. To był jego azyl, miejsce ucieczki i schronienia, dające spokój i bezpieczeństwo. Ufał mu i wszedł śmiało do wnętrza, aby uścisnąć kobietę, którą kochał. Nawet nie spostrzegł, że sucho trzeszcząc i sypiąc iskrami, zawalił się nad nim strop.

Janusz Brzoza

Książki nadesłane

Wydawcy różni

Wacław Oszejka: *Z Biblią przez cały rok. Opowieści dla dzieci*. Wydawnictwo Święty Wojciech, Poznań 2011, ss. 449.

Justyna Błażejowska: *Papierowa rewolucja. Z dziejów drugiego obiegu wydawniczego w Polsce 1976-1989/1990*. Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2010, ss. 310 + 8 nlb. (ilustr.).

Arka. Prace uczestników Akademii Reportażu im. Ryszarda Kapuścińskiego. Red. Marek Kusiba, Franciszek Piątkowski. Wyd. Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Siennickiej, Siennica Różana 2010, ss. 184.

Mieczysław Orski: *Opowieści dla dorosłych i opowiadki dla niedorosłych*. Oficyna Wydawnicza ATUT, Wrocław 2010, ss. 137.

Stanisław L. Poppek: *Psychologia twórczości plastycznej*. Wydawnictwo Impuls, Kraków 2010, ss. 489.

Stanisław Szukalski: *Niemy Śpiewak / The Mute Singer*. Wstęp Lechosław Lameński. Posłowie Krzysztof Jaskuła. Wydawnictwo Mimochodem, Lublin 2010, ss. 131.

Kenneth White: *Poeta kosmograf*. Wybór, opracowanie i przekład Kazimierz Brakoniecki. Wyd. 2. Centrum Polsko-Francuskie, Olsztyn 2010, ss. 200.

GÁBOR NAGY

Bajka z kamienicy

Daleki blask żyrandoli spod wysokiego sufitu
i świt mglistymi pasmami wdzierający się przez otwarte okiennice
w krzątanicę na dole, między światła dogasających
jarzeniówek. Klatka schodowa – ziewająca bestia –
cuchnie ostro mieszanką pleśni i
potu. W głębokim leju podwórza
pęcherz powietrza, przekłuty – niczym igłą –
pierwszym ciosem światła.
Stojąc na palcach
można dosięgnąć klamki w kształcie ptaszyska,
wczepionego w czarne belki bramy, której skrzywnięcie
daje pewność – skądkolwiek wracasz
oto jesteś w domu. Tu zbiega się
wszystko: piesi pędzący przed siebie
jak rojące się mrówki,
gąsienice tramwajów, trąbiące samochody
i autobusy – rozkołysane wielbłądy miasta.
Tu opuszcza Cię strach,
który czuleś, gdy ruchome schody wciągały Cię pod ziemię,
niczym zwierzę ofiarne,
dostrzegające nagle swe odbicie w kulistych
soczewkach lamp podobnych do diabelskich ślepi.
Tu wreszcie czujesz ulgę, że ofiarą
znów jest ktoś inny, a mrok podwórka
i głucha ciemność korytarza
otulają cię szczerze. Teraz to wszystko jest bajką –
możesz ją czytać, ale
zakończenia nie poznasz,
bo nie jest na dziecięcą miarę.
Wielka gonitwa zdyszanego miasta
– nie wiedzieć kto tu goni, a kto ucieka –
zgiełk, skowyt, dyszenie,
co dzień nowe straszydła –
i potem powrót do domu, który jest zawsze wygraną
i niesie ulgę. Choć
nigdy nie mam pewności
gdy jestem tam, w wirze,
w kłębowisku baśniowych potworów,
czy znów mi się uda, czy wrócę,
czy przyszło mi grać wielką rolę,
czy tylko mały epizod.

Południowe dzwony

Samo jego spojrzenie stawiało na baczność,
narzucało symetrię i porządek
ludziom i rzeczom: talerze, sztuce,
rodzina wokół stołu – wszyscy uroczyście
milcząc czekali na ten dźwięk.

Ja też, chociaż byłem wtedy dzieckiem,
zbyt małym, by rozumieć i szanować
w surowym wzroku dziadka
mądrość wpisaną w wyższy porządek
natury – gwiazd, pór roku i dnia,
lubiłem te surowe ceremonie.

Rozpieszczony i nierozumny
wyczuwałem przecież
miłość ukrytą za powściągliwością,
obciążoną wspomnieniami
porażek, strat, kompromisów.
Wszystko to było w spojrzeniu,
które na dźwięk dzwonu
kazało nam zastyczyć wokół stołu
zanim razem z dziadkiem
podziękujemy opatrności
za wspólny posiłek.

przełożyła *Ewa Mazur*
przy współpracy filologicznej *Izabelli Bézi*

Stodoła

Była większa od domu, przez jej rzadkie deski
przemykały na wylot jasne plamy słońca,
ruchliwe chociaż czujne niczym mysz, co sprawdza,
co stanie się za chwilę, kiedy drzwi zaskrzypią...

Chłopiec wchodził ostrożnie w te mroczne szczeliny
między stertami siana niczym w tajne przejścia,
w sieci ogromniejących budowli i ulic
odurzony zapachem omdlewał od wizji.

Strach było wejść na górę, bo szczytem drabina
sięgała prawie nieba, gdzie drobiny pyłu
wirowały jak gwiazdy i kręciły w nosie,
tak jak sienna planeta krąży wokół słońca.

Czujnie znieruchomiały na środku klepiska
czuł woń ubrań, w tym miejscu ukrytych przez babcię,
i nasłuchiwał głosów od pobliskiej szosy,
którą szło ruskie wojsko – wkraczali zwycięzcy.

Wszyscy byli gotowi na ich przyście – w jamie
wydrążonej w kompoście schowano dziewczyny,
dziadek na progu domu stał z motyką w dłoni
i ostrzegawczo machał jej trzonkiem jak strzelbą.

Ruscy zaprowadzili konie do stodoły,
tu stłoczone parskały, parując zmęczeniem,
a ich mocz wsiąkał w ziemię na środku klepiska,
tam gdzie babcia niedawno zakopała suknie.

Dziś stodoła się chwieje jak niedźwiedź samotnik.
Nie ma już tego chłopca, który pod drabiną
drżał na myśl o wspinaczce. Tylko słońce nadal
łśni złotymi kroplami na okruszkach siana.

przełożyli *Ewa Mazur i Bogusław Wróblewski*
przy współpracy filologicznej *Izabelli Bézi*

Książki nadesłane

Poezja

Stanisława Burda: *Ciszę i słowem*. Wstęp Piotr Sanetra. Ilustracje Zbigniew Józwik. Wydawnictwo WERSET, Lublin 2010, ss. 123.

Halina Graboś: *Mysli niesekretne*. Posłowie Marian Janusz Kawałko. Wydawnictwo TAWA, Chełm 2010, ss. 88.

Grzegorz Wróblewski: *Hotelowe koty. Wiersze zebrane z lat 1980-2010*. Wstęp Piotr Czerniawski i Wojciech Wilczyk. Posłowie Anna Kałuża. Biblioteka Rity Baum, Wrocław 2010, ss. 417.

Jerzy B. Sprawka: *Z kwarantanny. Wiersze i proza poetycka*. Wstęp Ewa Dunaj. Wydawnictwo Polihymnia, Lublin 2010, ss. 93.

Rafał Nowakowski: *Z dystansu. Prace poetyckie 2000-2010*. Staromiejski Dom Kultury, Warszawa 2011, ss. 67+4 nlb.

Jan Michał Stuchły: *La Grande Reportage*. Wydawnictwo Baterex, Racibórz 2010, ss. 228.

Marek Czuku: *Forever*. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2010, ss. 39. Biblioteka „Toposu”, t. 56.

Maciej Mazurek: *Światło nad rzeką*. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2010, ss. 42. Biblioteka „Toposu”, t. 57.

przekroje

Nie tylko analitycznie

JERZY SNOPEK

NAUKA EUROPY ŚRODKOWEJ

Książka Csaby Gy. Kissa otwiera serię wydawniczą, powstałą z inicjatywy kierowanego przez profesora Jacka Purchlę Międzynarodowego Centrum Kultury w Krakowie. Jacek Purchla jest redaktorem *Biblioteki Europy Środka* oraz autorem interesującego wstępu do *Lekcji Europy Środkowej*. Zwięźle i sugestywnie przedstawia w nim przesłanki ciągłej atrakcyjności i doniosłości idei Europy Środkowej. Wie doskonale, że dziś, w dobie integracji europejskiej, obejmującej również państwa naszego regionu, kwestie podziałów Starego Kontynentu, w tym problematyka Europy Środkowej, zdają się tracić na znaczeniu: *Rok 1989 otwiera nowy rozdział w dziejach Europy Środkowej. A może wyznacza jej nieuchronny koniec? Integracja europejska przynosi nie tylko kryzys idei Europy Środka, ale i zasadniczą zmianę percepcji samej Europy. Równocześnie jednak po roku 1989 pojawiają się nowe możliwości współpracy w regionie. Lata dziewięćdziesiąte to czas dialogu między sąsiadami i ponownego odkrywania siebie nawzajem. Odrodzenie narodowe oznaczało polifonię narracji i wzmocnienie różnorodności kulturowej. Policentryczność naszego zakątka kontynentu ponownie stała się bogactwem.* Jak wynika z dalszych słów Jacka Purchli, istotnym motywem zainicjowania przezeń serii wydawniczej *Biblioteka Europy Środka* była też eksponowana rola Krakowa jako jednej z głównych metropolii środkowoeuropejskich. Ożywienie tej tradycji, rekonstrukcja wspólnoty duchowej regionu, ma przynieść profity wszystkim jej członkom i umocnić ich pozycję w szerszych strukturach europejskich.

To, oczywiście, nie dzieło przypadku, że autorem książki otwierającej serię jest Csaba Gy. Kiss, który problematyką środkowoeuropejską zajmuje się nieprzerwanie od kilkudziesięciu lat¹, dostrzega jej doniosłość także po przełomie 1989 roku, a nawet po akcesji czterech państw wyszehradzkich do Unii Europejskiej. Jest przy tym głęboko związany z Krakowem, a w szczególności z Międzynarodowym Centrum Kultury. Wystarczy rzut oka na *Notę edytorską* w omawianej książce, by przekonać się, że wiele spośród zamieszczonych w niej esejów i szkiców powstało we współpracy ze środowiskiem krakowskim. O swym przywiązaniu do Krakowa mówi zresztą sam autor w lirycznym wprowadzeniu do książki.

Trzeba przyznać, że Csaba Gy. Kiss, znawca bodaj wszystkich środkowoeuropejskich języków i literatur, badacz dziejów i kultury tego regionu, profesor uniwersytetów w Budapeszcie i Zagrzebiu, wyróżnia się szczególnymi predyspozycjami do pogłębionej, wieloaspektowej analizy fenomenu określanego mianem Europy

¹ Zob. np. tego autora *Tożsamość węgierska a Europa Środkowa*, „Akcent” 1989 nr 1. Szkic ten włączony został do omawianej książki, ale mylnie podano datę jego pierwodruku.

Środkowej. Piszę o niej jako o fenomenie, albowiem jej status, racja bytu, granice i zasięg terytorialny, mówiąc krótko – jej realność, bywała niejednokrotnie kwestionowana. Widziano w Europie Środkowej (Środkowowschodniej) sztuczną konstrukcję polityków bądź kreację pisarzy i publicystów.² Jawi się zatem jako mit, fantom – notabene nawet Jacek Purchla, mówiąc o niej, przywołuje kontekst oniryczny. Można by zatem powiedzieć, że każdy autor powołujący się na ideę Europy Środkowej widział w niej – chciał widzieć – coś innego.

Bibliografia prac poświęconych tej problematyce, dzieje sporów i polemik wokół rozmaitych koncepcji Europy Środkowej, raczej tę tezę potwierdzają. W tej długiej debacie – prowadzonej przez wiele pokoleń, od półtora wieku – rodacy autora omawianej książki wykazywali się szczególną aktywnością. Wszak twórcą pierwszej spójnej koncepcji (politycznej) Europy Środkowej okazał się – nic nie ujmując inicjatywom Czartoryskiego czy Palackiego – Lajos Kossuth jako autor projektu dunajskiego. Był on potem krytykiem ugody z Wiedniem, a zatem przeciwnikiem monarchii austro-węgierskiej, która stała się z biegiem lat – przynajmniej dla rzeszy jej zwolenników – swoistym ucieleśnieniem idei Europy Środkowej jako regionu wielojęzycznego i wielokulturowego. W XX wieku Węgrzy – jak już wspomniałem – gremialnie uczestniczyli w dyskusjach nad sensem, kształtem i charakterem Europy Środkowej. Najbardziej rzetelne studia poświęcili tym zagadnieniom Oszkár Jászi, László Németh, István Bibó i Jenő Szűcs. Także dzisiaj Csaba Gy. Kiss nie jest w swoim kraju osamotniony jako badacz problematyki środkowoeuropejskiej. Jej kulturowy aspekt stanowi np. od dziesięcioleci przedmiot zainteresowania Endre Bojtára i Istvána Frieda, a od strony historyczno-politycznej badają ją m.in. Emil Niederhauser i Iván T. Berend.

W ogólnoeuropejskiej debacie na temat Europy Środkowej, prowadzonej zwłaszcza w ostatnich dekadach ubiegłego stulecia, nie zabrakło też głosów polskich. Trzeba przy tym pamiętać, że tylko w pewnych przypadkach zostały one wywołane swego rodzaju modą intelektualną, która nastąpiła po słynnym wystąpieniu Kundery. Polskie tradycje refleksji środkowoeuropejskiej są bowiem znacznie dłuższe, poważniejsze i gruntowniej osadzone. Pomijam świadectwa najdawniejsze, ale warto przypomnieć klasyczną pracę Oskara Haleckiego, późniejsze dokonania środowisk emigracyjnych, a w kraju wielkie zasługi Jerzego Kłoczowskiego, zarówno jako wybitnego badacza, jak i twórcę Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie oraz inicjatora *Biblioteki Europy Środkowo-Wschodniej*, serii wydawniczej powstałej na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku, godnej poprzedniczki *Biblioteki Europy Środka* (z nowszych polskich publikacji warto jeszcze wspomnieć choćby o cennej przeglądowo-analitycznej książce Krzysztofa Brzechczyña *Odrębność historyczna Europy Środkowej. Studium metodologiczne*).

Książka Kissa nie pada więc na grunt dziewiczy. Sam autor jest tego doskonale świadomy, wszak przywołuje niejednokrotnie w swych rozważaniach prace polskich autorów: Felczaka, Zdziechowskiego, Vincenza i innych. Należy jednak przyznać, że na zaszczyt otwierania swą książką ważnej serii wydawniczej niewątpliwie zasłużył. Jest – podkreślmy – badaczem problematyki środkowoeuropejskiej konsekwentnym, systematycznym i wszechstronnym, znanym i cenionym w wielu krajach naszego regionu.

Eseje, artykuły, szkice, które znalazły się w *Lekcji Europy Środkowej*, zostały wybrane z bogatego dorobku Kissa, budowanego nieprzerwanie od lat siedemdziesiątych. Pierwszym większym osiągnięciem na tym polu była rozprawa z zakresu literatury porównawczej, poświęcona środkowoeuropejskiemu modelowi powieściowej sagi rodzinnej, ostatnim (jak dotychczas) – książka przedstawiająca znakomitą analizę narodowych hymnów funkcjonujących w dziejach państw i narodów środkowoeuropejskich.

² Zob. B. Wróblewski: *Europa Środkowa w polskim czasopiśmiennictwie literackim (przed 1992 r.)*, „Przegląd Powszechny” 1996 nr 9, ss. 227-236.

Drobniejsze prace Kiss zebrałe w *Lekcji Europy Środkowej* powstały w ciągu ostatniego ćwierćwiecza. Stanowią całość uporządkowaną, podzieloną na cztery części, bardzo jednakże pod kilkoma względami zróżnicowaną.

Ze wspomnianej już *Noty edytorskiej*, przygotowanej przez Łukasza Galuska, możemy się dowiedzieć, że znaczna część prac pomieszczonych w *Lekcji Europy Środkowej* była już wcześniej publikowana w Polsce na łamach czasopism oraz w książkach zbiorowych. W większości przypadków teksty te zostały dostarczone przez autora w języku polskim (stąd brak pod nimi nazwiska tłumacza), a przed drukiem poddano je prawdopodobnie pewnym zabiegom redakcyjnym. Chciałbym tu, niejako na marginesie swych rozważań, wyrazić żal, że redaktorzy temu potraktowali niektóre z nich (i przynajmniej jeden tekst sygnowany nazwiskiem tłumacza) z nadmierną atencją.

Prace zawarte w *Części pierwszej* poświęcone są w przeważającej mierze problematyce historycznej i politycznej. Także aktualne zagadnienia polityczne autor skłonny jest rozpatrywać w ich historycznych kontekstach, co pozwala mu dostrzegać zawężenia i uwikłania umykające powierzchownej obserwacji. Spośród badaczy wspólnej przeszłości szczególnym szacunkiem Kiss darzy niegdysiejszego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, Wacława Felczaka. Nie jest w tym odosobniony, albowiem uczony ten ma w Polsce i na Węgrzech rzeszę wiernych uczniów i wyznawców (należał do nich m.in. Andrzej Przewoźnik). Szanują oni w profesorze zarówno wybitnego historyka, jak i legendarnego kuriera wojennego, prawdziwego bohatera opozycji politycznej w okresie stalinizmu, wspaniałego człowieka. Profesor Felczak był na Węgrzech w drugiej połowie lat osiemdziesiątych (gdzie również ja miałem szczęście poznać go osobiście), spotykał się z działaczami opozycji demokratycznej, w której Csaba Gy. Kiss odgrywał czołową rolę (po pierwszych demokratycznych wyborach do parlamentu był de facto drugą osobą w państwie, ale wkrótce wycofał się ze sceny politycznej, powracając do pracy naukowej). Zapewne również ta polityczna praktyka pozwala mu z wnikliwością i szczególnym wyczuciem analizować rozmaite kwestie z tej dziedziny. Bo trzeba przyznać, że w jego pracach dotyczących zagadnień historyczno-politycznych (por. na przykład wczesne studium *Tożsamość węgierska a Europa Środkowa* i zwłaszcza artykuł z lat dziewięćdziesiątych *Rewolta plemienna w Europie Środkowej*) można znaleźć wywody godne pióra Istvána Bibó.

Część pierwsza książki odznacza się dużą spójnością, *Część druga* jest bardziej zróżnicowana, choć zawiera tylko cztery teksty. Znajdziemy w niej rozważania na temat środkowoeuropejskiego kanonu literackiego, „wspólnych miejsc pamięci”, kwestii narodów środkowoeuropejskich w myśli László Németha oraz artykuł *W podwójnym zwierciadle. Węgrzy i Słowacy*, który powinien się chyba znaleźć w *Części pierwszej*.

Szkice zamieszczone w dwóch ostatnich rozdziałach poruszają problematykę bardziej szczegółową, zacerpniętą jednakże z rozległych – także czasowo i przestrzennie – dziedzin wspólnej kultury. Spotykamy tu również próby spojrzenia na środkowoeuropejską refleksję innych autorów: Miłosza, Vincenza, ponownie Németha. Ponadto – bardzo interesujące szkice o środkowoeuropejskiej świadomości Kresów, o „wielonarodowych znaczeniach miasta” (na przykładzie Bańskiej Szcawnicy), o micie krajobrazu „Górnych Węgier” u Kálmána Mikszátha (warto by było przesłedzić ten sam wątek w twórczości wielkiego ziomka Mikszátha – Sándora Máraia), o polskich motywach u Krúdyego, roli tradycji przyjaźni polsko-węgierskiej w kształtowaniu postaw opozycyjnych czy wreszcie – o roli węgryzmu w obyczajach i kulturze dawnej Polski.

Niektóre z tych tematów stały się już wcześniej przedmiotem badań, analiz i refleksji (należy wspomnieć o niestrudżonym badaczu, jakim był urodzony 100 lat temu, zmarły w 1994 roku profesor István Csapláros, prawie nieobecny

w omawianej książce), ale większość – w kontekście środkowoeuropejskim – została po raz pierwszy podjęta przez Kissa.

Aczkolwiek w *Lekcji Europy Środkowej* spotkamy się niejednokrotnie z przekonaniem autora, że historyczną szansą krajów naszego regionu byłaby – po ich przystąpieniu do Unii Europejskiej – integracja z Europą, to nigdy nie towarzyszy tej konstatacji zwątpienie w realność wspólnoty środkowoeuropejskiej oraz w sens dalszych badań nad jej historią i kulturą. Kiss zdaje się głosić opinię, bliską również piszącemu te słowa, że tylko na drodze takich badań – systematycznych i kompleksowych – można będzie wykazać suwerenność naszego dorobku kulturalnego (chodzi tu głównie o literaturę) oraz zapewnić mu godne miejsce w kulturze powszechnej.

Csaba Gy. Kiss: *Lekcja Europy Środkowej. Eseje i szkice*. Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 2009, ss. 318.

ALINA KOCHAŃCZYK

DZIENNIKI IWASZKIEWICZA

Po trzech latach od ukazania się pierwszego tomu *Dzienników* Jarosława Iwaszkiewicza (z okresu 1911-1955) do rąk czytelników trafił kolejny, w którym zebrane zostały zapiski z lat 1956-1963.

W 1954 roku pisarz przekroczył sześćdziesiąty rok życia. W jego notatkach coraz częściej przewija się temat starości. Iwaszkiewicz nawiedza myśl, że mężczyzna w jego wieku aktywne życie powinien mieć już za sobą, że nadszedł czas, aby – jak to wyraził Kipling – „odejść w góry i sięść przy drodze z drewnianą miseczką”. Jednak mimo zmęczenia staraniami o to, by jego wielki dom z przyległościami mógł funkcjonować, mimo nękających go nastrojów pesymizmu i odbierającego energię przekonania, że świat znajduje się u progu katastrofy, sześćdziesięcioletni, a potem siedemdziesięcioletni Iwaszkiewicz potrafi jeszcze zachwycić się życiem, pięknem przyrody, odczuwać pragnienie miłości. Najważniejszym z wątków obecnych w drugim w tomie *Dzienników* jest właśnie wątek miłosny: autor ze swych przeżyć zwierza się ze szczerością, która dla niejednego z czytelników będzie zapewne szokująca. Nawet jednak ci, którzy nie będą umieli przyjąć homoseksualizmu pisarza, nie pozostaną niewrażliwi na absolutnie wstrząsający dramat starego człowieka, niemogącego oprzeć się pod każdym względem „niestosownej” i niemożliwej miłości do umierającego na gruźlicę młodego mężczyzny. Iwaszkiewicz, cierpiący z nieodwzajemnionej miłości, z powodu doznawanych upokorzeń, przeżywający w skrytości żalobę bardzo długo po śmierci przyjaciela, nie wzbudza odrazy, politowania, lecz prawdziwe współczucie. Nie jest żalony jak bohater *Śmierci w Wenecji*, choć skojarzenia z tym utworem nasuwają się nieodparcie. Nie odstręcza, jak Gide czy Lechoń.

W poruszający wątek układają się zapisy, w których Iwaszkiewicz mówi o swojej samotności, niezrozumieniu przez innych, niedoczeniu. Kto by przypuszczał, że otoczony liczną rodziną, przyjaciółmi, współpracownikami, posiadający setki znajomych w kraju oraz za granicą, sławny i zaszczytami obsypywany pisarz mógł się czuć tak bardzo samotny i tak głęboko to przeżywać? Iwaszkiewicz nie bez racji uważał, że każdy, kto chciał się z nim spotkać, miał do niego jakiś interes, że nie było nikogo, kto żywiłby dla niego bezinteresowną serdeczność, której tak bardzo łaknął. Zupełnie nie zgadza się to z wizerunkiem Iwaszkiewicza jako wybrańca Fortuny, utrwalonym w powszechnej świadomości; postrzegano go przecież jako człowieka i artystę, który osiągnął więcej niż ktokolwiek. Zresztą wtedy, gdy nastrój melancholii opuszcza pisarza, sam przyznaje, że nigdy nie myślał, iż tyle z jego marzeń się ziści. A jednak nie czuł się szczęśliwy i nierzadko dręczyło go

poczucie klęski. Coraz bardziej nieznośna samotność wśród tłumu ludzi pogłębiała pesymistyczne widzenie świata. Ten bardzo wrażliwy na urodę życia esteta coraz częściej widział tylko jego smutki i nędze: *Wszystko wydaje się tylko jakimś strzępami życia, zbutwiałymi szmatami, za które się człowiek chwytą w poczuciu bezsiły i omdlewania. To, co przychodzi, nie ma żadnego już znaczenia i właściwie machinalny tylko rozpęd: biuro, praca, dom. (...) Podróże rysują się jak widma niepotrzebego zmęczenia, a w domu chłód, samotność – a właściwie osamotnienie. (...) Trochę to się ciągnie nudno i niepotrzebnie, ta ostatnia komedia.*

Iwazkiewicz ma wrażenie, jakby stał już nad grobem, a przecież są jeszcze przed nim długie lata życia, odbędzie jeszcze niejedną podróż i niejedną dozna olśnienia, które – choć na krótko – przyćmi udręczające poczucie beznadziejności istnienia. Nastroje zwątpienia, niemożność zrozumienia sensu świata pobudzają niewiarę we własną twórczość.

Stosunek Iwazkiewicza do swoich dzieł to kolejny interesujący wątek obecny w dziennikach. Pisarz zaskakuje czytelników, którzy nie spodziewają się, że właśnie on mógłby doświadczać „niemożności wypowiedzenia się”. „Może nie mówię prawdy?” – dopytuje autor, gdy przeżywa momenty zwątpienia. Wtedy właśnie ujawnia to, co sam uważa za skazę swojego pisarstwa: „To z powodu braku głębi”. Niewielu twórców posiada tak niezmistyfikowaną świadomość, niewielu stać na podobne wyznanie. Miłość własna Iwazkiewicza na to pozwala. Przyznaje się do „głodu wielkości” – pragnienia, które nawiedziło go jeszcze we wczesnej młodości i stało się motywacją dla wysiłków twórczych. Przyznaje się także do „braku głębi” – nie ulega pysze, nie przecenia swojego pisarstwa, w okresach psychicznego niżu ma nawet skłonność do pomniejszania jego wartości. Może to dlatego, że tak bardzo lubi, gdy go ludzie doceniają, a może dlatego, że zdarza mu się odczuwać zazdrość, gdy fetują innych. Własna małość zdaje się go czasem zawstydząć. Gdy w 1956 roku w Sztokholmie przyjmowana jest owacyjnie Dąbrowska, pisarz ewidentnie cierpi z tego powodu, ale nie występuje przeciwko autorce *Nocy i dni*. Iwazkiewicz jest elegancki w uczuciach, a zazdrości – jak powiedziałby Gombrowicz – nadaje formę: *Sam uważam Dąbrowską za prawdziwego pisarza, za sumienie narodu ponadto. Ale myślę, że los jest trochę niesprawiedliwy. Należałoby mi się małe miejsce „obok” Dąbrowskiej.* Trudno oprzeć się pokusie, by zrobić porównanie: choć Iwazkiewicz nie lubi Dąbrowskiej (co przypomina nawet momentami obsesję), stara się oddać sprawiedliwość jej pisarstwu i umie powściągnąć niskie uczucie zazdrości; w podobnej sytuacji Jastrun, jak pokazują jego dzienniki, nie mógł znieść cudzych sukcesów i wybuchał pełnymi nienawiści słowami.

Iwazkiewicz jest co prawda faworytem władzy, ale nie zabezpiecza go to przed poczuciem niedoceny. Boli go, że bywa „niedostatecznie brany pod uwagę”, a nawet – spychany na „pozycje trzeciorzędnego pisarza”. Cierpiąc, nie traci jednak godności, nie pozwala sobie na uzalenie się (*narzekanie jest czymś niegodnym rozumnego i dobrze wychowanego człowieka*). Wypowiadając swoje smutki, zachowuje miarę: *wydaje mi się, że jestem niedoceniany (...). Ale niedocenianych pisarzy nie ma. Widocznie takie jest moje dzieło. (...) Nie trafiło w społeczeństwo, nie współgrało z nim jak dzieło Sienkiewicza czy Prusa.*

Iwazkiewicz ulega pesymistycznym nastrojom i w takim stanie dostrzega wokół siebie i w sobie tylko pustkę. Dotkliwie odczuwa *brak wiary, brak idei, brak Boga, świat jak szybko obracający się i bezsensowny film. Losy tych wszystkich ludzi, o których mówię, i tysiąca innych jak tańce papug w klatkach*. Ten stan ducha odcisnął się na *Ślawie i chwale*. Jest w tym coś bardzo zaskakującego, że zamiast radości z dokonania wielkiego dzieła Iwazkiewicz przeżywa gnębiące poczucie „niemożności”: *nic z tego, co chciałem wyrazić, niewyrażone, nic z tego, co chciałem odczuć – nieodczute*. To nie sukces, lecz porażka – tak można podsumować wyrażone w dzienniku jego ówczesne uczucia. Jeśli marzył kiedyś o roli „wielkiego

pisarza” (któremu z piszących marzenie to jest obce?), nigdy nie uznał, że ma prawo w nią wejść: *Nigdy nie myślę jak Gide, że wszystko, co powiem, wszystko, co skreślę, jest takie niezmiernie ważne. Ach nie. Przeciwnie, wszystko wydaje mi się bzdurą.* I jeszcze jedna zgryzota: chciałby odczuwać, iż jest doceniany, ale przecież nie przez partię, nie na łamach „Trybuny Ludu”! To go żenuje, a nawet w jakimś sensie jako pisarza – kompromituje.

Dzienniki dają tylko częściowe wyobrażenie o rozmiarach uwikłania Iwaszkiewicza w relacje z władzą. Pisarz zaangażował się w działalność kulturalną, a zarazem polityczną, bo wierzył, że to, co robi, przynosi korzyść środowisku literackiemu, społeczeństwu, Polsce. Lubił być na świeczniku i nigdy nie odmawiał, gdy oferowano mu stanowisko czy funkcję. Potrzebował pieniędzy, bo miał duże wydatki: na jego utrzymaniu była gromada ludzi, z których większość nie pracowała i którzy przyzwyczaili się do jego wsparcia. Pieniądze dawał wszystkim potrzebującym. Gdy obejmował jakieś stanowisko, chciał robić to, co pożyteczne dla kultury; choć starał się wierzyć, że jego działania są pożyteczne, nieraz mu to przekonanie brutalnie odbierano. Oczywiście wiedział, iż ma opinię konformisty, który jest w stanie ułożyć się z każdym reżimem; z największą goryczą odnotowywał opinie ludzi, którzy zarzucali mu, że poszedł „na służbę” u komunistów i *przez swoje zaprzędanie się utrudnił pozycję innym.* Choć sądy te uznawał za głęboko niesprawiedliwe, nie uważał, by dziennik był dla właściwym miejscem dla usprawiedliwień, tłumaczeń czy też wchodzenia w polemiki z nastawionymi wobec niego wrogo ludźmi. Iwaszkiewicz nie wykorzystywał dziennika do kreowania wizerunku publicznego, nie dbał o to, by się podobać, ani też nie zależało mu, by jego zapiski znalazły uznanie u czytelników. Choć o to nie zabiegał, zdobywa czytelnika szczerością, wrażliwością, głębią życia wewnętrznego, kulturą uczuć. Robi wrażenie człowieka obdarzonego bogatą i niezwykłą osobowością, który – przy wszystkich swoich wadach – pozostał uczciwy i szlachetny. To, co można Iwaszkiewiczowi zarzucić, wydaje się w przedziwny sposób mniej ważne niż tak ujmujące cechy jego osobowości, jak na przykład jego przywiązanie do kraju i to, w jaki sposób wyraża je ów obywatel świata, który w Europie czuł się jak w domu, ale żyć mógł tylko w Polsce.

O swoim patriotyzmie Iwaszkiewicz pisze mimochodem, w sposób najprostszy, a przez to najbardziej wiarygodny. Rozumie go jako poczucie dumy z tego, co w Polsce dzieje się wielkiego, dobrego: *patriotyzm to życie razem z innymi, razem z Polską.* W drugim tomie *Dzienników* właściwie nie ma zapisów odzwierciedlających nastrojów wielkiej radości, poza jednym – Iwaszkiewicz czuje się szczęśliwy i dumny ze swego narodu, który oto dokonał „rewolucji mądrości”, „bez rozlewu krwi!”. Chodzi oczywiście o wydarzenia Października 56. W nastroju narodowej euforii Iwaszkiewicz umie przyznać się do ogromnego błędu w ocenie sytuacji politycznej w Polsce: *Mnie naprawdę zdawało się, że inaczej być nie może, że Bierut obrał jedyną właściwą drogę... i że trzeba pewnymi ustępstwami okupywać to, co się zdobywa na innych drogach. (...) Zdawało się, że w tym kłamstwie trzeba żyć, jak myszom w serze, i wykopywać sobie chodniki do drobnych przestrzeni, w których można było oddychać nieserowym powietrzem.*

Nie docenił narodu i z wielką radością przyznawał, jak bardzo się mylił. W tym miejscu trzeba powiedzieć, że Iwaszkiewicz bardzo przeżył śmierć Bieruta, był bowiem przekonany, iż nikt nie zdoła go zastąpić – on jedyny spośród rządzących miał prawdziwy autorytet i tylko on doceniał rolę literatury, kultury w życiu narodu. Za tę naiwną wiarę można Iwaszkiewicza potępić, napiętnować, wytknąć mu głupotę polityczną. Ale to granicząca z cynizmem moralna słabość była największym jego „grzechem”, za który zresztą nieraz słono musiał zapłacić. O Związku Literatów pisał: *Bardzo nie lubię tej gromady chciwych, egoistycznych i ograniczonych ludzi. A poza tym drażni mnie rola, którą teraz tam odgrywam; kazali mi być prezesem Związku, gdzie wszystkim rządzi Putrament. A przez zniekształcenie*

moich sprawozdań, niemożność drukowania referatu, fałszują całkowicie nie tylko moje przekonania, ale nawet całą moją osobowość. W przystępie rozpacz i żalu powtarzał – ale tylko do siebie – słowa: *nie nadają się stanowczo ani do takiej pracy, ani do walki*. To zaś znaczyło: nie ma wyjścia z tej sytuacji, trzeba pogodzić się z tym, co jest. I Iwaszkiewicz godził się. Doświadczał sytuacji jeszcze gorszych, bo upokarzających: kiedy Kraśko zachwycał się jego *Sławą i chwałą* mówiąc: *w tym roku minister kultury nie będzie miał kłopotu z nagrodą*, Iwaszkiewicz rozumiał, że to znaczy: *ustąp w sprawie referatu, a będziesz miał pieniądze*. Czuł się poniżony, ale ustąpił, bo – „nie nadaje się do walki”. Przyplącił to ogromnym zdenerwowaniem, podniósł mu się poziom cukru, popadł w przygnębienie, utracił chęć do życia. To z przypisu w książce dowiadujemy się, że w lipcu odebrał nagrodę ministra kultury, sam pisarz stwierdza tylko, iż w tym czasie pogłębił się jego nastrój „ogólnego zniechęcenia”. Pod datą 21 lipca 1963 roku Iwaszkiewicz sporządził zapis, w którym „wykrzyczał” lęk i niesmak z powodu ohydy polityki oraz potworności władzy, która w Polsce, tak samo jak na całym świecie, znajduje się „w rękach sierżantów i półanalfabetów”. Wreszcie, z najwyższym gniewem wypowiedział swoją opinię o jury Ministerstwa Kultury, a więc o tym gremium, które przyznało mu nagrodę. Oskarżył je o interpretowanie książek wbrew autorowi, o zafalszowanie sensu jego *Sławy i chwały* „w myśl swoich kołtuńskich zasad”. O powodach tej gwałtownej reakcji dowiadujemy się z informacji zawartej w przypisie, gdzie przytoczono obszernie cytaty z wystąpienia Gomułki na plenum partii, które odbyło się na początku lipca 1963 roku. Pierwszy sekretarz z wściekłością zarzucił pisarzy szeregiem piramidalnie bzdurnych oskarżeń, które dziś tylko śmieszą, ale wtedy w złowieszczy sposób zapowiadały odebranie twórcom nawet resztek tej wolności, jaką zdobyli po Październiku. Iwaszkiewicz w „Twórczości” tak skomentował wystąpienie Gomułki: *Z największą satysfakcją powitali pisarze polscy referat i dyskusję na XIII Plenum PZPR...* Powstał tekst, którego musiał się wstydzić, ale przecież nie mógł napisać go inaczej, nie mógł też nie napisać go w ogóle. Kiedy mówił o „sierżantach i półanalfabetach” u władzy, miał na myśli Gomułkę. Był zły i rozgoryczony, bo kolejny raz znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Chyba tylko sekret literackiego talentu Iwaszkiewicza sprawia, że kiedy o tych sprawach opowiada, jesteśmy bardziej skłonni mu współczuć niż oburzać się i oskarżać go o cynizm, do czego mamy pełne prawo.

Z autorem *Dzienników* bez przykrości będzie obcował podczas lektury nawet ten czytelnik, który nie zechce mu wybaczyć żadnego z odsłoniętych w zapiskach grzechów. Pisarz przyciąga swoją osobowością, którą chce się poznawać, i darem narracji, kiedy w fascynujący sposób mówi o sztuce, rodzinnej Ukrainie, urodzie świata, ale także wtedy, gdy żali się, jak szare i beznadziejne jest jego życie.

Jarosław Iwaszkiewicz: *Dzienniki 1956-1963*. Opracowanie i przypisy Agnieszka i Robert Papiescy, Radosław Romaniuk. Wstęp Andrzej Gronczewski. Czytelnik, Warszawa 2010, ss. 661.

WOJCIECH LIGĘZA

POETA ODZYSKANY

Alicja Jakubowska-Ożóg zajmuje się twórczością poety mało znanego w kraju, nieczęsto przykuwającego uwagę krytyki, powiedzielibyśmy – pisarza ukrytego w cieniu bardziej spektakularnych dokonań, chociaż poezja Ichnatowicza powraca po latach w odmienionej postaci w wydawanych w bibliotece „Frazy” tomach *Epigramat o nadziei* (2004) oraz *Od czasu kto nas wyzwoli?* (2007). Tomy te powstały w późnym okresie twórczości poety, tym samym sumują doświadczenia, są myślowo głębokie, retorycznie oszczędne, pozbawione fajerwerków słownych.

Badaczka uzupełnia luki w naszym poznawaniu londyńskiej grupy Kontynenty. Należący do tej formacji artyści słowa, którzy rozpoczęli działalność na początku lat pięćdziesiątych, odebrali angielską edukację, dojrzewali w kulturze Wyp Brytyjskich, mogli pisać po angielsku, lecz wybrali język polski. Uznali zdobyty kulturowy background za narzędzie pozwalające zmodernizować polską poezję na obczyźnie, zmienić jej staroświecki kształt, wyzwolić od stereotypów i pokutujących uprzedzeń. Oczywiście zwykle dzieje się tak, że zbiorowa strategia grupy traci z czasem atrakcyjność i siłę, a pisarze zaczynają funkcjonować osobno – jako wykrystalizowane indywidualności, co wcale nie przekreśla dawnych artystycznych powinowactw oraz przyjaźni poetyckich.

Polscy czytelnicy mieli już okazję zapoznać się z tekstami, programem oraz życiem literackim Kontynentów. Szczególnie w ostatnich latach zainteresowanie kontynentczykami zdecydowanie wzrosło. Do biblioteki prac literaturoznawczych o polskich poetach z Londynu trafiła teraz kolejna potrzebna książka – *Poeta i świat* Alicji Jakubowskiej-Ożóg. Umieszczone na wstępie tej rozprawy zdania informują o potrzebie „przywrócenia świadomości czytelniczej” postaci ks. Ihnatowicza, ustalenia linii rozwojowych jego twórczości lirycznej oraz wytyczenia miejsca poety w zbiorowych inicjatywach grupy Kontynenty. W partiach wstępnych pojawiają się informacje biograficzne, które pozostawały dotąd prawie nieznanne. W monografii Jakubowskiej-Ożóg prezentacja przypadków życiowych wiąże się z biografią intelektualną Janusza Ihnatowicza. Pewną niewygodę w odbiorze sprawia przetrzymanie biograficznej faktografii do przypisów, a także zbytne nagromadzenie w tekście pobocznym przytoczeń wypowiedzi programowych poetów londyńskich. Ponadto, nie dość – jak się wydaje – wyraźnie została określona rola (i ranga) księdza Ihnatowicza we wspólnym wysiłku programowo-twórczym grupy Kontynenty.

Autorka omawia szeroko pojmowany dialog intertekstualny w poezji Ihnatowicza, jej przestrzenny i czasowy porządek, muzyczne tematy – od erudycyjnych odniesień po funkcje poznawcze sztuki dźwięku, inspiracje biblijne, wreszcie antynomie sytuacji kapłana i poety, czyli człowieka prywatnego, który pisze wiersze. Gdy zastanowić się nad regułami kompozycyjnymi pracy, można dostrzec konstrukcję koła. Od biografii badaczka przechodzi do związków z modernistyczną poezją, zatrzymuje się przy dialogowej strukturze tekstu i sposobach dramatyzowania wizji świata. Kolejny krąg refleksji obejmuje poetykę przestrzeni oraz semantykę różnych postaci czasu, a potem następuje zwrot w stronę wtajemniczeń kulturowych oraz religijnych i – poprzez określenie relacji człowieka wobec świata i Boga – powrót do osoby poety, do jego samotności oraz wolności twórczej.

Kształtując swój warsztat poetycki, Ihnatowicz sięgał po tak ważne wzory, jak poezja Thomasa Stearnsa Eliota. Przeto Alicja Jakubowska-Ożóg umieszcza wiersze Ihnatowicza w tym kontekście, zwracając uwagę na paralelizm tomu *Displeasure* polskiego poety oraz stylu prawodawcy modernistycznej poezji i mistrza polskich neoklasycystów, czy pisząc o związkach poetów grupy Kontynenty z rewolucją literacką Eliota. Badaczka przytacza wypowiedzi krytyczne Czerniawskiego, Sity oraz Ihnatowicza świadczące o fascynacji autorem *Ziemi jałowej*. Wśród Eliotowskich idei znalazły się „bezosobowość poezji”, letargiczność ludzkiego istnienia, pustka „wydrążonego” życia, przerwanie międzyludzkiej komunikacji, odcięcie człowieka od transcendencji, cywilizacyjny upadek. Autorka rekonstruuje reguły wyrazu zapośredniczonego, a w metaforach i obrazach Ihnatowicza rozpoznaje pogłosy imagistowskiej poetyki. Na przykład konstrukcje podmiotu w wierszach autora *Pejzażu z postaciami* przywodzą na myśl maski oraz persony Ezry Pounda.

W książce Jakubowskiej-Ożóg refleksje o różnych wymiarach dialogu międzytekstowego oraz rozmaitych odniesieniach do rzeczywistości pozaliterackiej poprzedzają uwagi, które dotyczą doświadczeń scenicznych Janusza Ihnatowicza

w teatrze seminaryjnym, a także – praktyki translatorskiej. Przypomnijmy, iż poeta przekładał dramat Eliota *Morderstwo w katedrze*, a część pierwsza tego utworu zamieszczona została w aneksie omawianej książki. Autorka szczególnie interpretuje wiersze z wczesnego okresu twórczości Ihnatowicza, takie jak m.in. *Pawana dzwoniów rozmawiających* oraz *Rozmowa z Hamletem (umarłym)*. W odczytaniu *Pawany...*, niekiedy zbyt pedantycznym (lub rozwlekłym), zabrakło uwag o znaczeniu stylizacji językowej. Natomiast ciekawe oświetlenie znajduje w tej książce „szekspiryzm” Ihnatowicza. Dodajmy, iż twórczość Szekspira żywo interesowała kontynentczyków, co najdobitniej potwierdzają wiersze z różnych lat Bolesława Taborskiego.

Alicja Jakubowska-Ożóg wydobywa na plan pierwszy najważniejsze motywy wierszy księdza Ihnatowicza. Pisze zatem o peregrynacjach tego poety „w poszukiwaniu straconego domu”, jak również o sposobach przedstawienia tego miejsca, zawieszono między rozpadem a mitycznym przywróceniem, które w jakiejś mierze przewycięża wygnańczę bezdomność. W tym porządku rozważań wyróżniają się obrazy miast, a miasta, podobnie jak u innych poetów grupy Kontynenty, postrzegane są jako przestrzeń demoniczna, kusząca chaosem, osaczająca gwarem głosów. Z kolei motyw gór u Ihnatowicza ewokuje pionową relację życia wewnętrznego. Autorka podkreśla, że: „postrzeganie świata u Ihnatowicza jest zawsze teocentryczne”. W poezji autora *Epigramatu o nadziei* Jakubowska-Ożóg wyodrębnia takie składniki kreowanej rzeczywistości, jak niebo, lustra, drzewa, światło, odnosząc je do „pejzaży wewnętrznych”, przeżyć duchowych i doświadczeń egzystencji. Spostrzega, że w wierszach Ihnatowicza od samego początku ujawnia się akceptacja wyroków losu, tym samym poeta odważnie podejmuje problematykę starzenia się, umierania, śmierci.

Jak już pisałem, kategorie przestrzeni i czasu odgrywają istotną rolę w myśleniu Alicji Jakubowskiej-Ożóg o poezji Janusza Ihnatowicza. Zatrzymajmy się przy porządku temporalnym. Pojęcie koła czasowego wiąże się tutaj z dociekaniem sensu historii, z czytaniem znaczeń pamięci. Autorka uwzględnia zróżnicowanie postaci czasu, pisząc o stałym rytmie natury, fenomenologii chwili, terażniejszości pojmowanej jako „rzeka życia” – z trudnymi do ustalenia punktami orientacyjnymi – oraz o odkrywaniu przez poetę metafizycznego porządku czasu. To ważne „współrzędne” refleksyjnej poezji Ihnatowicza. Wyliczenie zamykają widoczne w omawianych wierszach ślady liturgicznego podziału roku, rozpatrywane równocześnie w wymiarze religijnym i świeckim.

Z kwestią czasowości łączy się również muzyka – jako sztuka, do której przynależą formy trwające w czasie, i jako przeżycie odbiorców, mające także przebieg czasowy. Rozdział *Muzyka i muzyczność* został ambitnie zaplanowany, gdyż autorka stara się wydobyć wiele aspektów wrażliwości muzycznej poety, jak również ukazać udział sztuki dźwięku w kształtowaniu poetyckich znaczeń. Badaczka zestawia nazwy gatunków i terminów muzycznych w tytułach wierszy (upominałbym się o pominięte liryki *Sinfonia concertante*, *Moment musical*, *Lento cantabile*), identyfikuje cytaty z pieśni kościelnych, popularnych piosenek i przekazów folklorystycznych, przybliża muzyczność tekstu poetyckiego – brzmieniową i kompozycyjną, podaje reguły estetycznego odbioru muzyki oraz tropi jej metafizyczne odniesienia. Trafnie dostrzeżone zostały w wierszach Ihnatowicza skojarzenia muzyczne związane z rytmem natury, a w podsumowaniu przeczytamy o matematycznej precyzji muzyki jako wzorze „dyscypliny formy” poetyckiej. Może warto dopowiedzieć, iż w wierszu *Obraz i dźwięk przeżywana burza* wiąże się zapewne z „burzą muzyczną” z *VI Symfonii F-dur „Pastoralnej”* Ludwiga van Beethovena.

Alicja Jakubowska-Ożóg raz po raz potwierdza świetne rozeznanie w badaniach nad sacrum, daje dowody odczytania w teologii literatury, potrafi biele rekonstruować relacje dzieł literackich z Biblią. Najbardziej interesuje ją „pionowy wymiar

kultury”. Autorka udowadnia, iż głęboko osadzona w dziedzictwie Księgi poezja Ihnatowicza w swoisty artystyczny sposób wykorzystuje biblijne obrazy i historie. Istotne w tych rozważaniach jest porównanie wierszy Ihnatowicza z poezją psalmiczną, namysł poety nad niedoskonałym, kalekim światem, kreowanie przypowieści traktowanych jako „metajęzyk”, odnowienie alegorezy. W tym miejscu należy podkreślić prekursorski charakter owych rozważań, jeżeli weźmiemy pod uwagę wartość tak wyprofilowanej interpretacji. Zauważmy na marginesie, że erudycyjne dygresje o poezji Karola Wojtyły oraz Jana Twardowskiego wydają się tu nadmiernie rozbudowane.

Tom zamykają rozdziały o roli podmiotu, miejscu poety w dramacie komunikacyjnym oraz autotematyzmie, czyli próbie określenia przez Ihnatowicza przy pomocy literackich narzędzi istoty własnej sztuki poetyckiej. Można dyskutować z proporcjami spraw i zagadnień, jakie zaproponowała autorka. Zbyt mało uwagi Jakubowska-Ożóg poświęca ludycznej grze, a humor poetycki, satyryczne predylekcje, żywioł parodii oraz groteska w wierszach Janusza Ihnatowicza, które przynależą do zbiorowej poetyki kontynentczyków, kwitowane są jedynie wzmiankami. Sądzę, iż koncepcja „poety-igra” powinna zostać dokładniej objaśniona. W rozbudowanej monografii zabrakło miejsca dla naszkicowania przemian stylu poetyckiego Ihnatowicza, od debiutu *Pejzaż z postaciami* do tomów dojrzałego poety: *Epigramat o nadziei* oraz *Od czasu kto nas wyzwoli?*, a przecież istotna jest w tym przypadku linia rozwojowa od liryki wyobraźniowej, stylizowanej, dialogizowanej, kunsztownej do form lakonicznych, szkicowych, bliskich medytacyjnego milczenia.

Monografia Alicji Jakubowskiej-Ożóg *Poeta i świat* dołącza się do sekwencji prac o londyńskiej grupie, takich jak *Poetycki krąg Kontynentów* (red. Z. Andres, J. Wolski, 1997), Beaty Tarnowskiej *Między światami. Problematyka bilingwizmu w literaturze. Dwujęzyczna twórczość poetów grupy „Kontynenty”* (2004), Mariana Kisiele *U podstaw twórczości Adama Czerniawskiego* (1991), Bożeny Szałasty-Rogowskiej *Urodzony z piołunów. O poezji Bogdana Czaykowskiego* (2005). Listę uzupełniają prace zbiorowe *Przez lustra. Pisarstwo Bolesława Taborskiego* (2002, 2003) oraz *Parabole pamięci. Literacka i translatorska twórczość Floriana Śmieji* (2004). Teraz czytelnik otrzymuje dokładnie udokumentowaną, wieloaspektową wypowiedź literaturoznawczą o kolejnym przedstawicielu grupy Kontynenty – księdzu Januszu Ihnatowiczu. Książka Alicji Jakubowskiej-Ożóg w istotny sposób poszerza naszą wiedzę o twórcach z kręgu Kontynentów, a ujmując rzecz szerzej, o nieco zapomnianych w kraju zjawiskach literackich „drugiej emigracji”. W roku 1973 wydawnictwo Znak opublikowało *Wiersze wybrane* Janusza Ihnatowicza i dopiero po wielu latach nastąpił powrót do lektury utworów tego poety – zapoczątkowany publikacją tomu *Niewidomy z Betsaidy* (1991). Takie zdanie nie jest wcale ryzykowne: ważną pomocą w odczytywaniu dawnych i nowych wierszy Ihnatowicza jest recenzowana tutaj książka.

Alicja Jakubowska-Ożóg: *Poeta i świat. Twórczość literacka ks. Janusza A. Ihnatowicza*. Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2009, ss. 364.

WIESŁAWA TURZAŃSKA

WOBEC POLSKICH RESENTYMENTÓW

W świadomości niektórych osób starszego pokolenia funkcjonuje jeszcze idea Polski od Bałtyku po Morze Czarne i od Odry po Dniepr i Dźwinę. Wpływ na takie myślenie miała w dużej mierze literatura, szczególnie romantyczna, lecz nie tylko. Przecież także późniejsze piśmiennictwo utrwaliło mit Kresów Wschodnich

jako „małej ojczyzny Polaków”. Przyczyny tkwią także w historycznie uzasadnionym kompleksie polskim, wynikającym z faktu, iż potężna w XVI wieku Rzeczpospolita niecałe dwieście lat później znikła z mapy. Pojałtański podział Europy, przesunięcia granic i bolesna „repatriacja” doprowadziły do pogłębienia urazów. Ów paradygmat obcy jest młodemu pokoleniu, choć i ono częstokroć przejęło od dziadków przekonanie o wyższości kulturowej Polaków nad Ukraińcami, Białorusinami czy Litwinami. Z kolei nasi wschodni sąsiedzi także nie są wolni od negatywnych stereotypów Polaka i polskości. Za kompendium wiedzy w tej złożonej kwestii, w ujęciu historycznym, można uznać wydaną w ubiegłym roku książkę Michała Jagiełły *Narody i narodowości. Przewodnik po lekturach. Tom I*. Autor prezentuje teksty, które od schyłku XVIII w. do przełomu lat 1905-1906 formowały obiegowe postrzeganie polskiej państwowości i stosunek do wspomnianych narodowości.

Michał Jagiełło to postać niezwykle barwna, z wykształcenia polonista a z zamiłowania taternik, uczestnik wspinaczek w Tatrach, Alpach, Palmirze i na Kaukazie oraz ratownik GOPR-u, w 2009 roku odznaczony za wybitne zasługi dla rozwoju ratownictwa Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Przez krótki czas pełnił funkcję zastępcy kierownika Wydziału Kultury KC PZPR, jednak po 13 grudnia 1980 roku wystąpił z partii (co było dość niespotykane w przypadku działaczy tak wysokiego szczebla) i związał się z opozycją. Po przemianach ustrojowych przez osiem lat był wiceministrem kultury, a od roku 1998 do 2007 dyrektorem Biblioteki Narodowej. Obecnie związany jest z Uniwersytetem Warszawskim i Collegium Civitas, gdzie zajmuje się kulturą mniejszości narodowych. Temu zagadnieniu poświęcił kilka książek i artykułów, choć znany jest głównie z utworów dotyczących problematyki górskiej. Na swym koncie ma też tłumaczenie książki Wiktora Jerofiejewa *Sąd ostateczny*.

W *Narodach i narodowościach* podjął się pracy iście pionierskiej – zebrał setki tekstów źródłowych z okresu zaborów na temat postrzegania przez polską publicystykę mniejszości narodowych w kontekście zaistnienia przyszłej wolnej Rzeczpospolitej. We wstępie Jagiełło zaznacza: *ciekawi mnie, jak wówczas w naszym piśmiennictwie definiowano pojęcie „naród polski” oraz jak polskie elity reagowały na ruchy narodowe wśród Rusinów (Ukraińców), Litwinów i Białorusinów*. Autor nie ogranicza się do zaprezentowania stanowisk strony polskiej, lecz umożliwia czytelnikowi zanurzenie się w dyskusji poprzez przywołanie licznych wypowiedzi przedstawicieli innych narodowości oraz ocen znanych historyków. Stało się to możliwe dzięki dogłębnej kwerendzie nie tylko w zbiorach Biblioteki Narodowej, ale także wielu innych bibliotek, w tym zagranicznych.

Zebrany materiał został ujęty chronologicznie w pięciu rozdziałach, a każdy z nich autor opatrzył niezwykle bogatą i cenną dla specjalistów bibliografią, potwierdzającą ogrom trudu badawczego. Znajdujemy w niej, oprócz pozycji z zakresu historii myśli politycznej, mało znane i rozproszone artykuły, rozprawy, deklaracje działaczy różnych opcji politycznych oraz wypowiedzi cenionych pisarzy, w tym Elizy Orzeszkowej, Henryka Sienkiewicza czy Józefa Ignacego Kraszewskiego. Książkę rozpoczyna wstęp *Przed podróżą*, w którym autor charakteryzuje postawę, jaką przyjął wobec „narodowego węzła gordyjskiego”: *staram się być powściągliwy w krytykowaniu opinii przywołanych w niniejszych szkicach, chociaż nie kryję swoich sympatii do tych, którzy mimo wszystkich obiektywnych i subiektywnych przeszkód potrafili mówić o przyszłej Polsce z polskiego punktu widzenia, ale bez paternalistycznego tonu... Obsadziłem się przede wszystkim w roli sporządzającego przewodnik...*

Pierwszy rozdział „przewodnika” obejmuje opinie od schyłku XVIII w. do początku lat sześćdziesiątych XIX w., czyli do powstania styczniowego. Punkt wyjścia stanowi polemika ze stereotypem Oświecenia jako epoki narodzin nowożytnej tolerancji. Autor, powołując się na Janusza Tazbira, zaznacza, że do Oświecenia

w wielonarodowej Rzeczypospolitej nikt nie myślał o przymusowej asymilacji. Idee centralizmu i uniformizmu, polegającego na likwidacji wszelkich różnic, zostały na grunt polski przeniesione z Francji. W tym też kierunku zmierzała Konstytucja 3 maja i polityka Księstwa Warszawskiego. Hugo Kołłątaj głosił ideę *jednego narodu politycznego scalanego językiem polskim*. To właśnie obowiązkowa w szkołach polszczyzna miała zatrzeć różnice pomiędzy poszczególnymi regionami i nacjami. Dotyczyło to także Żydów, choć Kołłątaj miał zrozumienie dla ich odrębności religijnej. Tylko wobec Ukraińców postulował większą powściągliwość, zakładając, że *nauki ułagodzą dzikość tamtych krajów*. Jagiełło zaznacza, że Oświecenie to okres, w którym pojawiają się koncepcje odłączenia pojęcia „naród” od pojęcia „państwo”. Na polskim gruncie Franciszek Salezy Jezierski jako pierwszy wyraźnie stwierdza, że dany naród może istnieć nie mając własnego państwa. Nasze elity formułują wtedy ideę odrodzonej w przyszłości ojczyzny w jej kształcie przedrozbiorowym, dominującą w polskiej myśli politycznej następnych pokoleń.

Autor podkreśla, że tendencje centralistyczne rozwijały się silnie na emigracji po klęsce powstania listopadowego. W wydawanym w Paryżu przez Towarzystwo Demokratyczne piśmie „Postęp” pojawia się szereg wypowiedzi krytycznych wobec powstających stowarzyszeń litewskich, żmudzkich i ukraińskich. Jako przykład zacytujmy jedną z nich: *Odnawianie litewskiej i ruskiej narodowości jest niedorzeczne, bo jest rokoshem przeciwko historycznej i politycznej jedności Polski*. Jagiełło unika komentarza wprost, przywołuje spostrzeżenia Tadeusza Łepkowskiego, zdaniem którego wiek XIX skomplikował sprawy ojczyzn i narodowości, zaś po raz ostatni do idei historycznej i etnicznej jedności Polski nawiązywał manifest Rządu Narodowego z 1846 r. Okres Wiosny Ludów obudził wprawdzie nadzieje na niepodległość, ale jeszcze bardziej zagęścił problemy, gdyż w Galicji z inicjatywy jej gubernatora Franza Stadion biskup unicki, Jachymowicz, wystosował do cesarza petycję z prośbą o wprowadzenie języka ukraińskiego do szkół i urzędów. Równocześnie pod jego przewodnictwem w katedrze św. Jura powstała Hołowna Rada Ruska, dążąca do podziału Galicji i zorganizowania wschodniej części z Lwowem jako ukraińskiej. Zszokowane środowisko polskie potraktowało to wydarzenie jako „austriacką intrygę”. Można stwierdzić, iż od tego momentu kwestia odrębności Ukrainy staje się na stałe jednym z tematów burzliwych sporów, i to nie tylko do czasów odzyskania w 1918 roku niepodległości. Jednocześnie polska koncepcja o odrodzeniu Rzeczypospolitej w granicach sprzed 1772 r. nie znajduje zrozumienia na forum europejskim.

Polska publicystyka z reguły podtrzymuje w świadomości rodaków przekonanie o jedności państwowej Rzeczypospolitej, wspomagając się historiozofią mesjanistyczną. Nie bez znaczenia w tym przypadku są kwestie religijne, wynikające z lęku przed rosyjskim prawosławiem. Możemy jednak dostrzec pewien nurt rozrachunkowy, przejawiający się w krytycznej ocenie postawy panów wobec ludu, który wyznaje grekokatolicyzm. W zakończeniu rozdziału Jagiełło konkluduje, iż początek lat sześćdziesiątych zapowiada przemiany; pojawia się widzenie przyszłego państwa jako pewnej federacji, a w *powstaniu styczniowym walczone pod sztandarem z trójdzielny herbem, przedstawiającym Orła, Pogoń i Archaniola*.

Cezurę pomiędzy pierwszym a drugim rozdziałem *Narodów i narodowości* stanowi powstanie 1863 r. i związany z nim nowy sposób postrzegania rzeczywistości. Potwierdza to cytowany wcześniej Łepkowski: *Zaczęto chcieć sobie zdawać sprawę, że na obszarach dawnej Rzeczypospolitej rodzily się nowe ojczyzny etniczne, a nawet narody*. W artykułach ukazujących się po klęsce powstania wiele miejsca poświęcono „ludowi ruskiemu”, przyznając mu językową i kulturową odrębność. Większość autorów tekstów przybiera jednak ton paternalistyczny, czyniąc z Polaków obrońców Rusi przed Moskwą. Liberałowie i demokraci

zakładają, że oświata ludu i poprawa sytuacji ekonomicznej chłopów będzie skuteczną metodą związania Rusinów z polskością w przyszłej Rzeczypospolitej. Jednocześnie przewija się wątek „dobrych” i „złych” Ukraińców. Jagiełło, zwykle oszczędny w komentarzach, tym razem dodaje: *przy czym Polacy sami sobie uzurpowali prawo do oceniania tego, co jest dobre, a co złe dla Rusinów i Rusi, do wskazywania na to, kto „brat”, a kto niebezpieczny mąciiciel...*

Połowa lat sześćdziesiątych XIX wieku to czas, kiedy głos w kwestii narodowościowej coraz częściej zabiera druga strona. Jako przykład autor podaje cytaty z książki Stefana Kaczaly, greckokatolickiego księdza i posła do parlamentu w Wiedniu: *historyczne zdarzenia, którymi Polacy posługują się, jako dowodami praw Polski do Rusi, w dzisiejszym wieku nie mają znaczenia (...) wasza (Polacy) hegemonia już się naprzykrzyła*. Jak można się spodziewać, reakcja polskiej prasy była niezwykle gwałtowna. Jeszcze silniejsze emocje cechują dyskusje polsko-litewskie. Drugą stroną reprezentuje powstały w 1883 r. w Prusach Wschodnich miesięcznik „Auszra” (pol. Jutrzenka), zarzucający Polsce zdominowanie Litwy. O eskalacji konfliktu świadczy argumentacja: np. to Polska, a nie Litwa skorzystała na unii, to Litwa zasilala kulturę polską (Mickiewicz, Kraszewski, Lenartowicz, Kościuszko...), dała światu Kopernika – „z Niemczonego Prusa”, w którego żyłach płynęła litewska krew, a Polacy mało znani byłiby w Europie, gdyby nie praca Litwinów. „Auszra” wychodziła przez trzy lata i choć pod koniec wojownicze tony przygasły, to właśnie wtedy pojawiły się pojęcia „litwomani” i „litwomania”. Utożsamiano je z litewskim szowinizmem narodowościowym, niskim stopniem umysłowego i politycznego wykształcenia, brakiem obycia towarzyskiego, a przede wszystkim niechęcią do Polaków i polskości. Podsumowując ten okres, autor przywołuje opinię Piotra Łossowskiego, wybitnego znawcy dziejów Litwy. *Termin ten stał się zawołaniem do walki i hasłem, poprzez które starano się nadać całemu ruchowi pejoratywne znaczenie wynaturzonego, chorobliwego zjawiska. Trwałość terminu „litwomania” okazała się zdumiewająca. Używano go ze strony polskiej przez kilka dziesięcioleci, właściwie aż do końca I wojny światowej, a nawet później.*

W czwartym rozdziale, obejmującym ostatnie lata XIX wieku, znalazły się teksty wskazujące na różnorodność stanowisk każdej ze stron. Jagiełło przytacza je, nie pomijając kontekstu politycznego, społecznego, kulturowego i religijnego. Najwięcej miejsca poświęca relacjom polsko-ruskim, prezentując poglądy różnych stronnictw politycznych. Znajdujemy szereg wypowiedzi Wojciecha Dzieduszyckiego, wschodniogalicyskiego konserwatysty, optującego za współpracą polsko-ukraińską i mającego świadomość win obydwu stron, zarazem zwolennika tradycji jagiellońskiej, którą łączy z sympatią dla Rusinów i Litwinów. Za dwa odrębne narody uważają ich też demokraci, choć dalecy są od przyznania prawa do *projektowania swych losów bez ścisłej łączności z Polską*. W tym też czasie w kręgach polskich socjalistów, na łamach „Przedświtu”, pojawia się idea wyodrębnienia Galicji. Głosi ją Władysław Studnicki, argumentując: *Całkiem oderwana od Austrii Galicja łatwo mogłaby stać się łupem Rosji. Galicja wyodrębniona może stać się zawiązkiem przyszłej niepodległej Polski i niepodległej Rusi – Ukrainy*. Podsumowując ten etap, Jagiełło jednocześnie zaznacza, że procesy narodowościowe wśród Rusinów i Litwinów, choć różniące się od siebie, miały także jedną cechę wspólną: narastającą niechęć do polskiej koncepcji odtworzenia dawnej Rzeczypospolitej.

W rozdziale obejmującym lata 1900-1904 znajdujemy teksty na temat nowego zagadnienia, tzn. kwestii białoruskiej, która wypłynęła na przełomie XIX i XX w. Autor koncentruje się przede wszystkim na ukazaniu polskiego punktu widzenia: *przeważał pogląd, że choć co prawda Białorusini nie są Rosjanami, to jest wątpliwe, czy stanowią w pełni ukształtowany naród; może raczej należy ich postrzegać jako lud, po który od wschodu sięgają Rosjanie, a od zachodu Polacy*. Takie stanowisko prezentują nie tylko na łamach „Przeglądu Wszechpolskiego” narodowi demokra-

ci, ale także socjaliści. Zdaniem Jagiełły początek XX w. znamionuje silny wpływ Narodowej Demokracji na styl myślenia Polaków. Dlatego w tej części książki wielokrotnie pojawia się osoba Romana Dmowskiego. Zgodnie z programem stronnictwa autor *Mysli nowoczesnego Polaka* głosi ideę spójności narodowej i przeciwstawia się koncepcji Polski etnograficznej, uważając sprawę utrzymania ziem wschodnich za strategiczną. Jagiełło, zwykle dość oszczędny w komentarzach, nazywa polityka „manipulatorem” i konkludując przytacza słowa Andrzeja Walickiego: *W ten sposób ideolog endencji sformułował podstawową koncepcję nacjonalizmu integralnego: koncepcję narodu jako ponadindywidualnej, monotożsamościowej całości, sprawującej autorytarną władzę nad swymi członkami.*

Przywołane założenia programowe endencji traktowane były przez Litwinów jako podważanie faktu istnienia ich narodu, co wywoływało skrajne reakcje. Książd Aleksandras Dambrauskas, uznając dalszą polonizację ludności za wrogie działanie, pisał: (...) *naprzeciwko ideałom ojców naszych: Litwa dla Polski, my stawiamy własny ideał: Litwa dla Litwinów.* Możemy zauważyć jednak próby podjęcia dialogu, na przykład przez wychowaną w kulturze polskiej autorkę *Dziejów Litwy* – Konstancję Skirmuntt.

Chociaż w polemikach początku XX wieku dominują hasła Narodowej Demokracji, a na znaczeniu tracą nurty umiarkowane, Jagiełło, na zasadzie przeciwwagi, zestawiał argumentację PPS (wypowiedzi Józefa Piłsudskiego o szowinizmie polskim) i socjaldemokratów. Stronnictwa te kwestię ruską, litewską i białoruską rozpatrują na tle sprawy polskiej w kontekście ustroju przyszłej Polski. W zakończeniu autor stwierdza, że jednak każda z partii traktowała lud litewski, ruski i białoruski w sposób paternalistyczny.

Ostatnia część *Narodów i narodowości* prezentuje burzliwe polemiki na łamach prasy, która wręcz nadużywa takich określeń, jak „naród”, „narodowość”, „nacjonalizm”, „szowinizm”. Autor zaznacza, że wykorzystał tylko część zgromadzonego materiału z lat 1905-1906. Duża liczebność tekstów stanowi efekt zniesienia części ograniczeń publicznego używania „języków miejscowych”, po raz pierwszy ukazują się też gazety w języku białoruskim. Poziom zacietrzewienia autorów artykułów zależy nie tylko od opcji politycznej, lecz również od osobistego temperamentu. Na przykład specjalizujący się w sporach z Litwinami „Kurier Litewski” z jednej strony podkreśla polską tolerancję i rolę kulturotwórczą, z drugiej zaś nazywa język litewski „błagą”, niezdolną do wyrażenia bardziej skomplikowanej myśli, zaś język białoruski traktuje jako „narzecze”. O stanie napięcia pomiędzy Polakami a Litwinami w Wilnie może świadczyć tytuł artykułu z „Dziennika Wileńskiego” – *Hakatyzm litewski*. Litewscy narodowcy nie pozostają dłużni. Odpowiedzią na podnoszoną w polskiej publicystyce tezę o dobrowolnym i naturalnym przyjmowaniu się polskich wzorów kulturowych jest artykuł *Jak działają polomani*, w którym czytamy: *Prawda, nie krwią polonizowano Litwinów, lecz pomiataniem, pogardą i szyderstwem (...) więc polonizacja Litwinów prowadzona była nie krwawymi drogami, ale takie drogi gorsze są od noża.*

Wyrażane w ostrym tonie żądania Ukraińców i Litwinów przysporzyły zwolenników Narodowej Demokracji. Jednocześnie możemy prześledzić – we fragmentach – szereg publikacji, których autorzy wykazują wiele zrozumienia dla bardzo złożonych kwestii narodowościowych. Wymieńmy chociażby wypowiedzi Michała Romera na łamach „Gazety Wileńskiej”, Leona Wasilewskiego w „Prawdzie”, tzw. krajowców w krakowskim „Świecie Słowańskim”, otwartym dla kilku Rusinów-Ukraińców, czy artykuły w zbliżonym do PPS „Ogniwie”. Również po stronie przeciwej pojawiają się teksty pisane w duchu porozumienia, jak choćby wypowiedzi wspomnianej wcześniej Konstancji Skirmuntt w „Kurierze Wileńskim”. Tom pierwszy *Narodów i narodowości* zamyka krótka nota, zatytułowana *Zakończenie i zapowiedź* – autor podsumowuje tu, jak zmieniało się postrzeganie przez Polaków pojęcia „naród”.

Michał Jagiełło umożliwia nam nowe spojrzenie na skomplikowane kwestie relacji ze wschodnimi sąsiadami Polski, a także pozwala zrozumieć przyczyny dramatycznych animozji nie tylko po roku 1918, ale i w czasach współczesnych. Autor nie ocenia arbitralnie ani nie potępia jednoznacznie żadnego stanowiska, ogranicza się niekiedy do lapidarnego ironicznego komentarza. Jednocześnie czytelnik nieposiadający odpowiedniego przygotowania historycznego może poczuć się nieco zdezorientowany, gdyż staje przed trudnym zadaniem przedarcia się przez gąszcz poglądów, wyrażonych językiem odległym od współczesnej polszczyzny. Może to utrudnić odbiorcy stworzenie syntetycznego obrazu zagadnienia, tym bardziej że wielokrotnie przeplatają się ze sobą cytaty na temat kwestii ukraińskiej, litewskiej, białoruskiej czy – rzadziej – żydowskiej. Ów melanz kompozycyjny stanowi wprawdzie konsekwencję przyjętego przez autora na wstępie założenia napisania „przewodnika” dla grona specjalistów, wskazane byłoby jednak poszerzenie kręgu odbiorców, nawet za cenę wzrostu objętości pracy i rozbudowania rozdziałów o syntetyzujące rekapitulacje.

Nie sądzę, by w krótkim tekście możliwe było pełne rozpoznanie tego bogatego przekazu, w którego przygotowanie autor włożył tak wiele trudu. Tym bardziej iż niebawem ukaże się tom drugi pod znamienym tytułem *Razem czy osobno? Przewodnik po lekturach*, dotyczący sporów narodowościowych do roku 1918, a więc umożliwiający ocenę ich wpływu na funkcjonujące do dziś – nie tylko w Polsce – stereotypy i resentymenty.

Michał Jagiełło: *Narody i narodowości. Przewodnik po lekturach. Tom I*. Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2010, ss. 259.

ALEKSANDRA ZIŃCZUK

PRZEDMIOT O PODMIOCIE – O ZREIFIKOWANYM CZŁOWIEKU CZASÓW ZAGŁADY

Przedmioty – zdawałoby się – blade, pozostawione w pośpiechu czy zabierane ze sobą w bezpowrotną podróż, na śmierć, przemawiają do nas po latach, snując do dziś swe osobliwe opowieści. Wagę tej narracji podkreśla Bożena Shallcross w książce *Rzeczy i zagłada*, która – jak informuje autorka – powstała na kanwie przygotowanego przez nią do druku w USA angielskojęzycznego opracowania pod tytułem *The Holocaust Object in Polish Culture*. Przedmioty stają się tu bohaterami wielowątkowych opowieści. Za poszczególnymi historiami drobnych obiektów ukryte zostały losy ludzi.

Świat materialny w dobie holokaustu był szczególnie ważny, zarówno dla ofiar, jak i katów.

Jednak znaczenie i rola przedmiotów w zależności od wprowadzonego kontekstu pozostawała odmienna, często zniekształcając właściwy wymiar rzeczy czy symbolu (np. posługiwanie się gwiazdą Dawida albo tzw. patologiczne zbieractwo hitlerowców). Zmieniają się również w tym czasie stosunki międzyludzkie, które w obozach i gettach można by określić jako relacje podmiotu do przedmiotu. Zmiana desygnatu nie następuje tylko w świadomości historycznej, jak sądzi badaczka. Inne było znaczenie rzeczy w czasie zagłady, a inny jest swoisty dotyk materialnych śladów umieszczonych jako dowody zbrodni w gablotach muzealnych dawnego obozu koncentracyjnego; odbiór przekazów o Nieobecnych przez kolejne pokolenia różni się od żywej pamięci Ocalonych.

Przedmioty to jedyne w swoim rodzaju dokumenty holokaustu, ponieważ miały swoich właścicieli. Prywatne historie rzeczy, nawet nie fotografii, ale tych bardziej anonimowych, a z drugiej strony – fizycznych, namacalnych, konkretnych, jak: okulary, papierosy, buty, walizki, ostrych jak nóż, brzytwa czy okrągłych jak nakrycia głowy lub garnki, przypominają o codziennych czynnościach życiowych. Wyjątkowa narracja jest ściśle spersonalizowana: *Podobnie jak buty van Gogha narzędzia pracy noszą ślady rąk ich używających. Te widzialne znaki, zapisane na powierzchni przedmiotów, intrygują. Im straszny przedmiot, tym gęstsza inskrypcja i patyna, rodzaj faktury wynikłej z jego używania i nadużywania* (s. 52).

Autorka tego w gruncie rzeczy popularnonaukowego dyskursu stara się zobrazować słowem tragedię pojedynczych przedmiotów należących do poszczególnych jednostek. Opiera się przede wszystkim na przekazach literackich: wierszach i esejach, zapisanych w formie opowiadań doświadczeniach Borowskiego. Przywołując *recykling* Tadeusza Różewicza, zwraca uwagę, że oto po zagładzie w zagranicznych bankach będzie spokojnie spoczywać złoto zuniformizowane, z odrębnych obrączek, kolczyków, zębów i bardziej intymnych miejsc ciała. Jednocześnie utrzymuje za poetą, że *przetopiona materia ma inne, osobliwe znaczenie i status, jako że nie da jej się odseparować od zapisanych w niej ofiar* (s. 181).

Podczas zagłady funkcja i przeznaczenie przedmiotów ulegają zasadniczej zmianie. Zmienia się także postrzeganie śladów materialnych (*vestiges*) i niematerialnych (*traces*). Jak inny jest sens przedmiotów w momencie zagłady (weźmy pod uwagę choćby slang obozowy, który odtwarza Borowski), tak inaczej odbieramy ślady holokaustu z perspektywy historycznej (mówi o tym ostatni rozdział). Intymny przedmiot stawał się w owym czasie narzędziem manipulacji na globalną skalę. Dotąd neutralnie nacechowane sprzęty wywoływały tłumione emocje, mogły przyczynić się do sukcesywnego niszczenia psychiki człowieka. Karuzela kojarzona z radością, ruchem i śmiechem nabierała tragicznego znaczenia tuż za murami getta warszawskiego, nieprzypadkowo ustawiona w tym miejscu przez nazistów. Jej dźwięk, ale i sama obecność, osłabiały nadzieję więzionych, co więcej – sprawiały, że Żydzi czuli się osamotnieni. Absurdalność umieszczania karuzeli lub orkiestry w centrum miejsca śmierci oznaczała odebranie naturalnego przeznaczenia rzeczom służącym zabawie, sztuce i rozrywce. W świecie zdominowanym przez przedmiot, który zajmuje miejsce człowieka, dominuje piętno totalizmu. Zamiana przeznaczenia rzeczy i próba odpowiedzi na absurd jest wyrazem buntu, choćby w twórczości poety warszawskiego getta, Władysława Szlengła:

*Włożę cylinder
i bez opaski
(...)
dojdę do wachy,
jak chce, niech strzeli,
włożę cylinder
i włożę smoking...
żeby... widzieli* (s. 61)

Wiersz-dokument (określenie samego poety) daje wyraz upodleniu człowieka, który został specjalnie oznaczony jako obcy, gorszy, intruz. W tym przypadku opaskę z gwiazdą Dawida ma zrekompensować bunt teatralizowany – podmiot liryczny ubierze się strojnemu niczym na bal, idąc w rzeczowości na śmierć. Można za Shallcross znaleźć więcej świadectw sprzeciwu wobec uprzedmiotowienia jednostki, zarówno w liryce, jak i w tekstach prozatorskich. Znajdziemy go także w poetyckim testamentem Zuzanny Ginczanki, gdzie spis rzeczy ofiarowanych oprawcom stanowi ironiczny inwentarz rzeczy, jakich hitlerowcy nie będą w stanie posiadać. Ginczanka, którą we Lwowie wydała sąsiadka, zwraca się w jednym

z tekstów lirycznych wprost do denuncjatorki, uosabiającej ludzką – jak można to określić – chciwość rzeczy:

*Chominowo, lwowianko, dzielna żono szpicla,
Donosicielko chyża, matko folksdojczera.
Tobie, twoim niech służą, bo po cóż by obcym.
(...)
Niech przyjaciele moi siądą przy pucharze
I zapiją mój pogrzeb i własne bogactwo:
Kilimy i makaty, półmiski i lichtarze –
Niech piją noc całą, a o świcie brzasku
Niech zaczną szukać cennych kamieni i złota
W kanapach, materacach, kołdrach i dywanach¹.*

Z jednej strony materialny wymiar przedmiotów w czasie zagłady dominował nad wartościami moralnymi, z drugiej – fakt posiadania cennej rzeczy pozwalał targować się o życie lub pomagał przetrwać. Profesowi Mieczysławowi Porębskiemu zwykły nożyk (przedmiot zakazany w obozie) pozwolił przeżyć. Po 1945 roku ewokował jednak przeszłość wojenną, przypominał o utracie tożsamości, co dogłębnie opisywał Tadeusz Różewicz w wierszu *Nożyk profesora*. Nie jest to jednak – jak dopowiada pisarka – suvenir, nostalgiczna narracja z przeszłości i z daleka, lecz pamiątka (memento), przecinająca swym ostrzem spokojne codzienne bytowanie i otwierająca przestrzeń żałoby (s. 108). W ten sposób pamięć o przedmiotach została naznaczona traumą. Oczywiście, w centrum nie znajduje się tylko rzecz – skrawek codzienności, ale człowiek totalnie uprzedmiotowiony niczym „muzułman”, który według Tadeusza Borowskiego nie był w stanie powrócić do świata rzeczywistego po pokonaniu traumy. W tekście *Ludzie, którzy szli* pisarz określa taką jednostkę jako „człowieka całkowicie zniszczonego fizycznie i duchowo”, „najzupełniej dojrzałego do komina”. Pisarz wybrał akt samobójczej śmierci, choć w tym przypadku trudno mówić o wyborze. Bożena Shallcross w obszerny sposób zestawia rozważania Borowskiego z koncepcją homo sacer Giorgio Agambena.

Rzeczy i zagłada to nie tylko refleksja nad tekstami literackimi o Shoah, podejmująca problematykę tożsamości i posiadania, konstruowania przestrzeni, odbierania zmysłów i osobowości, ale też głos łączący fakty historyczne z koncepcjami filozoficznymi czy historiozoficznymi. Czytelnik znajdzie tu liczne omówienia zapisów-dokumentów oraz literackich rozważań etycznych autorstwa m.in. Zofii Nałkowskiej, Zbigniewa Herberta, Czesława Miłosza, Jerzego Andrzejewskiego czy Bohdana Wojdowskiego. Shallcross wieloaspektowo i rzetelnie podejmuje tak trudny do zwerbalizowania temat: pyta o wymiar rzeczy w Oświęcimiu, o przywłaszczanie mienia czy wreszcie o odczłowieczenie samego podmiotu, który za życia i po śmierci traktowany był jak przedmiot.

Bożena Shallcross: *Rzeczy i zagłada*. Universitas, Kraków 2010, ss. 205.

MARTA KUBISZYN

EKUMENICZNE PRZENIKANIE ŚWIATÓW

Książka *W dwóch światach*, wydana przez poznańską oficynę Zysk i S-ka, sygnowana wspólnie przez Szewacha Weissa i Tomasza Dostatniego, jest odpowiedzią na wezwanie do budowania szeroko rozumianego dialogu polsko-żydowskiego.

¹ Z. Ginczanka: *Udźwignąć własne szczęście. Poezje*. Poznań 1991, s. 141.

Weiss, urodzony w 1935 roku w Borysławiu i ocalony z holocaustu przez polską rodzinę, to izraelski polityk, emerytowany profesor uniwersytetu w Hajfie, były przewodniczący Knesetu, dawny ambasador Izraela w Polsce, a także autor wielu książek i artykułów prasowych. Dostatni – zakonnik i duszpasterz lubelskiej inteligencji – to popularny felietonista i działacz społeczny, prowadzący Fundację „Ponad Granicami”, funkcjonującą pod auspicjami Polskiej Prowincji Dominikanów. Obaj znani są przede wszystkim jako osoby aktywnie angażujące się w przedsięwzięcia, które służyć mają wspieraniu dialogu ekumenicznego i polsko-żydowskiego pojednania.

Książka składa się z dwóch części, poprzedzonych wstępem. Część pierwsza, opatrzona podtytułem *Tropem serca i duszy*, została podzielona na cztery, ogniskujące się wokół różnych tematów rozdziały. Zawiera ona zapisy rozmów prowadzonych przez Weissa i Dostatniego w czasie ich trzydniowego spotkania na przełomie października i listopada 2009 roku w domu Piotra i Anny Voelkelów nad Wartą w Puszczy Noteckiej. Na część drugą, zatytułowaną *Pamięć pokoleń*, składa się zbiór tekstów, w tym felietony Dostatniego publikowane w lubelskim wydaniu „Gazety Wyborczej” w cyklu *Zza bramy klasztoru* oraz felietony Weissa, fragmenty jego przemówień i wywiadów. Teksty obu autorów, ułożone naprzemiennie, stanowią w pewnym sensie kontynuację rozmowy prowadzonej w części pierwszej.

Choć Weiss i Dostatni należą do różnych pokoleń i wywodzą się z odrębnych kręgów kulturowych, są – jak się wydaje – blisko zaprzyjaźnieni. Mimo dzielącej ich różnicy wieku i różnic światopoglądowych, a może właśnie dzięki nim, nawiązują ze sobą szczerą, serdeczną i pełną szacunku rozmowę. Rozpoczyna się ona osobistą refleksją Weissa, dotyczącą choroby i śmierci, a na dalszych kartach książki przekształca się w egzystencjalno-teologiczną dysputę toczącą się wokół religii, człowieczeństwa i ekumenizmu. W książce wyraźnie obecna jest także refleksja nad zagładą, ujmowaną jako wydarzenie historyczne, jako przedmiot osobistego doświadczenia człowieka, a także jako wielowymiarowe zjawisko społeczno-kulturowe, stanowiące ważny punkt odniesienia dla podejmowanych współcześnie rozważań teologicznych, filozoficznych czy etycznych.

Tocząca się na łamach książki debata-rzeka prowadzona przez Weissa i Dostatniego, momentami bardziej metafizyczna, momentami zaś oscylująca wokół osobistych problemów i doświadczeń, może być także postrzegana jako obszerny wywiad, udzielony katolickiemu zakonnikowi przez izraelskiego polityka. Weiss opowiada w nim o sobie i o swoim postrzeganiu rzeczywistości, Dostatni zaś słucha i zadaje pytania, choć czasem przedstawia także własny punkt widzenia i dzieli się refleksjami. Wielowątkowa rozmowa, wyraźnie skupiona na osobie Weissa, daje wgląd w jego złożoną tożsamość i pozwala spojrzeć na świat z perspektywy jego doświadczenia – jego oczyma i sercem. Kwestia „patrzenia sercem”, tj. odwoływania się do emocji i intuicji, przywoływana jest w tekście kilkakrotnie jako metafora antyintelektualnego podejścia do rzeczywistości i stanowi, jak się wydaje, ważny klucz do odczytania i zrozumienia całej książki. Stwierdzając: *Wolę ludzi, którzy patrzą sercem na drugiego człowieka, myślą sercem, niż takich czystych intelektualistów. (...) Mogą być ludzie niewykształceni, bardzo prości, którzy tak naprawdę są bliżej drugiego człowieka, bliżej Boga*, Weiss zdaje się zwracać uwagę, iż dialog – zarówno międzykulturowy, międzywyznaniowy, jak też najzwyczajniejszy dialog między ludźmi – musi odbywać się nie tylko na poziomie intelektualnego poznania i porozumienia, ale także na poziomie emocji i współodczuwania.

Dysputa Weissa i Dostatniego – spontaniczna i pełna dygresji – łączy wiele odległych od siebie wątków. Autorzy wygłaszają opinie nie zawsze wprost, pozostawiając czytelnikom szerokie pole do interpretacji. Jest to rozmowa szczerą, momentami bolesną, dotykającą trudnych spraw i nie stroniącą od krytycyzmu. Uwagom Weissa kierowanym pod adresem niektórych posunięć izraelskiego rządu towarzyszą wypowiedzi Dostatniego, obnażającego antysemityzm części

polskich środowisk kościelnych. Dostatni odważnie wyznaje przyjacielowi: *Mieszkam w klasztorze, gdzie jest 14 osób, każda inna. Mają takie poglądy, że by z Tobą nie rozmawiali, przynajmniej niektórzy. Takie, jak sobie możesz wyobrazić, po prostu jak w polskim Kościele.* Pozostając w zgodzie z duchem dialogu i tolerancji, dominikanin nie osądza jednak, ani nie atakuje osób mających tego rodzaju przekonania, przedstawiając jednocześnie – w dalszej części wypowiedzi – przykłady dwóch innych zakonników ze starszego pokolenia, mających *zupełne inne poglądy niż wielu polskich księży.* Tym samym pozostawia on czytelnikowi przestrzeń dla refleksji i postawienia sobie pytania o to, czy i w jakim stopniu przykład ten odzwierciedla postawy szerszych kręgów polskiego społeczeństwa.

Tym, co czyni książkę atrakcyjną dla szerokiego grona odbiorców, jest jednak przede wszystkim fakt, iż została ona napisana w przystępny sposób, zaś ton prowadzonych dyskusji pozostaje jak najdalszy od języka naukowej debaty. Autorzy zadają sobie trudne pytania, by następnie, metodą dyskursywną, wspólnie szukać na nie prostych, zrozumiałych odpowiedzi. Różnice pomiędzy judaizmem a chrześcijaństwem, losy Żydów w diasporze i w Izraelu, a także postawy i zachowania Polaków w czasie zagłady są tu dyskutowane w szerokim kontekście religijnym, kulturowym i historycznym, z uwzględnieniem doświadczeń życiowych i osobistych refleksji obu uczestników rozmowy. Weiss i Dostatni nadają poruszonym kwestiom jak najmniej abstrakcyjny wymiar, przenosząc skomplikowane zagadnienia teoretyczne do sfery zrozumiałej dla większości czytelników. Niektóre spośród padających tu pytań nie znajdują jednak łatwych odpowiedzi, inne zaś – jak choćby przytaczane za wybitnym współczesnym talmudystą Davidem Halivnym pytanie: „Gdzie był Bóg w Auschwitz?” – ma w zasadzie charakter retoryczny. Jednakże i na nie Weiss stara się odpowiedzieć, stwierdzając: *Mam jedną osobistą odpowiedź, malutką, ale nie marginesową: w sercach ratujących Żydów Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata był Bóg.* Rozmowa, jaką prowadzą izraelski polityk i polski zakonnik, nie jest przez żadnego z nich wykorzystywana jako okazja do moralizowania, ale służy wspólnemu dociekananiu prawdy i dzieleniu się doświadczeniem. Cechuje ją gotowość do uszanowania perspektywy interlokutora, połączona z artykułowanym przez obie strony pragnieniem ucieczki od schematyzmu, jaki często definiuje nasze kontakty z osobami reprezentującymi inne wyznania, narodowości, odmienne systemy wartości czy poglądy. Jak zdają się wskazywać Weiss i Dostatni, przekraczaniu stereotypów w relacjach pomiędzy Polakami a Żydami służy przełamywanie wzajemnych uprzedzeń i obnażanie zafałszowań historycznych, funkcjonujących przez lata w wyniku dbałości o narodowe mity.

Ważnym celem prowadzonej rozmowy i źródłem pomysłu na wydanie książki jest też poszukiwanie wspólnej przestrzeni, gdzie – mimo istniejących różnic – rzeczywisty dialog i porozumienie stają się możliwe. Dostatni mówi o tym wprost: *Uważam, że przez nią [tj. przez książkę, przyp. M. K.] można pokazać, że dialog z judaizmem jest możliwy. My się dzisiaj wspólnie modlimy. Wczoraj śpiewaliśmy. Co się będzie jeszcze działo, nie wiemy, bo jesteśmy wszyscy otwarci na to, co będzie.* Jak podkreślają w swoich wypowiedziach obaj współautorzy książki, *rzeczywistą przestrzenią dialogu może być szeroko rozumiana sfera kultury, (...) wyższa niż narodowość, wyższa niż nacjonalizm, uniwersalna, przekraczająca granice etniczne i wyznaniowe.*

Tym, co łączy rozmówców i sprowadza dyskusję na grunt bliski większej liczbie odbiorców, są jednak przede wszystkim sprawy egzystencjalne. Wypowiedzi Weissa dotyczące miłości, przywiązania, śmierci, samotności i rozpaczy po stracie ukochanej żony Ester, której pamięci książka jest dedykowana, nadają publikacji osobisty wymiar, sprawiając, iż były ambasador Izraela w Polsce staje się dla odbiorców postacią niezwykle bliską. Dzięki książce poznajemy wiele szczegółów z jego życia, w tym historię dzieciństwa spędzonego w Boryslawiu, dramatyczne

wspomnienia z okresu okupacji, a także intymnie niejednokrotnie kulisy jego relacji z żoną, dziećmi i wnukami. Weiss odsłania także swoje głębokie przywiązanie do Polski i wskazuje przyczyny szczególnej więzi z naszym krajem. Wyraża się ona między innymi poprzez zaangażowanie byłego ambasadora w działania na rzecz łagodzenia istniejących napięć i antagonizmów wynikających z trudnej historii kilkusetletniej współegzystencji obu społeczności. Powstrzymując się od formułowania jednoznacznych oskarżeń, w odpowiedzi na zarzuty dotyczące udziału Polaków w zagładzie, Weiss przytacza przykłady ratowania Żydów przez polskich Sprawiedliwych, w tym historię własnego ocalenia.

Wymowny tytuł książki i dialogiczna forma narracji sprawiają, że rozmowa Weissa z Dostatnim może zostać odczytana jako metafora spotkania różnych, pozornie odległych, choć w rzeczywistości bliskich sobie i wzajemnie na siebie oddziałujących przestrzeni społeczno-kulturowych. Dyskutując o wartościach duchowych, religii, sensie istnienia i zagładzie, obaj rozmówcy występują w kilku nakładających się na siebie „rolach”, których źródłem jest przede wszystkim poczucie przynależności do określonej wspólnoty narodowej, etnicznej i wyznaniowej. Jednakże zarówno Weiss, jak i Dostatni wielokrotnie udowadniają, iż świadome przekraczanie tych ról i wychodzenie poza narzucane przez nie ograniczenia umożliwia otwarcie się na to, co odmienne w poglądach innych osób. Ważne dla zrozumienia przesłania książki są postacie duchowych i intelektualnych patronów rozmowy prowadzonej przez Weissa i Dostatniego. Losy i przekonania takich osób, jak: David Halivny, Oswald Rufeisen, Icchak Rabin, Golda Meir, Irena Sendlerowa, Janusz Korczak czy Jan Karski, niejednokrotnie przywoływane na kartach książki, stanowią punkt wyjścia do podejmowania dyskusji o odpowiedzialności za przekazywanie wiedzy oraz burzenie fałszywych wyobrażeń o zagładzie.

Ta interesująca, pełna zaskakujących wątków książka, razi jednak nieco nadzbyt chropawym językiem. Ograniczenie do minimum ingerencji redakcyjnej w toczącą się dyskusję sprawia, że narracja staje się momentami zbyt chaotyczna, a czasem wręcz niezrozumiała. W żaden sposób nie da się także usprawiedliwić błędów merytorycznych (np. s. 155, cyt.: (...) *koło Morza Martwego, gdzie jest najniższe miejsce na świecie 392 m n.p.m.*; faktycznie Morze Martwe znajduje się na wysokości 418 m p.p.m. i ciągle się obniża); a także literówek (np. s. 166, cyt.: „(...) w Karpatach modlił się Ball Szem Tow”; imię twórcy chasydyzmu brzmi Baal Szem Tow) i niekonsekwencji w pisaniu obcych imion i nazwisk (np. kilkakrotnie pojawiające się imię żydowskiego teologa zapisywane jest raz jako David Halivny, a raz jako Dawid Halivny), wynikających – jak się wydaje – z niestarannej redakcji i korekty. Zaniedbania te nie przesłaniają jednak najważniejszego przesłania książki. Dzięki przystępnej formie i licznym odwołaniom do spraw bliskich wielu czytelnikom, może ona skłaniać do pogłębionej refleksji nad człowieczeństwem i kwestią grupowej oraz jednostkowej odpowiedzialności za losy współczesnego świata. Jak podkreślają obaj współautorzy, odwołując się do myśli Jana Pawła II, dialog polsko-żydowski, zarówno w sensie religijnym, jak też w sensie społeczno-historyczno-kulturowym musi być nieustannie kontynuowany i wciąż na nowo inicjowany w przekonaniu, iż jest on możliwy i konieczny. Książka Weissa i Dostatniego, nie dając wprawdzie ostatecznej recepty na porozumienie, jest dowodem wiary, iż wartości wspólne dla obu narodów, kultur i religii, mają większe znaczenie niż istniejące różnice, wynikające z odmiennych tradycji filozoficznych i teologicznych, a także z różnych doświadczeń historycznych. Choć rozliczenie z przeszłością jest warunkiem koniecznym rozwijania dialogu polsko-żydowskiego, nie powinno ono jednak przebiegać w atmosferze wzajemnych oskarżeń, ale w klimacie zrozumienia i wzajemnego współczucia.

Poeci, poeci...

AGNIESZKA RESZCZYK

CHWYTANIE CHWILI

Świadomość przemijania życia przenika świat poetycki najnowszego tomu Urszuli Koziół pt. *Horrendum*. I choć poetka nigdy nie nazywa śmierci wprost, to nie ulega wątpliwości, iż ją przeczuwa: *Przedemną coraz bliżej teraz wody Lety (Z rzeki do rzeki, s. 57)*. Myślenie o bliskości kresu urzeczywistnia ten stan, gdyż obie przestrzenie, „realna” i „nierealna”, mylą się, mieszają ze sobą, (...) *że już nie sposób / odróżnić miejsca czy jeszcze / tutaj się jest czy może już tam (Z rzeki do rzeki, s. 57)*. O zanikaniu przynależności do tego świata świadczy niepokój przed samotnością i nieistnieniem. Podmiot liryczny tej poezji, tożsamy z „ja” autorki, najsilniej lęka się pustki, *wrogiej i myślom (...) / i ustom / (...) co na słowa i na ciało / właśnie zaciąga czarny całun (Nagle powiało na mnie chłodem, s. 9)*. Pustki tej doświadcza zresztą już teraz, jako przedsmaku „drugiej / ciemnej świata strony”. Paradoksalnie, bycie na granicy dwóch przestrzeni mocniej łączy z życiem, składając do refleksji nad jego sensem.

Dla Urszuli Koziół pisanie wierszy jest sposobem istnienia (*Na przęsłach mostu – od słowa do słowa – zawieszam swój byt; Do imionnika, s. 31*), który umożliwia jej zarówno przechodzenie ze świata żywych do świata słowa, jak i otwieranie nowych, nieznanych dotąd przestrzeni. Określanie i poszerzanie granic własnego bytu spojone jest u Koziół z jednoczesnym – zaburzającym ten stan – poczuciem przypadkowości własnego istnienia:

*mogło mnie wcale nie być
nie tu nie teraz nie pod taką postacią
w jakiej przypadkiem zjawiłam się i
nikt by tego nawet nie spostrzegł
nie zauważył że mnie nie ma że brak
i mnie i mojego słowa czy
na pewno nikt inny nie napisałby nigdy tych
wierszy które ja od niechcenia kreślę od lat*
(*Horrendum albo traktat o puchu dmuchawca, s. 44*)

Jak na ironię, słowa, których „materia” jest tak nietrwała, że „rozwierają się na wietrze”, „rozpływają we mgle” czy „gubią się w domysłach”, okazują się kluczem do wypowiedzenia i utrwalenia siebie. Zarówno do wyrażenia poczucia „osobności”, wynikającej z indywidualnych zmagania i doświadczeń, jak i zakorzenienia w polszczyźnie. W wierszu *Lingwa*, rozpoczynającym się od trawestacji początku inwokacji *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza, poetka nazywa tytułową lingwę (język) ojczyzną, którą stale nosi w sobie. Ma bowiem świadomość, iż jej wiersze wyłonione są z języka – „bezbieżnej zalążni”, mieszczącej w sobie zalążki wierszy

jej i nie jej zarazem, jakby wszystkie były tu rozproszone. Przeto źródłem słowa, będącego początkiem wiersza, jest rodzimy język. Dlatego pisanie wiąże „ja” liryczne z życiem, z ojczyzną, zaś jego zaprzestanie kojarzyć się będzie ze śmiercią, której widmo przywołuje pusta kartka, co *łasi się do pustej ręki / z której pióro wypadło na zawsze* (***) *chwila kiedy...*, s. 16).

Duchowe oparcie Urszula Kozioł znajduje również w sile słowa polskich poetów: Jana Kochanowskiego, Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Cypriana Norwida, Leopolda Staffa. Autorka *Suplik* przywołuje poetycką przeszłość, chociażby w *Balladzie*, zaczynającej się od motta z Kochanowskiego, którego twórczość nadaje ton całemu wierszowi, czy w *Ogrodniczce*, gdzie bawi się aluzją do Mickiewicza. W *drodze do Strugi* raz jeszcze powraca Mickiewicz, tym razem nastrojowy jak w *Balladach i romansach*, a *Hymn o zmierzchu* przypomina hymny Słowackiego (obraz słońca ginącego za widnokreśm kojarzy się z *Hymnem [Smutno mi, Boże...]*). Poetka ma świadomość, iż pisząc wiersze, staje się spadkobierczynią i kontynuatorką poprzedników. Sięga także do skarbcza kultury śródziemnomorskiej po mity greckie. Jej bohaterka, podobnie jak Odyseusz, próbuje odgadnąć, o czym śpiewają syreny (*O czym śpiewają Syreny*, s. 23). W wyobrażeniach związanych ze śmiercią powracają natomiast mitologiczne rzeki Hadesu – Leta i Styks oraz zwyczaj kładzenia monet na powieki zmarłego. Osadzenie słowa w tradycji polskiej poezji i wzorach kultury śródziemnomorskiej naznacza je stygmatem trwałości.

Poetka w wierszu – jak w pamiętniku między kartkami – przechowuje, by ocalić od zapomnienia: gwiazdy, krople rosy i deszczu, liliowe obłoki poróżowiałe na brzegach, białe płatki śniegu, blask kałuży, płomyki świec, ptasie głosy, liście, żdźbła trawy, zapach maciejki i białych lili, „główki irysów pręgowane jak pyszczek tygrysa”, łąkowy mniszek, dzikie ostróżki, kąkol i powoje... Jej słowo rodzi się w kontakcie ze światem (*tak zapachu róży łąknie / ten wiersz skurczony w tobie; Hymn o zmierzchu*, s. 49), zaprasza (wzywa?) do chwytania chwili, wiązania się z życiem. Kozioł jest bowiem kolekcjonerką chwil niepowtarzalnych, niekiedy okupionych łzą, których piękna nie sposób wyśłowić, bo są niezwykle jak „światło spadającej gwiazdy” (*Hymn o zmierzchu*, s. 48). Ale *Horrendum* zrodziło się także z chwil wywołujących zdziwienie kruchością wszystkiego, co znajduje się w zasięgu oka, co tylko osłonięte barwą i pozorem kształtu. I tych chwil, które chociaż tchną ciszą, wprawiają w osłupienie, że koniec życia objawił się tak nagle. Słowo, pełne zarówno wrażeń ze świata, jak i śladów językowej przeszłości, stara się tę różnorodność – i niewspółmierność – uchwycić.

Urszula Kozioł ujmuje szczerością. Traktuje swoją osobę z dystansem i ironią (choćby, gdy puka do siebie i „nie zastaje nikogo” lub kiedy stwierdza, że „zapomniała napisać” *Don Kichota*), ale równocześnie ma świadomość, że ona i jej świat znajdują się „w płynnym stanie”. Sen i jawa to dwie odmiennie rzeczywistości, między którymi istnieje subtelna granica. I choć sen znika tuż po obudzeniu, to jednak daje on bohaterce tej poezji możliwość doznania zupełnie odmiennego stanu: „pod osłoną nocy zapomina o własnym życiu”, a jej „ja” staje się ktoś inny – żołnierz grający na fortepianie, podczas gdy ona nie potrafi grać na żadnym instrumencie. Doświadczenie to, odczute realnie, w pewnym sensie oswaja ją z nieodległą perspektywą zanurzenia się w dającej zapomnienie wodzie Lety. Nie bez znaczenia pozostaje łączenie doświadczeń granicznych z żywiołem wody, skoro tak łatwo przeoczyć moment, w którym „ciemność zawładnęła snem” (*Przeoczony moment*, s. 63). Między bytem a niemytem granica jest płynna. Jak w wierszu *Z rzeki do rzeki*, gdzie fale Lety i Styksu spletają przestrzeń realną z nierealną tak, że *Rzeki wraz z niebem jednym stają się błękitem / nieprzenikliwym, że aż trudno dociec czy się w nim jeszcze nadal jest / czy już się było* (s. 57).

Pytając „po co komu te stopy / w wierszach” (*Poniewczasie*, s. 30), poetka pyta o sens dbałości o formę w epoce, kiedy jest to tak niemożliwe: *one wolą być teraz*

/ białe / trochę białawe / szare bure nagie / one wolą nie być wierszem (Poniewczasie, s. 30). I choć autorka *Wielkiej pauzy* ma świadomość, że współcześnie poezja dystansuje się w stosunku do samej siebie, to jednocześnie trzyma się tych stóp, zapomnianych rymów i rytmów, jakby ich urok pozwalał jej stawić czoło nieuchronnej perspektywie. Dbanie o rymy zastępuje obecnie wysiłek zderzania ze sobą słów w jedyny, niepowtarzalny sposób, który pozwala odróżnić wiersz – „jego rozpoznawalny deseń” (*Lingwa*, s. 15) – od niewiersza. Nie zawsze jednak trud przynosi oczekiwany rezultat – czasami to, co wydawało się wierszem, nagle „rozmażuje się w nic” (***) *słowo do słowa...*, s. 28). Dlatego pisanie poezji Koziół kojarzy z podejmowanym wciąż na nowo wysiłkiem poszukiwania świętego Graala, z próbą zawisnięcia na linie zaczepionej od wież Manhattanu po wieżę Eiffla czy z trudem przeprawiania się przez odmęty słów w poszukiwaniu tego jedynego (*Do wiersza*, ss. 7-8). Żeby spotkać się z wierszem, słowa zapisuje w pośpiechu, zanim „uwięznę w gardle” (*Bez głosu*, ss. 35-36), mając na uwadze jeden cel: „żeby się wyrażnić / na odchodnym” (*Do wiersza*, s. 8).

Poetka aprobuje świat i prawa nim rządzące. Nie próbuje na siłę dociekać jego sensu, gdyż wie, że jest on niepojęty i paradoksalny, a z wszelkich takich starań „wynika tyle samo / co i nie wynika” (*I co z tego*, s. 51). Pytanie o granice ludzkiego poznania ociera się więc o paradoks i sugeruje fragmentaryczność wiedzy, bo człowiek zna się na czymś, „na czym do końca znać się niepodobna” (*Co masz do powiedzenia*, s. 63). Mimo to, a może właśnie dlatego (o paradoksie!), świat pozostaje fascynujący:

czy to już wszystko świecie
co miałeś mi do powiedzenia
nie wierzę
więc aż tyle miałeś mi do powiedzenia
(*Co masz do powiedzenia*, s. 64)

O percepcji świata mówią najpełniej – jak zauważył Jacek Łukasiewicz¹ – trzy jednocześnie uczucia: zachwyt jego urodą, zdziwienie przygodnością ludzkiego życia i losu oraz przerażenie śmiercią i odczucie jej bliskości. *Horrendum*, będąc syntezą ich wszystkich, najlepiej oddaje wymowę całości, w której zawiera się bolesna i dotkliwa świadomość różnicy między oczekiwaną sensownością a realnym nonsensem świata, między własną przypadkowością a koniecznością istnienia upominającego się o sens. Synergę tych uczuć zawarła poetka w *Przebudzeniu*, które rozpoczyna się zachwytem nad porankiem, oglądanym przez przymknięte powieki, na granicy snu, zanim pojawi się gorzka świadomość, że „oto istnieje coś / co zarazem nie istnieje” (s. 47).

Urszula Koziół: *Horrendum*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010, ss. 72.

EWA DUNAJ

ANNA JANKO URODZIŁA SIĘ KOMUŚ

Najnowszy, szósty tom wierszy Anny Janko był długo wyczekiwany i przez samą autorkę, i przez wiernych fanów, których przysporzyły jej znakomita i wielokrotnie nagradzana powieść *Dziewczyna z zapalkami* oraz nominowany do nagrody Nike poprzedni tom pt. *Świetlisty cudzoziemiec*. Publikację *Wierszy z cieniem* poprzedziła starannie przemyślana, powściągliwa promocja internetowa. Najpierw książka była kilkakrotnie anonsowana na „Zwierciadlanym”

¹ J. Łukasiewicz: *Zachwyt, zdziwienie, przerażenie*. „Odra” 2010, nr 7-8.

blogu, zatytułowanym „Pisane na lustrze”, gdzie poetka zwierzała się ze swoich niepokojów i nadziei, opisywała projekt okładki, a także uchylała rąbka tajemnicy, publikując parę wierszy. Potem, wykorzystując blog i portale społecznościowe (Facebook), Anna Janko zapowiadała spotkanie promocyjne i zapraszała wszystkich zainteresowanych na wernisaż do „Czułego Barbarzyńcy”: *Tomasz Jastrun będzie mnie zachęcał do czytania wierszy, a ja nie będę się dawała prosić* :). Przygotowaniom towarzyszyła więc atmosfera wyczekiwania, napięcia, bowiem Anna Janko od dawna jest uważana za jedną z najbardziej interesujących poetek swojego (średniego) pokolenia.

Pierwsza lektura tomu poetyckiego, zwłaszcza jeśli zna się osobiście autora, jest zwykle bardzo emocjonalna. Wiersz to wypowiedź tak intymna, że czytanie ma w sobie coś z niezdrowej ciekawości, jak wtedy, gdy zagląda się w miejsca sekretne, chociaż przecież są to zawsze „sekrety” wykreowane i wyselekcjonowane. Trudno też oprzeć się porównaniom – z książkami wcześniejszymi oraz z wyobrażeniami, które powstały przed przystąpieniem do lektury. Dlatego zwykle staram się czytać ostrożnie, „dawkować” sobie po parę wierszy, nie poddając się pierwszym rozczarowaniom i oczarowaniom. W przypadku *Wierszy z cieniem* w pierwszej chwili odczułam zaskoczenie, gdybym bowiem miała powiedzieć, co w utworach Anny Janko cenię najwyżej, powiedziałabym – inteligencję. Jej poprzednie tomy można by określić słowami: drapieżne, niepokojące, ostre. To poezja intelektualna, precyzyjna, świadoma, „skandynawska”, bardzo oryginalna – dzięki umiejętności utrzymania dystansu wobec samej siebie. Tymczasem nowe liryki uderzyły mnie przede wszystkim wielością intertekstualnych odniesień – znajduję tu echa lektur, ślady literackich fascynacji, osobistych przyjaźni, życiowych doświadczeń. W kilku wierszach słyszę wysoki ton ukochanego przez Annę Rilkego, nagłosowy *Było życie* – ze sceną orkiestry grającej w parku – to obrazek jakby spod pióra Pawła Huelle (park, rzecz jasna, oliwski), a znowu paradoksy: „Nie mija cud przemijania” czy „Jesteśmy wczoraj i na zawsze” brzmią, jakby wypowiedziała je Szymborska. To naprawdę wiersze z cieniem – słowo poetyckie jest tu palimpsestowym zapisem, tworzącym długie ciągi skojarzeń.

Drugie zaskoczenie dotyczy właściwie tylko jednego utworu. Wiersz *Tęsknota*, który kiedyś słyszałam wypowiedziany przez Anię na jakimś spacerze, wtedy zachwyił mnie, brzmiał naturalnie i spontanicznie. Teraz, gdy znalazłam go w książce, usłyszałam w nim zgrzyt nadmiernej egzaltacji, jakby wyszedł ze sztambucha nastolatki. Ale może to dobrze? Może umiejętność przeżywania najprostszych wzruszeń i opisywania ich najprostszymi słowami to atrybut – nieprzemijającej – młodości?

Tęsknota

*Tęsknota to jest słowo na „ż”:
żarzy się, żagwi, żegna, żałuje, żebrze.*

*Tęsknota to jest słowo na „b”:
boli, blisko, bardzo, beznadziejnie, bez końca.*

Tęsknota to jest słowo na „t”:

Ty (s. 14)

Trzecie zaskoczenie przyniósł wyraźnie widoczny w całym tomie zwrot ku klasycznej, tradycyjnej formie wiersza regularnego. Aż trzy razy w tytułach pojawia się słowo „piosenka”, a raz nawet – „baśń”. Kunsztownie rymowane wdzięczne filigrany wydały mi się zbyt wystudiuowane, przerafinowane – zostaje po nich słodki smak na języku i pustka, jak po rozpuszczonym cukierku. W dodatku nieustannie przywodzą mi na myśl wiersze z tomów Krystyny Lars *Umieranki* i *Wspólna kąpiel* (drugi napisany wspólnie z mężem, Stefanem Chwinem). Oczy-

wiecie, świetnie wyobrażam sobie scenę, w której Ania, na zadane przeze mnie pytanie odpowiada przekornie, cytując Szymborską: „Bo potrafię!”

I wreszcie zaskoczenie ostatnie, to najważniejsze, najbardziej cenne. Następuje wtedy, gdy wiersz przy pierwszym czytaniu olśniewa, zachwyca, uderza – aż wstydzę się tak o tym pisać – prosto w serce. Albo inaczej – zapada w pamięć, przemawia tonem spokojnym i wyważonym, ale zawsze tak, że każde słowo wydaje się na swoim miejscu, każdy wers jest zbudowany jak należy, każda pauza wytrzymała, a każda puenta pozostawia dokładnie tyle miejsca, ile trzeba na oddech i na namysł. Wiersze mistrzowskie. To wiersze, które cenię najbardziej, a kilka z nich miałam okazję poznać wcześniej, były bowiem czytane przez autorkę na spotkaniach poetyckich:

Droga

*W przemglonych zaroślach pomiędzy drzewami,
w naprężonych altanach ze światła, owadziego pyłu,
dzień zmienia wyznanie, wracamy do domu.
Noc idzie. Ścieżki w mrok uciekają. Próżnia znów jest głodna.*

*W kuchni na piecu świeci czerwony tygielek na kawę.
W łazience stary prysznic, woda z niego tryska
z nagła, po oczach, jak śmieszek urwisa.
Niebieskie ręczniki. Będziemy spać razem.
Cienie się wysuwają spod rzeczy jak ukryte skrzydła.
Kocham cię coraz dawniej, wczoraj i na zawsze.
Cisza świata. Wiatr ustał. Zawracają lata.
Powoli już. Cicho. Słodkie wody w gorzkie.
Lekkie się kładzie na ciężkie jak rzeka do morza.
Przed nami już tylko my. Długa droga przed nami. (s. 16)*

Układam sobie z tych wierszy mój własny tom, gdzie pełnym głosem mówi poetka, która już się „wykluła” i wie, że „urodziła się komuś” – jest dojrzała, mądra, patrzy na świat okiem pięknym, jasnym, przenikliwym. Te *Wiersze z cieniem* zabiorę jako dar we własną „strefę cienia”: *Zmagam się z Tobą upragniona duszo, Noc, Kanon, Droga, Nie, Po miłości szczęśliwej, Lamentacja, Miałam w życiu wszystko, Obraz desygnowany, *** (Urodziłam się komuś), Śmierć*. Ten ostatni, to przecież wiersz „niemożliwy”, przynajmniej według Rafała Wojaczka:

Początek wiersza

Śmierć

*(Kto widział od takiego słowa zaczynać wiersz
Nie lepiej od razu
Się powiesić)¹*

Ale Anna Janko, którą w czasach młodzięczego debiutu krytycy z upodobaniem nazywali „Rimbaudem w spódnicy” albo „Wojaczkiem w spódnicy” (ach te etykiety), odpowiada tak:

Śmierć

*Śni mi się, że umieram.
Słyszę śmiech z dala i ludzkie wołania.
Maleję. Dopalam się. Cień podchodzi ze wszystkich stron.*

¹ R. Wojacek: *Utwory zebrane*. Wrocław 1976, s. 191.

Zawsze chciałam, by był ze mną ktoś bliski w ostatniej godzinie.
Ale nie trzeba.
Ona jest taka silna. Trzyma mnie całą.
Tak. Bóg jest. Czuję go.
Ale idę dalej. (s. 40)

Anna Janko: *Wiersze z cieniem*. Nowy Świat, Warszawa 2010, ss. 44.

MARIUSZ SOLECKI

POŻEGNANIE Z KOLONIĄ

Ernest Hemingway żegnał się z bronią, Tadeusz Borowski – z Marią, Piotr Roguski żegna się z Kolonią. Mowa o dwujęzycznym zbiorze wierszy *Adieu, Cologne*, 4. tomie Biblioteki „Zarysu” – polsko-niemieckiego magazynu kulturalnego (red. nac. Roman Ulfik), pisma niskonakładowego, ale trzymającego od pierwszego numeru (2001) wysoki poziom naukowo-artystyczny (medal i nagroda honorowa za rok 2006 Kapituły Nagrody i Medalu Zygmunta Glogera).

Bywają poetyckie przewodniki po mieście, obfitujące w wedyty, fotograficznie odwzorowaną topografię, lecz nie da się do nich zaliczyć książki Roguskiego; pisarza bowiem w nikłym stopniu interesują osiągnięcia urbanistyki niemieckiego Köln (dotyczy to również tamtejszej katedry), ukazanego w tomie jako ważny punkt na mapie duchowych przeżyć artysty. Kolonia Roguskiego opalizuje różnorodnymi treściami. W utworze *zamieszkać w mieście* odsłania swoje (wstydlive) historyczne oblicze z czasów apokalipsy (imiona *obywateli / wysiedlonych zagazowanych / na mocy legalnego prawa do nienawiści, twarze „dzielnych oprawców”* schowane „w chrześcijańskich albumach”), tętni soczystymi manifestacjami konsumeryzmu (mieszkańcy *zatracają się w jedzeniu i piciu / kalendarzu imprez sportowych / strugach karnawału / tęczowym Christopher-Street-Day / przewrotności obyczajów*), przekracza realne, dryfując w sferę surrealistycznej urbanistyki rodem z wierszy słowackiego poety Vladimira Reisle. Gdzie indziej przemawia (jak głos wołającego na puszczy) alfabetem elitarnej sztuki: przywoływani są Paul Celan, Peter Piotr Lachmann (*po dłuższym wakacyjnym rozstaniu*). W zasadzie Kolonia miałaby szansę stać się miejscem magicznym jak obezwładniający atmosferą galicyjskiej sielanki Kraków, gdyby nie straszyla widmami nazistowskiej przeszłości – „brunatnym wczoraj”.

Autor *Pożegnania z Kolonią*, urodzony w roku zakończenia wielkiej wojny, nie potrafi (nie chce?) stłumić jej nawrotów, daje im dojść do głosu: centralna ulica Warszawy wciąż nosi ślady powstania (*natknąć się*), pomniki totalitarnego terroru – Auschwitz, katyńskie doły – wołają o pamięć nowych pokoleń (*inni wzięli to na siebie*), pchają się przed oczy wyobraźni kadry z tragicznego polskiego września (*szóstego stycznia zero dziewięć*) przefiltrowane przez lirykę Słonimskiego (*Alarm*) i Gałczyńskiego (*Pieśń o żołnierzach z Westerplatte*), a także faktograficznie czyste, niezapośredniczone przez literaturę: *każdego dnia niebo terroryzowało stolicę / jak w '39 gdy ani chmurki (lato dwa zero zero osiem)*. W szerokim sensie II wojna jeszcze się nie skończyła. Trwa i będzie trwać, dopóki nie umrze ostatni ocalony z roczników i nacji prowadzonych na rzeź.

Teodor Adorno w 1945 r. zanegował sens kreowania piękna po piekle epoki pieców i komór (*Nach Auschwitz noch ein Gedicht zu schreiben ist barbarisch*). Pokrewni mu myśliciele jeszcze bardziej wyostrozili swoje sądy, wyrażali np. opinię, iż nie da się jeść lunchu po Oświęcimiu. Piotr Roguski zaobserwował, jak zwyczajne życie obeszło się z etycznymi wątpliwościami zgłaszanymi przez humanistów usiłujących urobić sumienia tych, którzy wyszli cało z ostatniej wojny:

*w sześćdziesiąt lat po końcu świata
jak nigdy nic siedzimy
znowu przy wspólnym stole
gdzieś w Niemczech
dzieci ofiar i katów
rozmawiamy o poezji
pijemy reńskie
ze ścian patrzą z niedowierzaniem
alte Kameraden starzy towarzysze broni
(powiedz)*

Życie syści się życiem. Nie depcze w ten sposób etyki. Tworzy nowe ze świadomością, że utraconego już nie odzyska. Możliwa jest poezja po Auschwitz – zaświadcza Roguski i ogromne rzesze piszących po holokauście poetów. Możliwe jest nawet więcej – przyjaźń „dzieci ofiar i katów”; Roguski potwierdza to w cytowanym powyżej fragmencie wiersza, dedykowanego przyjacielowi i adresowanego do niego (mowa o Peterze Piotrze Lachmannie, którego ojciec służył w hitlerowskiej armii).

Czy tego chcemy, czy nie – szoah, będąc zaprzeczeniem europejskości, stanowi również jej komponent. Europejskość to nie tylko gotyk, demokracja, galaktyka Gutenberga, idea inkarnacji, ale również krematoria. Autor *Adieu, Cologne* wyprowadza swoją twórczość z tak właśnie pojętej cywilizacji trzech wzgórz, a więc niepoddanej retuszowi poprawności politycznej, skomponowanej z bolesnych paradoksów (jak katedra i komora gazowa, ikona i Katyń), niezapierającej się dziedzictwa chrześcijańskiego. W omawianym tomie nie zabrakło więc miejsca i dla nienachalnie konfesyjnych poetyckich modlitw (*ile zapamiętam; świeczka którą zapalam*), i dla pomniejszych śladów obcowania z transcendencją (np. *tylko krótka modlitwa*).

W swojej drugiej dwujęzycznej książce (po *Co mnie obchodzą Niemcy? / Was gehen mich die Deutschen an?*, 2007), złożonej z 28 wierszy, opatrzonej aż trzema posłowiami (Lachmanna, Brödniera, Bondariewskiego), poeta podejmuje popularny topos homo viator. Czyni to w czasach masowych exodusów już nie politycznych (przynajmniej z polskiej perspektywy), a czysto ekonomicznych. Podmiot jego utworów jest w nieustannym ruchu: raz w pojeździe komunikacji publicznej (*w warszawskim tramwaju*), raz w samolocie (*regionalne połączenie*), raz w samochodzie osobowym (*tylko krótka modlitwa*), innym razem przebywa w Kolonii, odwiedza Zgorzelec, Pułtusk, Myszęcín, wreszcie sposobi się do podróży kosmicznej (*zjawiają się zwykle nad ranem*), z podtekstem metafizycznym:

*nawet jeśli zaczęta podróż
kończy się zwyczajnie
zawsze istnieje luka
żadnej pewności
że ten świat
jest tylko z tego świata
(tylko krótka modlitwa)*

Wbrew temu, co twierdził Sokrates, podróże kształcą. Nieustannie przemierzające się w przestrzeni „ja” liryczne utworów z *Adieu, Cologne* podpatruje świat i wyciąga wnioski socjologiczne: konsumujemy na potęgę, wymazujemy z pamięci niewygodne fakty historyczne, karlejemy, schodzimy na psy:

*byleco chce skończyć studia znaleźć pracę
założyć rodzinę nie ma mieszkania*

*spotyka dobro i pyta
czy możesz mi pomóc?
dobro rozkłada bezradnie ręce
na głowie ma większe zmartwienia
głód epidemie wojny
(...)
zło nie waha się
natychmiast spieszy z pomocą
co chcesz za to?
pyta byleco
już mi zapłaciłeś
odtąd będziemy razem
(ani dobro ani zło)*

Roguski nie tylko stawia diagnozy współczesnej *conditio humana*, ale również dokonuje etycznych rozstrzygnięć, unikając przy tym skazy mentorstwa. Opisuując człowieka błądzącego, postrzega go w perspektywie chrześcijańskiego miłosierdzia, nie ulega pokusie bycia inkwizytorem, co modelowo ilustruje wiersz *menel tu*. Ten utwór (i jemu podobne), wychylony w stronę moralitetu, zdradza ambicję dotykania treści uniwersalnych, choć wyprowadzonych z egzystencjalnego konkretnego.

Pod względem stosowanych środków wyrazu zwraca uwagę zamiłowanie pisarza do personifikacji, która ożywia pojęcia abstrakcyjne, z zakresu trudnej współprzeszłości polsko-niemieckiej: *ale po co jeszcze ta ladacznica / stara krzywdą / zaplątana gdzieś w tobołku podróżnym z '45 / wędruje za nami (powiedz)*, „dobro rozkłada bezradnie ręce” (*ani dobro ani zło*), *cierpliwość / cnota jak beduin wierny / rozbijała namioty / wysyłając na przeszpiegi nudę / służkę / do posług przyziemnych (na początku lat dziewięćdziesiątych)*. Inklinacja artysty do konstruowania tego typu uosobień wzmacnia przekonanie, że twórczość Piotra Roguskiego chce się sytuować w rejonach moralitetu. Podtytuł książki brzmi *Rozmowa z duchami* – a przecież te istoty lubiły nawiedzić moralitet...

Jakie duchy patronują najnowszemu tomowi Piotra Roguskiego? Widma drugowojennej przeszłości – na pewno, ale nie tylko. Nad zbiorem unoszą się również duchy świętych, jak Antoni Padewski (*świeczka którą zapalam*) i mistyków, jak Jakub Böhme (*na początku lat dziewięćdziesiątych; sandał świętego*), a także miejsc (jak choćby Kolonia), które są nam dane na chwilę.

Piotr Roguski: *Adieu, Cologne. Wiersze. Rozmowa z duchami / Adieu, Cologne. Gedichte. Ein Gespräch mit Geistern*. Przeł. na język niemiecki E. Brödner. Messel 2009, ss. 78.

MARCIN ORLIŃSKI

LEKCJA ZNIKANIA

Myszę, że główny problem z debiutanckimi tomami wierszy jest następujący: z jednej strony czytelnik zdaje sobie sprawę, że ma do czynienia z początkującym autorem, i z tego powodu może mu wiele wybaczyć, z drugiej zaś – oczekuje, że jakość tekstów w wystarczającym stopniu uzasadnia publikację. Przyznam, że podczas pierwszej lektury książka Macieja Bieszczada *Elipsa* nieco mnie rozczarowała. Przeczytawszy ją jednak ponownie, zdałem sobie sprawę, w czym rzecz: wielu dzisiejszych debiutantów lubi brać czytelnika z zaskoczenia. Młodzi

poeci próbują zwrócić na siebie uwagę szczegółowymi opisami życia codziennego, barwnym językiem, umiejętną grą słów czy niebanalnymi odniesieniami intertekstualnymi. U Bieszczada nie zadziwi nas wyszukany styl, nie porazi feeria barw i światła, nie zachwycą popisy erudycyjne. Powiem więcej: współczesnego czytelnika ta spokojna i przewidywalna narracja może nawet nieco znudzić. Jeśli jednak znajdzie w sobie cierpliwość, przekona się, że *Elipsa* to książka przemysłana i intrygująca.

W nocie na okładce tomu Magdalena Rabizo-Birek stwierdza, że jego *tematem staje się wyrażanie niewyraźnego. To mallarmiańskie teksty, w tonacji bieli lub czerni, na granicy poetyckiego milczenia*. Jeśli recenzentka przyjmuje perspektywę modernistyczną, a jednocześnie powołuje się na jednego z najbardziej radykalnych poetów francuskiego symbolizmu, trudno nie odnieść się do jej też w pierwszej kolejności. Trop „wyrażania niewyraźnego” wydaje mi się słuszny o tyle, że Bieszczad z pełną świadomością dokonuje dekonstrukcji świata przedstawionego (słowa „dekonstrukcja” używam tu tylko w sensie pewnej praktyki charakterystycznej dla poezji nowoczesnej, nie zaś w mocnym, ponowoczesnym sensie). Z odniesieniem do Mallarmégo mam już jednak pewien problem. Nie dość bowiem, że przywołanie nazwiska słynnego poety stanowi nie lada nobilitację dla debiutanta, to na dodatek poetyki obu autorów nie są po prostu zbieżne. A jeśli nawet pewien rodzaj obrazowania może wydawać się podobny, to raczej ze względu na powszechną tendencję obecną w poezji współczesnej.

Pomijając te drobne nieścisłości, warto pochylić się nad samymi tekstami. Kiedy w pierwszym utworze Bieszczad pisze: *Podobno miałem być promieniem, ale czas wcielił mnie / w podmuch wiatru*, niewątpliwie mamy do czynienia z obrazowaniem modernistycznym. Warto jednak zauważyć, że ingerencja w ontologię świata przedstawionego pozostaje raczej bez wpływu na podmiot, nawet jeśli przez chwilę jedynym dowodem jego istnienia jest gramatyka. Obecność autora i pozbawiona emocji, oszczędna narracja to dwa niezienne elementy książki Macieja Bieszczada. Jeśli więc w swoim obrazowaniu poeta wybiera się w różne rejony nowoczesności, to jako narrator wydaje się bardzo klasycystyczny, a jego kondycji nie zaburza nawet takie wyznanie: *Mam wiele planów po śmierci. / (...) Muszę najpierw przeciwstawić / się przemianie, sile głosu (Siła głosu)*.

Kwestia podmiotowości wydaje się o tyle ciekawa, że w wielu wierszach dominuje perspektywa braku lub utraty ciała: *Otwarte oczy przedstawiają / błękit po przemianie ciała w powietrze (Kronika)*. Wygląda na to, że Maciej Bieszczad próbuje zastąpić świat cielesny czystą impresją. W miejsce ciała pojawia się wiatr. W miejsce poszczególnych emocji mamy potężne bóstwa. Poeta zdaje się mówić, że najpierw trzeba odczuć się obecności, a więc zawiesić dotychczasową wiedzę o ludziach i przedmiotach, a następnie zabrać się za wyszukiwanie tajemnych połączeń między rozmontowanymi fragmentami rzeczywistości. Proces dekonstrukcji przeprowadzany jest tutaj bez pompy, charakterystycznej na przykład dla poetyki wiersza nowoczesnego lub ponowoczesnego. To raczej delikatne odkręcanie kolejnych śrubek i sprawdzanie, jak zachowa się układ. Najpierw uczestnik eksperymentu zwraca uwagę na to, czego nie widać. Rezygnuje więc z dopowiedzenia, rozwinięcia, anegdoty. Następnie – próbuje wyeliminować stałe punkty odniesienia, zauważając, że wszystko dzieje się w konkretnych okolicznościach (w chwili obserwacji). Wreszcie skupia się już tylko na mgłę, którą pozostawiły po sobie porzucone pojęcia i kategorie.

Pola, łąki, mogiły bezimiennych dzieci, sine niebo, stada wron... Tak, Maciej Bieszczad to poeta nieobecności. O ile jednak symbolista Mallarmé uciekał od świata w sam środek języka, o tyle Bieszczad zatrzymuje się na rubieżach rzeczywistości, karmi się okruchami, zadowala konturem. Mimo kilku drobnych surrealistycznych odchyłek, Bieszczadowi bliżej więc chyba do klasycyzujących nurtów we współczesnej poezji. Zwłaszcza w tych wierszach, w których prze-

strzenna i czasowa struktura świata pozostaje nienaruszona, a głównymi figurami okazują się światło i ciemność, głos i cisza.

Świat, który tworzą wiersze Macieja Bieszczada, zdaje się niedomknięty. Tytułowa elipsa odnosi się bowiem nie tylko do opowiedzianych historii, ale także do ich metafizycznego fundamentu. Jak poeta stwierdza w tekście *Elipsa. Z poetyki wiersza krótkiego: Powstaje pomiędzy. // Ma takie niezwykle / przecucie żeby zaistnieć // właśnie między wyjściem z domu a niemym trwaniem pustych mieszkań*. Tylko w przypadku nielicznych tekstów można mówić o czymś w rodzaju ontologicznego przyrostu. Oprócz wspomnianych „bogów” miłości, nienawiści czy współczucia, dobrym przykładem wydaje się też wiersz *Gepard*. Poeta opisuje w nim stworzenie, które przez całe życie towarzyszy człowiekowi, przechadzając się niespokojnie po jego domu. Metafizyczna elipsa zostaje tu domknięta i zniwelowana za pomocą niepokojącej metafory, która pobudza wyobraźnię i odsyła, jak się zdaje, do nieokiełzanego pierwiastka natury ludzkiej.

Jeśli podoba mi się ten kierunek lirycznych poszukiwań, to brakuje mi może tylko jednego: kontynuacji demontażu na poziomie czysto językowym. Spójna i łagodna narracja staje się milczącym, apatycznym obserwatorem katastrofy. Wygląda to trochę tak, jakby autor był znudzony światem, który podsuwa mu swoje opisy. O samym języku od poety dowiadujemy się niewiele. Bieszczad porusza problem komunikacji zaledwie w kilku miejscach. *Źródło raz nazwane źródłem całkiem wysycha. / Sens poszukiwany jako sens traci znaczenie (Źródło)*. Poeta próbuje też zadać pytanie o istotę pytania i naturę odpowiedzi. Na przykład twierdząc, że uzyskał odpowiedź na dręczące zagadnienie, nie dzieli się nią i nie wyjaśnia, o jaką sprawę tak naprawdę chodzi.

Bohater *Elipsy* porusza się po swojej codzienności jak we mgle. Dziwi się zwykłym wydarzeniom: *Jak długo stał oparty o poręcz w nieoświetlonym korytarzu, / przed drzwiami obcego mieszkania? // Co zatrzymało zbiegającego po schodach / spóźnionego przy tym na ważne spotkanie / od którego, jak mniemał, zależała / jego najbliższa przyszłość? // Dlaczego nie zauważył mijającej go sąsiadki?* Te banalne w gruncie rzeczy kwestie ujawniają pewien absurd egzystencjalny: człowiek funkcjonuje w określony sposób i poddaje się rytmowi codziennych rytuałów, tymczasem prawdziwy horyzont zdarzeń określają z pozoru nieważne decyzje, które zostają podjęte na przykład w czasie biegu po schodach. Elipsa uwypukla tu również myśl, że tak naprawdę nigdy nie wiemy, co by było, gdyby było. Filozoficzną reprezentacją tej prawdy w wierszu wydaje się nieuświadomiony brak wolnej woli. Podobnie jest w przypadku utworu o autorze, który po śmierci pozostawił swoje cztery książki bez dedykacji. Bieszczad konstruuje tu kolejną „pustą opowieść”. Nie dowiadujemy się bowiem, kim jest bohater utworu. Narrator widzi go we śnie na środku marmurowej sali. Zagadkowy charakter tekstu podkreśla poeta: „Wiedział coś ważnego. Na pewno”.

Wydaje mi się, że Bieszczad, wychodząc od tradycyjnej estetyki i znanych motywów, próbuje bardzo ostrożnie podważyć kategorie rozumienia rzeczywistości. Sposobem na osłabienie dualistycznego dyskursu okazuje się na przykład negacja. W wierszu *Cisza i ciemność* autor pisze: *Dzień i noc schodzą w nas coraz głębiej. / Zdziczałe. Wolne. Niżej nie można już trafić*. Mam wrażenie, że podstawą tego świata i zarazem kluczem do poezji Bieszczada jest właśnie owo „niżej”, mroczna tajemnica ludzkiej jaźni, wilgotny znak zapytania, głuche, nieregularne impulsy, których echo ledwie słychać na powierzchni: *Nie poprzestawaj na obrazie. / Ulegaj mu do pewnego momentu. / I kiedy uznasz, że pozwoliłeś / mu na dużo więcej niż początkowo / zamierzałeś, pytaj o to, co / za nim marnieje (Bramy i klucze)*. Poetyka negacji znajduje też rozwinięcie w utworze *Piwniczne drzwi*, w którym bohater liryczny, stojąc przed drzwiami, uparcie przekonuje samego siebie, że „to nie są te drzwi”. Okazuje się, że *Tamtych drzwi nie można otwierać. / Nie wolno*.

Owszem, źródło jest miejscem mrocznym i głuchym (na potrzeby racjonalnego namysłu można je nazwać na przykład „byciem” lub „różnicą”), ale artysta powinien właśnie ten próg przekroczyć. Tymczasem zbliżywszy się do źródła, Maciej Bieszczad zawahał się. Stanąwszy oko w oko z tajemnicą, dokonał wyboru, który streszcza słynna filozoficzna formuła, że o czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć. Być może rozwiązaniem byłoby rzucenie się w wir życia? Wszak głębia bardzo często okazuje się tylko pianą na powierzchni.

Maciej Bieszczad: *Elipsa*. Mamiko, Nowa Ruda 2010, ss. 42.

JACEK BIERUT

OTRUTY KWIATEM

„Widzialny dowód na istnienie południa” – tak w *Oleandrze*, poemacie uhonorowanym Nagrodą Kościelskich (2010), jego autor Marcin Kurek określa przywiezioną do Polski podstępna gałązkę. Od niej bierze się całe nieszczęście, ale też całe szczęście, czyli pomysł na książkę – od razu dodajmy – bardzo udaną, słusznie nagrodzoną (nie słychać sprzeciwów, które w ostatnich latach często pojawiały się po ogłoszeniu werdyktu), książkę zdolną wywołać ferment w coraz mniej pewnej sobie (a właściwie narzuconych sobie ograniczeń) współczesnej poezji polskiej. Książkę, która jest widzialnym dowodem na to, że wciąż można pisać lekko i przede wszystkim wyrażać sens, nie będąc przy tym niczym pogrobowcem.

Marcin Kurek debiutował arkuszem poetyckim *Monolog wewnętrzny* (OKiS, Wrocław) w 1997 roku. Później ogłaszał wiersze (przez stosunkowo krótki czas) w prasie literackiej, żeby jako poeta zamilknąć na dekadę. To milczenie rekompensuje czytelnikom w pewnym stopniu jego praca translatorska – tłumaczenia z francuskiego, hiszpańskiego i katalońskiego: Bunuel, Rimbaud, Roche, a przede wszystkim Brossa, za przekład którego nagrodziła tłumacza „Literatura na Świecie”.

Wielkim walorem *Oleandra* – poematu w siedmiu pieśniach, jest jego przewrotność. Tu się swobodnie pokonuje nieprzekraczalne dziś na pozór granice. Tu się siada na granicznym słupku między epokami i z przyjemnością majta nogami. Tu się powraca do wysokiego modernizmu, jak do trampoliny, dzięki której można ominąć ostre linie brzegowe, w które poezja obrosła po jego odrzuceniu. Jak w balecie – dwa kroki w tył, żeby można było zrobić trzy do przodu. Chodzi nie tylko o tematykę, formę, ale także o powrót do pomysłów starych mistrzów przy wykorzystaniu nowych środków wyrazu. Już samo motto urzeka. Jest bardzo ryzykowne – to początek *Upiora* Mickiewicza, czyli żelazny wstęp do wszystkich wydań jego *Dramatów* bądź *Utworów dramatycznych*. „Serce ustało...”. Ryzyko polega na tym, że jeśli czytać je tuż przed lekturą *Oleandra*, czyli tak, jak w tym wypadku powinniśmy, można odnieść mylne wrażenie, a nawet uprzedzić się do książki. Oto następny „romantyczny” (nadwrażliwy, skrajnie egocentryczny i pełen emocji) poeta ogłasza swoje dzieło. Szybko jednak czytelnik przekonuje się, jak celny jest ów cytat i w jak przewrotny sposób został użyty. Merkantylna (w pierwszym, nienacechowanym znaczeniu, bo tak używa słów Kurek, a więc – nastawiona na czysty, dobry zysk, niekoniecznie własny) dosłowność to jedna z wielu zalet tej książki.

Akcja poematu to zapis zupełnie zwariowanego i zarazem całkowicie przypadkowego sposobu na śmierć. Sądzę, że w oparciu o ten motyw spokojnie można zbudować dobry kryminał, ale także ciemną, „rodziną” powieść psychologiczną, ze zbrodnią doskonałą w tle. Jedną z przewrotności *Oleandra* jest fakt, iż odwraca

on wielokrotnie i często z dobrymi skutkami przywoływany przez pisarzy motyw podróży na południe. Chodzi o popularny topos odkrywania „śródziemnomorskości”, południowoeuropejskiej architektury i natury, ale także ich licznych śladów w naszej „bałtyckości”. Osoba mówiąca w utworze języka używa w niezwykle sprawny sposób – konsekwentnie i przejrzyście. W pojawiających się u Kurka opisach historii miejsc brak przegadania (a więc zagadywania czytelnika, epatowania szczególnie i „świątowością”); kreślone są one delikatnymi, ale mocnymi i wyrazistymi rysami.

Powracający z podróży bohaterowie wiozą w bagażniku gałązkę oleandra wsuniętą do butelki z wodą. Oleander to przede wszystkim roślina ozdobna, ale ma także – przewrotnie – silne właściwości trujące. Po powrocie gałązka znika nam z pola widzenia, lecz właśnie ten fakt (kolejna przewrotność – brak podstawowego rekwizytu) powoduje, że zagrożenie wzrasta. Nieświadomy bohater pije wodę z butelki. Wbrew pozorom, nie panika tworzy oś napędową poematu. Pojawiają się znacznie ważniejsze dominanty – kwestia świadomości, zakotwiczenia w kulturze, w rodzinie. Tak autor buduje konstrukcyjny majstersztyk. Najważniejszy jest realizowany z precyzją (właściwą – jak by inaczej – hispanoamerykańskiej prozie; kojarzy się oczywiście tłumaczony przez Kurka David Huerta) podział czasowy. „Tu” – umieranie, i „tam” – wędrówka przez własne życie i kulturę. Oba plany czasowe są niezmiernie barwne i bogate. Migotliwe. Nakładają się na siebie w rytmicznych sekwencjach.

„Tu”, a więc „teraz”, nic nie boli, nie ma żadnych namacalnych zwiastunów szybkiego końca, lecz niepokój narasta. Bohater próbuje zdobyć informacje, przede wszystkim za pomocą Internetu, ale zaczynają się też telefony i dość nerwowe poszukiwanie specjalistów na całym świecie. „Tu” fascynuje czytelników swoją dosłownością i grozą, jaką budzi nieuniknione. Bohater zachowuje jednak pewną dozę spokoju i dystans, dzięki czemu nie zamęcza czytelnika egzaltacją. O nie. „Otruty kwiatem!” – właśnie tak należy to traktować. Ważne jest nie tylko niespodziewane naturalne piękno, ale i pewien (bardzo przewrotny) surrealistyczny realizm sytuacji. Wszystko tu raczej rozwija się, zakwita niż więdnie i usycha.

„Tam”, czyli „kiedyś”. Książka nie byłaby tak ciekawa, gdyby nie jej barwny, złożony i piętrowy drugi plan (zresztą drugi tylko pozornie). Samo umieranie, nawet tak zaskakujące, okazuje się w dzisiejszej kulturze mało atrakcyjnym tematem – warto je więc umieścić w kontekście innej śmierci i innego życia. Zobiektywizować. Najciekawsze są wędrówki po obecnej kulturze i jej źródłach, a także opisy związanych z nią osobistych doświadczeń. W ten sposób drugi plan staje się równoważny wobec pierwszego, a nawet wysuwa przed swoje konstrukcyjne umocowanie. Rozrasta się, pęcznieje i puchnie. Przywołani zostają Miłosz i Herbert, pojawiają się miejsca związane z ich życiem, a niektóre z nich odwiedza bohater *Oleandra*. Ale – znów przewrotnie – ważniejsze są te miejsca, w których dotarła do niego wiadomość o ich śmierci. Gombrowiczowskie Vence. Hotel w Anton Martin. Pojawia się intertekstualna gra, która dotyczy zarówno znaczeń, jak i formy. Bo w tej książce chce się mówić językiem adekwatnym. Nie własnym, tylko dopasowanym do zadań. Język ów ma być precyzyjnie (choć także jak najbardziej literacko) komunikatywny (bo ważniejsze od tego, jak się mówi tak w ogóle, jest to, co się mówi, i jak to, właśnie to, zostaje powiedziane); dryfuje także (aż do zwieńczenia w ostatniej Pieśni) w brzmienia postashberowskie, na wskroś nowoczesne. Ten eklektyzm rozpoznać można także w wątkach muzycznych bohatera łączący ze słuchaniem Toma Waitsa (w dodatku wczesnego! czyli tego znacznie mniej wyrafinowanego) lub z cytowaniem Lecha Janerki (również wczesnego, punkowego, z czasów Klauza Mitffocha). Także doświadczenia wzniosłe łączą się tu z niskimi, co pozwala rozładować nadmierny patos. Bohater ani przez chwilę nie stara się być „wielkim poetą”. W utworze ani przez

moment nie myli się poezji z poetyckością. Osoba mówiąca w wierszu (inaczej niż świadomy swoich środków i ich możliwości autor) nie stoi ponad książką. Ona i autor zajmują dwie różne pozycje, co wcale nie jest częste we współczesnej poezji polskiej. Może dlatego *Oleandra* można czytać tak lekko. Jako swoisty zapis intuicji, pamięci i skojarzeń. Czytelnicy nie są zmuszeni do szukania drzwi w murze oddzielającym ich od poematu, ponieważ ów mur nie istnieje. Odnajdą za to sprawnie opisane przestrzenie: nasze północne (Polska jako kraj drzew) i – jak się okazuje także nasze – południowe. Bo w tej książce wszystko należy do czytelników.

Książka zadowoli również odbiorców bardziej wymagających. W przemyślny sposób wplecione cytaty i kryptocytaty (Eliot, Auden, Miłosz) nie utrudniają lektury. Wzbogacają ją tylko i pozwalają mnożyć percepcyjne plany. Idiomy hiszpańskie (w spolszczeniu siłą rzeczy nieco zmodyfikowane) brzmią tu jak z gracją użyte cytaty (na przykład „Cały czas świata należy do mnie”). Pojawiają się fragmenty autotematyczne („Nie potrafię już mówić ciemniej”), a stare motywy (choćby Schopenhauerowski: *Czy to nie szaleństwo wierzyć w istnienie / świata przed naszym urodzeniem?*) poddawane są udanemu liftingowi, do czego literatura przyzwyczyła nas od dziesięcioleci. Słynna „smuga cienia” dostaje nowe, mniej rozpaczliwe kontury (*Skąd to niewiarygodne / przywiązanie do rysów własnej twarzy, z chwili, kiedy się miało dziewiętnaście lat?*). Wszystko, włącznie ze śmiercią, jest relatywizowane. Nawet to samo zdanie („Ile kosztuje słowo do Polski?”), zaczerpnięte z jakiegoś zabytkowego przewodnika z czasów przedmailowych, gdy królował telegram, pojawia się raz w brzmieniu wysokim, raz w niskim, raz w roli fanfary, raz w dźwięcznej funkcji wentyla bezpieczeństwa. Odwracane są nawet nowsze, niewytarte jeszcze motywy, jak ten obecny u Sosnowskiego: człowiek budzi się na krze w delcie wielkiej rzeki. U Kurka w górę jej biegu wpływa z otwartego morza ciało Brodskiego (choć można też domniemywać, że Petrarcki), wymyte z cementarza położonego na włoskiej wysepce. Również opisy urokliwych obrazków bywają relatywizowane (*z pewnością ktoś powiedział to przed tobą*), a język, oparty na prostych konstrukcjach i wykorzystujący słowa w ich pierwszym znaczeniu, staje się zagmatwany (czyli – przewrotnie – uproszczony): *Czy skowyt to jedyny sposób, by powiedzieć coś własny mi słowami?*

„Oleander” cieszy. Autor zostanie zapewne zaliczony do grupy poetów klasycyzujących, ale to nie powinno mu zaszkodzić, gdyż jego klasycyzowanie polega głównie na świadomym używaniu zastanych środków poetyckich w celach z gruntu nowoczesnych.

Marcin Kurek: *Oleander*. Zeszyty Literackie, Warszawa 2010, ss. 64.

Książki nadesłane

Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego, Łódź 2010

Piotr Maur: *Pogrzebowe obrzędy, miłosne ceremonie*. Ss. 70+2 nlb. Seria Poetycka, t. 91.

Marcin Siwek: *Prawie dotykam*. Ss. 60+5 nlb. Seria Poetycka, t. 92.

Joanna Ślusarska: *Prześwietlone klisze z New Grange*. Cykl fotografii *Święty w zaświatach* – Łukasz Ludkowski. Ss. 101+3 nlb. Seria Poetycka, t. 93.

konteksty

MARIUSZ DADEJ

Trzy kroki w następne trzydziestolecie

Jubileuszowe spotkanie przyjaciół „Akcentu”

W czerwcu i listopadzie ubiegłego roku osoby spacerujące centralną ulicą lubelskiego Starego Miasta musiały przejść pod rozciągniętym nad nią wielkim banerem informującym o jubileuszu, jaki obchodził „Akcent”. Pomiedzy wydaniem pierwszego zeszytu pisma, traktowanego wówczas jeszcze jako almanach, a publikacją drugiego numeru z 2010 roku upłynęło 30 lat. W tym czasie do rąk czytelników trafiło ponad 120 tomów „Akcentu”, a na jego łamach teksty i prace plastyczne zaprezentowali najwięksi twórcy polskiej kultury z Lubelszczyzny, z kraju i z zagranicy (m.in. Ryszard Kapuściński, Wiesław Myśliwski, Stanisław Lem, Wojciech Młynarski, Tadeusz Konwicki, Paweł Huelle, Jan Lebenstein, Jerzy Duda-Gracz czy Zdzisław Beksiński). Perłowy jubileusz redaktorzy „Akcentu” oraz zaproszeni współpracownicy i czytelnicy świętowali 19 listopada 2010 roku. Patronat honorowy nad uroczystościami objęli Marszałek Województwa Lubelskiego oraz Prezydent Miasta Lublin, a głównymi sponsorami zostali: Urząd Marszałkowski Województwa Lubelskiego, Urząd Miasta Lublin oraz Instytut Książki w Krakowie.



Panel na temat czasopism literackich. Za stołem siedzą od lewej: Hałyna Kruk, Grzegorz Kondrasiuk, Bohdan Zadura, Sergiusz Sterna-Wachowiak, Márton Falusi, Szilvia Jakocs, István Kovács, János Oláh, Katalin Mezey, Mykoła Riabczuk.

Fot. G. Winnicki



Bohdan Zadura, Sergiusz Sterna-Wachowiak, Márton Falusi. Fot. G. Winnicki

Uroczystość odbyła się w trzech odsłonach: o godzinie jedenastej osoby zgromadzone w sali konferencyjnej Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej przy ul. Narutowicza 4 uczestniczyły w interesującej debacie *Krążenie wartości w kulturze – czasopisma literackie*, w godzinach popołudniowych w Sali Obrad Rady Wydziału Humanistycznego UMCS odbyło się niezwykle spotkanie autorskie zatytułowane *Poeci Europy Środkowej z kręgu „Akcentu”*, a całość imprezy zwieńczył zorganizowany przez Filharmonię Lubelską i dedykowany „Akcentowi” uroczysty koncert, podczas którego usłyszeć można było słynną *IX Symfonię e-moll op. 95 „Z nowego świata”* Antoniego Dwořaka oraz brawurowo wykonane: *Fantazję mp3 na trio perkusyjne i orkiestrę* Janusza Bacy oraz *The Glory and the Grandeur – koncert na trio perkusyjne i orkiestrę* Russella Pecka.

W panelu dyskusyjnym zorganizowanym przy współpracy z Wojewódzką Biblioteką Publiczną im. H. Łopacińskiego wzięli udział pisarze i redaktorzy z kraju i z zagranicy. Z Węgier przybyli: István Kovács – poeta i prozaik, historyk, tłumacz, były konsul generalny Republiki Węgierskiej w Polsce, János Oláh – pisarz i redaktor naczelny głównego węgierskiego miesięcznika literackiego „Magyar Napló”, Márton Falusi – poeta i redaktor działów zagranicznych w węgierskich czasopismach, Szilvia Jakocs – kulturoznawczyni pracująca w węgierskim Ministerstwie Kultury, oraz ceniona poetka Katalin Mezey, prywatnie żona Jánosa Oláha. Z Ukrainy przyjechali Mykoła Riabczuk – redaktor kijowskiej „Krytki”, który wcześniej współredagował „Suczasnist” i „Wseswit” (dwa najważniejsze czasopisma literackie Ukrainy), oraz poetki Natałka Biłocerkiweć i Hałyna Kruk. Z Poznania przybył Sergiusz Sterna-Wachowiak – prezes Zarządu Głównego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, z Warszawy Michał Jagiełło – pisarz i historyk prasy, były dyrektor Biblioteki Narodowej. Obecni byli redaktorzy naczelni polskich czasopism, m.in. miesięcznika „Twórczość” – Bohdan Zadura, dwumiesięcznika „Topos” – Krzysztof Kuczkowski oraz internetowego periodyku „Kultura Enter” – Grzegorz Kondrasiuk. W dyskusji, którą poprowadził Bogusław Wróblewski, żywy udział brała licznie zgromadzona publiczność, m.in. pracownicy lubelskich bibliotek i instytucji kultury, pisarze, profesorowie i studenci lubelskich uczelni.

Sergiusz Sterna-Wachowiak opowiadał o swych pierwszych doświadczeniach związanych z tworzeniem czasopisma szkolnego, w czasie gdy był ucz-

niem liceum ogólnokształcącego. Ten rodzaj aktywności stanowił dla niego źródło satysfakcji, a w późniejszych latach stał się jednym ze sposobów na życie (choćby wówczas, gdy redagował zasłużoną nie tylko dla środowiska poznańskiego „Gazetę Malarzy i Poetów”). Bohdan Zadura przypomniał swe pierwsze działania redakcyjne związane z „Akcentem”, do którego współtworzenia zaproszony został przez Bogusława Wróblewskiego. Wcześniej umieszczał teksty m.in. na łamach warszawskiej „Twórczości”, w której po latach został redaktorem działu prozy, a później redaktorem naczelnym. Michał Jagiełło, w latach 1989-1997 wiceminister kultury i sztuki, przedstawił ideę „czasopism patronackich”, której był współtwórcą. Nawiązał do przemian zachodzących w Polsce po 1989 roku: ograniczono wtedy mecenat państwowy, słabła kondycja ekonomiczna wydawnictw kulturalnych i taki „plan ratunkowy” dla najbardziej wartościowych tytułów wydawał się niezbędny. Jak stwierdził Mykoła Riabczuk, podobne tendencje można obecnie zauważyć na Ukrainie.

Grzegorz Kondrasiuk opisał problemy stojące przed osobami pragnącymi wydawać czasopismo internetowe – przede wszystkim dotyczą one stylu pracy redaktora, który ogarnąć musi całość złożonego systemu, powstającego przez sieć powiązań i odniesień w rzeczywistości wirtualnej. Metaforę „systemu podziemnych kłaczy”, której użył redaktor lubelskiego czasopisma internetowego, rozwinął Bogusław Wróblewski, stwierdzając, że każdy organizm roślinny potrzebuje jednak do życia i oddychania kontaktu z „nadziemnym” światem. Zgodził się z tym Krzysztof Kuczkowski, podając przykład ogłoszonego w poważnym czasopiśmie internetowym konkursu, w którym główną nagrodą miała być... możliwość publikacji w magazynie „papierowym”. Zdaniem poety z Trójmiasta fakt ów świadczy o niesłabnącym znaczeniu, jakie mają tradycyjne środki przekazu umożliwiające dyskusję literacką. W wypowiedziach gości z Węgier pojawił się ważny wątek dotyczący związków pomiędzy czasopiśmem a powstającą pod jego auspicjami serią wydawniczą. Często w miarę upływu czasu wydawanie książek staje się czymś równie ważnym jak funkcjonowanie „macierzystego” periodyku (a nawet ważniejszym) – sytuacja taka dotyczy nie tylko węgierskiego „Magyar Napló”,



Bogusław Wróblewski przedstawia uczestników spotkania *Poeci Europy Środkowej z kręgu „Akcentu”*. Pierwsi z lewej siedzą Bohdan Zadura i Natałka Biłocerkiweć.

Fot. M. Obara



Anna Goławska czyta swoje wiersze. W tle István Kovács. Fot. M. Obara

lecz również czasopism polskich: m.in. „Ha!artu”, „Tygla Kultury” czy „Frazy”. Na zakończenie Franciszek Piątkowski, twórca Wakacyjnej Akademii Reportażu im. Kapuścińskiego, wspomniał o prestiżu, jakim cieszy się w kraju „Akcent”, oraz o autorytecie jego redaktora naczelnego – jako przykład podał swe niedawne rozmowy z Alicją Kapuścińską i Hanną Krall.

W popołudniowej części uroczystości, czyli w spotkaniu poetów Europy Środkowej z kręgu „Akcentu”, do autorów uczestniczących wcześniej w panelu dyskusyjnym dołączyło dwoje artystów słowa związanych z „Akcentem”: poeta, recenzent teatralny i literacki Marek Danielkiewicz oraz poetka i eseistka Anna Goławska. Przedstawieni przez Bogusława Wróblewskiego twórcy zaprezentowali słuchaczom zgromadzonym w Sali Obrad Rady Wydziału Humanistycznego UMCS wybrane wiersze (każdy z węgierskich i ukraińskich gości został poproszony o odczytanie jednego ze swych utworów w oryginale; przekłady liryków przedstawili ich tłumacze: Bohdan Zadura i Bogusław Wróblewski).

Po wysłuchaniu wierszy profesor Jerzy Bartmiński zapytał o przyczyny smutku emanującego z wielu odczytanych utworów oraz o powody zainteresowania redaktora naczelnego „Akcentu” kulturą narodów Europy Środkowo-wschodniej. Zdaniem Bogusława Wróblewskiego poezję polską, ukraińską i węgierską łączy nie tylko charakterystyczna nostalgiczna nastrojowość, ale także obecność akcentów ironicznych i autoironicznych oraz niemożność oderwania się od problematyki historycznej. Jak zaznaczył założyciel „Akcentu”, dla Europy ważniejsze od granic państwowych jest poczucie kulturowej jedności, płynące ze wspólnych dziejów i tradycji. Doniosła rola narodów zamieszkujących wschód i południowy wschód kontynentu wiąże się z ich specyficznymi doświadczeniami, ważnymi dziś dla całej Europy: długowieczne sąsiedztwo z islamem (zarówno konfrontacyjne, jak pokojowe) oraz próba zbudowania wyjątkowego tworu państwowego w postaci Rzeczypospolitej Obojga Narodów, stanowiąca w pewnym sensie prefigurację idei Unii Europejskiej. Bogusław Wróblewski zwrócił także uwagę na ogromne znaczenie Ukrainy dla dalszego rozwoju wspólnoty europejskiej (nieuwzględnienie aspiracji ludności ruskiej było przyczyną upadku Rzeczypospolitej Obojga Narodów). Sergiusz Sterna-Wachowiak, odnosząc się do słów przedmówców,

przypomniawszy stworzoną przez węgierskiego badacza literatury Endre Angyala koncepcję „słowiańskiego baroku”, charakteryzującego się specyficzną melancholią rodem z gotyckiego średniowiecza.

Profesor Jerzy Świąch, przewodniczący Rady Programowej Wschodniej Fundacji Kultury „Akcent”, zapytał, czy schematyczny podział Ukrainy na część wschodnią, ciężącą ku Rosji, i część zachodnią – proeuropejską znajduje odbicie w poezji tworzonej w tym kraju. Zdaniem Hałyny Kruk problem polega nie tylko na różnicach w mentalności Ukraińców – obecna polityka władz państwowych utrudnia zaistnienie poezji ukraińskojęzycznej w świadomości ludzi żyjących na wschodzie, gdzie przeważnie powstają utwory pisane w języku rosyjskim lub surżyku. Na pytanie Jerzego Świącha, czy w tej sytuacji można mówić o dwóch różnych literaturach ukraińskich, Mykoła Riabczuk odpowiedział, iż Ukraina jest co prawda krajem podzielonym, ale nie rozbitym. Brak tendencji separatystycznych nie zawsze znajduje natomiast odbicie w kulturze: historyczne perturbacje sprawiły, że istnieje liczebnie skromna, lecz społecznie aktywna i lepiej wykształcona część narodu świadoma swej kulturowej odrębności oraz liczna grupa Ukraińców rosyjskojęzycznych, pozostających pod wpływem kultury ogólnorosyjskiej, czyli imperialnej. Ci ostatni nie stworzyli dotąd wybitnych dzieł literackich, jednak cechuje ich niechęć, a nawet pogarda wobec „autochtonicznej” twórczości ukraińskiej. Temat rozwinęła Natałka Biłocerkwiec, stwierdzając, iż fakt językowej odrębności nie wpływa na brak patriotyzmu Ukraińców rosyjskojęzycznych.

Bogusław Wróblewski zauważył, że podobne problemy dotyczą Węgier, a więc kraju, który po traktacie w Trianon „ze wszystkich stron graniczy sam ze sobą” (w wyniku ustaleń zawartych w 1920 roku Węgry straciły dwie trzecie terytorium oraz jedną trzecią ludności etnicznie węgierskiej). Zdaniem Istvána Kovácsa fakt istnienia mniejszości węgierskiej w państwach ościennych nie wpłynął na powstanie odrębnych tendencji literackich wśród węgierskich artystów tworzących poza granicami kraju (ich szczególnie liczna grupa żyje na terenie rumuńskiego Siedmiogrodu).



Po koncercie, w foyer Filharmonii Lubelskiej. W pierwszym rzędzie: Krzysztof Kuczkowski, Katalin Mezey, István Kovács, Andrzej Miskur (Urząd Marszałkowski), Henryka Strojnowska (wicewojewoda lubelska). W drugim rzędzie: János Oláh, Andrzej Peciak (Instytut Książki), Włodzimierz Wysocki (wiceprezydent Lublina), prof. Zdzisław Targoński (Uniwersytet Przyrodniczy), prof. Krzysztof Stępnik (UMCS). Fot. B. Bułtowicz

Trzecim akordem jubileuszu był dedykowany „Akcentowi” koncert symfoniczny, który odbył się o godzinie 19.00 w Sali Koncertowej Filharmonii Lubelskiej. Orkiestrą dyrygował znany i ceniony w kraju i za granicą Zygmunt Rychert, a w wykonaniu *Fantazji mp3 na trio perkusyjne i orkiestrę* Janusza Bacy oraz *The Glory and the Grandeur – koncertu na trio perkusyjne i orkiestrę* Russella Pecka wzięło udział znakomite „Trio Perkusyjne SWS”: Stanisław Skoczyński, Jacek Wota i Włodzimierz Sypniewski. W przerwie koncertu i po jego zakończeniu można było obejrzeć zorganizowaną w foyer filharmonii, a zaprojektowaną przez Zofię Kopel-Szulc przy pomocy Doroty Kurzątkowskiej-Hałas, Emilii Ryczkowskiej i Anny Goławskiej wystawę ilustrującą 30-letnią obecność „Akcentu” w kulturze polskiej. Imponujące wrażenie robiła kilkudziesięciometrowa linia gablot, w których umieszczono w dwóch rzędach wszystkie dotychczas opublikowane tomy „Akcentu”, wybrane pozycje z serii Biblioteki „Akcentu” oraz kilka zdjęć z historii redakcji. Na ścianach nad gablotami wyeksponowano prace dziewięciorga najwybitniejszych grafików lubelskich, których twórczość prezentowano i omawiano na łamach „Akcentu”: Barbary i Stanisława Bałdygów, Grzegorza Mazurka, Tadeusza Mysłowskiego, Marka Piątkowskiego, Artura Popka, Zofii i Henryka Szulców, Krzysztofa Szymanowicza.

Na tle tej wystawy, po drugiej części koncertu (*LX Symfonia e-moll op. 95 „Z nowego świata”* Antoniego Dwořaka), miała miejsce uroczystość wręczenia twórcom związanym z „Akcentem” odznaczeń, medali oraz wyróżnień przyznanych przez władze centralne, wojewódzkie i miejskie. Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego uhonorował odznaczeniami „Zasłużony dla Kultury Polskiej” Zofię Kopel-Szulc, Waldemara Michalskiego i ks. Wacława Oszajcę. Zespół redakcyjny „Akcentu” odznaczony został Medalem Wojewody oraz Medalem Prezydenta Miasta Lublin. Medal Wschodniej Fundacji Kultury „Akcent”, wręczony przez przewodniczącego Rady Programowej prof. Jerzego Święcha, przyjął Bogusław Wróblewski. Medale Wojewody



Prezydent Lublina Adam Wasilewski wręcza redaktorowi naczelnemu „Akcentu” medal przyznany zespołowi redakcyjnemu. Fot. B. Bułtowicz

otrzymały poetki (i polonistki) Ewa Dunaj i Magdalena Jankowska oraz prof. Jerzy Kutnik i red. Janusz Solecki. Medale Prezydenta Miasta Lublin wręczone zostały redaktorom i bliskim współpracownikom czasopisma: Łukaszowi Marcińczakowi, Annie Mazurek, Łukaszowi Janickiemu, Emilii Ryczkowskiej oraz Jarosławowi Wachowi. Ponadto Emilia Ryczkowska oraz Jarosław Wach otrzymali Nagrody Marszałka Województwa Lubelskiego. Po oficjalnych uroczystościach gości zaproszono na poczęstunek przygotowany z pomocą Urzędu Miasta Lublin oraz firmy Józefa i Bernadetty Nieściorów. Informacje dotyczące jubileuszu znalazły się m.in. na antenie Radia Lublin S.A. i Telewizji Lublin 3, a sprawozdania z uroczystości oraz wywiady z redaktorem naczelnym „Akcentu” opublikowały „Gazeta Wyborcza” i „Dziennik Wschodni”. Wśród życzeń i wyrazów przyjaźni składanych „Akcentowi” szczególne znaczenie miały te, które pochodziły od najwierniejszych czytelników.

Mariusz Dadej

Oto treść listu, jaki „Akcent” otrzymał z okazji trzydziestolecia od wieloletniego współpracownika Sergiusza Sterny-Wachowiaka, obecnie prezesa Zarządu Głównego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich:

Dostojny, Jubiletni „Akcent”!

Spotykamy się dziś trzydzieści lat „po” i chociaż nie do końca wiemy, Miły Kwartalniku – a Ty z nim, Bogusławie Wróblewski – jak, skąd i kiedy Ci te lata stuknęły, musimy mimo wszystko pytać i odpowiadać: nad czym i na co kładłeś swój akcent?

Trzydzieści lat temu, w upojnym karnawale polskiej solidarności, „Akcent” położył akcent na sztukę bez ideologii: wysoką, duchową, wolną, uniwersalną, prawdziwą wartościami, dobrą pięknem i piękną dobrem, swobodną wyobraźnią, barwną marzeniami. Dzięki temu akcentowi „Akcent” – i Ty, Bogusławie Wróblewski z Komilitonami w Redakcji i na Łamach – jesteście tak piękni, dobrzy, prawdziwi i tak bardzo potrzebni „po”, na następne dziesiątki lat, choćby nawet w upiornych zapustach polskich swarów.

Ad Multos Annos! Plurimos, plurimos Annos „Akcentie”, unaszający swój i nasz akcent wolnych artystów jak arka ponad falami, wysoko na wodach i rafach.

*Sergiusz Sterna-Wachowiak
Prezes Zarządu Głównego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich*

Warszawa, 19 listopada 2010 roku

MICHAŁ SZYMANIAK

Nowa wrażliwość: street art

Historia graffiti w Lublinie

Każdy z nas codziennie spotyka się ze sztuką ulicy. Miasta, w których żyjemy, ulice, którymi się przemieszczamy, niemal cała przestrzeń industrialna nosi na sobie ślady działalności grafficiarzy. Często na naszej drodze stają dziwne obrazy i niezrozumiałe, nieczytelne napisy. Ingerują one w otoczenie, w którym się obracamy, bywa, że ta ingerencja wydaje się brutalna. Dla większości społeczeństwa graffiti to tylko pozbawiony logiki wandalizm i „zmora naszych czasów”. Podejście takie bierze się z kilku powodów. Pierwszym i najważniejszym jest fakt, że czujemy się ofiarami grafficiarzy. Wiele osób poniosło pośrednie lub bezpośrednie straty, „odkrywając” malunki na swoich garażach, ogrodzeniach etc. Kolejnym powodem jest to, że czujemy się osaczeni. To, czego nie było jeszcze zupełnie kilka czy kilkanaście lat temu, nagle stało się wszechobecne, nie dając nam możliwości stopniowego przyzwyczajania się. Z dnia na dzień graffiti „weszło z butami” w nasze życie, w irytujący sposób zmieniając pejzaż miejski. Jednak czy kiedykolwiek zadaliśmy sobie pytanie, dlaczego tak się stało? Czy przechodząc obok ściany pełnej kolorowych napisów, przynajmniej przez chwilę pomyśleliśmy, że może mają one jakiś sens i przesłanie? Pytania te zarysowują kluczowy problem, jakim jest niechęć do wysiłku skierowanego na zrozumienie graffiti i brak wiedzy na jego temat. Zmagając się z szarą rzeczywistością, nie mamy czasu albo po prostu ochoty na zastanawianie się nad otaczającą nas przestrzenią, nad tym, jakie zachodzą w niej zmiany i czym są spowodowane. Dotyczy to również graffiti, które ciągle pozostaje jakby owiane tajemnicą. Nie zdajemy sobie sprawy, że ta pozornie chaotyczna dziedzina posiada ściśle określone zasady oraz bogatą i zawiłą historię.

Chciałbym odpowiedzieć na postawione pytania, przedstawiając w skrócie najważniejsze zagadnienia dotyczące historii graffiti w Lublinie. Ponieważ sztuka ulicy nigdy nie była zjawiskiem hermetycznym, aby lepiej ją zrozumieć należy poznać przynajmniej podstawowe fakty związane z jej rozwojem zarówno w kraju, jak i na świecie.



Dondi, 1980 r.



Bic 7DC – jedno z pierwszych graffiti w Lublinie, ok. 1996 r.

Czym w ogóle jest graffiti? Wspomniałem już, jak odbierają je osoby niezwiązane w żaden sposób z omawianą subkulturą. Z formalnego punktu widzenia graffiti to mniej lub bardziej złożona forma typograficzna, namalowana najczęściej sprayem (ale nie tylko). Istotniejsze niż encyklopedyczna definicja może być opisanie, jak na sztukę ulicy patrzą sami twórcy. Każdy graffitiarz podchodzi do tego zagadnienia inaczej, a punkt widzenia zależy od powodów, dla których maluje. Bywa, że decyduje zwyczajna nuda lub przykład kolegów. Jednak dla niektórych to coś więcej niż tylko hobby. Można powiedzieć, że graffiti w tym wypadku oznacza przede wszystkim sposób bycia, wyrażania siebie, nacechowany nonkonformistycznym podejściem do otaczającej przestrzeni – że to sprzeciw wobec szarości i anonimowości. Idea graffiti łączy się z pragnieniem pozostawiania po sobie śladu, może nie dla przyszłych pokoleń z powodu efemerycznego charakteru owej twórczości, ale śladu, który byłby dla wszystkich wyraźnym komunikatem o istnieniu danego twórcy. W tym właśnie tkwi paradoks. Każdy graffitiarz dąży do jak największego rozpowszechnienia własnego pseudonimu („taga”), a jednocześnie chce pozostać w swych działaniach anonimowy. Można powiedzieć, że próbuje zaznaczyć obecność w świecie i w społeczeństwie, prezentując nam stworzone przez siebie „drugie ja”, o którym informuje pseudonim. Graffiti często bywa nałogiem – gdy graffitiarz zaczął malować, poczuł związaną z tym adrenalinę i uświadomił sobie nieograniczone możliwości ekspresji, już nigdy nie zdoła się uwolnić. W pewnym sensie staje się niewolnikiem street artu. Przykładem są osoby, które wracają do malowania nawet po kilku latach. Jednak zostać graffitiarzem nie jest łatwo – subkulturę tworzy zamknięte grono ludzi, do którego trudno przeniknąć. Malarze owi, działając na pograniczu prawa lub niejednokrotnie je łamiąc, strzegą prywatności i bardzo niechętnie mówią o swej aktywności osobom spoza środowiska.

Widząc podpis, kolorową pracę czy nawet pomalowany pociąg, należy pamiętać, że za każdym z tych obrazów kryje się konkretna osoba, myśl czy nawet przesłanie. Przejawy graffitiarskiej działalności są prawie zawsze świadomą ingerencją w przestrzeń, a tylko bardzo rzadko celowym, „zaplanowanym” przez twórcę aktem wandalizmu (oczywiście z jego punktu widzenia). Graffitiarz nie niszczy, ale sprzeciwia się. Malując swój podpis na ulicach miasta, nie bagrze lekkomyślnie, ale oznacza teren, chce zostać zauważony nie tylko przez przypadkowych przechodniów, ale także przez środowisko. Dlatego twórcy street artu często wiele ryzykują, gdy nocami malują w miejscach, gdzie łatwo mogą zostać wykryci. Im cel bardziej widoczny, a więc trudniejszy do pomalowania, tym większe uznanie zyskuje

autor wśród towarzyszy. Bywa jednak, że podejście samego twórcy zmienia się. Często graffitiarz zafascynowany z początku nielegalnym malowaniem (bombingiem) z czasem zaczyna odczuwać większą potrzebę tworzenia w zgodzie z prawem. Bywa też, że znany twórca nagle zaczyna „ukrywać się” ze swoimi pracami – najlepsze z nich wykonuje w miejscach odludnych, w pustostanach itp., już nie dla sławy (fame), ale dla samego siebie.

Obserwując kolejne fazy rozwoju graffiti, możemy zrozumieć, czym jest ono obecnie. Ponadto, podobnie jak podstawowa wiedza z historii sztuki ułatwia orientację w kulturowo-społecznych przemianach zachodzących w wiekach wcześniejszych, tak znajomość historii graffiti może pomóc nam dostrzec gwałtowne zmiany kulturowe, jakie mają miejsce w czasach współczesnych. W człowieku od zawsze istniała silna potrzeba ozdabiania i urozmaicenia przestrzeni, w której egzystował, oraz przekazywania potomnym swoich poglądów lub odczuć niejako „za pomocą” owej przestrzeni. Świadczą o tym chociażby zachowane do naszych czasów paleolityczne malowidła grot. Znaki pozostawiane przez człowieka od zarania dziejów miały wymiar magiczny, religijny czy też – w późniejszym okresie – propagandowy. Od epoki paleolitu zmieniła się właściwie tylko technika wykonywania i po części treść tworzonych komunikatów. Graffiti w obecnej formie nie wywodzi się jednak z czasów starożytnych, a jego powstanie – mimo podobieństwa w technice wykonania – niewiele ma też wspólnego z pracami tzw. muralistów meksykańskich. Możemy jedynie doszukiwać się tu analogicznej chęci do pozostawiania po sobie komunikatów w „ogólnodostępnej” przestrzeni.

Choć najstarsze podpisy na ścianach, które określić można jako graffiti w pełnym tego słowa znaczeniu, powstały w latach sześćdziesiątych zeszłego stulecia w Filadelfii, to za kolebkę tego rodzaju sztuki uznawany jest Nowy Jork. Paradoksalnie to nie farby w sprayu były pierwszymi narzędziami wykorzystywanymi przy tworzeniu graffiti, postrzeganego wtedy wyłącznie jako podpis, czyli „tag”. Największy wpływ na rozwój sztuki ulicy miało pojawienie się na rynku wodoodpornych flamastrów, idealnie nadających się do tego rodzaju działań. Za pioniera ruchu uważa się writera o pseudonimie Taki 183, który pracował jako kurier. Codziennie przemierzał wiele ulic Nowego Jorku, a wszędzie, gdzie był, pozostawiał po sobie podpisy, które okazały się dla mieszkańców wielkim zaskoczeniem i nowością. W krótkim czasie został zauważony i zyskał naśladowców, między innymi tych ukrytych za pseudonimami Barbara 62 i Joe 136. „Tagowanie” szybko stało się bardzo popularne, a liczba writerów rosła z dnia na dzień. Przełomowym wydarzeniem okazało się opublikowanie przez „The New York Times” w 1971 roku wywiadu z Takim 183, po którym ruszyła niemożliwa już do zatrzymania



Panel Olafa, Sztokholm, ok. 2000 r.



Rune, 1998 r.

lawina – setki osób nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale na całym świecie zaczęły sygnować swoją okolicę podpisami.

Z czasem na ulicach Nowego Jorku zabrakło miejsc na nowe podpisy, co doprowadziło do powstania silnej konkurencji między grafficiarzami. Zmusiło to writerów do szukania nowych rozwiązań. Zwrócono uwagę na nowojorskie metro, gdzie szybko przeniósł się grafficiarzski „środek ciężkości”. Z czasem powiększono rozmiary podpisów i dodano do nich kontur innego koloru. Tak narodziła się forma graficzna nazwana *master piece* (arcydzieło). Pierwsze *master pieces* przypisywane są dwóm writerom: Wapowi i Super Cool 223. W tym samym czasie pojawiły się też malunki na wagonach metra. Z biegiem czasu zaczęto coraz bardziej wzbogacać prace, dodając kolejne kolory czy zwiększając rozmiary. Wśród osób, które najwcześniej rozwinęły indywidualny styl, wymienić należy writerów podpisujących się: Riff 170, Flint 707, Phase 2. W tym samym czasie powstały też pierwsze ekipy, czyli grupy grafficiarzy posługujące się określoną nazwą. Każdy dążył do tego, aby jego praca została zauważona wśród setek innych. Doprowadziło to do wykrystalizowania się nowych form: *top to buttom* (praca namalowana na całej wysokości wagonu), *wholecar* (pokrywająca cały wagon) i *wholetrain* (pokrywająca wszystkie wagony). Z czasem *wholecars* i *wholetrains* stały się podstawową formą graffiti malowanego na wagonach metra – wkrótce każdy pociąg nosił na sobie ślady tej działalności lub cały, łącznie z oknami, był pokryty kolorowymi napisami. Fenomen taki nie powtórzył się już nigdy w historii.

W tej sytuacji MTA (zarząd nowojorskiego metra) wypowiedział wojnę writerom. W 1978 roku wypracowano sposób usuwania graffiti z pociągów – zmywano je wodą ze środkiem czyszczącym pod ciśnieniem, co początkowo ograniczyło znacznie liczbę „wrzutów” (nielegalnie wykonywanych malunków). Ponadto wydano miliony dolarów na ochronę, a zajezdnie ogrodzono drutem kolczastym. Wszystkie te działania nie były jednak w stanie powstrzymać narastającej fali graffiti. Z czasem MTA stawało się coraz bardziej zdesperowane i bezwzględne, zdarzały się nawet przypadki katowania grafficiarzy przez ochronę. Przełom dokonał się jeszcze w tym samym roku za sprawą writera Lee. To on jako pierwszy wykonywał kolorowe, dużych rozmiarów prace na ścianach budynków z dala od tuneli metra. Po 1978 roku nastąpiła era wielokolorowych murali, malowanych najczęściej legalnie. Mimo to w dalszym ciągu powstawały zadziwiające rozmachem *wholecars*, tworzone przez legendarnych artystów, takich jak: Futura 2000, Blade czy Dondi. Te niezwykle ważne prace stały się niedoścignionym wzorem dla setek późniejszych writerów.

W 1983 roku miała miejsce pierwsza wystawa prac nowojorskich grafficiarzy, zorganizowana w Muzeum Boymans van Beuningen przez amsterdamskiego handlarza dzieł sztuki – Yakiego Kornblita. Zyskała ona zaskakująco dobre recenzje, a prace na niej prezentowane sprzedano za ogromne kwoty. Wydarzenie to w znaczący sposób przyczyniło się do uznania graffiti za

pełnoprawny odłam sztuki współczesnej, co z kolei spowodowało jego rozpowszechnienie m.in. na starym kontynencie. Warto w tym miejscu zwrócić uwagę, że graffiti jest jedną z nielicznych gałęzi sztuki plastycznej, która osiągnęła oszałamiającą popularność nie tylko w swej kolebce, ale na całym świecie, nie tracąc przy tym na sile wyrazu. Sztuka ulicy, mimo restrykcji ze strony władz, rozwija się nieprzerwanie od blisko pięćdziesięciu lat. Być może źródła tego fenomenu leżą w tym, że nie jest ona przeznaczona dla elit: o mocy oddziaływania street artu świadczy jego prostota, egalitaryzm i – przede wszystkim – wolność od „muzealnych więzień”.

Graffiti w Polsce (rozumiane, jako proste napisy na murach) praktycznie zawsze miało zabarwienie polityczne i pomagało w wyrażaniu opinii związanych z sytuacją w kraju. Pierwsze tego typu napisy powstały już w czasie powstania listopadowego. Ich oczywistym celem było ośmieszenie zaborców w oczach rodaków. Podobną funkcję pełniły hasła malowane na ulicach podczas obydwu wojen światowych. Po 1945 roku graffiti „walczące” pojawiało się rzadko, by powrócić z ogromną siłą w latach osiemdziesiątych. W czasach „Solidarności” hasła propagandowe błyskawicznie usuwano, a ich twórców surowo karano. To właśnie wzory z tamtego okresu okazały się fundamentalne dla rozwoju sztuki ulicy w Polsce. Bardzo ciekawą opinię na ten temat wygłosił twórca artystycznych szablonów Czarnobyl w książce *Polski street art: Banksy robi rzeczy, które artyści w Polsce już dawno temu robili w latach 80. Tyle że wówczas nie było wokół mediów, by to rozdmuchać*¹. Przykładem może być bez wątpienia Pomarańczowa Alternatywa, grupa, której działania zmierzały w stronę absurdu i dezorientacji – podobnie jak projekty Banksy’ego.

Nagła odwilż polityczna związana z upadkiem komunizmu sprzyjała rozwojowi polskiego graffiti. Pierwsze próby „tagowania” i robienia „wrzutów” miały miejsce właśnie w tym okresie. Graffiti trafiło do Polski jako zjawisko w pełni ukształtowane. Już w 1988 roku powstała ekipa KOBÉ, a pierwszymi writerami byli: Motyl, Shark, Ken, Doser. Najważniejsze znaczenie miały lata 1993-1994, kiedy to rozpoczęły działalność pierwsze poważne grupy, a do kraju przyjechali i w nim zamieszkali tak doświadczeni twórcy, jak Krizm (przybył do Warszawy z Pragi) i Special (do Trójmiasta sprowadził się z Dortmundu). Są oni uznawani za założycieli sceny warszawskiej i trójmiejskiej – ośrodki te wraz ze szczecińskim tworzyły „trójkąt” ówczesnego graffiti w Polsce. W tym okresie powstały także inne legendarne grupy silnie propagujące graffiti na terenie kraju: DOT, WC, B3S (Warszawa), UC (Szczecin) i EWC (Trójmiasto). Część z nich funkcjonuje do dzisiaj.

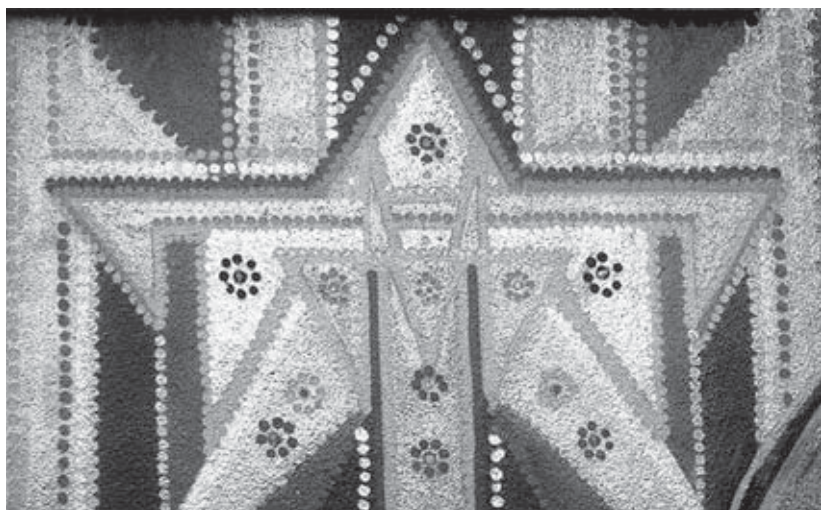
Przez kilkanaście lat istnienia na lubelskiej scenie pojawiły się setki writerów; niektórzy pozostawili po sobie ślad na tyle wyraźny, że bez trudu można omówić ich twórczość, inni namalowali zaledwie kilka prac i zostali zapomniani. Prezentacja całości dokonań sceny lubelskiej byłaby przedsięwzięciem niezwykle obszernym, dlatego przypomnę jedynie najważniejsze wydarzenia i postacie.

Graffiti w Lublinie w porównaniu z innymi polskimi miastami rozwinęło się nieco później. Pojawienie się nowych, niskiej jakości farb w sprayu stworzyło szansę na powstanie pierwszych prac, co w 1996 roku wykorzystali Olaf i Bic. Ich debiutanckie malunki nie były rzecz jasna arcydziełami, ale autorom to nie przeszkadzało. Pierwsze prace Bica malowane lakierem samochodowym miały niewyraźne, rozmazane kontury i źle dobrane kolory, a ich największą siłą był po prostu sam fakt zaistnienia. Graffiti pojawiło się nagle, zaskakując społeczeństwo przyzwyczajone do szarości pokomunistycznych osiedli. Ludzie nieświadomi tego, czym jest i jak rozwinęło się w innych miastach, na kolorowe malunki reagowali z zainteresowaniem i aprobatą. Niektórzy wręcz prosili writerów, żeby ci namalowali coś

¹ E. Dymna, M. Rutkiewicz: *Polski street art*. Warszawa 2010, s. 45.

w ich okolicy. Graffiti było wtedy czymś świeżym, akceptowanym i przede wszystkim dobrym. W takich właśnie warunkach powstała znana w całym kraju legendarna lubelska grupa Seven Dogs Club, którą – obok Olafa i Bica – tworzyli: Krema, Mat i Botak. Pozbawiona jeszcze w tym czasie konkurencji 7DC szybko zdominowała teren całego miasta, dając przykład nadchodzącej pierwszej „fali” lubelskich graffiści. Szczególną uwagę należy zwrócić na postać Olafa (znanego też pod pseudonimami: Es, Yxa, Dare, Olga). Ten niezwykle zasłużony dla rozwoju polskiego graffiti writer na stałe mieszkał w Sztokholmie, a Lublin odwiedzał tylko okazjonalnie. Nie przeszkadzało mu to jednak w rozwinięciu aktywnej działalności na Lubelszczyźnie. Jego przyjazd zawsze był wielkim wydarzeniem, za każdym razem przywoził nowe pomysły. Najsilniejszą pasją Olafa było malowanie pociągów (paneli). W Sztokholmie zetknął się z silnymi tradycjami w tej dziedzinie. Graffiti traktował jako treść swego życia, jego dopełnienie. Malował, ile tylko zdołał, jakby przeczuwał szybko nadchodzący koniec. W ciągu zaledwie kilku lat graffiarskiej aktywności stworzył setki legalnych prac i trudną do zliczenia liczbę paneli. Zginął tragicznie w 2002 roku, potrącony przez pociąg. Nadal jednak pozostaje najważniejszym twórcą graffiti w Lublinie.

Każdy z członków 7DC wykształcił indywidualny, niepowtarzalny styl. Krema malował skomplikowane, poskręcane litery (wild style), Botak poruszał się w dość podobnej konwencji, najciekawsze formy przybierały jednak litery Mata. Od samego początku ten zafascynowany geometrią writer tworzył niezwykle nowatorskie prace z użyciem niespotykanych wcześniej rozwiązań, takich jak rysowanie konturów geometryzowanych liter tylko kropkami farby, co powodowało, że niektóre jego malunki były mozolnie wykonywanymi arcydziełami. Z biegiem czasu upraszczał kształty, jednocześnie coraz bardziej je geometryzując. W ciekawy sposób przebiegał dalszy rozwój pozostałych członków grupy. Krema, zafascynowany i zainspirowany pracami skandynawskimi, ok. 2000 roku zerwał z wild style’em i zmienił pseudonim na Reno. Spowodowane to było bez wątpienia ewolucją jego graffiarskiego „profilu” i zainteresowań. Od dopracowanych legalnych prac przeszedł do szybko kreślonych, prostych kształtów, idealnie nadających się do malowania pociągów. Znaki Botaka przestawały natomiast przypominać klasyczne litery, zbliżając się do form abstrakcyjnych. Należy wspomnieć, że 7DC jako pierwsza z lubelskich ekip często malowała pociągi poza granicami kraju, głównie na terenie Skandynawii.



Detal pracy Mata, ok. 1999 r.

Około 1997 roku powstało w Lublinie wiele mniej lub bardziej znaczących grup. Jedną z nich była MSR. W jej skład wchodziło trzech writerów: Roes, Rune i Bhors, którzy, podobnie jak członkowie 7DC, zapisali się na stałe w historii lubelskiego graffiti przede wszystkim dzięki wypracowaniu rozwiniętych technik malowania. Ekipa ta skupiała się głównie na doskonaleniu sposobów wyrazu i legalnych działaniach. Jej lider Rune do dzisiaj uznawany jest – obok Femsa i Rysy, o których będzie mowa dalej – za twórcę jednego z najbardziej wyrazistych graffitiarskich stylów. Kolejną jego zasługą było namalowanie w 1998 roku pierwszego napisu trójwymiarowego. Innymi ważnymi twórcami tego okresu byli Aie i Phiut. W owym czasie, ze względu na niewielką jeszcze liczbę malujących osób, nie wykształciła się konkurencja (jak niegdyś w Nowym Jorku). Całe ówczesne środowisko scharakteryzować można jako jedną wielką grupę tworzących wspólnie graffitiarzy. Najlepiej świadczy o tym rozwinięcie skrótu MSR – Malujemy Sobie Razem. Również malowanie pociągów nie stanowiło wówczas większego problemu, gdyż miejscowej zajezdni nie pilnowano jeszcze dostatecznie dobrze. Sytuacja zmieniła się dopiero ok. 2002 roku.

Około 1999 roku założono wiele grup skupiających się głównie na bombingu. Wtedy też zaczęto bezlitośnie „bombardować” Lublin setkami srebrnych „wrzutów”. Szczególnie ważne grupy tego okresu to 42NE i UNA DHE. W skład UNA, która powstała nieco później niż 7DC, ale osiągnęła nie mniejszy sukces, wchodził: Rysa (Chumate), Flymz (Fems), Jcat i Elpho. Stanowiła ona alternatywę dla konkurencyjnej ekipy Olafa i Kremy. Początkowo, do czasu połączenia z WB i przekształcenia owej ekipy w DHE, UNA zajmowała się głównie malowaniem legalnym. Liderem DHE został (i pozostaje nadal) Chumate (Rysa). Konwencję, w jakiej powstawały jego skomplikowane prace, bardzo trudno opisać, gdyż mamy do czynienia z najbardziej złożonym i oryginalnym stylem na lubelskiej scenie. Litery Rysy robiły wrażenie bardzo „niespokojnych” i ekspresyjnych, przybierały niespotykane, ostre, powyginane kształty. DHE na stałe zapisała się w historii za sprawą działań nielegalnych – w krótkim czasie Lublin zaalała fala dziesiątek, jeśli nie setek „wrzutów”. Członkowie DHE nie stawiali jednak wyłącznie na ilość – umieli ją w doskonały sposób połączyć z jakością, a o randze ich prac (umieszczanych w najlepszych, najbardziej widocznych miejscach) świadczył przede wszystkim świetny styl.

Jedną grupą mogącą się równać z DHE (jeśli chodzi o ilość i jakość prac) była 42NE. Jednak podczas gdy DHE skupiała się na malowaniu w najlepszych i najtrudniejszych miejscach, FORTUNA wykorzystywała wszystkie możliwe powierzchnie. Członkowie tej ekipy rozwinęli szybkie, ale jednocześnie dopracowane i przemyślane sposoby tworzenia. Oprócz street bombingu malowali wiele pociągów, zupełnie nie przywiązując wagi do działalności legalnej. Do najbardziej aktywnych writerów FORTUNY



DHE WB, Aleje Tysiąclecia, 2002 r.

należeli: Laro, Artsti, Funt, Abhera i członek starszej grupy KAP – Bista. Ekipami związanymi z 42NE były 3PU i PEH.

Powstanie wielu nowych ekip doprowadziło ok. 1999 r. do przepełnienia sceny. Między grupami zaczęła się rywalizacja. Spory najczęściej toczono o najlepsze miejsca do malowania (choćby konflikt KAP z inną działającą głównie nielegalnie ekipą – SNR). W tym czasie Lublin został podzielony na sektory i strefy wpływów: śródmieście kontrolowała 42NE, Kalinowszczyznę DHE, Bronowice SNR. Inne aktywne wówczas grupy to BZN, BTI, CE, DSN, VK, MTC i BSK. Był to czas fascynacji bombingiem i taki profil przyjęły owe ekipy (MTC i BTI równie często malowali legalnie). Warto też wspomnieć o Bostonie, który do dziś tworzy prace w zbliżonej do Flymza konwencji wild style, i o grupie CBK, nie tylko ze względu na jej osiągnięcia, ale głównie dlatego, że tworzyli ją ważni obecnie lubelscy grafficiarze: Stier (aktualnie Qtip SDP), Trzy (GOL), Okse (BFK) czy Neso (BGS).

Zaprezentowane wydarzenia nazwać można pierwszym okresem rozwoju graffiti w Lublinie, którego zarówno początek, jak i zakończenie wiązały się z osobą Olafa. Gdy w 2002 roku przyszła ze Szwecji tragiczna wiadomość o jego śmierci, writer ów już od dawna był uważany w środowisku lubelskim za postać legendarną. Nagła śmierć nie mogła pozostać bez echa, zwłaszcza w twórczości 7DC. Drugi okres rozwoju graffiti w Lublinie rozpoczyna seria prac poświęcona założycielowi owej ekipy – każda z produkcji opatrzona została realistycznie malowanym portretem Olafa i podpisem „Olaf R.I.P. 1981-2002 7DC”. Dzieła te powstawały w miejscach związanych z twórczością Olafa, np. na ścianach budynków przy ul. Bohaterów Monte Cassino, gdzie tak naprawdę narodziło się lubelskie graffiti. Ze wszystkich członków 7DC tragedia ta największy wpływ wywarła na Rena, który przestał nagle malować pociągi, skupiając się na tworzeniu z Botakiem i Matem skomplikowanych prac legalnych – jednocześnie często zmieniał „tagi” i nieustannie pracował nad nowym stylem. Do malowania pociągów wrócił ok. 2005 roku.

Po 2002 roku ciekawie prezentuje się również twórczość Botaka. Ten poszukujący nowych rozwiązań writer malował w tym okresie prace bardzo urozmaicone, wykorzystując wiele konwencji. Bez wątpienia na jego rozwój miało wpływ rozpoczęcie studiów artystycznych. Botak zmienił swe podejście do graffiti, traktując je jako możliwość realizacji twórczych ambicji. Przełom dokonał się w 2009 roku, kiedy to zaprojektował pierwsze mocno zgeometryzowane prace, nawiązujące kształtem do złożonego origami, którym często towarzyszyły niepokojące, schematycznie malowane postacie. Grupa 7DC jako jedyna dotychczas lubelska ekipa wyprodukowała trzyczęściowy film – nosi on tytuł *Hamaz* i dokumentuje malowanie systemów metra w całej Europie.

Po 2002 roku działalność kontynuowały także inne ekipy. W równie znaczący sposób co 7DC zmieniła się DHE. Największą metamorfozę przeszli Chumate, który zmienił pseudonim na Rysa lub Tumor, i Future – Spider. Z czasem litery Rysy stawały się coraz bardziej „spokojne” i czytelne, a ok. 2007 roku przypominały już pismo „drukowane”. Obecnie twórca ten maluje prace, których kształt można porównać ze skomplikowanymi mechanizmami lub częściami robotów. Jeszcze bardziej sposób wyrazu uprościł Spider, rezygnując z graffiti trójwymiarowego i malując obłe, czytelne litery. Stylu nie zmienił jedynie Flymz (obecnie Fems), który około 2003 roku zaczął projektować w konwencji czystego wild style'u bardzo skomplikowane litery o wielu ozdobnikach i elementach dodatkowych.

Choć po 2002 roku nadal aktywne były stare grupy wyspecjalizowane w nielegalnym malowaniu, m.in. BSK czy CE (ekipa ta z czasem rosła tylko w siłę, malując na mieście wiele stylowych sreber), to pojawiło się także młode pokolenie niepokornych twórców, którzy zapatrzeni w starszych kolegów po fachu zakładali nowe silne zespoły. Wśród nich wymienić należy PA3

z Tiussem na czele. Malowali oni pociągi, w tym nawet wholecars. W 2007 roku Tius jako jeden z niewielu wykonał „wrzut” na bardzo trudnym systemie warszawskiego metra, czym na stałe zapisał się w historii lubelskiego graffiti. Obecnie maluje w 7DC, brał również udział w powstawaniu każdej części wspomnianego *Hamazu*.

Kolejnym ważnym wydarzeniem było połączenie ok. 2003 roku ekip PEH, 3PU i 42NE w największą siłę tamtych czasów – KNZR. Ta bardzo aktywna i liczna grupa godnie podtrzymywała lubelską tradycję street bombingu. Malowali często i dużo, również pociągi i trolejbusy. Ok. 2006 roku działalność zwolniła nieco tempo, co wiązało się z opuszczaniem szeregów KNZR przez kolejnych graffiarczy. Grupa istnieje i działa do dziś, w 2008 roku została poszerzona o skład CE Aiba i szczególnie aktywnego Kartę (obecnie Drombo).

W owym czasie równie dynamicznie działała grupa BWE, z którą łączy się kolejna legendarna postać lubelskiego graffiti – Done. BWE nie była jego pierwszym zespołem – ów najaktywniejszy po 2002 roku graffiarczy Lublina malował także w BTW, CBK, a następnie w NSF, OTE, MP3, BGS. Około 2006 roku Done zdołał oznaczyć swoimi „tagami” i „chromami” teren całego miasta. Tworzył litery proste i „szybkie”, najlepiej sprawdzające się w nielegalnym malowaniu. Od 2000 roku rozszalał setkami „tagów” i „wrzutów” wszystkie ekipy, w których się znalazł. W 2004 roku wraz ze Spunkiem i Buniem założył NSF, a gdy w 2006 roku skład powiększył się o Doinka (Shit, Korel) oraz Boksa, grupa ta zmieniła nazwę na Bad Guys (w skrócie BGS) i stała się godnym następcą miejskich bombardierów – DHE, 42NE i KNZR. Done i reszta jego ekipy malowali bez wahania najlepsze miejsca, często główne ulice, od których reszta graffiarczy wołała się trzymać z daleka. BGS, oprócz bombingu, chętnie tworzył panele. Done ku uciesze władz miasta przeszedł „na emeryturę” w 2009 roku. We współpracy z BGS działała równie aktywna grupa E3, na czele z Erą (malowali głównie pociągi, wypracowali interesujące style, wyróżniające się m.in. bogatą kolorystyką). Inną ważną dla lubelskiego bombingu ekipą jest BC, w skład której wchodzi: Duki, Blek, Alba i Rips – writerzy ci, zaczynając od miejskich sreber, stopniowo malowali coraz więcej pociągów, by ok. 2007 roku uczynić ten rodzaj street artu głównym celem swej działalności.

Po 2002 roku lubelskie graffiti nie ograniczało się jedynie do bombingu. Powstały wówczas ekipy zajmujące się prawie wyłącznie działalnością legalną, m.in. UHR i SDP. Skupiały one (i skupiają do dziś) najlepszych writerów, takich jak: Stier, Crax, Naris (Qtip), którzy wykonali zarówno dziesiątki interesujących prac ogromnych rozmiarów, jak i setki doskonałych dzieł o mniejszej powierzchni.

Ostatnią kwestią, jaką chciałbym poruszyć, jest zagadnienie lubelskiego trash stylu. Kształty liter tworzonych w tej najtrudniejszej do opisanie konwencji są celowo zniekształcane i udziwniane, malowane niestarannie, jednak zawsze zaskakują. Graffiti takie często sprawia wrażenie kompletnie bezwartościowego „odpadu” (choćażby, gdy weźmiemy pod uwagę wild style). Choć niepokoi, wydaje się „wrogie i brudne” lub wręcz odpychające, nie wynika to z braku umiejętności twórców, ale stanowi świadomy wybór artystyczny. Dzieła wykonane w trash stylu są często jednymi z lepszych na lubelskiej scenie. Ten sposób malowania propaguje INC.

Sytuacja lubelskiego graffiti zmieniła się znacznie w ciągu kilku ostatnich lat. Stare ekipy, jak 42NE, BZN czy SNR, przeszły na „emeryturę” lub malują tylko okazjonalnie. W mieście o dużych tradycjach graffiarskich brak obecnie zapału, dawna szkoła z dnia na dzień traci coraz więcej swoich dzieł. Nowe srebra od ok. 2008 roku to raczej rzadkość. Miasto, niegdyś regularnie „bombione” z każdej strony i na wszystkie możliwe sposoby, łapie obecnie oddech, być może oczekując nadejścia kolejnej fali sztuki ulicznej. Przyszłość



Graffiti upamiętniające postać Olafa, 2002 r.

graffiti w Lublinie zdaje się niepewna – brak jednej silnej grupy lub kilku charyzmatycznych liderów, którzy – jak niegdyś Olaf czy Done – nadaliby miastu nowe oblicze i wprawili w osłupienie mieszkańców. Nadzieją może być kilka nowych ekip (lub powstałych z przekształcenia starszych, np. GOL), z których wyróżniają się KW, BFK i ONP. W chwili obecnej żadna z nich nie pretenduje jednak do przejęcia „dziedzictwa” KNZR, DHE i 42NE.

Graffiti stało się elementem kultury współczesnej. Wypracowane przez graficiarzy rozwiązania wywierają wpływ m.in. na współczesną grafikę użytkową czy na typografię. Działalność writerów często co prawda spotyka się ze zdecydowanym sprzeciwem, ale czy naprawdę chcielibyśmy powrotu do wszechogarniającej szarości blokowisk, beznadziei przestrzeni miejskiej? Czy aż tak pokochaliśmy pozostawione nam przez poprzednią epokę przytłaczające, brudne osiedla? Jeśli uznaliśmy za sztukę dzieła Malewicza czy meksykańskich muralistów, dlaczego tak trudno nam zaakceptować prace Botaka, Rysy czy Rena? Czy arcydzieło malarskie tak bardzo różni się od wybitnego graffiti? Przecież tak samo dowodzi wrażliwości i artyzmu twórcy. Przypomnijmy sobie szok związany z zaprezentowaniem przez Moneta *Śniadania na trawie*. Dzieła oryginalne i niebanalne zwykle nie są akceptowane od razu. Potrzeba czasu, aby wrogo nastawione osoby zrozumiały, że dzięki traktowanemu ze wzgardą street artowi na co dzień mogą obcować z doskonałymi przejawami sztuki współczesnej. Graffiti, podobnie jak np. twórczość konceptualna, wymaga od odbiorcy zastanowienia i wysiłku poznawczego, pozwalającego dostrzec, jaki niesie ze sobą sens. Czasy, w których żyjemy, potrzebują nowych rozwiązań (między innymi artystycznych); obecnie, gdy zdarza się nam sądzić, że wszystko już było, w graffiti wciąż tkwi potencjał i energia twórcza. Nie jest pewne czy zaakceptujemy sztukę ulicy, ale niewątpliwie nie zniknie ona z naszych miast. Jedyne, co możemy zrobić, to pogodzić się z jej istnieniem. Gdy spróbujemy zrozumieć jej przesłanie, być może odkryjemy jej piękno.

Michał Szymaniak

Ilustracje zaczerpnąłem głównie ze strony www.grafwizje.pl – M. Sz.

GRZEGORZ PIENKOWSKI

Akademia nowego tysiąclecia

Wraz z uwolnieniem rynku filmowego w roku 1990 i pojawieniem się na nim prywatnych dystrybutorów filmowych zaczęliśmy mieć w Polsce do czynienia z kilkoma zjawiskami: po pierwsze – wzrosła realna podaż filmów zagranicznych na naszym rynku (pewną wyczuwalną z czasem niedogodnością okazała się nadmierna amerykańizacja repertuaru), po drugie – dyskusyjne kluby filmowe, będące w poprzedniej epoce oknem, przez które wyglądaliśmy na ekrany świata, zaczęły tracić swoją wyjątkowość i publiczność. W przeciągu kilku lat liczba klubów zrzeszonych w Polskiej Federacji Dyskusyjnych Klubów Filmowych drastycznie spadła – z ponad czterystu do mniej niż stu. Wpłynęło na to nie tylko odświeżenie repertuaru kinowego; zasadniczą bołączką stało się finansowanie działalności DKF-ów, w większości uzależnionych od patrona/mecenasa, jakim były lokalne domy kultury. Przy chronicznym i pogłębiającym się niedofinansowaniu kultury przez budżet państwa, rosnących kosztach wynajmu i transportu kopii – najślabi finansowo musieli likwidować swoje działania.

Jednocześnie zaczęła rosnąć – początkowo powoli, od połowy lat dziewięćdziesiątych lawinowo – liczba lokalnych festiwali filmowych, stanowiących dla małych



Lidia Szukszyna w towarzystwie Piotra Kotowskiego, sierpień 2000 r. Fot. A. Miazga

środowisk szansę reklamy i promocji. „Prowincjonalia” w Słupcy, festiwal polskich komedii w Lubomierzu, będący kontynuacją imprezy DKF-owskiej festiwal w Inisku i wiele innych, nowych, wielkich, takich jak „Dwa Brzegi” w Kazimierzu nad Wisłą, „Era – Nowe Horyzonty” wędrujące po Polsce przed osiedleniem się we Wrocławiu, toruńsko-łódzko-bydgoski CAMERIMAGE – wszystkie zaczęły działać według podobnej formuły, powielającej (w stopniu, na jaki pozwalał lokalny budżet) znane z telewizji i prasy kolorowej wzorce: spotkania z aktorami w świetle reflektorów, transmisje telewizyjne, blichtr, a przede wszystkim rankingi, oceny i gradacje pokazywanych filmów. W krótkim czasie doszło do swoistego nasycenia rynku krajowego; obecnie można, jeśli dysponujemy odpowiednimi zasobami, przez ponad pół roku przemieszczać się z jednego festiwalu na drugi nie wracając do domu. Nie wszystkie festiwale krajowe są – to oczywiste – jednak wartościowe i atrakcyjne; ale wszystkie są do siebie podobne: mają w konkluzji galę z ogłoszeniem, komu przypada główna nagroda.

Pomimo tej obfitości wśród zainteresowanych sztuką filmową dało się wyczuć wyraźny niedosyt: wszystkie festiwale niechętnie sięgają do przeszłości, szukając przede wszystkim tego co nowe, omawiane w prasie filmowej, reklamowane w telewizji... pozostawiając w „martwym polu” dokonania lat minionych. Czyli to co stanowi istotny przedmiot zainteresowania członków dyskusyjnych klubów filmowych. I właśnie w ich środowisku pojawiła się propozycja łącząca w sobie to co najbardziej wartościowe w kinie z całkowitym odrzuceniem festiwalowego sztafażu i reflektorowej gali.

Pojawiła się Letnia Akademia Filmowa.

Pomysł – trzeba to powiedzieć wyraźnie – zapożyczony z czeskich dokonań Jirki Kralika (*Letní filmová škola w Uherském Hradištle*): przegląd filmów organizowany na zasadzie klubu filmowego, bez blichtru – spotkania z filmami i twórcami na zasadzie partnerstwa i równości. Widzowie, którzy nie zapominają o obejrzanym filmie w pięć minut po wyjściu z sali i twórcy, którzy wiedzą, że nikt nie będzie przed nimi bił czołem i rozwijał czerwonych dywanów. Repertuar sięgający śmiało do przeszłości sztuki filmowej – od jej najwcześniejszych lat do współczesnych przedpremier. Filmy w cyklach – reżyserskich, historycznych, tematycznych, aktorskich... wszelkich, jakie można sobie wyobrazić.

Impreza, która jest czystą przyjemnością obcowania ze sztuką filmową.

Nie byłoby ani pomysłu, ani naszej polskiej realizacji, gdyby nie jeden człowiek. Wszyscy, którzy się z nim kontaktują, ulegają jego fascynacji sztuką filmową i nieuleczalnej pasji, jaką jest propagowanie filmów wartościowych. Długoletni działacz dyskusyjnych klubów filmowych, szef lubelskiego DKF Bariera w Chatce Żaka, autor niezliczonych imprez filmowych, seminariów, przeglądów... człowiek-orkiestra. Bez niego polski ruch klubowy byłby o wiele mniej barwny.

Piotr Kotowski.

Kiedy Piotr powiedział mi o swoim zamiarze stworzenia Letniej Akademii Filmowej – „wszedłem” w jego propozycję bez zastanowienia. Piotr jest jednym z tych, dla których nie ma rzeczy niemożliwych. zaproponował lokalizację mającą – poza niewątpliwymi urokami roztoczańskiej przyrody – same minusy (rok dwutysięczny: brak odpowiedniej bazy hotelowej, jedna sala kinowa nieremontowana od lat i ośrodek kultury, niedoinwestowany jak wszystkie domy kultury w całej Polsce). Plusem było to, że władze Zwierzynca od razu uwierzyły w możliwości, które miasteczku dawała impreza filmowa, jakiej dotąd jeszcze nie było. Rozmach wizji przedstawionej burmistrzowi Janowi Skibie mógł albo odrzucić swą nierealnością, albo przekonać do wysiłków na rzecz jej realizacji. Władze Zwierzynca, Piotr i wszyscy z nim związani – to była siła mogąca zmienić utopię w nową rzeczywistość.

I tak się stało.



Spotkanie autorskie Janusza Morgensterna. Obok siedzi Piotr Kotowski, sierpień 2000 r. Fot. A. Miazga

ERA PARTYZANCKA

Żeby być skutecznym partyzantem – nie trzeba siedzieć w lesie. Nie trzeba być strażnikiem. Wystarczy być pewnym swego i konsekwentnie, przeciw tak zwanemu zdrowemu rozsądkowi i przeciwnościom losu, realizować swój zamiar.

Nie mieć nic – i z niczego stworzyć coś.

Kiedy tuż przed nadejściem nowego tysiąclecia Piotr zaczął działać przy realizacji swej wizji – niewielu wróżyło mu sukces. Najczęstszą oceną było: „góra dwa razy i koniec”. Szybko okazało się, że pierwsza edycja – robiona „na miarę sił” – jest właśnie tym, na co czekali widzowie.

1 edycja: rok 2000, 13 – 20 sierpnia

Pokazaliśmy (widzę tę Akademię niejako „od wewnątrz”) 40 filmów, sześć z nich na absolutnym przeboju LAF: nocnych seansach na urokliwym dziedzińcu starego browaru, zbudowanego przez Zamoyskich na początku XIX wieku. Nikomu też nie przeszkadzało długie przesiadywanie przed dawnym młynem (obecnie restauracją) na zaczynających się o północy koncertach folkowych nad brzegami zwierzyńckiego stawu z przepięknym kościołem „na wodzie”. Gościliśmy Lidzię Fiedosiejewą-Szucszyńską i Janusza Morgensterna. We „wdzięcznej” pamięci widzów zapisały się: ciągłe awarie projektorów w kinie Skarb – pamiętających początek lat siedemdziesiątych – powodujące częste opóźnienia w projekcjach (największe z nich trwało prawie godzinę...), wieczorna awaria w dostawie prądu oraz spowodowana pęknięciem rur całodobowa susza w kranach.

Lidia Fiedosiejewa-Szucszyńska powiedziała:

Bardzo się cieszę, że znalazłam się w takim małym, prowincjonalnym miasteczku, gdzie odbywa się impreza filmowa. Moja dusza i serce bardzo radują się z faktu, że na pierwszej edycji zorganizowaliście właśnie retrospekcję Szucszyńska. Jest na świecie tylu wybitnych reżyserów, a wy wybraliście właśnie jego. Jestem strasznie szczęśliwa z tego powodu. A miasteczko jest przepiękne, chociaż na razie nie miałam okazji go dokładnie poznać. Jednak zaraz po spotkaniu z widzami chcę się udać zupełnie

sama na spacer po Zwierzyńcu. (...) Sama impreza jest bardzo dobrym pomysłem, który – jestem tego pewna – ma przed sobą wielką przyszłość („Kurier Filmowy LAF” nr 4, 19-20.08.2000 r.).

Imprezie towarzyszy od początku solidnie zredagowany katalog. Jego objętość zwiększa się z każdym rokiem w miarę rozrostu festiwalu – najnowszy jest czterokrotnie grubszy od pierwszego. Tamten, z roku 2000, zawierał wkładkę z „wierszami na koniec wieku” przygotowaną przez redakcję „Akcentu”, która co roku w programie towarzyszącym Akademii prezentuje nowe tomy kwartalnika i związanych z nim pisarzy.

2 edycja: rok 2001, 12 – 19 sierpnia

Pokazaliśmy (nie licząc krótkiego metrażu) 65 filmów na dwóch salach: w kinie Skarb i w starym Technikum Drzewnym, dawnej siedzibie Ordynacji Zamojskiej. Swoją jubileusz pracy aktorskiej świętowała u nas Alicja Jachiewicz, gościliśmy znakomity duet czeski – Jana Hřebejka i Petra Jarchovskiego oraz Marka Piwowskiego; goście z Czech i z Polski docenili smak produkowanego w starym browarze piwa. Przebojem LAF były filmy czeskie, cykl „Misterium kuchni i stołu” oraz retrospektywa Marion Hänsel. Na nocnym koncercie folkowym przy klezmerskiej muzyce zespołu Va Banque publiczność tańczyła prawie do świtu...

Jego Magnificencja Rektor LAF Piotr Kotowski udzielił „Kurierowi Filmowemu” wypowiedzi:

Wejście z nową propozycją w i tak bogaty kalendarz letnich imprez filmowych zawsze jest cokolwiek ryzykowne. Ciekawość towarzysząca pojawieniu się czegoś nowego równoważona jest perturbacjami organizatorów, by takie przedsięwzięcie doprowadzić bez większych wstrząsów do końca. Entuzjazm i wiara z jednej strony – kontra sierniężna rzeczywistość, która koryguje plany i oczekiwania z drugiej – stanowią dylemat nie lada. Potknięcia wliczone są w cenę premiery, ale tolerowane bywają tylko raz. Twierdzenie, że „najtrudniejszy jest pierwszy krok” okazuje się w tym momencie złudne; dopiero drugie otwarcie stwarza tak naprawdę poważne wyzwanie („Kurier Filmowy LAF” nr 1, 12.08.2001 r.).

Słowa prorocze: awarie projektorów w kinie Skarb gnębiły nas nadal. Oprócz nich pojawiła się plaga komarów – szczególnie aktywnych w zaciemnionych salach kinowych.

3 edycja: rok 2002, 11 – 18 sierpnia

Pokazaliśmy 76 filmów pełnometrażowych. Temat wiodący: „Jak Kot z kotem”, czyli filmy z kotami w tytule i fabule oraz wystawa prac plastycznych Andrzeja Kota. Na zakończenie – ze względu na nikłe fundusze, jakimi dysponuje Akademia – ogłoszono publiczną zbiórkę funduszy na gronostaje dla Jego Magnificencji Rektora LAF. Gośćmi byli Mira i Walerij Todorowscy, Marek Koterski, historyk filmu Tadeusz Lubelski. Pojawiły się w programie spektakle teatralne wystawiane na sali starego Technikum Drzewnego (dobrze przyjęto monodramy według prozy Isaaca Bashevisa Singera wykonane przez Witolda Dąbrowskiego z lubelskiego Ośrodka Brama Grodzka Teatr NN). Poza „kocim” – wiodące cykle to retrospektywy Billego Augusta, Jana Svěra, Isabelle Huppert. Zaprezentowano etiudy szkolne z Akademii Filmu i Telewizji z Warszawy. Po raz kolejny na nocnym koncercie wystąpiła grająca muzykę perską grupa Jahjar. Pogoda jak zwykle dopisywała; oprócz atrakcji programowych LAFowicze mogli korzystać z atrakcji przyrodniczo-turystycznych, których oferta co rok była większa.

Piotr Kotowski w „Kurierze Filmowym” tak zapowiadał „koci” cykl:

Teraz, gdy stoimy jedną nogą w przedśionku Unii Europejskiej, nadszedł czas, by przywrócić właściwą rolę w dziejach kina kotu, którego – za sprawą zbrodniczych siepaczy – wygryzł pies. To historyczne wezwanie dla wytrwałych badaczy historii kina. (...) Najwyższy czas byśmy zdali sobie sprawę, że w klasycznym filmie grozy straszyl „Kot Baskervilleów”, a Peckinpah i Tarantino nakręcili odpowiednio

„Nędzne koty” oraz „Wściekle koty”. Manipulacja nie ominęła nawet twórczości dla dzieci: uroczy film Disneya to tak naprawdę „Zakochany dachowiec”. Ile spustoszenia doznały kolejne pokolenia wychowane na kultowym serialu – dziś nie bójmy się nazwać go po imieniu – „Czterej pancerni i kot”... („Kurier Filmowy LAF” nr 1, 11.08.2003 r.)

4 edycja: rok 2003, 10 – 17 sierpnia

Pokazaliśmy 77 filmów pełnometrażowych. Pierwsza prezentacja nieznanego w Polsce kina walijskiego. Tematy wiodące: retrospektywy Andrieja Konczałowskiego, Petra Zelenki, ekranizacje Czingiza Ajtmatowa, filmy zatrzymane przez cenzurę, motyw snu w kinie. Przebojami koncertów nocnych były występy grup Eliezer, Terne Chare, Ethnomalia i Benedicta – natomiast wydarzeniem roku pokaz niemego filmu *Wicher* Victora Sjöstroma ze skomponowaną specjalnie dla Akademii przez Rafała Rozmusa oprawą muzyczną. Gościli: Jozsef Pacskovszky, Andrzej Kołodyński, Bożena Janicka. W programie towarzyszącym można było obejrzeć nagradzaną na wielu festiwalach *Ferdydurke* według Gombrowicza wystawioną przez lubelskie Provisorium i Kompanię TEATR.

Gazeta LAF zmieniła nazwę na „Zwierzyniec Filmowy” i na zakończenie – na podstawie obserwacji własnych – ogłosiła typizację widzów kinowych:

Typ A: widz zainteresowany filmem, zdolny do znoszenia niewygód w imię kontaktu z X Muzą. Ogląda i milczy.

Typ B: widz zainteresowany filmem, w odbiorze przeszkadzają mu niedogodności techniczne. Ogląda i wierci się.

Typ C: widz średnio zainteresowany filmem, skoncentrowany głównie na wyłapywaniu wszelkich usterek technicznych. Rozgląda się po sali i głośnym szeptem komentuje to, co się mu nie podoba. Na ekran patrzy sporadycznie.

Typ D: widz niezaspokojony żołądkowo. Zajmuje się głównie konsumpcją żywności opakowanej w szeleszczące papierki. W czasie projekcji, która jest dla niego dodatkiem do konsumpcji, mlaszcze, przeżuwa i bulgocze wchłanianymi płynami. W Zwierzyncu na szczęście występuje sporadycznie; główne siedlisko – multiplexy.



Kolejne spotkanie uczestników LAF z redakcją „Akcentu”, sierpień 2003 r.
Przemawia Marek Marcola, ówczesny dyrektor zwierzynieckiego domu kultury,
w środku siedzi prof. Władysław Panas. Fot. M. Wróblewska

Typ E: widz o świadomości stadnej. Jedyne możliwe dla niego odbiór dzieła filmowego to synchroniczna analiza zbiorowa, przejawiająca się bieżącym głośnym konsultowaniem rozumienia filmu w gronie najbliższych „współsiadaczy”.

Typ F: widz hedonistyczny. Odbiór dzieła filmowego uzależnia od uzyskania wysokich warunków wygody osobistej. Dla jej uzyskania gotów jest dokonać agresji terytorialnej (nogi na oparciu miejsca przed nim). Odmiana widza telewizyjnego, domowego, kanapowego.

Typ G: widz przypadkowy. Nie wie, po co przyszedł na salę kinową, widać po nim zakłopotanie i zagubienie, nie obserwuje ekranu, gorączkowo szuka wyjścia z niewygodnej dla siebie sytuacji. Na ogół po kilku minutach opuszcza salę dodając sobie animuszu głośnym tupotem („Zwierzyniec Filmowy” nr 6, 16.08.2003 r.).

Pojawiły się wyraźne objawy braku miejsca na pokazy filmów i bolesny kryzys aparatury projekcyjnej w kinie „Skarb”.

ERA PRZETRWANIA

5 edycja: rok 2004, 6 – 15 sierpnia

Nowości wręcz rewolucyjne: sala gimnastyczna niedawno wybudowanego gimnazjum zostaje na czas LAF – trzecią już – salą kinową o nazwie Salto. Przekraczamy barierę stu filmów – zaprezentowano 124 fabularne i masę krótkometrażowych. Jubileusz piątej edycji zostaje uczczony dwoma filmami niemymi z muzyką na żywo: *Ostatnim rozkazem* Sternberga oraz *Buster i milion krów* Bustera Keatona – oba zilustrował własnymi kompozycjami Rafał Rozmus. Gościliśmy Sörena Kragh-Jacobsona, Jana Machulskiego, Przemysława Wojcieszka, Jerzego Kucię, Macieja Żaka; warsztaty krytyki filmowej prowadzili Konrad J. Zarębski i Mariola Jankun-Dopartowa; miały miejsce dwa spektakle teatralne (zwróciła uwagę *Opowieść o zwyczajnym szaleństwie* Petera Zelenki przywieziona przez Lubuski Teatr z Zielonej Góry) i sześć koncertów nocnych. Główne cykle filmowe: retrospektywy Sörena Kragh-Jacobsona, Petera Timara, Pavla Juračka, Marlona Brando, Jana Machulskiego; poświęcone olimpiadom i mass mediom oraz 55-leciu polskiej animacji. W rezultacie współpracy z redakcją „Akcentu” pojawił się nowy cykl „Moje kino”, łączący film i literaturę – jako pierwszy swoje spojrzenie na kino przedstawił Wiesław Myśliwski.

W Zwierzyncu przybywa miejsc noclegowych – impreza wyraźnie zakorzeniła się tu na dobre. Pozytywnie wyrażają się o niej ci, którzy nas na niej goszczą:

Podpisuję się obydwoma rękami pod tą imprezą – mówi pani Urszula Godzisz, od 16 lat prowadząca kemping „Echo”. – Znajomi ostrzegali mnie przed tego typu imprezami twierdząc, że będę mieć kłopoty z pijaną młodzieżą, dominującą w Kazimierzu Dolnym. Jestem mile zaskoczona kulturą LAFowskiej młodzieży. Imponujące jest to, że ci młodzi ludzie wiedzą po co tutaj przyjeżdżają. Nie mamy z nimi żadnych kłopotów, a tylko satysfakcję, że mieszkają właśnie u nas... („Zwierzyniec Filmowy” nr 7, 13.08.2004 r.)

6 edycja: rok 2005, 6 – 15 sierpnia

Cztery dzienne sale kinowe i jedna sala video (pękające w szwach) oraz pokazy nocne pozwoliły na pokazanie ponad 120 filmów pełnometrażowych oraz całej masy krótkich (pomimo zimna i prawie bez przerwy lejącego deszczu). Wiodące cykle: retrospektywy Dušana Hanáka (pierwsza w Polsce), Andrzeja Barańskiego, Vladimira Michalka, Aleksandra Chwana, kina węgierskiego, tureckiego i uzbeckiego, „Moje kino” według Wacława Sadkowskiego, filmy nagrodzone na festiwalach „Etiuda & Anima”, „Rozstaje Europy”, „Planete DocReview”, etiudy szkół filmowych: PWSFTviT z Łodzi, AFiT z Warszawy, Narodowego Instytutu Teatru, Kina i Telewizji z Kijowa. Niesamowity koncert Gendosa z Tuwy, mistrza śpiewu kargyraa. Pokazy specjalne: *Dama pikowa* z muzyką Rafała Rozmusa i polska prapremiera rosyjskiego *Radcy Stanu*. Gościliśmy: Aleksandra Chwana,

Dušana Hanáka, Feliksa Falka, Leszka Wosiewiczza, Andrieja Kudinienko, Artura Więcka i Witolda Beresia. Wydarzeniem stało się wręczenie Piotrowi Kotowskiemu nagrody Federacji Czeskich Klubów Filmowych – odebrane przez widzów jako zapowiedź nadchodzących wyrazów uznania. Entuzjastycznie przyjęto inicjatywę organizatorów – rozdanie akredytowanym poduszeczek do siedzenia, natychmiast nazwanych „LAF-uszkami”. Słuchaczy Akademii pojawiło się... trzy tysiące pięciuset, czyli tyłu, ilu jest stałych mieszkańców Zwierzyńca. Fenomen ten wyjaśnił felietonista „Zwierzyńca Filmowego”:

Pod koniec pokazów w Kazimierzu ma miejsce exodus spragnionych wyzwań intelektualnych na południowy wschód. Czym się kierują? Ano, pewnie pamiętają jedną z legend „Seksmisji” Julka Machulskiego – słynną, wycinaną już po premierze kwestię wypowiedzianą przez Jerzego Stuhra: „Idziemy na wschód. Tam musi być jakaś cywilizacja.” Gdzie? W naszym Zwierzyńcu, oczywiście. Na czym opieram swe twierdzenie? Szanowni Czytelnicy... czy kogoś z Was ktoś zmusił do przyjechania tu? Nikt. Czy obiecywano Wam gruszki na wierzbie? Nie. Czy wmawiano Wam, że będziecie uczestniczyć w imprezie jedynej w swoim rodzaju i niepowtarzalnej? Nie! O tym wiedzieliście sami – i dlatego co rok przyjeżdża Was coraz więcej. (...) Albowiem – TU JEST CYWILIZACJA wywołana tekstem z „Seksmisji” („Zwierzyniec Filmowy” nr 1, 6-7.08.2005 r.).

7 edycja: rok 2006, 5 – 15 sierpnia

Pokazaliśmy ponad 130 filmów fabularnych i mnóstwo krótkometrażowych. Edycja pamiętna z wywołanej awariami sprzętu niezliczonej ilości przełożeń seansów; dzień zaczynał się od lektury komunikatów „kto, gdzie, kiedy, na jak długo”. Pomimo to – plan wstępny zrealizowano w stu procentach. Retrospektywy: Grzegorza Królikiewicza, Satyajita Raya, Josa Stellinga, Siergieja Paradżanowa (połączona z międzynarodową sesją naukową); cykle tematyczne: czeski, węgierski, kręgu filmów hispanojęzycznych, świata cyrku, „Sacrum i profanum”, polska prapremiera „Bieżnia” Siergieja Snieżkina. Goście: Grzegorz Królikiewicz, Jos Stelling, Kora Cereteli, Lewon Grigorian, Xawery Żuławski, Robert Krzemppek, Paweł Wendorff, Przemek Wojcieszek, ks. Andrzej Luter, o. Wacław Oszajca (prezentowany przez redakcję „Akcentu”) i wielu innych. Rewelacyjny kolejny koncert Gendosa, wspaniały Jahjar Group i Čači Vorba. Trzy spektakle teatralne (Teatr Osterwy z Lublina, Teatr Współczesny z Warszawy i białostocko-warszawskie Laboratorium Przedmiotu).

Zwierzyńskie zaplecze osiągnęło kres swych możliwości tak pod względem technicznym, jak i hotelowym. Redaktor „Zwierzyńca Filmowego” podsumował edycję tak:

Co było dobre na początek – dziś zaczyna irytować. Nie można cały czas budować imprezy na pozorze i życzliwości. Potrzebne są wreszcie konkretne decyzje ze strony władz miasta, które pozwolą przyjmować gości przyjeżdżających tu już z całej Europy rzeczywiście po europejsku i bez wstydu. Miasto jest to niejako winne Akademii – przez te siedem lat impreza zrobiła Zwierzyńcowi reklamę wartą każdych pieniędzy („Zwierzyniec Filmowy nr 8, 14-15.08.2006 r.).

ERA ROZWOJU

8 edycja: rok 2007, 10 – 19 sierpnia

Być może pod wpływem faktu, że organizatorzy poważnie rozważali możliwość przeniesienia LAF-u do innego miasta, wyremontowano wreszcie kino „Skarb”. W pierwszym numerze „Zwierzyńca Filmowego” NadRedaktor napisał:

Na szczęście murzyn – w postaci Piotra Kotowskiego – będzie nadal robił swoje w Zwierzyńcu, a nie gdzie indziej. Miasto wyasygnowało ze swojej skromnej kasy odpowiednie pieniądze, aby zachęcić PISF do remontu kina „Skarb”. To pierwszy krok na drodze, która ma nas doprowadzić do tego, by Letnia Akademia Filmowa nie

wstydziła się warunków, w jakich widzowie oglądają filmy. Burmistrz Zwierzyńca zapowiada, że na tym władze miasteczka nie poprzestaną. Wierzymy mu na słowo wiedząc, iż od początku jest prawdziwym przyjacielem Akademii („Zwierzyniec Filmowy” nr 1, 10.08.2007 r.).

Pokazaliśmy ponad 180 filmów pełnometrażowych i masę krótkich. Retro-spektywy Carlosa Saury, Theo Van Gogha, Erica Rohmera; cykle tematyczne: węgierski, czeski, dalekowschodni, „W kręgu rodziny”, „Inne światy – opowieści o odmiennych”, „W polskim obiektywie”, jubileusze SojuzMultFilmu, Studia „Kalejdoskop”, Studia Filmów Animowanych. Cztery spektakle teatralne, pięć koncertów nocnych. Goście: Marcel Łoziński, Michał Dudziewicz, Jacek Bławut, Pal Erdoss, Staszek Manturzewski, Wiesław Saniewski, Łukasz Palkowski i wielu innych. Znakomita muzyka na żywo Rafała Rozmusa do filmów „Nosferatu” i „Trzy wieki”. Ponownie pojawił się w Zwierzyńcu István Kovács (po raz pierwszy ściągnięty na LAF przez „Akcent” w 2000 r.), tym razem jako autor powieści *Lustro dzieciństwa*, według której nakręcono jeden z filmów prezentowanych w cyklu węgierskim.

Piotr Kotowski otrzymał honorowe obywatelstwo Zwierzyńca.

9 edycja: rok 2008, 8 – 17 sierpnia

Letnia Akademia Filmowa została przez kapitułę PISF uznana za „Filmowe wydarzenie roku 2008”.

Otworzono kolejną salę kinową – „Jowitę” w nowej sali gimnastycznej Zespołu Szkół Drzewnych; już w trakcie jej budowy wprowadzono modernizacje umożliwiające wyświetlanie filmów. Zaczęła funkcjonować druga (poza Zwierzynieckim Ośrodkiem Kultury i Rekreacji) sala video w podziemiach ratusza.

Ruszyła „Akademia – dzieciom” (poranki filmowe) i kurs animacji prowadzony przez ekipę Studia Miniatur Filmowych.

Pokazano ponad 200 filmów pełnometrażowych, krótkich metraży nikt nie liczył. Odbyły się trzy spektakle teatralne i osiem koncertów nocnych. Gośćmi byli głównie twórcy polscy: Marcin Koszałka, Filip Marczewski, Paweł Kędziński, Andrzej Kostenko, Jolanta Dylewska, Iza Szyłko... Głównym tematem (związanym z setną rocznicą urodzin Papuszy) były „Cygańskie motywy” – retrospektywa filmów Tony Gatlifa i mówiących o Romach, wystawy fotograficzne, połączone z nauką pokazy tańca, cygański tabor... Żegnaliśmy tych, którzy odeszli: Piotra Łazarkiewicza, Witolda Leszczyńskiego, François Truffaut; wspominaliśmy na retrospektywach twórczość Julio Medema, Elo Havetty, Evalda Schorma i Lone Scherfig. Niesamowitych przeżyć i doskonałej zabawy dostarczył publiczności oblegany ponad pojemność sali „Jowita” cykl „Najgorsze filmy świata”. Dziewiątą edycję podsumowano w felietonie tak:

Zwierzyniec w czasie LAF-u jest miasteczkiem o najwyższym ukinowieniu w Polsce; wpisuje się w ten sposób w swoją tendencję do bicia rekordów zaznaczoną najwyższym upomnikowaniem w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Jest tu ponoć ich tyle, że na jeden przypada pięćdziesięciu stałych mieszkańców. Nigdzie w naszym kraju nie ma takiej miejscowości, w której w lecie równocześnie działałoby pięć sal kinowych i jedna „pod chmurką”. (...) Letnia Akademia Filmowa wyrosła z atmosfery Dyskusyjnych Klubów Filmowych, niepowtarzalnej atmosfery miejsca, w którym dyskutuje się i określa swój stosunek do sztuki, w którym gdzieś z boku można pozostawić tak naprawdę nieistotny szum i zaperzenie codzienności. Czy ktoś z nas śledził w czasie LAF-u wiadomości ze świata polityki? Poczuliśmy, że ważniejszy od nagłówków gazetowych jest dla nas cygański tabor i najgorsze filmy świata, że jeśli chcemy – potrafimy się zdystansować od spraw nieistotnych po to, by zanurzyć się w najważniejszym poczynaniu człowieka: przeżywaniu sztuki wielkiej i małej. I uczeniu się od innych, jak żyć („Zwierzyniec Filmowy” nr 7, 16-17.08.2008 r.).

JUBILEUSZ

10 edycja: rok 2009, 7 – 16 sierpnia

Piotr Kotowski otrzymał nagrodę PISF dla najlepszego DKF w Polsce.

Dla uczczenia jubileuszu Akademii Jerzy Nowak przyjechał rowerem z Zielonej Góry (odległość drogową: 738 kilometrów).

Wznowiono – po 33 latach – ogólnopolski konkurs prelegentów filmowych (pierwszy zorganizowano w 1976 roku w Krakowie z inicjatywy legendarnego DKF Kinematograf).

Jubileusz uczczono wyrzeźbieniem pomnika bobra Piotrusia przed zwierzyńskim ZOKiR-em (odsłonięcie nastąpiło ostatniego dnia LAF), koncertem Rafała Rozmusa – ilustrował z orkiestrą symfoniczną *Generała* Bustera Keatona i z zespołem kameralnym *Żelaznego konia*. Rektor LAF Piotr Kotowski w uznaniu zasług dla Akademii przyznał 19 doktoratów „humoris causa”.

Pokazaliśmy 224 filmy pełnometrażowe (krótszych nie sposób zliczyć). Główne tematy: pierwsza w Polsce i na świecie retrospektywa Pupi Avatiego, Romana Bałajana oraz (w proteście przeciw likwidacji pasażerskiego ruchu kolejowego na trasie prowadzącej przez Zwierzyniec) filmy z koleją w tle – „Pociągi przeznaczenia”; cykle tematyczne: kino czeskie, słowackie, węgierskie, rosyjskie, argentyńskie, filmy z Generalnej Guberni, „Stronnicza historia polskiego kina” i wiele innych. Gośćmi byli m.in.: Pupi Avati i jego brat – Antonio, Maria Victoria Menis, Vit Janeczek, Dušan Trančík, Bohdan Werźbicki, Dorota Nvotova, Gintayali Rao, Marek Serafiński, Bartek Konopka i wielu innych. Obejrzeliśmy dwa spektakle teatralne, uczestniczyliśmy w siedmiu koncertach nocnych.

Burmistrz Zwierzyńca Jan Skiba podsumował jubileusz tak:

[Letnia Akademia Filmowa] przyspieszyła puls i ożywiła miasteczko, bo to, co się dzieje na początku sierpnia, kiedy ma do nas zawitać LAF – porównałbym do skoku wwyż. W pierwszej dekadzie skakaliśmy z odbicia z ziemi, w drugiej dekadzie porównałbym to do skoku o tyczce. Łączy się to z promocją Zwierzyńca, bo jesteśmy już rozpoznawalni. Po kwaterach urywają się telefony, czego kiedyś nie było – a pomimo zatrzęsienia kwater miejsca i tak brakuje. Moje osobiste spostrzeżenia to rozpoznawanie twarzy tych, którzy przyjeżdżają na Akademię od początku. Co ogromnie mnie cieszy, bo to oznacza, że zaufali temu środowisku, tym organizatorom, zaufali imprezie. I to jest piękne. Ale najpiękniejsze jest to, że nikt



Po spotkaniu uczestników LAF z gościem specjalnym „Akcentu” Adamem Lizakowskim (w środku). Obok W. Michalski i B. Wróblewski. Fot. M. Wróblewska

nas nie zdradza, a zakochują się następnymi. (...) Poprawiła się znakomicie baza noclegowa i żywieniowa, w bazie kinowej poruszamy się trochę mniejszymi krokami. W ubiegłym roku do dość pokaźnej grupy kin doszła „Jowita”, w tym roku wyposażyliśmy ją w klimatyzację. Cały czas poprawiamy funkcjonalność tych obiektów. Oczywiście dajemy wszystkie nasze siły ludzkie i środki, jakimi dysponuje Urząd i Dom Kultury do dyspozycji Akademii. Staramy się dopinać wszystko na ostatni guzik, co nie oznacza, że nie popełniamy błędów lub nie zdarzają się niedopatrzienia. Nigdy nie powiedzieliśmy, że czegoś nie da się zrobić... może bez rozmachu, na jaki stać duże miasta i gminy – ale za to konsekwentnie („Zwierzyniec Filmowy” nr 2, 8-9.08.2009 r.).

W NASTĘPNĄ DEKADĘ

11 edycja, rok 2010, 6 – 15 sierpnia

Letnią Akademię Filmową uznano za najlepszy produkt turystyczny roku 2010 (nagroda Lubelskiej Regionalnej Organizacji Turystycznej).

Po raz pierwszy w Polsce odbyły się retrospektywy: kina Republiki Południowej Afryki i filmów Jamie Uysa (razem objęły 43 filmy), filmów Marca Bellocchio oraz Gianniiego Amelio. Cyklami tematycznymi były: filmy Jacques’a Tati, Asty Nielsen, ekranizacje Czechowa (na 150 rocznicę urodzin) i Witkacego, „Elegia dla konia”, nowości polskie, czeskie, słowackie, węgierskie... Uczestniczyliśmy w recitalu Lecha Dyblika i ośmiu koncertach nocnych, gościliśmy między innymi Richarda Stanleya i Zolę Maseko (RPA), Roberta Glińskiego, Ryszarda Brylskiego, Simona Szabo, Vladimira Balko, Mariusza Grzegorzka, Kingę Dębską, Wenantego Nosula, Lecha Dyblika, Henryka Dederko. Gościem specjalnym „Akcentu” był Adam Lizakowski z USA, który zauroczony Roztoczem poświęcił temu miejscu na ziemi specjalny poemat (zob. „Akcent” nr 4/2010). Polską prapremierę miał film Nikity Michalkowa *Spaleni słońcem 2*.

Łącznie pokazaliśmy ponad 270 filmów pełnometrażowych. Praktycznie nie było awarii, przesunięć i zmian w programie...

Impreza ma dobrą prasę: Mam wrażenie, że tylko w Zwierzyncu, na Letniej Akademii Filmowej, nazywanej popularnie LAF-em, udaje się połączyć autentyczną radość z wakacji z „uśmiechem kina”. LAF nie jest luksusem ani popisem. Daje się lubić – pisał po dziesiątej Akademii Łukasz Maciejewski w „Tygodniku Powszechnym” (nr 34 z 22 sierpnia 2010 r.).

Jak można podsumować 11 lat Akademii – stworzonej z niczego, a będącej jedną z najważniejszych polskich imprez filmowych, która znana już jest za granicą na tyle, że ułatwia nam to kontakty w coraz dalszych zakątkach świata? Na którą z chęcią przyjeżdżają widzowie z Ukrainy, Rosji, Czech i Słowacji?

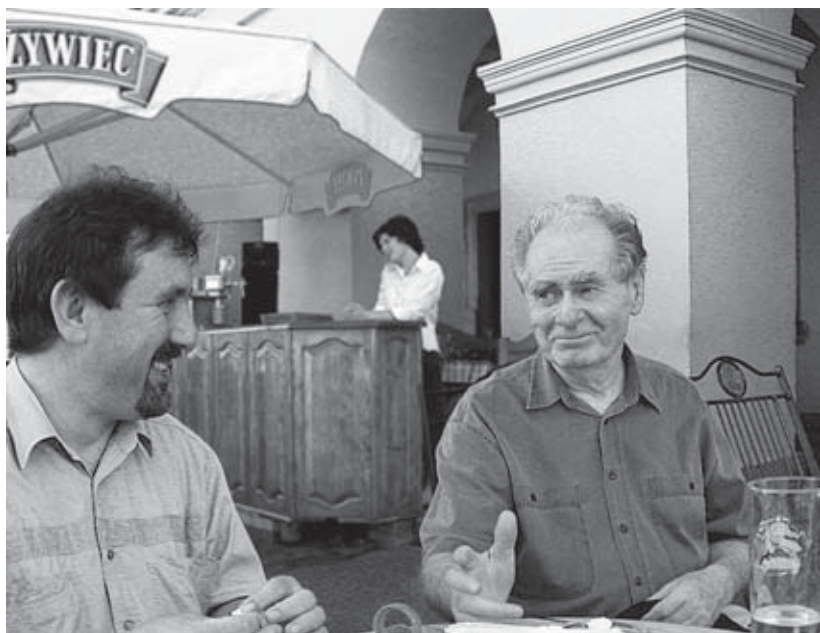
Powtórzę tu w skrócie opinie, które wyraziłem 10 sierpnia 2011 r. w „Zwierzyncu Filmowym”: jeśli mamy do czynienia z imprezą znaną i uznaną ogólnie za dobrą – to nawet specjalnie reklamować jej nie trzeba; uczestniczyć w niej po prostu wypada – jeśli byłeś na takiej imprezie, jesteś w jakiś sposób nobilitowany. Jeśli nie – może to oznaczać, że na nią nie zasługujesz. Przez lat dziesięć Piotr Kotowski wraz z grupą oddanych mu osób pracował ciężko na to, by hasło „Letnia Akademia Filmowa” stało się marką samą w sobie. By każdy, kto choć trochę się sztuką filmową interesuje, wiedział, że tu repertuar jest dobierany starannie, rozważnie i z dużą znajomością rzeczy. Jeśli przyjeżdżasz do Zwierzynca – to znaczy, że dołączyłeś do elity intelektualnej, która dość ma wszelkich produkcji zapominanych zaraz po obejrzeniu. Być uczestnikiem Letniej Akademii Filmowej – to wartość sama w sobie. Przecież, jak wiemy, nie ma tu dywanów i błysków fotograficznych fleszy, nie ma codziennych relacji o imprezie w wiodących programach telewizyjnych. Jest cierpliwe, żmudne wchodzenie w trudną materię wiedzy o kinie. Nikt nikomu nie obiecuje, że będzie miło, łatwo i przyjemnie. Przeciwnie:

dojazd bywa skomplikowany, program jest tak potężny, że wszystkiego obejrzeć się nie da – trzeba biegać pomiędzy salami kinowymi z pełną świadomością rezygnacji z tego, co akurat gdzie indziej jest pokazywane, warunki pobytu są raczej spartańskie. Akademia daje strawę duchową, a jak ją będziemy konsumować – to już tylko od nas zależy. Nikt tu też nie rozpieszcza twórców. Jeśli przyjadą, skazani są na bezpośrednią styczność z widzem wymagającym i nie znośącym tak zwanej chały. Wiemy: LAF to znak jakości najwyższego rzędu.

Wiedza ta dociera nie tylko do odbiorców. Dla tych, którzy sztukę filmową tworzą, też nie jest obojętna obecność lub nieobecność ich dzieł w programie Akademii. Jeśli cię do niej Rektor zakwalifikował – uzyskałeś certyfikat Zjawiska. Jeśli nie – znikasz w miałości ekranowych zapchajdziur, o których po latach nikt nie będzie pamiętał.

Miejmy więc świadomość tego, że uczestniczymy w imprezie wyjątkowej tak bardzo, że sam fakt pominięcia w repertuarze może być odbierany jako osobista zniewaga (tak zareagował ostatnio jeden z niezbyt wydarzonych twórców). Oczywiście – mamy tu do czynienia ze snobizmem najczystszej wody; słodko jest być zaliczonym pomiędzy wybranych. Powtórzmy: Letnia Akademia Filmowa – to impreza ze wszech miar nobilitująca.

Grzegorz Pieńkowski



Wiesław Myśliwski (z prawej) po spotkaniu na LAF, 2004 r. Fot. M. Wróblewska

namiętności

MAREK DANIELKIEWICZ

Twarze zmarłych zapisane pod naszymi powiekami

Przychodzi taki czas, kiedy zaczyna się jesień. Brązowieją trawy. Potoki nabierają rdzawej barwy. Pustoszeją górskie szlaki. Gdzieś w oddali mruzczy najedzona niedźwiedzica. Kozice zeskakują ze skał i lekceważą towarzystwo taterników.

Schodzimy z Czerwonych Wierchów zmęczeni jak nigdy. Rozmawiamy o tym co jest, co było... Nie wiemy, że za kilkanaście miesięcy nie będzie wśród żywych Jakuba Dereckiego – zginie podczas zawodów sportowych w Poznaniu. Postać Jakuba wpisuje się w długą listę osób, które znaleźliśmy, podziwialiśmy, kochaliśmy za ich twórczość, osiągnięcia, urok osobisty. Pytamy: czy to możliwe? dlaczego? gdzie jest sens?

Zastanawia fenomen Emila N. Ciorana, który pisał o bezsensie życia – i żył, i tworzył, i budował świat ze słów, z myśli... I to właśnie one pozostały, gdy on odszedł pokonany przez chorobę Alzheimera.

Przypominam sobie poetę Tadeusza Śliwiaka, który zginął tragicznie na krakowskiej ulicy potracony przez tramwaj. Poeta cierpiał na tę samą chorobę co Cioran i wielu innych. Lubartów odwiedził w 1989 roku. Gościł w bibliotece przy ulicy Cmentarnej.

Ze Śliwiakiem rozmawiałem o jego pracy w teatrze, o przeżyciach ze Lwowa, gdy mieszkał obok rzeźni miejskiej i słyszał płacz zabijanych stworzeń. W latach 1962-1963 napisał o tym poemat, w którym wyznał: „Uczyłem się życia / od śmierci (...) moje pierwsze ogrody / to mięs cyprysy czerwone / flora płuc i wątrób / wiszących na hakach”. I jego śmierć też była krwawa, w zgrzycie hamulców, w odprysku farby, w blaszanym akompaniamencie obojętnej ulicy, w pospolitym zaciekawieniu gapiów... W wierszu „Pieśń po czereśni” pisał: „W tym mieście / jest puste miejsce po nas / pod wieżowym zegarem / trwa zatrzymana godzina”.

Inaczej wyglądała śmierć prozaika, krytyka teatralnego, taternika Stanisława Zielińskiego. Właśnie wznowiono jego książkę o tematyce tatrzańskiej pt. „W stronę Pysznę” (2009). Opowiadał mi Ludwik Bohdan Grzeniewski, że pisarz nie chciał już żyć, że stracił poczucie sensu wszystkiego. Położył się do łóżka i oczekiwał końca potwornego cierpienia psychicznego. Doczekał się. Śmierć czasami wysłuchuje naszych prośb.

Varsavianista, poeta i eseista Ludwik Bohdan Grzeniewski wydrukował w miesięczniku „Twórczość” (1996 nr 7) szkic pt. „Ostatni akt”. Zainterесowała go trwoga, która poprzedza zgon. W wierszu o katolickim liryku Jerzym Liebercie, młodo zmarłym na gruźlicę, Grzeniewski napisał: „Umieranie to zadanie / do wykonania: / trudne jak oddawanie / stolca przy zaparciu”.

Słowa te szokują, chociaż pochodzą z angielskiego raptularza z 1787 roku. Tak. Ale też przypominają oczywistą prawdę, że nawet w takiej chwili jesteśmy samotni i groteskowi, a nie uduchowieni. Dlatego żadnych złudzeń...

„Na czym polega życie po pięćdziesiątce? Na tym, że zna się już dalsze cięgi, że z za zakrętu otwiera się nowa perspektywa, najczęściej przerażająca. Właściwie na tym polega życie: na narastaniu przerażenia.”

Byłem w Zakopanem z Arkadiuszem i Mateuszem Dreckimi, gdy dowiedziałem się o śmierci Ludwika Bohdana Grzeniewskiego. Były pierwsze dni października 2008 roku.

Tadeusz Śliwiak w wierszu „Akuszerka” zapisał: „Przy wszystkich porodach / jedną z akuszerek jest zawsze śmierć / To ona pierwsza / kąpie dziecko / w rzece Heraklita”.

Katarzyna Kozyra, artystka znana z szokujących instalacji, w wywiadzie („Magazyn Sztuki” 1995 nr 5) powiedziała: „Wiesz, okazało się, że postępuje u mnie nowotworowa destrukcja. Ale żyjemy w tych czasach, to można ją chemią zatrzymać, więc nie muszę zdechnąć, bo teraz to się leczy. Pozostaje świadomość, że to jedynie przedłużenie, mimo galopującej destrukcji”.

Skoro rozpad i destrukcja, skoro tymczasowość, to rozumiem dramatyczne wybory poetów, którzy ostatnimi czasy odebrali sobie życie w Lublinie: Zofia Luchowska-Kuna, Urszula Jaros, Grzegorz Korba, autorów: „milczenie jest w nas / w jakimkolwiek stanie”.

Śląski poeta Mirosław H. Polok w liście do mnie napisał: „i to jest tylko nicość, która szuka dla siebie formy ludząc, że słowo może być ciałem, że wolność, miłość, przyjaźń to nie tylko metafory czasu. Co pozostaje? Nie wiem?”.

Słońce dawno już zaszło. Jesień łagodnie usypiała Tatry. Schodziliśmy z Jakubem Dereckim wąskim szlakiem tatrzańskim. Pot sływał nam po twarzach. Nawet do głowy by mi wtedy nie przyszło, że będę musiał już za kilkanaście miesięcy napisać tak osobisty wiersz dla jego ojca: „pochylony nad monitorem komputera / Dowiadujesz się o śmierci syna / I nie do końca rozumiesz, co się wokół dzieje / Jedyną odpowiedzią na zgon dziecka / Jest położyć się obok niego / I pozwolić zakopać”.

Obroną przed nicością jest pamięć. P a m i ę t a ć! Tyle możemy zrobić dla tych, którzy odeszli przed nami. A musimy też pamiętać, o czym pisali poeci: „zostaje dygot. Zimny skowyt. / Strach jest tu. Jego oddech drga stale / przez to co istnieje. / Prawdą tego świata jest śmierć”.

Słowa proste jak u Eliota, Celine’a, Heideggera czy Pascala. Prawda to agonía, której nie masz końca.

bez tytułu

LESZEK MĄDZIK

Kontrast

Nie potrafiłem go zrozumieć i chyba dalej nie rozumiem. Może to przypadek, że takie dwa światy, obrazy i przestrzenie dane mi było spotkać. Tamten sprzed lat, wielu lat, został we mnie – może dlatego, że byłem młody – w całej swojej jasności (może bardziej w bieli) i pelen zapachów. Apogeum tego stanu przypadało wiosną, a raczej wiosnami, lat sześćdziesiątych, kiedy przybyłem do Lublina i na jego peryferiach znalazłem przystań – nowe miejsce zamieszkania. Dom ginął w jabłoniowym sadzie. W maju kwitnące drzewa robiły wrażenie ośnieżonych. W każdym oknie miałem nieskazitelną biel, potęgowaną zapachem zapylanych kwiatów. Ogrodnik, który udostępnił mi tę dawkę rozkoszy, jesienią żywił mnie smakiem i wonnością jabłek, wypełniających wszystkie zakamarki tej rajskiej rezydencji. Jeśli można myślami sięgnąć drugiej strony rzeczywistości, to te drżące na wietrze kwiaty, wydzielające błogi zapach, były bliskie tym wyobrażeniom.

Nawet gdy wiosenny deszcz zwilżał kremowe płatki kwiecica, nie naruszał nieskazitelności cudownej krainy. Została w pamięci i pozwala dziś przywoływać tamte bez troskie lata, gdy liczył się tylko dzień, który upływał. Świat zdawał się być pozbawiony kłopotów, lęków i zagrożeń. Minął bezpowrotnie, tak jak zniknęło to miejsce, gdzie dane mi było spędzać witalną młodość. Jak na ironię pojawił się tam olbrzymi kompleks szpitalny, a tam, gdzie stał dom ogrodnika wybudowano prosektorium. Może stąd znów tylko krok do świata, który zostawiłem przed czterdziestoma laty. Ta dziwna klamra dyskretnie przypomina, że czas żłobi i tworzy sobie takie przestrzenie, w których wnętrzu bardziej lub mniej świadomie zamieszkujemy.

Wierzyłem kiedyś, że miejsce, które dane mi było smakować będzie wieczne. Utwierdzała mnie w tym studnia istniejąca opodal domu. Kierowałem w jej czeluść wiele pytań, a powtarzane słowa wracały echem jak bumerang, bez odpowiedzi. Nie wierzyłem, że kiedyś przestanie istnieć. Jej głębia wydawała mi się nieskończona. Teraz nie ma po niej śladu. Może podziemne źródła biją dalej, ale trudno dociec, czy jeszcze gaszą czyjeś pragnienie.

Leszek Mądzik

PS Dom ogrodnika Adolfa Adamczyka stał na tak zwanym Konstancyńcu, wśród pól i łąk zboż. Teraz cały ten obszar wypełnia szpital przy alei Kraśnickiej.

przenikania

BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI

Niezwyčajna samotność

Arcybiskup Józef Życiński (1948-2011)

Żył krótko i intensywnie. Ale było to życie spełnione. Należał do ludzi, którzy wywarli istotny wpływ na duchowość swej epoki. Dany mu został czas transformacji, zwątpienia, rozchwiania wartości. Ale potrafił wzmacniać Kościół otwarty, nieuchylający się od niepokojów i wyzwań „ponowoczesnego” rozumu. Arcybiskup intelektualista. Objęcie przez niego w 1997 roku lubelskiej stolicy biskupiej przyniosło ludziom kultury nadzieję na duchowe wsparcie ich starań, było też jak wezwanie do samodoskonalenia, a rozmowy z nim i publiczne wystąpienia stanowiły ważne źródło inspiracji. Doświadczyło tego środowisko akademickie Lublina, lubelskie media i instytucje kultury – od Ośrodka Brama Grodzka po Filharmonię Lubelską. Próbował tchnąć w Kościół (nie tylko lubelski) nową energię – obecność w Internecie, przejrzystość finansów, otwarcie na młodych (z Przystankiem Woodstock włącznie).

Opublikował w „Akcent” sporo tekstów, od numeru 3 z roku 1998 po numer 3 z roku 2008. Później stan zdrowia zmusił go do ograniczenia piarskich zobowiązań, chociaż jeszcze przed kilkoma tygodniami obiecywał nam nowy szkic. Jest faktem w jakiś sposób symbolicznym, że tomy zawierające tę pierwszą i tę ostatnią jego publikację w „Akcent” poświęcone były sylwetce intelektualnej Karola Wojtyły. „Akcent”, jako czasopismo świeckie,



Abp Józef Życiński w foyer Teatru Osterwy przed uroczystością 25-lecia „Akcentu”, 15.04.2005 r. Fot. J. Kutnik

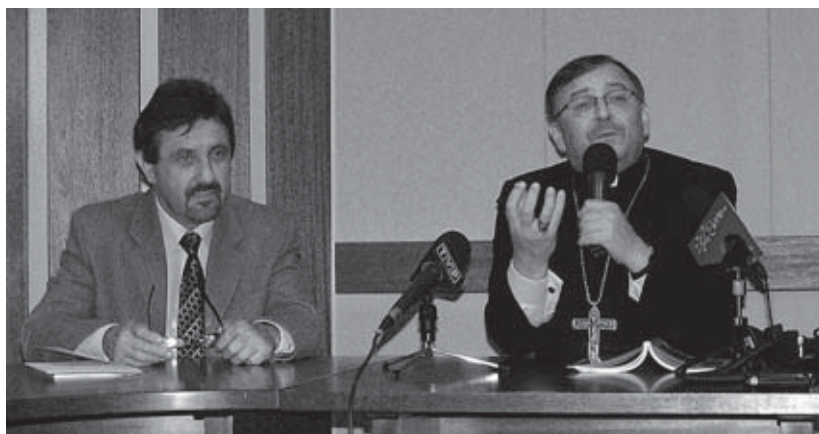


Abp Józef Życiński w foyer Teatru Osterwy przed uroczystością 25-lecia „Akcentu”,
15.04.2005 r. Fot. J. Kutnik

mniej interesował się przebiegiem samego pontyfikatu, co Arcybiskup był skłonny redakcji wybaczyć. Zależało nam przede wszystkim na ukazaniu duchowej formacji Karola Wojtyły, bowiem niezależnie od wszelkich ocen jego twórczości, musimy się zgodzić, że właśnie w utworach literackich oraz w działalności naukowej i dydaktycznej kształtowały się osobowość i poglądy przyszłego papieża. Arcybiskup Życiński podzielał to przekonanie. W artykule *Ekologia wartości ludzkich i współczesny pragmatyzm* („Akcent” nr 3/1998), nawiązując do myśli Jana Pawła II, energicznie sprzeciwiał się współczesnemu nihilizmowi, dominacji postawy ironicznej, absolutyzacji pragmatycznych przesłanek ludzkiego działania. Pisał m.in.: (...) *problem pojawia się wówczas, gdy połączenie rozczarowań z doświadczeniem absurdu uczyni z ironii podstawową cnotę postmoderny. Ironizowanie jako podstawowa forma dialogu ze światem może przynieść nową syntezę, w której homo sapiens i homo ludens wydadzą potomstwu w postaci bezmyślnej istoty, która chroni się przed rozpaczą uciekając w happening, absurd i autoironię.*

Dziesięć lat później, w trzydziestolecie wyboru Jana Pawła II, klarownie i z genialną lapidarnością potrafił zdefiniować kilka podstawowych składników papieskiego nauczania, stawiając jednocześnie pytanie o ich dzisiejszą obecność w polskiej kulturze. Pytał dramatycznie, czy „wprowadzanie substytutów papieskiej obecności” w miejsce przemyślanych działań inspirowanych myślą papieża „nie ubliża naszemu pokoleniu”? („Akcent” nr 3/2008). Numer „Akcentu”, w którym padły te słowa, znaleźli uczestnicy III Kongresu Kultury Chrześcijańskiej (25-28 września 2008 r.) wśród materiałów konferencyjnych przygotowanych przez organizatorów. Notabene – spotkania uczonych i ludzi kultury z Polski i ze świata, jakimi były odbywające się co cztery lata w Lublinie kongresy kultury chrześcijańskiej, to jedna z ważnych „autorskich” inicjatyw Józefa Życińskiego jako Arcybiskupa Lubelskiego i Wielkiego Kanclerza KUL.

W artykule *Ludzkie drogi Kościoła* próbuje określić miejsce Kościoła wobec systemów politycznych i ideologii, w szczególności wobec konceptu uniezależnienia idei uniwersalizmu od chrześcijaństwa. Przy okazji padają tu słowa czytelnie wyrażające jego pogląd na temat relacji między Kościołem a polityką: *Bardzo ryzykownym stanowiskiem byłoby kultywowanie złudzeń, że Kościół musi całkowicie związać swoją misję bądź to z lewicą, bądź z prawicą. Kościół stara się odkrywać składniki dobra w różnych systemach społecznych,*



Spotkanie w Radiu Lublin po publikacji tomu „Akcentu” poświęconego sylwetce intelektualnej Karola Wojtyły, 14.10.2008 r. Fot. J. Wach

nieporozumieniem byłoby jednak podnoszenie któregośkolwiek z nich do rangi oficjalnej doktryny Kościoła („Akcent” nr 3/2007).

Szczególnie intensywna była nasza współpraca w latach 2005-2007. W tekstach, które wówczas ogłaszaliśmy, pojawiają się sylwetki Jana Nowaka-Jeziorańskiego, ks. Jana Twardowskiego, o. Jacka Woronieckiego (współzałożyciela i jednego z pierwszych rektorów KUL), ks. Andrzeja Madeja (poety i zwierzchnika misji katolickiej w Turkmenistanie). Można do nich wszystkich odnieść określenie „samotność długodystansowca”, które stało się tytułem śróddrożdzia w szkicu poświęconym Nowakowi-Jeziorańskiemu. Arcybiskup wspomina w nim o krzywdzących pomówieniach, jakie pod koniec życia dotknęły „kuriera z Warszawy”, o głębokim bólu, którego stały się przyczyną, i pisze: *Kiedy zastanawiałem się nieraz, dlaczego Bóg dopuszcza cierpienie na tak szlachetne osoby, jako podstawowa odpowiedź powracał u mnie motyw, że dzięki temu cierpieniu jeszcze bardziej przejrzyste i czytelne stawało się ich świadectwo życia* („Akcent” nr 1/2005). Rok później, w zapisie homilii wygłoszonej na pogrzebie ks. Jana Twardowskiego czytamy: *W całym jego życiu mogliśmy podziwiać duchowe piękno ewangelicznych błogostawionych, którzy nie chcieli być ludźmi sukcesu za wszelką cenę, nie stwarzali reklamowego szumu, nie skupiali uwagi na sobie. A w końcowej apostrofie do ks. Jana padają piękne słowa: Niech w niebieskiej ojczyźnie docenią poetów proporcjonalnie do tego, jak my cenimy Twoje wiersze* („Akcent” nr 1/2006).

Jeśli wczytamy się uważnie w charakterystykę postaci o. Jacka Woronieckiego w „Akcentie” nr 2/2006, zauważymy, że – niejako mimochodem – wskazał Ksiądz Arcybiskup najważniejsze cechy, które cenił u osób funkcjonujących publicznie: *Potrafił szukać twórczej i trudnej integracji tam, gdzie inni wolą mówić prostym językiem przeciwstawień. Uczył, jak wznosić się ponad konflikty tam, gdzie inni cenili walkę i wybierali łatwą negację. Wyprzedzał swą epokę i potrafił okazywać intelektualną odwagę wówczas, gdy inni nie umieli wyzwolić się z małostkowych sporów.* Ponieważ nie jest to, jak wiadomo, wzorzec postawy obecnie dominujący, Arcybiskup tak uzupełniał wizerunek bohatera swego szkicu: *Pisał całym życiem świadectwo samotniczych poszukiwań, które wychodziły daleko poza oczekiwania i ambicje bliskiego mu środowiska.*

Jak widać przedmiotem szczególnej uwagi Arcybiskupa byli samotnicy broniący wartości wywiedzionych z dekalogu, a zagrożonych marginalizacją. Pisał: *Czy osoby wierne stylowi Jana Pawła II będą musiały nadal czuć się osamotnione w środowisku, w którym wyrastają kolejne papieskie pomniki zaś kolejni politycy patetycznie deklarują swój entuzjazm do realizowania papieskich ideałów?* (*Samotność kryształ*, „Akcent” nr 3/2006).

Ale czy wszystkich zacytowanych tu opinii nie można odnieść do Niego samego? Czy nie był samotny w swych działaniach, w konsekwencji, z jaką głosił niepopularne opinie, narażając się inaczej myślącym raz z jednej, raz z drugiej strony – gdy okazywało się, że nie mają go w swoim obozie, choć zdążyli już nabrać takiego przekonania? Czy nie raził, nie kłuł w oczy wymaganiami, jakie sam sobie stawiał, a jakim trudno było sprostać przeciętnym ludziom z jego środowiska? Czy wreszcie nie był samotny zwyczajnie, po ludzku, nawet wśród osób teoretycznie bliskich (jak się okazało, niektórzy nie mieli pojęcia o jego zagrażającej życiu chorobie)? Jak sam odpowiedziałby na pytanie o istotę samotności? On przecież już udzielił tej odpowiedzi w ostatnim zdaniu swego tekstu o Janie Nowaku-Jeziorańskim: „Samotność kształtem jest miłości”. Żeby tak napisać, trzeba było nie tylko przeczytać Norwida, ale głęboko go przeżyć.

Był przy tym człowiekiem wielkiej skromności i pokory. Wyraziste świadectwa tej pokory znajdujemy w stylu jego publicznych wystąpień i publikacji, od których nie uchylał się dopóki zdrowie pozwalało (a nawet gdy już zaczęło szwankować) i których nadmiar zawistni mieli mu za złe. Nigdy nie pouczał z pozycji besserwiskerskich. Nawet gdy formułował gorzką prawdę, gdy ostro krytykował, mówił: „jakże często nie umiemy”, „zaniedbujemy”, „nie potrafimy” – zawsze w pierwszej osobie liczby mnogiej, bo samego siebie stawiał w rzędzie tych, którzy powinni się doskonalić.

Nigdy nie zapomnimy krzepiących słów, które wypowiedział na spotkaniu z okazji 25-lecia „Akcentu” w dyskusji zatytułowanej *Czy współczesnemu światu potrzebna jest jeszcze tzw. kultura wysoka?* („Akcent” nr 4/2005): *Nasza odpowiedzialność za sztukę wyższą, z którą idzie w parze pewna samotność, jest czymś koniecznym. (...) Naszym wspólnym wysiłkiem należy wspierać to, co trudne i co nie idzie po linii najmniejszego oporu. Dlatego jestem dumny z redakcji „Akcentu”, że potrafiła wędrować tą drogą, wiedząc, jakie ryzyko podejmuje. Wiedząc, jaka jest cena podobnych samotniczych wypraw. Gratuluję i życzę, żebyście w przyszłości nie zmieniali tego stylu. (...)*

Żegnając Cię, Księżę Arcybiskupie, obiecujemy, że nie zmienimy.

Bogusław Wróblewski

Lublin, 20 lutego 2011 r.



Spotkanie w Radiu Lublin, 14.10.2008 r. Fot. J. Wach

JOANNA KLARA TESKE

„NIEMY ŚPIEWAK” STANISŁAWA SZUKALSKIEGO: PORTRET AUTORA, CZŁOWIEKA CZY BOGA?

Stanisław Szukalski (1893-1987), wybitny rzeźbiarz, malarz i teoretyk sztuki, próbował swoich sił również jako pisarz. Jego opowiadanie pod tytułem *Niemy Śpiewak* to sekwencja portretów. Wszystko zaczyna się od dwóch portretów zbiorowych: chłopów z Gidli i okolic oraz żebraków, ściągających do wioski w ślad za pielgrzymującymi do Gidli chłopami. Potem następują dwa portrety indywidualne, które przedstawiają żebraków: Organistę i Niemego Śpiewaka. Żaden z nich nie jest zwykłym żebrakiem: Organista to człowiek, który, inaczej niż pozostali żebracy, jest sprawny fizycznie, ale postradał rozum; Niemy Śpiewak natomiast całe dni gra na gitarze, by zarobić na chleb dla żebraków, nocę spędza jednak samotnie, z dala od nich, trudno więc jednoznacznie odpowiedzieć, na ile jest jednym z nich (choć Organista i Staś biorą go w pewnym sensie za żebraka). Portrety chłopów, żebraków i Organisty narrator przedstawia w formie gotowego opisu. Obraz Niemego Śpiewaka, w odróżnieniu od pozostałych, namalowany jest poprzez trzy scenki: scenę zaklinania żab, scenę żebraczej komunii i scenę śmierci Niemego Śpiewaka w opuszczonej stodole. Cały zaś utwór kończy sen chłopca, Stasia, o duszy Niemego Śpiewaka, sen który dopełnia równocześnie portret żebraka i portret samego chłopca, drugoplanowej postaci, a jednocześnie narratora i autora opowiadania. Te dwa ostatnie portrety ukazane są pośrednio: ze sposobu, w jaki opowiedziana jest historia Niemego Śpiewaka czytelnik może wyrobić sobie zdanie o narratorze (który z perspektywy lat opowiada o tym, co przeżył jako siedmioletni chłopiec) i zarazem o autorze, nowelka jest bowiem fragmentem niepublikowanych wspomnień autora, co wiadomo z pozatekstowych źródeł¹.

Przeglądając się wszystkim portretom, z których składa się opowiadanie, trudno powstrzymać się od pytania o tożsamość tytułowej postaci: czy Niemy Śpiewak to niezwykle dobry człowiek, jakiego Staś (to znaczy także narrator i autor) miał szczęście poznać, będąc chłopcem, czy jest to może Bóg przebrany za żebraka, zgodnie z tym, co twierdzi w opowiadaniu chłopiec, czy wreszcie jest to sam autor (albo fragment jego literackiego autoportretu, inne fragmenty przedstawione byłyby, na przykład, za pomocą postaci Organisty i chłopca). Analiza wizerunków zawartych w nowelce ma za cel pomóc odczytać tytułową postać. Opowiadanie Szukalskiego nie tylko skonstruowane jest z serii portretów, ale też w swej istocie jest portretem. Interpretacja przesłania opowieści zależy bowiem od interpretacji tytułowej postaci.

Niemy Śpiewak rozpoczyna się od krótkiego opisu życia wieśniaków, którzy zwykle zaaferowani codziennymi sprawami jesienią odzyskują wrodzoną po-

¹ L. Lameński: *Stach z Warty Szukalski i Szczep Rogate Serce*. Wydawnictwo KUL, Lublin 2007, s. 105.

bożność, by stać się pielgrzymami², i od opisu życia żebraków, którzy podążają za nimi. Ci pierwsi udają się do świętych miejsc w pierwszym rzędzie (i „pozornie”) po to, by prosić o zdrowie dla rodziny, chyłkiem korzystają jednak z okazji, by przedłożyć Najwyższemu także i swą własną sprawę – nadzieję na życie wieczne („w swych modlitwach przemycali śmiało nadzieje na uzyskanie życia wiecznego”³). Portret wieśniaków jest nieco ironiczny (por. ich „wrodzoną” pobożność, która ujawnia się dopiero, gdy zezwala na to kalendarz prac polowych; albo pozorny brak interesowności, gdy w istocie pożądamy dla siebie życia wiecznego). Ci drudzy, żebracy, nie proszą o uzdrowienie swych okaleczonych, dotkniętych niedowładem ciał ani o życie wieczne; kombinują jedynie, jak zdobyć strawę na następny dzień. Nie ma w nich nic wzniosłego, są jak żółwie, które w okresie godowym niezdarnie ściągają ze wszystkich stron, wiedzione instynktem; są jak wróble, które, by przetrwać zimę, szukają pokarmu w odchodach koni tuczonych owsem. Porównania wydają się podkreślać bezwolność stanu żebraczego.

W tym miejscu narrator przerywa opowieść i przedstawia siebie. Ujawnia, mianowicie, że snuje wspomnienia ze swoich rodzinnych stron, bo jako chłopiec, odkąd skończył cztery lata, mieszkał w Gidlach. W chwili gdy toczy się akcja *Niemego Śpiewaka*, ma już siedem lat. Pochodzi jednak z miasta i wychowuje się bez ojca, a świat, albo świat gidelski, nadal jest mu obcy. Próbuje go wszakże ogarnąć i w tym celu szuka towarzystwa starszych ludzi, w tym przeora klasztoru i żebraków. Można domniemywać, że historia Niemego Śpiewaka jest częścią tego starania, by zrozumieć świat. Wprowadzając postać chłopca, autor opowiadania wprowadza jednocześnie element autoportretu. Chłopiec, z którego perspektywy opowiedziana jest historia, ma na imię Staś (jak Stanisław Szukalski), a narracja prowadzona jest w pierwszej osobie, przy czym narrator to ten sam Staś, który, jak można się domyślać, w wieku dojrzałym wspomina swoje dzieciństwo. Zgadzą się także informacje o życiu rodzinnym chłopca i autora: Gidle, w których Szukalski dorastał; nieobecność ojca, który wyjechał najpierw do Afryki, potem do Stanów Zjednoczonych; życie chłopca, który urodził się w mieście, by potem wraz z rodziną przenieść się na wieś. Wydaje się więc, że istnieją mocne przesłanki, by postać chłopca odczytać jako alter ego nie tylko autora domniemanego, ale i faktycznego. Stanisław Szukalski to w opowieści niepozorny chłopiec. Ta niepozorność jest jednak do pewnego stopnia dyskusyjna. Chłopiec jest niepozorny w zestawieniu z niezwykle osobowościami Organisty i Niemego Śpiewaka. Zarazem jednak nie jest niepozorny, a to z racji swego poczucia inności („byłem tu obcy”, s. 39), odwagi by zadawać się z żebrakami, co dla chłopów było niesłychane, czy wreszcie relacji z Niemy Śpiewakiem: chłopiec wierzy, że Niemy Śpiewak to Bóg w przebraniu i poświęca mu dużo uwagi (stara się o niego zatroszczyć oferując mu nocleg u matki; nie zdradza innym żebrakom, że Niemy Śpiewak codziennie kąpie się w rzece; przynosi umierającemu kolację, a kiedy ów nie może jej spożyć, czarny chleb z masłem, wiatyk na ostatnią drogę, i koszulę dla Organisty, by mógł udzielić umierającemu sakramentu; wreszcie jest z nim, gdy Niemy Śpiewak umiera, a i po jego śmierci we śnie snuje dalej historię jego duszy, bezpiecznie odprawiając ją na inny świat). Czy chłopiec jest postacią niepozorną, czy, przeciwnie, intrygującą, fakt, że jest on alter ego autora, jest o tyle istotny, że może zniechęcać do dopatrywania się rysów autora w innych postaciach występujących w opowiadaniu; formalnie rzecz biorąc, nie przekreśla jednak sensowności takiego odczytania tekstu, w którym autor portretuje siebie nie w jednej, a w wielu postaciach.

² Ten wstęp przywodzi na myśl *Canterbury Tales*, które także rozpoczyna motyw pielgrzymki, z tą wszakże różnicą, że w *Niemy Śpiewaku* to nie wiosna jest okresem religijnych wędrówek, lecz jesień. Uroczystość odpustu w bazylice oo. Dominikanów w Gidlach, z racji wezwania świątyni (Wniebowzięcia Marii Panny) przypada 15 sierpnia. Wybór jesieni na czas akcji jest więc być może podyktowany także symbolicznym znaczeniem tej pory roku – zapowiada temat umierania.

³ Stanisław Szukalski: *Niemy Śpiewak. The Mute Singer*. Z angielskiego przełożył Krzysztof Jaskuła. Wydawnictwo Mimochodem, Lublin 2010, s. 38. Po dalszych przytoczeniach podaję tylko numer strony.

Poza postacią narratora i dwoma bohaterami zbiorowymi – wieśniakami-pielgrzymami i żebrakami – pojawiają się w opowiadaniu dwa niezwykle portrety indywidualne. Pierwszy z nich to portret Organisty, najmłodszego żebraka, z jakim zaprzyjaźnił się Staś. Organista w młodości kształcił się na księdza, ale nie przyjął święceń, został bowiem wyrzucony z seminarium za kłopotliwe pytania, jakie zadawał przełożonym; pracował przez jakiś czas jako organista (stąd jego imię), ale stracił tę posadę, bo pił bez umiaru i melodie kościelne mieszał ze świeckimi. Imał się potem wielu zajęć, aż został żebrakiem. Mimo iż fizycznie nie jest okaleczony, powszechnie uznano go za opętanego. Żyje z przybraną żoną i często zabawia dzieci w wiosce (starszyzna lekceważy jego „błżeństwa”), odgrywając różne scenki (w których występuje jako bocian, muchołówka, baran, pajak czy czwarty Muszkieter) albo deklamując ustępy z klasycznej literatury. Jak podejrzewa Staś, gotów byłby zrobić wszystko, byle zyskać poklask. Ale w ostatniej scenie opowieści to Organista jest jedynym dorosłym, który opiekuje się Niemym Śpiewakiem, gdy ten umiera. Przejęty własną rolą, ale świadom tego, że go ta rola ze wszech miar przerasta (bo dobrze wie, że nie jest księdzem, a do tego podejrzewa, że Niemy Śpiewak jest Bogiem), stara się przygotować konającego do przejścia na tamten świat, spełniając jego ostatnie życzenia. W tym zdumiewającym portrecie odnaleźć można wiele cech przypisywanych autorowi: znajomość języków i literatury, bogactwo osobowości (widoczne m.in. w wielości ról, które Organista gotów był grać w życiu, a potem przed dziecięcą widownią), artystyczna natura (por. teatralny i muzyczny talent Organisty), ogromna wrażliwość, ale i dziwactwa (których Organista może ma nie więcej niż inni ludzie, ale których, inaczej niż oni, nie próbuje ukryć), lekceważenie przyjętych zwyczajów i autorytetów, prowokacyjny sposób bycia. Inna możliwość to odczytanie Organisty jako postaci w opowiadaniu, której wiara, oparta na własnym doświadczeniu, pozostaje w opozycji do pobożności ludowej, opartej na tradycji. Warto tu, przed omówieniem postaci Niemego Śpiewaka, zaznaczyć, że cały utwór wielokrotnie porusza kwestie religijnego doświadczenia (pobożności, wiary w uzdrowienia, modlitwy wstawienniczej, pielgrzymek, modlitwy, sakramentu Eucharystii czy cudu).

Drugi „żebraczy” portret to portret Niemego Śpiewaka. Człowieka, który potrafi zaklinać żaby, który w towarzystwie siedmioletniego chłopca na bagniskach urzęduje dla nich ślimaczą ucztę, a potem gra dla nich i z ich udziałem koncert. Niemy Śpiewak potrafi także „zaklinać” żebraków: potrafi oddać im wszystkie zarobione pieniądze, a potem na gitarze zagrać dla nich i z nimi swoją i ich modlitwę do Boga. Gdy jednak Śpiewak troszczy się o chłopca, o żaby, o żebraków, nie troszczy się o siebie, i, wyczerpany troską o zapomniany świat, umiera. Jak mówią żebracy: „serce Niemego było zbyt wielkie jak na jego ciało” (s. 63), i nikt temu nie przeczy.

Ten portret jest oczywiście w całym opowiadaniu najważniejszy, na co wskazuje tytuł, ilość miejsca, jaką mu autor poświęca, czy przyjęta technika (nie związły opis, a sekwencja scenek z życia postaci). Ile w tym samego Szukalskiego – trudno ocenić. Niemy Śpiewak jest artystą, magikiem, samotnikiem, o pięknym ciele dotkniętym wszakże niemotą, przejętym cierpieniem świata, wrażliwym na piękno bagnistych jam, rechoczących żab czy kalekich żebraków w brudnych podartych łachach, piękno które ludzie rzadko mają ochotę dostrzec i pokochać. Wydaje się, że autor mógł te wszystkie cechy widzieć także w sobie, przy czym niemotę należałoby potraktować wówczas metaforycznie jako brak sposobu, by porozumieć się ze światem⁴. Choć Szukalski potrafił być, inaczej niż Niemy Śpiewak, odpychający w swoim zachowaniu (lekceważący i arogancki, nazbyt przejęty własną twórczością, by zauważyć innych – niektóre z tych cech można odnaleźć w postaci Organisty), to jednak już sama historia Niemego Śpiewaka jest świadectwem poruszającej wrażliwości na ludzi, niezwykle ciepłego spojrzenia

⁴ Por. L. Lameński: „Metafora z tytułu *Pieśni niemego śpiewaka* to także celne określenie samego twórcy”, s. 150.

na ludzką biedę i dobroć nie z tego świata. Tę samą wrażliwość można odnaleźć w wielu pracach plastycznych artysty, na przykład w rzeźbach *Zwiastowanie* albo *Zagubiona nuta*. Opowiadanie można odczytać tak, że autor pojawi się w nim jedynie jako skromna, drugoplanowa postać, ważna tylko przez swoją znajomość z Niemyym Śpiewakiem. Jednakże interpretacja, która mówi, że mamy tu do czynienia z autoportretem rozpisany na trzy głosy: chłopiec, Organista i Niemy Śpiewak, z których każdy miałby przedstawiać część prawdy o Stanisławie Szukalskim, również znajduje uzasadnienie w tekście.

Przyjęcie autobiograficznej perspektywy to jedna możliwość. Inna to interpretacja opowiadania jako studium człowieczeństwa, ukazanego za pośrednictwem wielu portretów. Może tak, abstrahując od postaci autora, powolni jego życzeniu (swego imienia użyczył wszak tylko występującemu w historii niepozornemu chłopcu), najlepiej czytać tę opowieść, nawet jeśli, formalnie rzecz biorąc, jest to fragment wspomnień artysty. Na pierwszym planie byłoby wówczas doświadczenie z jednej strony ubóstwa, sponiewierania, cierpienia, z drugiej ludzkiej troskliwej opieki, która może sprawić, że także i ci pokrzywdzeni ludzie mogą znaleźć w sobie modlitwę do Boga, poczuć, że są na świecie nie każdy ze swoją biedą sam, tylko wszyscy razem, choćby przez krótką chwilę.

Ostatnia możliwość to przyjęcie perspektywy Stasia, chłopca. Chłopiec przeczuwa (a poczucie to podziela Organista), że Niemy Śpiewak jest samym Bogiem „przebrany za żebraka, pragnącym na własne oczy, bez podsłuchiwania w konfesjonalach, zobaczyć, jak zachowują się ludzie poza kościołem” (s. 59); który nie mówi, bo nie zna polskiego, nie je, bo nie ma żołądka, ale gdyby zechciał, mógłby wszystko uczynić. Bieg wypadków nie w pełni potwierdza te domysły: Śpiewak niespecjalnie robi wrażenie kogoś, kto przyszedł na przespjegi; wydaje się, że wprawdzie sam po polsku nie mówi, ale mowę innych rozumie; a wyczerpany głodem umiera, spożywając wcześniej posmarowany masłem okrusz czarnego chleba. Wszystko to jednak nie wyklucza możliwości, że Niemy Śpiewak to w opowiadaniu Bóg: Boska Istota, która nie należy do tego świata, ale na ten świat przyszła, by uczestniczyć w jego losie, cierpieć razem z nim, dać mu szansę na spotkanie z Bogiem w chwili wspólnej pieśni-modlitwy, umrzeć za ten świat i po śmierci wrócić w towarzystwie aniołów tam, skąd przyszła. Scena, w której Organista udziela Śpiewakowi ostatniego sakramentu, przypomina ewangeliczną scenę, w której Jan Chrzciciel udziela Chrystusowi chrztu; zamiast narodzin w stajni, mamy śmierć w stodole. Inaczej mówiąc, Niemy Śpiewak jest postacią zbliżoną bardzo do postaci Chrystusa. W kontekście licznych nawiązań w opowiadaniu do problematyki religijnej można odczytać je i tak: w świecie, który wydaje się być ohydny, brudny, poroniony i kaleki można spotkać Boga albo kogoś kto się pod niego skutecznie podszywa (Stas w każdym razie dał się nabrać, a wraz z nim Organista), tak że pozwala innym ludziom doświadczyć Bożej obecności. Takie odczytanie opowiadania wydaje się w pełni uprawnione i może najbardziej interesujące.

Niewiele jest, w moim odczuciu, prac w twórczości Szukalskiego, w których – tak mocno, jak w tym opowiadaniu – zachwyciłby się tym co biedne, koślawe, porzucone i powiedział, że to Bóg w tak prosty, piękny i przekonujący sposób.

Joanna Klara Teske

POETA-ŻOŁNIERZ CZASU APOKALIPSY

Nazywano ich rozmaicie: poetami „czasu burz”, „Apokalipsy spełnionej”, Kolumbami (po ukazaniu się książki Romana Bratnego pod tym właśnie tytułem), poetami „przeklętymi”.

Określenia te odnosiły się do twórców urodzonych około 1920 roku, rozpoczynających dorosłe życie i działalność literacką wtedy, gdy niemieccy oraz radzieccy agresorzy zniewolili Polskę, gdy nastąpiła okupacyjna noc, pojawił się szerzony przez najeźdźców terror, a część ludności zmuszona została do udania się na emigrację.

Za najwybitniejszych poetów owego wojennego pokolenia uznano Krzysztofa Baczyńskiego (1921-1944) i Tadeusza Gajcego (1922-1944). Obydwaj polegli walcząc w powstaniu warszawskim. Oni to w najlepszy sposób wyrazili nastroje katastroficzne czasu wojennej pożogi i niepewność ludzkiego losu. W tym pokoleniowym kontekście rzadziej wymienia się poetów, którzy przetrwali II wojnę światową i których działalność literacka mogła rozwijać się dalej, uzyskując pełnię w latach późniejszych: Tadeusza Różewicza, a jeszcze rzadziej Tymoteusza Karpowicza (obydwaj urodzeni w 1921 roku) czy Wisławy Szymborskiej (1923). Do żadnej generacji nie przyporządkowano także Stefana Andrzeja Borsukiewicza, który – ginąc tragicznie z dala od kraju, na emigracji – został przez krytyków literackich po prostu przeoczony.

Stefan Borsukiewicz urodził się w ostatnim roku I wojny światowej (1918) w Aleksandrowsku nad Dnieprem, gdzie deportowani zostali jego rodzice. Rok później udało im się powrócić do Poznania, skąd pochodzili. Tam w latach trzydziestych Borsukiewicz uczęszczał do Gimnazjum im. Karola Marcinkowskiego, zakładając w 1937 roku kabaret literacki. Rok później zdał maturę i rozpoczął służbę wojskową, biorąc udział w Kursie Podchorążych Rezerwy 57 Pułku Piechoty w Poznaniu. Już w 1939 roku awansował na stopień plutonowego podchorążego. Po wybuchu wojny jego pułk, który stanowił część 14 Dywizji Piechoty wchodzącej w skład Armii Poznań, uczestniczył między innymi w walkach zaczepno-obronnych nad rzeką Bzurą, a następnie w obronie Warszawy. Po kapitulacji stolicy (27 IX) Borsukiewicz zamienił mundur na ubranie cywilne (na rozkaz dowódcy, aby nie wpaść w ręce wroga) i przedostał się z powrotem do Poznania. Nie zagrażał tam długo miejsca. (Poznań, podobnie jak całość zachodnich i północnych terenów okupowanej Polski, został włączony bezpośrednio do Rzeszy Niemieckiej.)

Niezwykle ciekawa i charakterystyczna jest odyseja Borsukiewicza, pragnącego wydostać się z pozbawionego suwerenności kraju, by dalej walczyć z wrogiem. W listopadzie przedostaje się nielegalnie – przez Łódź, Kraków i Zakopane – na Węgry. Początkowo zakwaterowany zostaje w obozie dla cywilów z Polski w Bekecs niedaleko miasta Tokáj, potem zaś (od listopada 1939 do lutego 1940 roku) w podobnym obozie w pobliskiej miejscowości Mád. W lutym uzyskuje zgodę polskiej emigracyjnej władzy wojskowej na wyjazd na Zachód i udaje się przez Budapeszt, a następnie – już potajemnie – przez Jugosławię (Split oraz Sarajewo) do Grecji, skąd okrętem płynie do Włoch (Neapol). Podróż kończy w drugiej połowie marca, docierając do południowych brzegów Francji (do Marsylii). Zweryfikowany jako plutonowy podchorąży, a później awansowany na stopień aspiranta, zostaje szefem kompanii ciężkich karabinów maszynowych (CKM) w 8 Pułku 3 Dywizji Piechoty emigracyjnej Armii Polskiej, tworzonej we Francji od jesieni 1939 roku i liczącej w maju 1940 roku już ponad 80 tysięcy żołnierzy.

Po niemieckim najeździe na Francję Borsukiewicz walczy wraz z pułkiem w Bretanii i u ujścia Loary. Gdy upadła Francja (w czerwcu), a jego pułk został roz-

wiązany, przedziera się na południe, przez Bordeaux do Tuluzy. Wchodzi w skład konsularnej komisji wojskowej i na podstawie osobistego rozkazu gen. Stanisława Maczka udaje się z misją specjalną do – należącego do francuskiego rządu Vichy – Maroka (przebywał w Oranie i Casablance). Tam od sierpnia do października organizuje ewakuację polskich żołnierzy z terenów afrykańskich do Anglii, gdzie na nowo powstaje polska armia. Po wykonaniu zadania płynie z Casablanki do Dakaru (we Francuskiej Afryce Zachodniej), a stamtąd, przekraczając granicę francusko-angielską, jedzie do miasta Bathurst (stolicy brytyjskiej Gambii). Aby dostać się do Anglii, musi najpierw popłynąć na południe do portu Freetown w położonej niemal w okolicach równika angielskiej kolonii Sierra Leone. Tam dopiero wsiada na okręt kierujący się na Wyspy Brytyjskie. Po ponaddwupółtygodniowej oceanicznej podróży dopływa do Belfastu, po czym zostaje skierowany przez Liverpool i Perth do Abernethy. Tu w listopadzie 1940 roku otrzymuje skierowanie do 4 Brygady Kadrowej Strzelców (pułkownika Stanisława Sosabowskiego), stacjonującej w Szkocji, na półwyspie Fife. Minął już rok nieustannych peregrynacji Borsukiewicza po Europie i Afryce. Domyślać się tylko możemy, jak wiele spotkało go przeżyć i niecodziennych wrażeń, ile niebezpieczeństw doświadczył mimo młodego wieku. Był jednym z wielu młodych Polaków, którzy poza krajem szukali możliwości przysłużenia się ojczyźnie, a także – być może – marzyli o odnalezieniu dalekiego i niepochwytanego szczęścia.

W Wielkiej Brytanii, w trakcie służby wojskowej (początkowo w Szkocji, a następnie w ośrodku szkolenia spadochronowego w Ringway koło Manchesteru, w Largo House), Borsukiewicz bierze udział w wojskowych kursach strzeleckich, spadochronowych, narciarskich i w najtrudniejszych, najbardziej elitarnych, osłanianych tajemnicą wojskową ćwiczeniach terenowych, przygotowujących kadry spadochroniarzy, w tym cichociemnych, do zrzutów do Polski, w ramach pomocy udzielanej Armii Krajowej przez rząd emigracyjny. W lipcu 1941 roku otrzymuje odznaczenie Znak Spadochronowy (numer 237 z wszystkich 605) i zostaje instruktorem spadochronowym. Pod koniec roku jego jednostka wojskowa – 4 Brygada Kadrowa Strzelców – zostaje przekształcona w Brygadę Spadochronową, a Borsukiewicz awansuje z aspiranta na podporucznika. W następnym roku, będąc instruktorem, pełni w Ringway jednocześnie funkcję oficera oświatowego.

W międzyczasie, już przebywając w Anglii, Stefan Andrzej Borsukiewicz stara się o książkowe wydanie swoich poezji. Zamiar ten dochodzi do skutku dzięki przychylnym opiniom i poparciu Polskiej Misji Katolickiej w Londynie, a szczególnie jej rektora, ks. Władysława Staniszewskiego. Tom o tytule *Kontrasty* ukazuje się w listopadzie 1941 roku w londyńskiej drukarni F. Mildler and Sons. Borsukiewicz pierwsze kroki literackie stawiał jeszcze w Poznaniu w latach 1935-1936, jako uczeń gimnazjalny, a jego debiutanckie publikacje poetyckie pochodzą z lat 1937-1938. Pisywał wiersze także w trakcie wojennej wędrówki. Odnajdziemy w nich wspomnienia dotyczące bitwy nad Bzurą i walk o Warszawę:

*Na chmury zaciągnięte łunami jak farbą
nadeszły zmierzchy i świtania.*

*Z boru spłynęła czerwona żywica
łaki nad Bzurą zapachniały twardo.*

*Splonął jak wężyk prochu nocą Łowicz
z siostrami, co w habitach wóz ciągnęły jęku,
i obandażowany gazetą ceglarz złożony w przedsiönku
zasnął na nowiu.*

(Na chmury zaciągnięte...)¹

¹ Wiersz opublikowany pierwotnie w „Myśli Polskiej” (Londyn 1941, nr 10).

*Niebo idzie posępne,
wieczór przysłonięty sosnami taki się ostał sam
jak Bóg.*

(...)

*Jakże Cię pragnę dotknąć – Warszawo w obliczu Pragi –
Rękoma tymi samymi, które łamały tragizm.*

*Jakże Cię pragnę pojąć – serdeczna i niebosiężna
zanim powrócę.*

(*Niebo idzie posępne*)

Poezje opublikowane w *Kontrastach* zawierają również wspomnienia z egzotycznych podróży wojennych:

*Coraz niższe są noce i coraz gorętsze
tylko gwiazdy są wyżej – nad niebem.
Nie odnajdę Cię nigdy pod Krzyżem Południa
i nie wiem –
kędy płynie Twoje łagodne kochanie,
ziemią – czy niebem.*

(*Pan Jezus*)

*Wyspy nocą przemknęły jak spotkany okręt
I cicho pamiętałem – –
wiatr nam naniósł siły,
kominy mleczną drogę rozpuściły w niebo.
(...)
Księżyc wynosi nad Atlas swoją srebrną prawdę,
a oceany, pachnące modlitwą Arabów –
rozgrzeszają nas z tęsknot uśpionych jak fatwa.*

(*Wyspy*)

Obiecująco zapowiadająca się przyszłość została nagle zniszczona 21 sierpnia 1942 roku o godzinie 10:25. Porucznik Stefan Borsukiewicz [awansowany na ten stopień pośmiertnie – KS], instruktor pokładowy, doskonały skoczek, wyskoczył wraz ze swoimi uczniami, leciał wzorowo aż do samej ziemi. Był to wspaniały męski skok, przeraźliwie przytomny i nadludzko opanowany do samego końca, ponieważ nad skoczkiem przez cały czas furkotał tren nierozwiniętego spadochronu. Tak zginął młody oficer i zdolny poeta awangardowy – mówił o ostatnich chwilach poety w poświęconej mu audycji radiowej „Spadochron” Eugeniusz Romiszewski, jeden z przyjaciół i entuzjastów twórczości Borsukiewicza.

Po wojnie o losach Stefana Andrzeja Borsukiewicza milczano. Jedynie lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte XX wieku, przyniosły – w kręgach emigracyjnych – powrót zainteresowania jego twórczością. Szczególnie cenne stały się starania Andrzeja Taubera-Ziółkowskiego o ocalenie od zapomnienia spuścizny poety, także tej jeszcze niepublikowanej. Przygotowany przez niego do druku w 1975 roku tom (poszerzony o odnalezione w międzyczasie wiersze oraz o prozę i listy) nie ukazał się jednak ani na obczyźnie, ani w Polsce. Dopiero w 1981 roku Państwowy Instytut Wydawniczy w Warszawie wydał wiersze Borsukiewicza w książce zatytułowanej identycznie jak tom wojenny – *Kontrasty*. W słowie wstępnym krytyk literacki Julian Rogoziński napisał: *Poeta był to całą gębą, wzruszył mnie swoimi wierszami i zachwyił. Wydając w Londynie (1941) jego wiersze, przyjaciele Borsukiewicza ocalili kawał świetnej poezji. Trzeba z kolei ocalić ją tu dla nas*. Niestety, nowe *Kontrasty* także przeszły niemal niezauważone, chociaż Piotr Kuncewicz po ich lekturze porównywał twórczość Borsukiewicza do dzieł Baczyńskiego.

W 1987 roku w Londynie staraniem Związku Polskich Spadochroniarzy ukazał się tom wierszy Borsukiewicza *Powrót. Utwory zebrane*. W opublikowanej przez PWN w 1997 roku książce *Literatura polska w latach II wojny światowej* Jerzy Świąch napisał o artyście: „Niesłusznie poeta ten należy do twórców zapomnianych”. Warto także zwrócić uwagę na obszerny i wnikliwy esej Bożeny Chrzastowskiej zaprezentowany w 2008 roku podczas zorganizowanej przez Katolicki Uniwersytet Lubelski konferencji *Religijność na progu nowoczesności*, a przede wszystkim na opublikowany w 2008 roku w Poznaniu w wydawnictwie Media Rodzina zbiór *Kontrasty. Powrót, próba całości*. Książka „poznańska”, starannie opracowana przez Gerarda Sowińskiego – wychowanka i profesora gimnazjum, które ukończył poeta – zawiera całą odnalezioną twórczość liryczną Borsukiewicza, a także listy wysyłane przez młodego uchodźcę z Węgier do pozostawionych w kraju rodziców². Przytoczmy ich fragmenty, które rzucają trochę światła na uczucia, jakie ogarniały poetę na emigracji.

Bekecs, 24 XI 1939

Moi Kochani Rodzice! Chyba nie wiecie, że od dłuższego czasu jestem na Węgrzech. Jestem zdrowy. Patrzą na Was i jestem o Was niespokojny. Pogoda jest bardzo ładna i piję wino za Wasze zdrowie.

Mád, 19 XII 1939

Wigilia

*Spojrzałem ponad wzgórze, ponad winnice
i Wasz świat.*

*Doliną krętą odpłynął pociąg –
jak biały dymek w dal się zanurzył.*

*Odszedł mój list – pocałunek
rzucony na rękę
z kraju modrego Dunaju.*

.....

*Widzę moją wigilię roznieconą w pieśni,
świerkową i pachnącą jak ciepły pokoik.
O, wietrze od południa te słowa zanieś mi
daleko ponad pusztę, nad wzgórze – do moich.*

Budapeszt, 13 II 1940

Moi drodzy! Dostałem dzisiaj od Was kartkę. Dlaczego tylko kartkę? Ale chociaż kartkę, to jednak przeczytałem Was wszystkich. Wasze oczy, myśli i serca... Chciałbym Wam przesłać cały swój pamiętnik, wszystko, wszystko, wszystko, a przede wszystkim chciałbym przesłać siebie, chociaż na minutę, choć na parę sekund. Zobaczycie Was i szepnąć gorąco – kocham i tęsknię.

Dunaj jest zamarznęty, statki skute lodem, parlament przyprószone śniegiem, zamek Rakoczego [Vajdahunyadvár? – przyp. K.S.] w dalekiej mgiełce, ale na północnym wschodzie takie jasne niebo, tam Wy jesteście – moi drożsi ponad pomniki, galerie obrazów, kościoły i muzykę cygańską.

Listy te i wiersze dokumentują nie tylko życie samego Borsukiewicza, ale świadczą także o sytuacji, w jakiej znaleźli się liczni polscy uchodźcy – pozabawieni ojczyzny, tęskniący za rodziną, a jednak gotowi ponieść w walce o wolność ofiarę najwyższą.

² W posłowiu do książki Agnieszka Rydz kreśli biografię Borsukiewicza i analizuje jego twórczość.

Kościółowi Polskiemu w Londynie

*W dzień martwy, gdy sklepieniem są skrzydła bombowca,
a wiarą są piwnice z żelazobetonu –
odetchnij prostym niebem.*

*Ojczyzna jest tak blisko – jeno sobą zostać
w tym domu bez boleści – w tym bez wrogów domu.*

*Spójrz, ponad łunami i jesiennym wiatrem,
nad zasypaną groblą między dniem i trwogą –
dzwonią na podniesienie.*

*Mrok zeszedł błędnej nocy – świt poranny pachnie;
idź – dawno obumarłą, a wskrzeszoną drogą.*

*Najwierniejsi w milczeniu podali ci płomień
kamienny bezkrwisty, jak bochenek chłodu.*

*W tym domu znak jest ciszą,
u stropu zawieszoną błękitnymi dłońmi,
co rozgrzesza przed Bogiem za tyle lat głodu.*

*Błogosławieni, którzy powrócili z dymów
do wiary w wieczną prawdę i do twardej treści.*

*Synowie gorzkiej ziemi –
oto serce wolne w tych piersiach z Londynu –
gorące, bo dziękczynną pochwalone pieśnią.*

Szkocja, listopad 1941 roku

Konrad Sutarski

MARIA KOPYCIŃSKA-LEHUN

MAGIA KRESÓW, CZYLI LATO W KRZEMIEŃCU W DWÓCH ODSŁONACH

W 2009 roku, który został ogłoszony Rokiem Słowackiego, ukazała się książka poetycka Mariusza Olbromskiego *Lato w Krzemieńcu. Legendy znad Ikwy*, wydana w Warszawie nakładem Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Jako pierwsi zapoznali się z nią uczestnicy Dialogu Dwóch Kultur w Krzemieńcu – spotkali się oni w domu poety, aby oddać mu hołd w dwusetną rocznicę urodzin. Organizatorami Dialogu Dwóch Kultur są Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej w Przemyślu i Muzeum Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu. Spotkania odbywają się od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, gromadząc literaturoznawców, muzealników, literatów i malarzy. Pomysłodawcą i duszą przedsięwzięcia jest właśnie Mariusz Olbromski, dyrektor Muzeum Ziemi Przemyskiej, wydawca, poeta i eseista.

Geneza twórczości Olbromskiego związana jest z kresowym rodowodem autora oraz ze wspomnianą wieloletnią działalnością na rzecz dialogu kultur. Najnowsza publikacja jest efektem podróży autora, głównie do Krzemieńca, ale też na Wołyń i Podole, podczas których zrodziła się fascynacja krainą poetów i malarzy. Dzisiaj ziemie te są odkrywane przez potomków tzw. repatriantów, którym przez pół wieku zabraniano odwiedzać, a nawet wspominać rodzinne okolice.

Takim „odkrywcą” – człowiekiem zanurzonym w kresowym świecie – jest również autor prezentowanej książki, składającej się – co sugeruje tytuł – z dwóch części. Pierwszą z nich stanowią cztery cykle wierszy: *Zapatrzenie*, *Wtajemnicze-*

nie, *Kolumna* i *Złoty traktat*. *Lato w Krzemieńcu* można potraktować jako obraz Kresów „słowem malowany”, gdzie zachwyty łączy się z plastycznością wyrazu. Świat poetycki Mariusza Olbromskiego to Wołyń i Podole – autor opisuje m.in. Krzemieniec, Brzeżany, Olesko, Międzyrzec, Podkamień. Zadziwia w tej poezji bogactwo języka – leksyka poszerzona została o słownictwo pochodzenia ukraińskiego (pojawiają się np. zapomniane regionalizmy: burzany, brzeżany, oczerety). Wiersze pełne są tropów i aluzji literackich, ale też obrazów w malarskim znaczeniu. Jako malarz słowa Olbromski mistrzowsko operuje światłem dnia i nocy. Cechą jego poezji jest przy tym lapidarność w wyrażaniu myśli.

Autor z nieprzeciętną wrażliwością wprowadza nas w atmosferę kraju dzieciństwa Juliusza Słowackiego. Co prawda w wierszach odnajdziemy tylko wspomnienie „Wielkiego Krzemieńczanina” i jego matki, ale nad całą książką unosi się duch wieszcz. W utworach pojawiają się m.in. postacie Tadeusza Czackiego, Hugona Kołłątaja. Bohaterem jednego z wierszy uczynił Olbromski Willibalda Bessera, „niepomnego czasu” nauczyciela przyrody w Liceum Krzemienieckim, twórcę regionalnego zielnika i ogrodu botanicznego w mieście nad Ikwą. Poeta przywołuje też postać Jana Cybisa – wybitnego malarza kolorysty, a jednocześnie nauczyciela malarstwa i organizatora wakacyjnych ognisk i plenerów w Krzemieńcu w okresie międzywojennym. W innym wierszu odnajdziemy tragiczną postać kresowego poety Jana Rumla, który żywiąc nadzieję „na zgodę narodów i na wspólne trwanie”, wszedł w skład delegacji AK, mającej na celu osiągnięcie porozumienia z nacjonalistami ukraińskimi. Niestety delegacja ta została bestialsko zamordowana. Autor wspomina „bożego włóczęgę” – ojca Serafina Kaszubę, w którego poetyckiej biografii zawierają się losy kresowian: więzienia, zsyłki, zniewolenie. W osobnym wierszu rysuje sylwetkę Marii Danilewicz, wybitnej przedwojennej i emigracyjnej pisarki, organizatorki wystawy rocznicowej poświęconej Juliuszowi Słowackiemu w 1939 roku i fundatorki fortepianu dla muzeum Słowackiego w Krzemieńcu. W *Posłowie* Olbromski opisuje swoje pierwsze spotkanie z „matką wołyńskich Polaków”, Ireną Sandecką – poetką, przewodniczką, nauczycielką muzyki i religii w najczarniejszych latach sowieckiego zniewolenia. Irena Sandecka odeszła w marcu 2010 roku, a przez całe swe długie życie starała się, by nie zapomniano o Polakach i polskości na Kresach.

Na drugą część tomu składa się 12 tekstów prozą, nazwanych legendami, w których historia przeplata się z obecną rzeczywistością dawnych ziem kresowych Rzeczypospolitej. Część ta została poprzedzona rozważaniami na temat legend, o których autor mówi, że *pozornie naiwne, są tajemniczym stopem wydarzeń, przeczuć i myślenia ludzi. (...) Utkane są z innej materii. Ocierają się zawsze o niejasność, niedopowiedzenie. Mają strukturę otwartą, sięgają poza zmysły i wiedzę. Czasem to przedziwna tajemnica nawrócenia. Niekiedy, niczym bursztyn, który kryje zastygłe fragmenty przedpotopowych lasów, przynoszą zapis jakiegoś wydarzenia z odległej przeszłości, ale ujęty zupełnie inaczej niż relacja dziejopisa. Mają w sobie coś z magicznych zaklęć, choć pozornie są proste i jasne.* Autor przypomina, iż legendy mają swój „obszar znaczeń”, tj. odnoszą się do określonego miejsca i czasu. Związane są z konkretnymi miejscowościami, z kresowymi zamczyskami, z historią znanych polskich rodów, kościołami i innymi obiektami. Miejsca te wymagają wydobycia z niepamięci, zwłaszcza że po niektórych nie pozostał żaden ślad w przestrzeni ani na mapie. Legendom towarzyszy aura tajemnicy. Opowieści pomieszczone w książce dotyczą takich miejsc, jak Dziewicze Skały w pobliżu Krzemieńca i Góra Bony w tym mieście, Ławra Poczajowska, zamek w Olesku – miejsce urodzenia króla Jana III Sobieskiego, klasztor w Międzyrzeczu, okolice Stadnik nad Horyniem i miasto Sieniawskich – Brzeżany. Olbromski zwraca także uwagę na podania o dzwonach, które zgodnie z kresowym zwyczajem często zakopywano, aby nie dostały się w ręce wroga.

Legenda o wędrujących krzyżach przypomina największą na Wołyniu i Zabuzu zwycięską bitwę powstańczą, która miała miejsce 26 maja 1863 roku. Poległo wtedy ponad 400 Rosjan. Olbromski, swoim zwyczajem, odwiedza miejsce bitwy w rzeczywistości i w wyobraźni. Poznajemy postać pułkownika Edmunda Różyckiego, dowódcę Pułku Jazdy Wołyńskiej, którego ojciec, generał Karol Różycki, dowodził w powstaniu listopadowym na Wołyniu. Na kartach książki obecni są bohaterowie Wielkiej Emigracji, m.in. Mickiewicz, Towiański, Goszczyński. Teksty tego rodzaju nie w pełni można uznać za legendy, autor balansuje bowiem na pograniczu faktów i intuicji. Należy podkreślić, że odtworzenie warstwy historycznej wymagało od Olbromskiego żmudnej kwerendy archiwalnej i wielu lektur. Praca ta dała efekt w postaci interesującej, pięknej i niezwykle potrzebnej książki.

Wyjątkowa legenda o postaci Złotego Dziada, który pojawia się wśród gości zaproszonych na wołyńskie wesele, by przynieść szczęście nowożeńcom, zdaniem autora mogła zainspirować Wyspiańskiego: w *Weselu (...)* państwo młodzi zapraszają po północy do siebie chochoła. To on właśnie ma im przynieść szczęście. Czytając legendę o Ławrze Poczajowskiej, zwanej ukraińską Częstochową, poznajemy nie tylko miejsce kultu i jego historię, ale również postać fundatora klasztoru Mikołaja Bazylego Potockiego – starostę kaniowskiego, właściciela ogromnych dóbr na Podolu, awanturnika i mecenasa. To w jego ukochanym mieście Buczaczu przez wiele lat żył i tworzył znakomity rzeźbiarz Jan Pinsel. Mikołaj Bazyl Potocki to także fundator wielu świątyń różnych wyznań nie tylko w Poczajowie – m.in. wielkiego kościoła, cerkwi i... synagogi w Horodence oraz pięknego ratusza w Buczaczu. Na zlecenie Potockiego projektował też znakomity siedemnastowieczny architekt z Czech – Bernard Meretyn.

Jednym z legendarnych miejsc opisywanych przez Mariusza Olbromskiego jest miasto Brzeżany. Tę szesnastowieczną siedzibę rodu Sieniawskich wiąże z Krzemieńcem twórczość Słowackiego – zamek brzeżański to miejsce akcji powieści poetyckiej *Jan Bielecki*. Z Brzeżanami łączą się takie postaci, jak Karol Irzykowski, pisarz i krytyk literacki, Aleksander Brückner, odkrywca najstarszych zabytków piśmiennictwa polskiego, oraz marszałek Edward Rydz-Śmigły, który tu się urodził i uczył do miejscowego gimnazjum. Tu także żył i tworzył wybitny ukraiński poeta, tłumacz i powieściopisarz, profesor UJ i senator II RP Bohdan Łepki, który odciął się od ideologii nacjonalistów ukraińskich. W Brzeżanach zachowały się ruiny zamku i bardzo zniszczona kaplica z XVI wieku, stanowiąca mauzoleum rodzinne Sieniawskich. Olbromski wydobywa z mroków kresowej historii dzieje tego bogatego rodu, słynącego w całej Rzeczypospolitej z talentów wojskowych i dyplomacji. Przypomina też pisarzy, którzy tu bywali i pisali o mieście nad Złotą Lipą.

Legenda o zakopanych dzwonach mówi m.in. o zanikającej profesji, jaką jest ludwisarstwo. Zawód ten przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie w jednej rodzinie, która strzegła tajemnicy lania dzwonów odznaczających się czystym, harmonijnym dźwiękiem i pięknym, często niepowtarzalnym brzmieniem. Dzwony zdobiono pięknymi ornamentami, a bywało, że na ich płaszczu umieszczano sentencje. Autor wymienia i opisuje m.in. cenne i najstarsze dzwony lwowskie. Ze względu na swą wielką wartość materialną, historyczną i artystyczną dzwony stanowiły łakomy kąsek dla najeźdźców – wywozili je z Polski Czesi, Szwedzi, Austriacy, a w 1940 roku Hermann Goering wydał rozporządzenie o rekwizycji dzwonów w całej Polsce. Podobnie postępowali Sowietzi po 17 września 1939 roku. Aby ocalić dzwony, ludność na Kresach potajemnie ściągająca je z wież kościelnych i zakopywała. Często do dziś ukryte są w ziemi. Te, które pozostały w zrujnowanych świątyniach, pod koniec lat 80. zaczęto zwozić do Łucka, gdzie na zamku Lubarta powstało niewielkie muzeum dzwonów.

Należy także zwrócić uwagę na piękną szatę graficzną książki, opracowaną przez Krystynę Grzegocką, malarkę lwowską, zamieszkałą obecnie w Polsce.

Materiał ilustracyjny stanowią zdjęcia kresowych krajobrazów, zabytków i postaci autorstwa wspomnianej malarki oraz innych znakomitych fotografików, m.in. Piotra Thena z Przemyśla, oraz prace amatorów. Adekwatnie dobrane i świetnie opracowane technicznie, doskonale ilustrują zamieszczone w książce teksty. Książka Olbromskiego może być czytana jako poetycki przewodnik, który powinien trafić w ręce jak największej liczby odbiorców, szczególnie tych planujących wyprawę na wschód. Do takiej podróży zachęca sam autor: „*Lato w Krzemieńcu*” jest też zaproszeniem do odwiedzin życzliwego przybyszom, otwartego na współpracę, gościnnego miasta. Miasto Słowackiego jest tego warte.

Publikacja zawiera ponadto biografie kresowych pisarzy, wodzów, a także artystów. Autor przywołuje epizody kresowe z życia znanych postaci, np. pobyt Chmielowskiego, brata Alberta, u rodziny w Kudryńcach na Podolu. Opisuje historię tamtych ziem, ludzi i niezwykle miejsca, które czytelnicy znają z lektur, ale niekoniecznie uświadamiają sobie ich położenie. Wreszcie książka ta uzmysławia, jak wiele kultura polska zawdzięcza Kresom – tamtejszym ludziom i urokowi ziemi. Warto dać się ponieść emanującemu z niej niepowtarzalnemu nastrojowi...

Mariusz Olbromski: *Lato w Krzemieńcu. Legendy znad Ikwy*. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Warszawa 2009, ss. 288, w tekście liczne zdjęcia Adama Bujaka i in.

Książki nadesłane

Wydawcy różni

O Słowackim „umysły ludzi różne”. Praca zbiorowa pod redakcją Urszuli Makowskiej. Instytut Sztuki Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2010, ss. 218 + 127 ilustr.

Beatrycze i inne. Mity kobiet w literaturze i kulturze. Pod redakcją Grażyny Borkowskiej i Lidii Wiśniewskiej. Słowo/obraz terytoria, 2010, ss. 232+2 nlb.

Jerzy Michał Sołdek: *Faustyna Morzycka. Siłaczka Żeromskiego*. Miejsko-Gminna Biblioteka Publiczna, Nałęczów 2010, ss. 63.

Jacek Guz: *Czwarta zmiana*. Wojewódzki Ośrodek Kultury, Lublin 2010, ss. 211.

Mateusz Szkop: *Czasem słońce, czasem dres*. Wydawnictwo Drukarnia RiB, Częstochowa 2010, ss. 106.

Adrian Gleń: *Istnienie i literatura (notatnik hermeneuty)*. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Redakcja „Toposu”, Sopot 2010, ss. 211.

Longin Jan Okoń: *Historia literatury Ziemi Chełmskiej (1505-2010) uzupełniona szkicami*. Stowarzyszenie Rocznik Chełmski, Chełm 2010, ss. 357.

Stefan Andrzej Borsukiewicz: *Kontrasty. Powrót. Próba całości*. Pod redakcją Gerarda Sowińskiego. Wydawnictwo Media Rodzina, Poznań 2010, ss. 241.

Jacek Chachaj: *Początki kościołów lubelskich w świetle legend i przekazów historycznych*. Przedmowa Czesław Deptuła. Wydawnictwo WERSET, Lublin 2010, ss. 120.

Stanisław Matraś: *Podróż do Syberii po moskiewskich etapach w 1863 i 1864 roku*. Wyd. 3. Opracował i wstępem opatrzył Eugeniusz Niebelski. Wydawnictwo WERSET, Lublin 2010, ss. 411.

noty o autorach

Janusz Brzoza – ur. 1930 we Lwowie. Od r. 1945 mieszka na Śląsku. Absolwent Wydziału Filozoficzno-Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego, następnie nauczyciel w szkołach średnich. Autor około 150 artykułów naukowych, esejów i tekstów publicystycznych, a także opowiadań, aforyzmów i fraszek. Laureat wielu nagród i wyróżnień literackich.

Marek Czuku – ur. 1960 w Łodzi. Poeta, krytyk literacki, publicysta, z wykształcenia fizyk i polonista. Autor dziewięciu zbiorów poetyckich, m.in.: *W naszym azylu* (1989), *Ziemia otwarta do połowy* (2000), *Którego nie napiszę* (2003), *Ars poetica* (2006), *Forever* (2010). Wiersze, prozę, szkice i recenzje publikował na łamach najważniejszych pism literackich. Swoją twórczość prezentował w internecie, radiu i telewizji, a także za granicą (w Szwecji, Irlandii, USA, Serbii, Francji, Belgii oraz na Litwie).

Marek Danielkiewicz – ur. w 1958 w Lubartowie. Poeta, recenzent teatralny i literacki. Studiował teologię w KUL i prawo samorządowe w Instytucie Prawa PAN w Warszawie. Pracował jako nauczyciel i urzędnik. W latach 2000-2009 dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej im. A. Mickiewicza w Lubartowie. Debiutował tomem wierszy *Nie ma miejsca dla przyjezdnych* (1987). Ponadto opublikował: *Osobne ocalenie* (1990), *Pochwała domu* (1993), *Powrót do Pustej Doliny* (1995), *Namiętności. Notatnik teatralny i literacki* (2000), *Droga do Kozłówki* (2001), *Chłopak z prowincji* (2004), *Emil z ulicy Lubelskiej* (2009). W przygotowaniu do druku tom *Pożegnanie*, w opracowaniu graficznym Arkadiusza Dereckiego oraz zbiór wierszy w języku węgierskim. Członek Zarządu Wschodniej Fundacji Kultury „Akcent”.

Daniel Górecki – ur. 1983 w Lublinie. Absolwent Lingwistyki Stosowanej UMCS. Uczestnik studiów doktoranckich w zakresie neofilologii na UMCS. Jego zainteresowania badawcze dotyczą przede wszystkim zagadnień związanych z przekładem literackim i filmowym. Mieszka w Lublinie.

Mariusz Kargul – ur. 1976 w Krasnymstawie. Animator kultury, prozaik i publicysta. Od 2002 r. związany z Grupą Literacką A4 (obecnie jej przewodniczy). Inicjator i współorganizator Konkursu Twórczości Miłosnej „Ja Cię Kocham, a Ty pisz!”, Konkursu Literackiego i Plastycznego im. Stanisława Bojarczuka „O sonecianą skibkę”. Pomysłodawca i dyrektor artystyczny Festiwalu Sztuk Krasnych im. Stanisława Bojarczuka w Krasnymstawie i współtwórca projektu „Czarne inspiracje” (wspólnie z Miejską Biblioteką Publiczną im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie). Na łamach „Akcentu” debiutuje jako poeta.

Karol Maliszewski – ur. 1960 w Nowej Rudzie. Poeta, prozaik i krytyk literacki. W 2007 r. nominowany do nagrody literackiej Nike za tom szkiców krytycznych *Rozproszone głosy* (2006). Doktor nauk humanistycznych. Pracuje w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Wrocławskiego, jednocześnie wykładając literaturę najnowszą w Kolegium Karkonoskim w Jeleniej Górze. Prowadził warsztaty poetyckie w Studium Literacko-Artystycznym przy Uniwersytecie Jagiellońskim. Autor dziesięciu zbiorów wierszy, czterech książek prozatorskich i sześciu tomów szkiców krytyczno-

literackich; ostatnio wydał powieść *Sajgon* (2009), tom poetycki *Potrawy pośmiertne* (2010) i zbiór szkiców *Pociąg do literatury* (2010).

Łukasz Marciniak – ur. 1971 w Łodzi. Absolwent filozofii UMCS; doktor nauk humanistycznych w zakresie filozofii, redaguje pismo Stowarzyszenia Absolwentów UMCS „AS UMCS”; autor tomu poetyckiego *Profil odcisnięty w glinie* (2002). Publikował teksty eseistyczne oraz recenzje w „Akencie” i „Magyar Napló”. Mieszka w Lublinie.

Zbigniew Masternak – ur. 1978 w Opatowie. Studiował prawo na UMCS w Lublinie, następnie filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim, w 2009 r. ukończył scenariopisarstwo w Krakowskiej Szkole Filmu i Komunikacji Audiowizualnej. Prozaik, dramaturg i autor scenariuszy filmowych. Twórca autobiograficznego cyklu *Księstwo*, na który składają się powieści: *Niech żyje wolność* (2006), *Chmurolap* (2006) i *Szczyryk* (2008). Nad ekranizacją cyklu pracuje Andrzej Barański. Ponadto Masternak jest współautorem książki *Kino polskie 1989-2009. Historia krytyczna* (2010) oraz noweli filmowej *Jezus na prezydenta!* (2010).

Leszek Mądzik – ur. 1945 w Bartoszowinach w Górach Świętokrzyskich. Studiował na KUL, tytuł magistra sztuki otrzymał w Akademii Teatralnej im. Zelwerowicza w Białymstoku, a doktorat w warszawskiej ASP. Scenę Plastyczną KUL założył w 1969 r., od tego czasu zrealizował kilkanaście premier, m.in. *Ecce homo* 1970, *Wieczera* 1972, *Ikar* 1974, *Zielnik* 1978, *Brzeg* 1983, *Wrota* 1989, *Tchnienie* 1992, *Szczelina* 1994, *Kir* 1997, *Odchodzi* 2003, *Bruzda* 2005. Jego teatr brał udział w ponad pięćdziesięciu międzynarodowych festiwalach, przywożąc z nich nagrody i wyróżnienia (np. nagroda krytyków za *Wilgoć* na festiwalu w Kairze; nagroda za reżyserię, scenografię i technikę teatralną za *Zielnik* na festiwalu w Japonii; nagroda specjalna na Festiwalu Teatralnym w USA; wyróżnienie na Światowej Wystawie Scenografii *Praskie Quadriennale* w Pradze). Autor wielu scenografii w teatrach polskich, portugalskich, francuskich i niemieckich. Prowadził zajęcia ze studentami na zaproszenie uniwersytetów i szkół artystycznych m.in. w Helsinkach, Berlinie, Amsterdamie, Waszyngtonie, San Francisco, Bonn, Hamburgu, Lyonie, Pradze, Buffalo, Rennes, Dublinie, Rydze, Poznaniu. W 1997 r. dla Teatru Telewizji wyreżyserował własną sztukę *Pętanie*. Jest członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików. Swoje prace prezentował m.in. w Galerii Krytyków „Pokaz” w Warszawie, w Galerii Instytutu Polskiego w Wiedniu, w Centrum UNESCO w Bejrucie, w Galerii Opery w Kairze, w Centrum Sztuki i Techniki Japońskich Maanga w Krakowie, w Muzeum Lubelskim, w Galerii Sztuki Katolickiego Uniwersytetu w Santiago de Chile, w Theater-Cai w Tokio, w Muzeum Narodowym we Wrocławiu, w The Saddlery Gallery w Edmonton w Kanadzie, w Muzeum Teatralnym w Warszawie. W 1986 r. założył Galerię Sztuki Sceny Plastycznej KUL, w której zrealizowano wiele wystaw wybitnych twórców kultury polskiej (por. tekst L. Lameńskiego, „Akcent” 2007 nr 1). Projektodawca Muzeum Współczesnej Sztuki Sakralnej w Kielcach; autor licznych plakatów i grafiki książkowej (retrospektywna wystawa jego plakatów otwarta została na KUL 21 maja br.). Laureat wielu nagród i odznaczeń (m.in. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi, Srebrny Medal „Gloria Artis”, wyróżnienie specjalne Totus).

Dagmara Minda – ur. w 1989 w Kielcach, gdzie mieszka do tej pory. Studiuje filologię angielską na UJ w Krakowie. Głównie prozaiczka, nagradzana i wyróżniana w wielu konkursach. Publikowała w antologiach pokonkursowych oraz w almanachu z okazji jubileuszu ILO im. S. Żeromskiego w Kielcach, jako absolwentka tejsze szkoły. Marzy o karierze pisarki i tłumaczki. Prezentowane na łamach „Akcentu” opowiadania stanowią jej debiut czasopiśmienniczy.

Jarosław Moser – ur. 1963 w Łodzi, gdzie nadal mieszka. Absolwent religioznawstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracował m.in. jako pomocnik murarza, agent ubezpieczeniowy, agent turystyczny, pracownik biura ochrony, mediator, dziennikarz, tłumacz książek, trener warsztatów psychologicznych, nauczyciel filozofii. Wiersze publikował w „Akencie”, „Kresach”, „Odrze” i „Portrecie” oraz w Internecie, wystawa jego grafik odbyła się w 2004 r. w jednej z łódzkich galerii. Laureat kilku konkursów poetyckich.

Gábor Nagy – ur. 1972 w Körmend. Poeta, prozaik, tłumacz, historyk literatury. Pełnił funkcję redaktora w wydawnictwie Széphalom Könyvműhely oraz w czasopiśmie „Magyar Napló”. Obecnie wykłada na uniwersytecie w Szombathely i jest redaktorem działu krytyki miesięcznika „Hítel”. Uehonorowany nagrodą literacką Istvána Belli i stypendium Istvána Barankovicsa. Ostatnio opublikował powieść *Ki a konkolýt vetette* (*Kto zebrał kłkól*, 2009).

Cezary Nowakowski – ur. w 1953 r. w Głuszyicy. W 1978 r. ukończył etnografię na Uniwersytecie Wrocławskim. Od trzydziestu lat mieszka i pracuje w Szczecinie. Zajmuje się problematyką krajobrazu kulturowego i szeroko pojmowaną dokumentacją zabytków architektury. Oprócz artykułów naukowych w periodykach branżowych publikował reportaże w „Morzu i Ziemi” i „Gazecie Wyborczej”, a także opowiadania w częstochowskim dwumiesięczniku „Aleje 3”.

Włodzimierz Paźniewski – ur. 1942 w Bobrownikach. Absolwent polonistyki Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Prozaik, poeta i eseista oraz autor słuchowisk radiowych. Autor dwudziestu siedmiu książek. Opublikował zbiory wierszy: *Z ostatniej chwili* (1973), *Wiersze dla zaginionych bez wieści* (1975) oraz w podziemiu: *Proszę się rozejść* (1983). Do jego najbardziej znanych utworów prozatorskich należy powieść *Krótkie dni* (1983), przełożona na język francuski. Obszerne fragmenty tego utworu przetłumaczono na język niemiecki i ukraiński. Ostatnio ze sporym zainteresowaniem spotkał się tom jego opowiadań o czasach PRL-u *Pięści nad pięściami* (2008). Wydał dziesięć zbiorów esejów, m.in. *Życie i inne zajęcia* (1982), *Gramatyka rozproszenia* (1995), *Deportacja ogrodu* (1996), *Biustonosz Marilyn Monroe* (1998), *Kołnierzyk Słowackiego* (1999), *Europa po deszczu* (2001), *Karawele na wietrze* (2005), *Księga przemijania* (2007), *Przystanek Chaos* (2010). Opracował i opatrzył wstępem listy Aleksandra Sołżenicyna do prof. Jerzego Juliana Węgierskiego pt. *Drogi Juriju Jurijewiczu...* (2007). Jego wiersze, powieści, opowiadania i eseje były tłumaczone na angielski, francuski, niemiecki, serbsko-chorwacki, czeski, ukraiński i szwedzki. Mieszka w Katowicach.

Grzegorz Pienkowski – ur. 1956 w Warszawie. Historyk filmu, tłumacz filmowy, działacz DKF i ruchu związkowego. Ukończył Uniwersytet Warszawski (Wydział Polonistyki) i studium na Wydziale Reżyserii PWSFTviT w Łodzi. Długoletni pracownik Filmoteki Narodowej w Warszawie (1977-2008). Popularyzator wiedzy o filmie w DKF-ach i na kursach organizowanych na terenie całego kraju przez DKF-y i domy kultury dla uczniów i nauczycieli. Wykładowca w warszawskiej Akademii Filmu i Telewizji. Współautor leksykonu *Polski film fabularny* (Wiedza i Życie). Z Letnią Akademią Filmową w Zwierzyńcu współpracuje od pierwszej edycji jako tłumacz i lektor filmowy, wykładowca i publicysta. Wielbiciel kotów w każdej postaci.

Wojciech Zbigniew Próchniewicz – ur. 1955 w Kraśniku. Absolwent Politechniki Lubelskiej; autor ponad trzydziestu książek prozatorskich i poetyckich dla dzieci i młodzieży, m.in. *Ostatnia impresja* (1981), *O Jasiu Śpiochu i zgubionym czasie* (1985), *Lustery z Krainy Światła* (1987), *Sny umarłych* (1991), *Ptasie wesele. Spacer w lesie* (1995), *Legerland* (2004), *Wywrotka Basia* (2007), a także sztuki scenicznej *Legenda o Czarcię Łapie* z muzyką Romualda Lipki. Jego utwory były emitowane w TVP1, TV Polonia, Polskim Radiu oraz recytowane przez wybitnych aktorów Teatru Starego w Krakowie. Scenarzysta dwudziestu sześciu odcinków dobranoczek *Przygody zajączka Paraszka* oraz pełnometrażowego filmu *Baśń o trzech wiedźmach*.

Michał Szymaniak – ur. 1988 w Krasnymstawie. Student historii sztuki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, plastyk o specjalności: techniki malarskie i pozłotnicze, absolwent Lubelskiej Szkoły Sztuki i Projektowania PSP im. Stanisława Wyspiańskiego. Prezentowany tekst to jego debiut.

Dominik Wacko – ur. 1989 w Lublinie. Student Wydziału Humanistycznego UMCS, muzyk, poeta. Ma za sobą kilka odczytów w Krakowie i Lublinie, debiutował w „Poboczu”, drukował również w „sZAFie” i „Ofensywie”. Członek grupy poetyckiej *Dzień Po*.

Bogusław Wróblewski – ur. 1955 w Lubartowie. Absolwent polonistyki UMCS, gdzie obecnie pracuje. Doktorat w 1986 r. pod kierunkiem prof. Jerzego Świącha. Założyciel (1980) i redaktor naczelny „Akcentu”. Debiutował w 1973 r. wierszem w „Kamieniu”. Jest m.in. autorem zbioru szkiców pt. *Wydzieżnienie i kompleksy* (1986), rozprawy *Die Problematik Ostmitteleuropas in literarischen Zeitschriften in Polen* (1996), krytycznej edycji *Wierszy zebranych* Zbigniewa Chałko (1997) i Wacława Oszajcy (2003), almanachu *Zaulek poetów* (2005), współredaktorem *Pism* Danuty Mostwin (2003), pracy zbiorowej na temat Isaaca B. Singera (2005), a także autorem około stu publikacji w pracach zbiorowych i czasopismach (również w Niemczech, USA, na Ukrainie i na Węgrzech). Ostatnio opracował dla Państwowego Instytutu Wydawniczego obszerny tom szkiców o twórczości Ryszarda Kapuścińskiego pt. *Życie jest z przenikania* (2008) oraz współredagował książkę dedykowaną profesorowi Jerzemu Świąchowi pt. *Słowa i metody* (Wyd. UMCS, 2009). Współautor monografii twórczości wychodźców z Europy Środkowej *Exile and Return of Writers from East-Central Europe. A Compendium* (Verlag de Gruyter, Berlin – New York 2009). Tłumaczył poezję z niemieckiego i rosyjskiego (piosenki Włodzimierza Wysockiego). W latach 1998-2005 członek Rady Programowej Polskiego Radia S.A. w Warszawie. Laureat m.in. Nagrody Fundacji Polcul (2006) oraz Nagrody Miasta Lublin za całokształt osiągnięć w dziedzinie kultury i sztuki (2010). Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2006).

Maria Żywicka-Luckner – ur. 1953 w Kęble (woj. lubelskie). Absolwentka Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Lublinie. Autorka zbiorów poetyckich: *A w górze szum skrzydeł* (1995), *Biała akwarela* (2001), *jezusy moje* (2009). Publikowała m.in. w „Metaforze”, „Lancecie”, „Pulsie”, „Spektrum”, „Głosie Nauczycielskim”, „Gazecie Lekarskiej”. Utwory aforystyczne ukazały się w *Wielkiej encyklopedii aforyzmów* pod redakcją prof. Joachima Glenska (1996) i *O miłości wszelakiej* (1995). Laureatka wielu konkursów poetyckich. Zajmuje się również malarstwem sztalugowym i akwarelą. Mieszka w Warszawie na Pradze Południe, pracuje na Pradze Północ – dla około dwóch tysięcy pacjentów (tych samych rodzin od trzydziestu lat) jest lekarzem pierwszego kontaktu. Należy do Unii Polskich Pisarzy Lekarzy.

W następnych numerach:

- Proza Andrzeja Basaja, Amira Gutfreunda, Katalin Mezey i Marka Sołtysika;
- Wiersze Hałyny Kruk, Jana Henryka Cichosza i Dariusza Eckerta;
- Młoda poezja ukraińska w przekładach Bohdana Zadury;
- Bogdan Nowicki: *Schulzowskie ordalia, czyli jaźń ćwicząca się w herezji*;
- Emigracyjna odyseja w listach;
- Omówienia najnowszych książek prozatorskich i literaturoznawczych.

Dziękujemy wszystkim, którzy dokonali wpłat na działalność statutową Wschodniej Fundacji Kultury „Akcent”

Pieniądże można wpłacać na konto: Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent”, Bank PE-KAO SA, V Oddział w Lublinie nr rachunku: 50 12401503 1111000017528667

Informujemy Czytelników, że sprzedaż AKCENTU prowadzą m.in. księgarnie:

Dom Książki Księgarnia,
ul. Bernardyńska 8
20-109 Lublin, tel. 081 532-78-27

Salon sprzedaży „Empik”
ul. Lipowa, Galeria „Plaza”
20-024 Lublin, tel. 081 534-36-98

Lubelskie Centrum Książki
Wieniawska 3
20-071 Lublin, tel. 081 532-54-41

Księgarnia „Ezop”
Krakowskie Przedmieście 62
20-076 Lublin, tel. 081 532-56-15

Galeria ZPAP
Krakowskie Przedmieście 62
20-076 Lublin, tel. 081 532-68-57

Księgarnia Sentencja
Krakowskie Przedmieście 41
20-076 Lublin, tel. 081 534-77-53

Księgarnia Uniwersytecka
Plac M. Curie-Skłodowskiej 5
20-031 Lublin, tel. 081 537-54-13
Księgarnia prowadzi sprzedaż wysyłkową „Akcentu”.

Ośrodek Informacji Turystycznej
ul. Jezuitska 1/3
20-113 Lublin, tel. 081 532-44-12

Księgarnia Wydawnictw Naukowych
ul. Podwale 6
31-118 Kraków, tel. 012 422-90-57

Księgarnia Literacka
Plac Konstytucji 3 maja 3
10-414 Olsztyn, tel. 089 533-62-24

Księgarnia Akademicka „LIBRA”
ul. Unii Lubelskiej 6a
35-016 Rzeszów, tel. 017 86-25-628 w. 1120

Poznańska Księgarnia Naukowa „Kapitałka”
ul. Mielżyńskiego 27/29
61-725 Poznań, tel. 061 852-45-16

Główna Księgarnia Naukowa im. B. Prusa
ul. Krakowskie Przedmieście 7
00-068 Warszawa, tel. 022 826-18-35

Księgarnia ORPAN „BIS”
ul. Twarda 51/55
00-818 Warszawa, tel. 022 697-88-35

Księgarnia „Czytelnik”
ul. Wiejska 14
00-490 Warszawa, tel. 022 621-36-55

Księgarnia Wysyłkowa LEXICON
ul. Sengera „Cichego” 24 m.2A
02-790 Warszawa, tel. 022 648-41-23
Księgarnia prowadzi sprzedaż wysyłkową „Akcentu”.

Księgarnia im. Bolesława Leśmiana
ul. Zamenhofska 9
22-400 Zamość, tel. 084 638-61-57

Księgarnia Akademicka
Al. Wojska Polskiego 69
65-625 Zielona Góra, tel. 068 326-35-20 w. 220

Tu do nabycia m.in. numery:

z 2006: 1 – Wiesław Myśliwski: z *Traktatu o łuskaniu fasoli*, Abp Józef Życiński o ks. Janie Twardowskim, Miłosz i Czechowicz – przyjaźń z Lublinem w tle; 2 – A. Andrzejuk: *Wnuczka Bolesława Chrobrego pierwszym polskim pisarzem*, Ł. Marcińczak o mieście Prusa i Żeromskiego, T. Kłak o Lublinie Edwarda Stachury; 3 – wiersze Jacka Dehnela, Uty Przyboś i Wasyla Machno; P. Malczewska o prozie flamandzkiej; 4 – wywiad rzeka ze Zdzisławem Beksińskim; szkice o Myśliwskim, Witkacym, Dąbrowskiej; opowiadania W. Danylenki; płyta CD z głosami Beksińskiego, Myśliwskiego, Zadury.

z 2007: 1 – *Schulz, Drohobycz, pogranicze*; 2 – proza M. Głowińskiego i M. Czornyja, Rabizo-Birek o Lipskiej, Wróblewski o Młynarskim, płyta CD z głosem R. Kapuścińskiego i piosenkami W. Młynarskiego; 3 – Marcińczak o lubelskich nekropoliach, Leszczyńska-Pieniak o artystach w Zamościu, wiersze Wichy-Wauben o arcydziełach malarstwa; 4 – Czermińska, Mikołajewski i Pisarek o R. Kapuścińskim.

z 2008: 1 – wiersze B. Zadury i T. Chabrowskiego, proza J. Łukasiewicza, szkice o poezji Kapuścińskiego i o Polakach w Paryżu; 2 – A. Kochańczyk o dziennikach Iwaszkiewicza, szkic o rzeźbach Zamoyskiego, wiersze A. Niewiadomskiego i M. J. Kawalki; 3 – *Karol Wojtyła – poeta, dramaturg, filozof* (m.in. A. Boniecki, W. Oszejca, J. Pasierb, B. Taborski, J. Życiński, J. Tischner) + suplement *Wiersze U. Jaros*; 4 – nowa poezja ukraińska, J. Święch o współczesnej biografistycy, piosenki J. Kondraka, Tomek Kawiak – artysta niespokojny + suplement poetycki *I jeszcze dalej* W. Sołtysa.

z 2009: 1 – Balcerzan o Herbercie i Miłoszu, Cyborgi – figury globalizacji i industrializacji, „Widnokrąg” Myśliwskiego w Teatrze Osterwy; 2 – Proza T. Chabrowskiego i J. Bieruta, *Penderecki multimedialny*, Jak powstał pomnik na Majdanku; 3 – *Ostatnie dni Nazara Honczara*, Z Lublina na Manhattan – Tadeusz Myśłowski, *Internet jako miejsce pochówku*, Marcin Różycki – bard ironiczny i sentymentalny; 4 – Marcińczak o Bobkowskim, Zubiński o Hrabalu, Rzym i Jerozolima – opowieść o dwóch miastach.

z 2010: 1 – Nowicki o prozie Brunona Schulza, Ryczkowska o opowiadaniach Andrzeja Pilipiuka, Wróblewski o pisarstwie Danuty Mostwin, malarstwo Jana Ziemińskiego; 2 – Nowa powieść Jacka Dehnela, Łobodowski o Czechowiczu, Broniewskim, Gałczyńskim, Szkołut o Kapuścińskim, Jarosław Wach: *Anatomia nienawiści*; 3 – Opowiadania Birutė Jonuškaitė, Marcina Kreczmera, R. Książek o jankaniu w kulturze współczesnej, urodziny Hanny Krall; 4 – Hanna Krall: *Dom opieki*, Ryszard Kapuściński: *Fakty nie są nagie*, Marcin Czyż: *(U)kraina marzeń*, Jan Popek – artysta nostalgiczny.

„Akcent” można nabyć również w sieci „Ruch” S.A. oraz „Kolporter” S.A. Zainteresowani zakupem archiwalnych numerów mogą się zwracać bezpośrednio do redakcji „Akcentu”.

„Akcent” można kupić m.in. w salonach prasowych „Ruch” S.A.:

Białystok	Slonecznikowa 9	Puławy	Centralna
Bydgoszcz	Fordońska 141	Radom	Toruńska 1/3
Bydgoszcz	Magnuszevska 6	Ruda Śląska	Solidarności
Ciechanów	Warszawska 62	Rybnik	Maksymiliana
Częstochowa	Monte Casino 10	Rzeszów	Podwislocze 6
Elbląg	1-go Maja	Rzeszów	Zygmuntowska 10
Gdańsk	Złota Brama	Słupsk	Banacha
Gdynia	Starowiejska 29/35	Sopot	3-go Maja
Jelenia Góra	pl. Ratuszowy 26	Starogard Gd.	Hallera 36/17
Kalisz	Narutowicza 1	Szczecin	Plac Hołdu Pruskiego 8
Katowice	Dworzec PKP – hol główny	Szczecin	Narutowicza 13e
Katowice	Wojciecha	Świdnik	Al. Lotników Polskich
Kętrzyn	Powstańców Warszawy	Tarnów	Krakowska 33
Kielce	Grunwaldzka	Tarnów	Plac Kazim. Wielkiego 4
Kielce	Paderewskiego „RONDO”	Tczew	Saperska
Kołobrzeg	Mariacka 18	Tomaszów Maz.	Jerozolimska 23
Koszalin	Zwycięstwa/Traugutta	Toruń	Fałata 92
Kraków	Aleja Pokoju 5	Toruń	Grudziądzka 45
Kraków	Andersa 9	Toruń	Mikołaja Reja 45
Kraków	Bracka 7	Toruń	Rynek Staromiejski
Kraków	Dobrego Pasterza 127	Tychy	Bielska
Kraków	Gronostajowa 7	Wałbrzych	Armii Krajowej 7
Krosno	Pużaka 49	Warszawa	Al. Jana Pawła 82 – Arkadia
Legnica	Wrocławska	Warszawa	Al. Jerozolimskie 33
Leszno	Rynek	Warszawa	Dobra 56/66
Lublin	Krakowskie Przedmieście	Warszawa	Grójecka 26
Łódź	Dąbrowskiego 60	Warszawa	Rembelińska 6
Morąg	3 Maja 5	Włocławek	Promienna 9
Mragowo	Królewska	Wrocław	Kościuszki 11
Nałęczów	Armatnia Góra 2	Wrocław	Mikołaja Reja 47
Nowy Sącz	Nawojowska 1	Wrocław	Plac Legionów 17
Nowy Targ	Sobieskiego	Wrocław	Plac Świętego Macieja
Oleśnica	Rynek 29	Wrocław	Skarżyńskiego – Lotnisko
Olkusz	Składowa 9	Wrocław	Świętego Wincentego 12
Olsztyn	1 Maja	Zabrze	Plac Autobusowy
Opole	Ozimska	Zakopane	Nowotarska
Piotrków Tryb.	Armii Krajowej 14	Zamość	Peowiaków
Poznań	Głogowska 29	Zielona Góra	Bohaterów Westerplatte
Poznań	Stary Rynek 83	Zielona Góra	Jedności
Puławy	Piłsudskiego 27		

„Akcent” sprzedawny jest także w salonach „Kolpoltera” S.A.

Białystok	Henryka Sienkiewicza 81/3	Pułtуска	3 Maja 15
Dęblin	Wiślana 34	Radomsko	Przedborska 6
Jarocin Poznański	Wrocławska 13	Siedlce	Piłsudskiego 32
Lublin	Narutowicza 53	Skiernewice	Dworcowa 1
Ostróda	Czarneckiego 13A	Słupsk	Nowobramska 1 i 1A
Poczesna	Krakowska 10	Warszawa	Sobieskiego/Nałęczowska
Pułtуска	Jana Pawła 5/25	Włocławek	Barska



**Regularne otrzymywanie „Akcentu”
zapewnia prenumerata!**

A black and white close-up portrait of Czesław Miłosz, showing his forehead with deep wrinkles and his eyes looking slightly to the left. The image is the background for the entire page.

Miłosz

365

Rok Miłosza

Stulecie urodzin Poety

► 1911

2011 ◀

W roku 2011 obchodzimy setną rocznicę urodzin Czesława Miłosza. Przez 365 dni jego wiersze i eseje czytane będą we wszystkich polskich miastach, na Litwie, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, we Francji i Chinach, Brazylii, Izraelu, Rosji i nie tylko. Najdonioślej zabrzmia one jednak w Krakowie. W dniach 9 – 15 maja 2011 Instytut Książki zaprasza na drugą edycję Festiwalu Literackiego im. Czesława Miłosza, tym razem pod hasłem **Rodzina Europa**. W programie: spotkania autorskie, wieczory poetyckie, panele dyskusyjne, wielka konferencja naukowa, warsztaty dla tłumaczy, przeglądy filmowe, wystawy, koncerty i przede wszystkim poezja.

Szczegóły przez cały rok na: www.milosz365.pl

INSTYTUT KSIĄŻKI



© POLAND

NAJLEPSI PISARZE I KRYTYCY

INSTYTUT KSIĄŻKI POLECA

**NOWE
KSIĄŻKI**

NOWE KSIĄŻKI

Miesięcznik - od ponad półwiecza niezastąpione źródło wiedzy i opinii o książkach. Recenzje, wywiady, sylwetki pisarzy, publicystyka, bibliografia, zapowiedzi wydawnicze.
tel. (22) 626 62 60 826 70 36 tel./fax 826 62 35
e-mail: noweksiazki@wp.pl

RUCH MUZYCZNY

RUCH MUZYCZNY

Najstarsze polskie czasopismo o muzyce poważnej.
Forum niezależnej krytyki. 26 numerów w roku.
tel. (22) 608 28 70/71 fax 608 28 72
e-mail: redakcja@ruchmuzyczny.pl www.ruchmuzyczny.pl

TEATR

TEATR

Miesięcznik poświęcony teatrowi współczesnemu.
Omówienia najnowszych premier w Polsce i za granicą, teksty krytyczne, eseje, komentarze.
tel. (22) 692 88 19 tel./fax 692 88 18
e-mail: teatr@teatr-pismo.pl www.teatr-pismo.pl

**LITERATURA
na ŚWIECIE**

LITERATURA NA ŚWIECIE

Literatura na Świecie?
Co tu w ogóle tłumaczyć - wiadomości!
tel. (22) 827 47 91 tel./fax 828 64 96
e-mail: litnasw@free.art.pl
www.literaturanaswiecie.art.pl

НОВАЯ ПОЛЬША

NOWAJA POLSZA

Miesięcznik. Jedynе pismo w Polsce w języku rosyjskim.
Bogaty wybór publicystyki autorów polskich i rosyjskich.
Przekłady nieznanych w Rosji utworów polskiej poezji i prozy.
tel. (22) 608 25 65 608 27 95 tel./fax 608 27 96 608 25 05
e-mail: nowpol@bn.org.pl www.nowpol.ru

akcent

AKCENT

Żywo redagowany kwartalnik poświęcony literaturze i innym dziedzinom sztuki w kontekście najnowszych osiągnięć myśli humanistycznej. Ukazuje się od 1980 roku w Lublinie.
tel./fax. (81) 532 74 69
e-mail: akcent_pismo@gazeta.pl www.akcent.gilt.pl

odra

ODRA

Miesięcznik szeroko prezentujący społeczną i artystyczną współczesność, forum krytycznej refleksji humanistycznej. Polska i świat, historia i możliwa przyszłość.
tel./fax (71) 344 77 37 tel. 343 55 16
e-mail: odra@odra.net.pl www.odra.net.pl

twórczość

TWÓRCZOŚĆ

Najstarszy polski miesięcznik literacki. Przedstawia współczesną prozę, poezję i krytykę literacką. Uczestniczy w przemianach polskiej literatury.
tel. (22) 627 15 52 tel./fax 628 95 07
e-mail: tworczość@bn.org.pl

DIALOG

DIALOG

Miesięcznik poświęcony dramaturgii współczesnej teatralnej, radiowej i telewizyjnej.
tel. (22) 608 28 80 608 28 81 fax 608 28 82
e-mail: dialog@bn.org.pl www.dialog.waw.pl



INSTYTUT KSIĄŻKI - DZIAŁ WYDAWNICTW

02-086 Warszawa al. Niepodległości 213 • tel. (22) 608 23 74 • tel./fax (22) 608 24 88
e-mail: czaspatron@bn.org.pl

Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadczenia ludzkości

/.../

Dzieło sztuki – mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



Cena 10zł (w tym 5% VAT)

NR INDEKSU 352071

PL ISSN 0208-6220

